



NOWE CZASY

Przełminą smutne dni



EDYTA
ŚWIĘTEK

Replica

Edyta Świątek

Nowe Czasy Tom 2

Przełomem Smutne Dni

W poprzedniej części

Rodziny Pawła Szymczaka oraz Karola Pawłowskiego od lat są skonfliktowane i unikają bliskich relacji. Kilka lat wcześniej kuzyni mieli zatarg z powodu Marka, jednego z synów Karola, który porzucił naukę w liceum po to, by pomagać Pawłowi w robieniu interesów.

Rodzeństwo Wioletta i Adrian Pawłowscy postanawiają rzucić pracę i zająć się karierą artystyczną. Wraz z dwoma kolegami zakładają zespół muzyczny, który szybko osiąga sukces. Młodzi ludzie koncertują w całym kraju. Jeden z członków grupy Silver Star, Tomasz Lorkowski, od lat kocha się w przebojowej dziewczynie, lecz jego uczucie pozostaje nieodwzajemnione. Wkrótce na adres ich fanclubu zaczynają wpływać obelżywe anonimy, które mają na celu zastraszenie Wioletty. Nieznany prześladowca podąża tropem zespołu podczas tras koncertowych.

Bliźniaczy brat Adriana, Marek, handluje kasetami magnetofonowymi. Chłopak odrzuca propozycję rodzeństwa, by wraz z nimi muzykować. Interes nieźle mu idzie do czasu, gdy otrzymuje powołanie do służby wojskowej. Po powrocie z zasadniczej służby chłopak nie może odnaleźć się w cywilu. Poszukuje zajęcia, lecz wciąż trafia na nieuczciwych pracodawców. Podczas jednej z rozmów kwalifikacyjnych poznaje Renatę. Młodzi ludzie zakochują się w sobie. Mimo wszystko Marek nie czuje się szczęśliwy i ucieka przed problemami w alkohol i narkotyki.

Karol Pawłowski, ojciec Wioli oraz bliźniaków, żeni się z ukochaną Matyldą. Wiodą spokojne życie, marząc o powiększeniu rodziny. Nie są świadomi zagrożeń czyhających na Wiolettę ani tego, jak poważne są problemy Marka.

Paweł Szymczak jest drobnym biznesmenem. Nie stroni od różnych mętnych interesów. Wikła się w handel bronią oraz narkotykami. Jego była żona, Anna, prowadzi pracownię krawiecką. Szymczakowie wciąż mieszkają razem mimo rozwodu – wzięli go w celu zabezpieczenia się przed ewentualnymi

stratami. Wspólnie wychowują córkę Małgosię, którą mocno zaniedbują. Nastolatka większość czasu spędza z babcią Sabiną lub koleżanką z podstawówki – Julią. Rodzice obdarowują ją drogimi upominkami, lecz wciąż brakuje im dla niej czasu. Osamotniona Gosia pakuje się w kłopoty. Popada w anoreksję i wikła się w toksyczną znajomość ze znacznie starszym mężczyzną. Bolesław Sadzidło myśli tylko o tym, by wykorzystać Gosię lub jej koleżankę.

Małgorzata Szymczak w tajemnicy przed rodzicami utrzymuje kontakt z Wiolettą Pawłowską. Kuzynka emanuje życzliwością i ciepłem, których brakuje w domu nastolatki.

Wiola z trudem godzi karierę muzyczną ze studiami zaocznymi. Na uczelni poznaje mężczyznę, w którym zakochuje się bez pamięci. Konsekwencją tej namiętności jest nieplanowana ciąża. Dziewczyna postanawia zrezygnować z kariery muzycznej. Jej decyzja jest szczególnie bolesna dla Tomasza, który wciąż żywił nadzieję na związek z atrakcyjną wokalistką.

Zdruzgotany Lorek, nie widząc już szansy na zdobycie serca Wioli, postanawia odebrać sobie życie.

Pawłowska wyznaje kochankowi, że spodziewa się dziecka. Mężczyzna podważa uczciwość dziewczyny i oznajmia, że ma już rodzinę, której nie zostawi. Wioletta wpada w rozpacz.

Bolesław usiłuje zgwałcić Małgosię. Przerazona dziewczynka ucieka do domu kuzynki

W dobrych i złych momentach życia Karol oraz jego dzieci mogą liczyć na wsparcie i troskę ze strony Wawrzyńca i Julii Pawłowskich.

Rok 1995

Rozdział 1

Czas na łzy

Pytasz czy miłość sama zwycięża

Bez krwi, bólu i pięści

Czy zawsze sami, sami, sami... coś zabijamy? [1]

Wioletta energicznie wchodziła po schodach. Podbudowana krzepiącymi słowami babci Julii, wracała do mieszkania. Wciąż jeszcze nie mogła wyobrazić sobie przyszłości, jakże innej od pięknych obrazów, które w minionych kilku dniach widziała oczyma duszy. Nadal cierpiała z powodu niespodziewanego obrotu spraw.

Wszystkie jej nadzieje okazały się płonne!

Jak żyć z taką zgryzotą?

Odczuwała lęk na myśl o nadchodzących godzinach, dniach i tygodniach, gdy trzeba będzie stawić czoła realiom, a dziecko dojrzewające w jej łonie nie pozwoli na zapomnienie o największej porażce, jaka ją spotkała. Wystarczyło tylko trochę czasu, by cały świat wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Była na krok od półpiętra, gdy usłyszała ciche pochlipywanie. Zadarła głowę i dostrzegła postać skuloną na stopniu. Rozpoznała swój sweter. A raczej nie tyle swój, co oddany kilka tygodni wcześniej kuzynce.

– Gosia? – Uniosła brwi w zdumieniu. – Co się stało, Gosieńko? Czemu płaczesz? – zapytała wylężnionym tonem.

Przyspieszyła. Już po chwili trzymała w objęciach mocno wychudzone ciało nastolatki. Dziewczyna dygotała i szczykała zębami tak strasznie, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wioletta szybko wyjęła klucze z kieszeni i wpuściła nieboraczkę do mieszkania. Tam od razu zaprowadziła ją na swój ulubiony fotel, który wpierw przesunęła bliżej grzejnika. Otuliła gościa pledem i choć pożerała ją ciekawość tego, co doprowadziło młodą do takiego stanu, poszła do kuchni, gdzie zaparzyła gorącą herbatę z miodem i cytryną.

– No jak? Ciepłej ci choć odrobinę? – zapytała, wręczając kubek nastolatce.

– Tro... Trochę – odpowiedziała kuzynka, wciąż szczykając zębami.

– Pij powoli, żebyś się nie poparzyła.

Dziewczyna skinęła głową. Pociągnęła łyk naparu, który przyjemnie rozgrzał jej wnętrzności. Miała nadzieję, że miód nie odłoży ohydnej tłustej fałdy na jej brzuchu. Pani domu przysunęła bliżej drugiego, nieco mniejszego fotela. Usiadła, podciągając stopy pod siebie. Ona też trochę zmarzła, więc sięgnęła po lekki kocyk.

– Siedzimy jak dwie starszki. Okutane w pledy, sączymy gorące napoje – próbowała minimalnie rozładować ciężką atmosferę. – Chcesz mi opowiedzieć, dlaczego przyszedłeś bez kurtki i przemarznięta do szpiku kości? I o co tak ciągle płaczesz? Coś w domu? Jakaś kłótnia z rodzicami? Uciekłeś? Pewnie się o ciebie martwią. Chcesz, żebym do nich zadzwoniła?

– Nie... nie dzwoń. Nie u... cie... kłam – wyjąkała dziewczynka. – Zaraz ci wy... wy... tłu... maczę, tylko wypiję. Już mi lepiej – odparła, choć z jej oczu przez cały ten czas płynął nieprzerwany strumień łez.

– Oj, Gosia... No... Nie płacz już, proszę.

Po dłuższej chwili nieco uspokojona nastolatka zwierzyła się kuzynce. Przedstawiła swoją historię od samego początku, czyli od pierwszych wizyt u sąsiada babci. Nie pominęła filmów, które pożyczał jej ten straszny człowiek, picia piwa i palenia papierosów. Płacząc się i szlochając, dojrzała do wydarzeń minionego przedpołudnia. Wiola słuchała jej słów z rosnącą zgrozą i zdenerwowaniem. Własne problemy odeszły na moment w zapomnienie. O wiele ważniejszy był teraz dramat tego biednego, zaniedbanego przez rodziców dziecka.

Ojciec z matką gonią za forszą, a mała na tym cierpi! – urągała w duchu Pawłowi i Annie. *Ciekawe, czy oni kiedykolwiek porozmawiali z nią o jej troskach? O dojrzeniu? Czy nauczyli ją odróżniać złych ludzi od dobrych?*

Z przerażeniem patrzyła na Małgosię obwiniającą się o to fatalne zdarzenie. Płaczącą z lęku, że ktoś o tym usłyszy i zostanie ukarana. W końcu nie wytrzymała, wstała z fotela i złapała kuzynkę w objęcia.

– Nie mów tak! To nie była twoja wina! Co on sobie myśli? Przecież to... To... To podpada pod paragraf! Twoi rodzice powinni zgłosić wszystko na policję!

– Nie! Wiola! – wykrzyknęła zrozpaczona dziewczynka, tuląc się do jedynej osoby, której była w stanie zaufać. – Nie mogę im o niczym powiedzieć! Nigdy! Nigdy! Nigdy! Bo inaczej już na zawsze zamkną mnie na cztery spusty. I zmuszą babcię, żeby mnie pilnowała na każdym kroku! Albo zrobią coś jeszcze głośniejszego! Wiolaaa! Nie można iść na policję, bo wszystko wyjdzie na jaw!

– No już dobrze, dobrze. – Pogłaskała chudzinę po plecach. – Nic im nie powiemy, nie dowiedzą się. Ale to oznacza, że ten człowiek pozostanie bezkarny. Bo to, co zrobił, a raczej próbował zrobić, jest przestępstwem, rozumiesz?

Nastolatka pokiwała głową.

– On nie miał prawa dawać ci filmów o treści pornograficznej ani tym bardziej dotykać cię w taki sposób. Nie wolno by mu było tego robić nawet za twoją zgodą, bo jesteś jeszcze dzieckiem, a dzieci mają zagwarantowaną przez prawo nietykalność cielesną. Nawet jeśli są już tak duże i wyglądają tak poważnie jak ty.

– I co teraz będzie? – załkała niedoszła ofiara przemocy.

Prawdopodobnie tylko ja mogę coś zdziałać w tej sytuacji. Nie poproszę o pomoc chłopaków – pomyślała o braciach – bo nie ma czasu na to, by wydzwaniać za nimi po mieście. Wiadomo, gdzie są Adek z Markiem? Na ile znała ich przyzwyczajenia, to pierwszy pewnie odsypiał jakąś całonocną bibę, a drugi mógł być w robocie.

– Nie wiem, Gosiu. Daj mi moment na zebranie myśli.

Małgorzata spojrzała na nią z tak wielką nadzieją, że serce Wioletty ścisnęła nieprzyjemny skurcz. Nie panowała nad wzburzeniem. Była wściekła na obcego człowieka i na swoich krewnych. Gdyby teraz spotkała Andzię, wydrapałaby jej oczy!

– Zaraz pójdę do drania i zrobię awanturę! To mu nie ujdzie na sucho!

Wiedziała, jak załatwić tę sprawę. Oczywiście nie mogła pójść tam sama, ponieważ ten człowiek nie potraktowałby jej serio. Pewnie wyśmiałby ją w obrzydliwy sposób. Musiała więc zabrać ze sobą jakiegoś mężczyznę. Tylko jedną zaufaną osobę miała na podorędziu.

– Idę odebrać twoje rzeczy. Przy okazji porozmawiam z sąsiadem twojej babci. Już ja mu powiem do słuchu! Wróć niebawem, nie denerwuj się, dobra? Chcesz tutaj poczekać?

– A pozwolisz, żebym została?

– Oczywiście, kochanie. Wciąż masz takie zimne ręce! Najlepiej, jak posiedzisz pod kocem – stwierdziła zatroskana, dotykając jej dłoni. – Bądź dobrej myśli.

W pośpiechu ubrała się i opuściła mieszkanie. Aleją Róż podążyła w stronę osiedla Centrum D.

– Wiola! Ty znowu tutaj? – wyraził zdziwienie Wawrzyniec Pawłowski, otwierając drzwi przed wnuczką. – Coś się stało?

– Tak, ale nie masz powodu do zdenerwowania. Jest u mnie Gosia Szymczak. Kiedy ja wypłakiwałam się w babciny rękaw, próbował ją zgwałcić sąsiad cioci Sabiny!

– Matko Boska! – wykrzyknęła Julia. – Jakże to? Mam nadzieję, że nic jej nie

zrobił!

Sama nosiła w głębokich zakamarkach umysłu wspomnienie największej krzywdy, jakiej zaznała w całym swoim życiu. Na ułamek sekundy przed oczy Julii wróciła poczerwieniała złością i chucią twarz Bartłomieja Marczyka, który niemalże pół wieku wcześniej posiadał ją z użyciem przemocy. Tym samym na długie lata zrujnował kobiecie cały świat, zasiewając w jej sercu ziarno niechęci do mężczyzn.

– Spokojnie, babciu. Do niczego złego nie doszło. Skończyło się na strachu i łzach.

– Trzeba powiadomić policję! – wykrzyknął pan domu. – Co za drań! Niepojęte, żeby nastawać na dziecko!

– Nie! Gosia bardzo mnie prosiła, by tego nie robić. Ale muszę pójść po jej kurtkę do faceta, który chciał ją wykorzystać. Andzia i Paweł nie mogą się o niczym dowiedzieć, przynajmniej chwilowo. Później wam to wyjaśnię.

– Co to za człowiek? Mówiła coś na jego temat?

– Ponoć jakiś stary piernik, starszy od ciebie – chlapnęła bez zastanowienia. – Eee... Przepraszam, dziadku. Głupio to zabrzmiało.

– Daj spokój, dobrze wiem, że nie jestem młodzikim. Idę z tobą! – zdecydował Wawrzyniec, zanim zdążyła powiedzieć, po co tak właściwie przyszła. W lot odgadł myśli ukochanej wnuczki. – Już ja mu natrę uszu!

– Ja też idę! – Z głębi mieszkania nadszedł zięć Wawrzka, Krzysztof Ogrodziński. – Jeden chłop na jednego to wyrównane siły, ale we dwóch pokazemy mu, gdzie raki zimują!

Panowie bez chwili zwłoki włożyli buty i zimowe okrycia. Po drodze Wioletta powtórzyła im w skrócie historię zasłyszaną od kuzynki, nadmieniła także, dlaczego wszystko powinno zostać utrzymane w tajemnicy.

Kilka minut później stanęli przed drzwiami obitymi boazerią.

– To chyba tutaj – stwierdziła dziewczyna, zerkając na wizytówkę.

Nerwowo zastukała. Ku jej zaskoczeniu otworzyła leciwa kobieta. Ponieważ Wioletta nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, na ułamek sekundy zaniemówiła.

– Dzień dobry. Czego chcecie? Jesteście Świadkami Jehowy? – zapytała tęga jejmość.

– Dzień dobry. Pawłowski. My do męża – oznajmił ledwo panujący nad wściekłością Wawrzek.

– Bolek! – zawołała Sadzidłowa w głąb lokalu, tarasując przejście swą masywną sylwetką. – Jacyś ludzie do ciebie!

Przybyłych dobiegło zniecierpliwione sapnięcie, a potem odgłos szurania. Wioletta zadygotała z obrzydzenia, widząc wysokiej postury mężczyznę, mocno posuniętego w latach, o znacznie przerzedzonej siwej czuprynie, zapadniętych oczach i nieprzystępnym wyrazie twarzy.

Zmienił żonę przy drzwiach. Kobieta została tuż obok w przedpokoju, strzygąc czujnie uszami.

– Dzień dobry. A państwo w jakiej sprawie? – zapytał pan domu jak gdyby nigdy nic. Jakby nie miał na sumieniu próby wykorzystania czternastoletniej dziewczynki. – A panią to ja chyba znam z telewizji. – Rozciągnął wargi w uśmiechu, spoglądając lubieżnie na Wiołę.

Pawłowskiej od razu wrócił rezon. Pomyślała o prześladowcy, którzy przez blisko pół roku zatruwał jej życie i poniekąd zmusił ją do rezygnacji z kariery.

– A Małgorzatę Szymczak też pan zna? – wrzasnęła rozsierdzona. – Chyba nazbyt dobrze, skoro chciał ją pan skrzywdzić!

– Ty hultaju! Jak śmiałeś położyć oblesne łapska na niewinnym dziecku! Ty sobaczy pomioście! – warknął Pawłowski, dygocząc ze zdenerwowania.

Odkąd usłyszał o tym, co spotkało Małgorzatę, wrzał w nim nieprawdopodobny gniew. Dobrze pamiętał niechęć i nieufność Julii w czasie, gdy ją poznał. Ileż razy ubolewał nad tym, że ukochana zaznała brutalnego gwałtu! Jakże go ten temat frasował przed ślubem, jak mu to żyć nie dawało! Od dnia, gdy Julia wykrzyczała mu w twarz, czemu wszyscy mężczyźni świata wzbudzają w niej niechęć, odczuwał wściekłość na człowieka, który ważył się ją dotknąć. Gdyby wcześniej Andrzej nie pogrzebał żywcem łotra, to zapewne sam wymierzyłby sprawiedliwość, aby pomścić jej cnotę. Bo pokochał Julię od pierwszego wejrzenia. Miłością czystą, piękną i tak mocną, że wręcz niewyobrażalną. I choć cierpiał za każdym razem, gdy wrogo na niego spoglądała, nie potrafił stłumić głosu swego serca. Walczył o przychyłność kobiety wytrwale, lecz nienachalnie, dotąd, aż zyskał wzajemność.

– Bolek! Co to ma znaczyć, ty stary zbereźniku? – ryknęła Sadzidłowa.

Sprawca zamieszania zrobił ruch, jakby chciał zatrzasnąć przybyszom drzwi przed nosem, lecz Krzysztof wykazał refleks i zablokował je stopą.

– Nawet o tym nie myśl, zboczeńcu! – Ogrodziński wyciągnął palec wskazujący w stronę mężczyzny w spranym podkoszulku i rozciągniętych na kolanach spodniach dresowych. – Młodych dziewczyn ci się zachciewa?

Odpowiesz za to!

– A co ty mnie tutaj grozisz, smarkaczu? – zaperzył się Sadržidło. – Poszła won! – warknął na żonę, która z piskiem zaczęła okładać go pięściami.

– Wiedziałam, że w końcu coś wykombinujesz, ty stary pierdziochu! Nic, inoś ją smyrał po kolanach i podszczypywał! Ty świntuchu!

Podniosła taki jazgot, że ze swojego lokalu wyjrzał sąsiad.

– Proszę państwa! Co to za hałasy?! Ludzie tutaj mieszkają!

– Przepraszam, szanowny panie. – Wawrzek uznał za stosowne kulturalnie załatwić ten drobny problem. – My tutaj mamy pewną kwestię do wyjaśnienia. Za kilka minut sobie pójdziemy.

– No! Żeby nie musiał wzywać policji!

– To nie będzie chyba konieczne – odparł Pawłowski. – Niechże nam pan da parę minut.

Mężczyzna pokiwał głową i przytknął drzwi, lecz przez szczelinę widać było, że został obok, by posłuchać awantury dobiegającej od sąsiadów. Przybysze, niezrażeni tym, że zyskali nieformalne audytorium, zaczęli cedzić przez zęby inwektywy pod adresem Sadržidły. Nastraszyli go policją i kryminałem. Pouczyli, że ma się nie zbliżać do dziecka, a na ostatek odebrali kurtkę, która, zupełnie zapomniana, wisiała na kołku w przedpokoju. Wreszcie uznali, że problem został należycie rozwiązany. Zboczeniec dostał parę razy po pysku od Krzysztofa i parasolem po łbie od rozsierdzonej połowicy. Krewni pokrzywdzonej wycofali się z poczuciem pomyślnie zakończonej misji. Zeszli po schodach na parter, wciąż jeszcze słysząc krzyki Sadržidłowej.

– Stary dziad oberwie jeszcze i od żony! – stwierdził Krzysiek.

– No ba! Gorsze to niż kryminał! Taka wściekła baba to dopiero da mu popalić! – skwitował Wawrzek.

– A wie tato, ja bym na jego miejscu wołał jednak do pudła.

– Szczęściem nasze kobitki nie są z tych jazgotliwych – roześmiał się teść i poklepał zięcia po plecach.

– Bo nie mają na co jazgotać – wtrąciła Wiola niosąca trofeum w postaci odzyskanego okrycia.

Dla pewności, nim opuścili na dobre klatkę schodową, sprawdziła zawartość kieszeni. Znalazła portfel oraz legitymację szkolną i bilet miesięczny. Inne drobiazgi jej nie interesowały, osiągnęła zamierzony cel. Odetchnęła z ulgą.

– Tylko pamiętajcie i babci też powtórzcie: nikomu ani słowa na ten temat. Bo Paweł i Andzia faktycznie gotowi łąać tę bidulę, choć sami ponoszą znaczną część winy. W ogóle ich nie interesuje, co się dzieje z córką! Od dawna byli na nas źli, choć nie mają ku temu powodu, więc po co z nimi dodatkowo zadzierać? I tak pewnie już nigdy nie dojdziemy do porozumienia, a to pogorszyłoby sytuację. Zaczęliby się wściekać o wtykanie nosa w ich sprawy. No i pomyślcie jeszcze o Gosi.

– Może i masz słusność – przyznał Wawrzyniec, który wcale nie był zachwycony tym, że zamiast na komisariacie policji skończyło się na kilku kuksańcach wymierzonych przez Krzyśka Bolkowi. On wolałby zgłosić przestępstwo i zobaczyć drania na ławie oskarżonych. – Ale taki występek nie powinien mu ująć płazem. Nawet próba gwałtu jest ogromną krzywdą dla kobiety, a cóż dopiero w przypadku dziecka?

– Wiem, dziadku. To może być trauma na całe życie Gosi – przytaknęła dziewczyna. – Ale z drugiej strony wyobrażasz sobie te wszystkie przesłuchania? Rozprawę w sądzie? Pomówienia, że sprowokowała tego obleśnego łachudrę? Czasami lepiej odpuścić. Dla dobra małej.

Wróciła do siebie, gdzie zastała nastolatkę zwiniętą w kłębek na fotelu i pogrążoną w głębokim śnie. *Biedne dziecko, tyle wrażeń jednego dnia* – westchnęła. Nie chciała budzić śpiącej, lecz wiedziała, że kuzynka powinna jechać do domu. W przeciwnym razie rodzice zaczną się niepokoić i kłopot gotowy.

– Gosiu... Gosieńko... – powiedziała półgłosem, delikatnie dotykając jej ramienia.

Z przykrością zobaczyła, że dziewczynka dygocze nerwowo.

– Spokojnie, to ja. Odzyskałam twoją kurtkę. Ten człowiek nie będzie cię więcej prześladować. Twoi rodzice też nie powinni dowiedzieć się o niczym.

Rozbudzona Małgorzata zawisła Wioli na szyi i przytuliła twarz do jej policzka.

– Jesteś wielka – powiedziała głosem zdławionym łzami. – Kocham cię najbardziej na świecie!

– No już dobrze, dobrze... – Pawłowska uścisnęła nieboraczkę. – Nie wyrzucam cię, ale mama i tata pewnie się martwią, że nie ma cię tak długo.

Małgorzata spojrzała na tarczę pięknego, zabytkowego zegara. Wskazówki pokazywały, że dochodzi druga.

– Na pewno jeszcze ich nie ma. Albo co tylko wrócili. Bo w soboty mama o tej porze zamyka szwalnię. A tato wraca zwykle jeszcze później.

– W porządku. Zdołałaś się rozgrzać?

– Tak, już mi lepiej.

– Mam nadzieję, że nie złapałaś zapalenia płuc. Pamiętaj, jeśli gorzej się poczujesz, koniecznie idź z mamą do lekarza. Obiecuj mi to, dobrze?

– Obiecuję – odparła dziewczynka.

Wiola pomyślała, że tak czy owak kuzynce przydałaby się wizyta u pediatry. Choćby po to, by ocenił, czy jej waga nie jest zbyt niska w stosunku do wieku i wzrostu. Postanowiła, że przy następnej okazji poruszy jakoś delikatnie ten temat z Małgorzatą. W tej chwili nie chciała jej dodatkowo stresować.

– To co? Zbieramy się? Pojadę razem z tobą do Mistrzejowic – oznajmiła.

Po powrocie do mieszkania Wiolka klapnęła ciężko na swój ulubiony fotel. Wciąż jeszcze zaaferowana była sprawą Gosi, lecz z wolna zaczynały powracać wspomnienia własnej porażki. Stwierdziła z zaskoczeniem, że nocna burza w jej umyśle ucichła, a to, co wcześniej brzmiało jak przeraźliwe wycie wiatru, przeszło w stłumione, żałosne pojękiwanie. Cudze problemy skutecznie odwróciły jej uwagę od własnych. Powoli zaczynała godzić się ze swoim losem, choć powracające falą echo złych słów Mirka wciąż jej doskwierało.

Właściwie sama już nie wiedziała, co powoduje większe udręki: myśl o tym, że wizja wspólnej przyszłości prysła jak bańka mydlana, czy to, że przez pół roku była oszukiwana przez mężczyznę, którego pokochała pierwszą miłością? Czy może wszystkie oszczerstwa, które padły z jego ust?

– Tak mi przykro, maleństwo – powiedziała, głaszcząc płaski brzuch, który niebawem miał urosnąć. – Dam ci całą miłość tego świata. Będę cię kochać za dwoje. I nigdy, przenigdy nie dopuszczę, żebyś poczuło się tak osamotnione jak Gosia. Zawsze będziesz mogło na mnie liczyć. Nie pozwolę, by cię skrzywdził jakiś potwór.

Westchnęła. Ostatnia obietnica mogła być dość trudna do realizacji. Jej prywatny demon chyba nie miał jeszcze pojęcia, że Srebrna Gwiazdka opuściła zespół muzyczny. Nie potrafiła ocenić, czy wieści dotarły już do prześladowcy, który od ubiegłego roku nękał ją odrażającymi anonimami i prezentami.

Znowu powróciła w myślach do przerwanej kariery oraz wielu spraw, które wymagały teraz radykalnych przetasowań. Krok po kroku planowała najbliższe posunięcia. Czekają ją jeszcze parę wywiadów dla radia i prasy. Powinna też załatwić urlop dziekański lub przeniesienie na inną uczelnię.

Zdrowy rozsądek nakazywał, by podeszła do sesji egzaminacyjnej, aby nie stracić semestru. Szkoda byłoby zaprzepaścić to, co osiągnęła. Sęk w tym, że teraz wolałaby tam nie wracać, ponieważ każda wizyta w Akademii Ekonomicznej oznaczała możliwość spotkania z Brodnikiem. Nie była na to gotowa. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, marzyła, by nigdy więcej go nie widzieć. Niechby przepadł raz na zawsze i nie kłuł jej w oczy swoją obecnością!

Nie dane jej było dalsze roztrząsanie tej kwestii, gdyż natarczywy dzwonek wyrwał ją z zadumy.

– Mam nadzieję, że to nic ważnego. Wystarczy sensacji na najbliższy rok! – westchnęła, wstając.

Tym razem dobijał się do niej Adrian. Przez domofon rzucił wyłącznie swoje imię, więc po prostu otworzyła bramę. Założyła, że tylko przyszedł w odwiedziny, i poniekąd ją to cieszyło, gdyż potrzebowała czyjejś obecności, by nie wpaść na nowo w rozpacz. Niestety, jeden rzut oka na brata wystarczył, aby stwierdzić, że to nie koniec nieprzyjemności. Gość miał poważną minę, jakby stało się coś bardzo złego.

– Adek! Na litość boską, co jest grane? – wykrzyknęła.

– Niestety – wykrztusił pobielającymi wargami.

Przez chwilę stał, wpatrując się w siostrę zboląłym wzrokiem. Nie mógł powiedzieć nic więcej, żadne słowo nie chciało przejść przez jego zaciśnięte gardło. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów Wiola zobaczyła, że po twarzy brata płyną łzy.

Jasny gwint! Nie powinienem sprzedawać dragów temu gnojkwowi – pomyślał Paweł, spoglądając za odchodzącym krewnym. Jak się Karol zorientuje, to będzie chryja.

Do tej pory nałóg Pawłowskiego niespecjalnie go obchodził. Traktował młodego tak, jak każdego innego klienta: forsa, działka, do zobaczenia przy następnej okazji. Sęk w tym, że w ostatnich dwóch tygodniach Marek zaglądał na jego rewir zdecydowanie zbyt często. I zawsze na głodzie. Niby coś tam zagadywał o dupie Maryni, ale w rzeczywistości przychodził w ściśle określonym celu. Zwykle stali chwilę razem, udając, że interesuje ich jakiś błahy temat rozmowy. Prochy mimochodem zmieniały właściciela. Potem smarkacz zegnał się z wujem i odchodził w ustronne miejsce, gdzie zaliczał

kolejny odlot. Paweł zaczął odczuwać niepokój, że pewnego dnia Marek pójdzie ćpać do mieszkania. Zobaczy go ojciec, a potem zacznie wytrząsać z niego informacje o dostawcy. A od tego już prosta droga do pudła. Wszak Alosza ostrzegał go, by nie handlował z ludźmi, którzy go znają i wiedzą o nim cokolwiek.

– Ech... Szkoda sobie głowę zawracać. – Machnął ręką, po czym stwierdził, że pora do domu.

W kieszeni kurtki miał dwa bilety na *Spis cudzołożnic*, które podrzucił mu rano kumpel. Ponarzekali przy tej okazji na sytuację gospodarczą w kraju. Dla koników przyszły trudne czasy. Ludzie nie chodzili zbyt często do kina, bo na wszystko brakowało im forsy. Nie nabywali tak ochoczo jak niegdyś biletów z drugiej ręki. Paweł próbował raz namówić Michała na wejście do Amwaya, lecz ten tylko popukał się w czoło i powiedział, że nie będzie żebrał, by ludzie kupowali od niego jakieś badziewie. Po co ma taszczyć ciężkie opakowania z chemią gospodarczą, skoro jego towar jest znacznie lżejszy i może go upchnąć w kieszeni?

Paweł już dawno stracił serce do tego biznesu. Nawet nie miał ochoty latać na spotkania motywacyjne, bo i po co? By słuchać o cudzych sukcesach, podczas gdy samemu niewiele się osiągnęło? Nie ma mowy! Jego to tylko drażniło, bo wiedział, że ci, co weszli w interes na samym początku, ciągnęli profity z takich jak on. Żerowali na jego pracy, jak te śwynie przy korycie!

Trzeba z tym skończyć, to strata czasu. Człowiek robi z siebie głupka, bo choć Amway działa krótko, to już każdy o nim słyszał.

Wracał do mieszkania głodny jak wilk. Nie zjadł niczego na mieście. Wiedział zresztą, że w domu będzie dobry obiad, bo zwykle w sobotę Andzia przynosiła różne frykasy z restauracji. Przed klatką schodową wpadł na córkę.

– Ej, Gosiula, a ty gdzie łazisz? – zapytał bez większego zainteresowania. – Co ty tak niewyraźnie wyglądasz? Nie łapie cię czasami przeziębienie?

– Cześć, tato – bąknęła i ruszyła po schodach na piętro.

Paweł poniechał dalszego zagadywania młodej. *Niech się nią Andzia zajmie* – pomyślał. On nie miał dość cierpliwości do dziewczyn w jej wieku. Wciąż chodziło toto jakieś takie nadęte, z muchami w nosie, niezadowolone z życia. Ale musiał oddać Goście sprawiedliwość, że przynajmniej była grzeczna i nie przysparzała trosk, choć wyrosła na ciamajdę.

Niektóre smarkule w jej wieku nieźle dokazywały. Czasami przyłaziły do niego po działki, płacąc zmiętymi banknotami zwędzonymi rodzicom lub zarobionymi w szemrany sposób. Wiele z nich znał już z widzenia, ponieważ był czujnym obserwatorem. Potrafił odróżnić pannice z dobrych, zamożnych

domów od zwykłej biedoty. Jedne i drugie lubiły się naćpać. Alkohol też potrafiły nabyć, choć były niepełnoletnie. Wystarczył tylko wyzywający makijaż i odrobina tupetu. Niejeden raz widział, jak chyłkiem umykają z lekcji, by w krzakach zapalić taniego papierosa na kilka osób w przypadku tych biedniejszych lub, jeśli miały więcej kasy, szpanerskiego, zagranicznego szluga. Do niego też przychodziły, jarając fajki i chojrakując, jakie to nie są cwane, rozrywkowe i wyluzowane. Za kilka lat pewnie wiele z nich wyląduje na odwyku, ale on miał to gdzieś. Jego dziecko nie ćpało, nie piło i nie paliło. Nie latało za chłopakami. I to było najważniejsze. A inni rodzice, jak nie potrafią dopilnować swoich bachorów, to niech potem nie beczą.

Małgorzata ucieszyła się w duchu, że ojciec nie draży tematu jej nieobecności w domu. Być może przyjął za pewnik, że spędziła przedpołudnie z babcią, ale na wszelki wypadek, gdyby wrócił do nawet nie zaczętej na dobre rozmowy, postanowiła skłamać, że siedziała u Julity. Starzy na pewno nie fatygowaliby się do Małków, by to sprawdzić. Matka w życiu nie zniżyłaby się do czegoś podobnego, przynajmniej o to nastolatka mogła być spokojna. Bo mimo zapewnień Wiołki, że wszystko będzie dobrze, Gosia jakoś nie mogła odetchnąć z ulgą. Wciąż dręczyły ją obawy, czy cała sprawa się nie wyda. Nawet nie chciała myśleć o możliwych konsekwencjach.

Tylko jak teraz uniknąć spotkania z tym obrzydliwym człowiekiem?

Najlepiej byłoby w ogóle nie jeździć do babci. Będzie musiała szukać jakichś wymówek, bo gdyby stanęła twarzą w twarz z Sadzidlą, to pewnie umarłaby ze strachu, że on coś zrobi lub powie!

– Gośka, obiad stygnie! – powitała ją w progu matka. – Gdzie byłaś? Wyglądasz jak jakiś upiór! Ta kurtka wisi na tobie jak na kołku! Czemu nie nosisz płaszcza z atelier? Umyj ręce i siadaj do jedzenia!

Tylko tyle. Mama zauważyła wyłącznie kurtkę. Nie zwróciła uwagi na niezwykłą bladość córki, rozszerzone strachem oczy i drżące dłonie. Nie zainteresowała się tym, czy nie jest zmarznięta lub chora.

– Nie mam ochoty. Zjadłam przed wyjściem z domu wczorajsze pierogi odgrzane w mikrofalówce – skłamała gładko.

Gosia odwiesiła okrycie, zzuła buty i poszła do siebie. Zamknęła drzwi pokoju i padła na tapczan. Wtuliła się w gigantycznego misia, którego otrzymała od ojca na urodziny. Wspomnienia minionego przedpołudnia powracały naprzemiennie nieprzyjemnymi i łagodnymi falami. Dotyk Bolka, ucieczka, przenikliwe zimno. Kojące objęcia Wioletty, jej przytulne mieszkanie, zainteresowanie okazane przez kuzynkę.

Dlaczego nie mam takiej fajnej siostry? – załkała cichutko w przykurzonego niedźwiedzia.

Wiolka z niepokojem spoglądała na przybysza.

– Adrian! Co się stało? Na litość boską! Mów! – wykrzyknęła z przestraczem.

Weszli do salonu, tam brat wskazał jej fotel, by usiadła. Dopiero gdy zajęła miejsce, powiedział:

– Dzwoniła do mnie matka Tomka.

– Lorkowskiego? – upewniła się dziewczyna.

– Tak. Lorek spadł z dachu. Zabrało go pogotowie. Podobno jest w ciężkim stanie.

– Jak to: spadł z dachu? Co ty wygadujesz? Z jakiego dachu?

Adrian zaczerpnął powietrza. Trochę ochłonął, otarł twarz. Poczul nawet wstyd za to, że tak się wcześniej rozkleił.

– Przepraszam, rozmazałem się jak baba. Wlazł po piorunochronie na budynek przedszkola, tutaj niedaleko. Zaczął coś wykrzykiwać, a potem skoczył.

– Skoczył? Co ty opowiadasz? Jesteś pewny, że nie spadł?

– Lorkowska mówiła, że byli świadkowie. Stał na krawędzi dachu, śpiewał i coś wrzeszczał, a później odbił się i runął w dół.

– Co z nim? Przeżyje?

– Na razie jest operowany. Z całą pewnością wiadomo, że połamał obydwie nogi. Trudno powiedzieć, czy są jakieś inne urazy.

– Mam nadzieję, że nie przetrącił kręgosłupa – jęknęła.

– Musimy być dobrej myśli – stwierdził Adrian.

– O Boże! To moja wina!

Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się przeraźliwym szlochem.

– Dlaczego mówisz, że twoja wina? Rozmawialiście? Widziałaś się z nim wcześniej?

– Nie. Nie widziałam go od chwili, gdy przyszedłam was poinformować, że

odchodzę z zespołu. A ty?

– Ja też nie. Ale jego siostra wspomniała, że od kilku dni na okrągło chlał wódkę i nie trzeźwiał. Jak go ojciec z matką opieprzyli, to zaczął się wydzierać, że jest pełnoletni i wie, co robi. I żeby mu dali spokój, bo to jego zafajdane życie.

– On skoczył przeze mnie. Widziałeś jego wyraz twarzy, gdy oznajmiłam, że oczekuję dziecka?

Adrian pokiwał w milczeniu głową. Przytulił Wiołkę. Jej ciałem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz.

– Czy dawałaś mu nadzieję na wspólną przyszłość? Flirtowałaś z nim?

– Nie. Raz poszłam z nim do kina. To było dobrze ponad dwa lata temu. Miał bilety na *Psy*. Po seansie byliśmy w kawiarni. Nie zgodziłam się na kolejne wyjście. Jasno mu wytłumaczyłam, że nie ma najmniejszych szans, bym go pokochała.

– No to nie możesz się winić.

– Ależ tak! Bo on, jak widać, nie wbił sobie tego do głowy. A potem... Potem... – zająknęła się. – Ten cały cyrk podczas koncertów był głupi i niepotrzebny. Udawaliśmy zakochanych i on chyba za bardzo wszedł w swoją rolę. To i tak w niczym nie pomogło, bo prześladowca nadal mnie nękał. A Lorek niepotrzebnie uległ złudzeniu, że zmienię zdanie. Zaprosił mnie nawet na sylwestra, ale odmówiłam. Myślałam, że dotarło wtedy do niego, ale najwyraźniej nie odpuścił.

– Wiołka! Przestań. Naprawdę nie jesteś niczemu winna. Lorek to dorosły facet. Powinien pogodzić się z porażką. Kurczę, no! Zaczynasz nowe życie i on musi to zaakceptować. A ty nie możesz myśleć o zakładaniu rodziny, wlokąc za sobą jakiś abstrakcyjny balast. Nie potrzebujesz, żeby jak cień wisiało to nad waszym związkiem! – powiedział dobitnie.

Niestety, jego słowa przyniosły odwrotny skutek do zamierzonego, ponieważ siostra, zamiast ochłonąć, wybuchła niepohamowanym szlochem.

– Ej... No... Co ci jest? – dopytywał zaniepokojony.

Cóż jej zostało? Opowiedziała mu w skrócie o tym, jak potraktował ją ekskochanek. Nie widziała sensu w zatajaniu prawdy, która i tak wyszłaby na jaw, choć chwilę później żałowała aż takiej wylewności. Doszła do wniosku, że powinna była wspomnieć tylko tyle, że nici ze ślubu. Adrian bowiem, słuchając jej zwierzeń, zacisnął dłonie w pięści i momentalnie zaczął wygrażać, że spuści łomot draniowi, który śmiał jej ubliżyć. Ledwo zdołała ostudzić jego wściekłość, zacinając się jednocześnie w uporze, że nie zdradzi,

jak odnaleźć tego człowieka.

– No to się namieszało – westchnął zbulwersowany, pocierając palcami czoło.

I po co ten debil skakał z dachu? Gdyby wczoraj tego nie zrobił, to dzisiaj zaczęłby trzeźwieć na wieść o tym, że Wioletka wcale nie wychodzi za mąż. Ona miałaby święty spokój i nie brałaby na swoje sumienie jego wygłupu. On byłby cały i zdrowy. Ech! Do dupy się to wszystko ułożyło!

Boże, co za dzień! – westchnęła Wioletta, gdy w końcu została sama. Za oknem zapadał zmierzch. Panujący na zewnątrz ziąb nie zachęcał do wyjścia, ponadto dziewczyna odczuwała znużenie typowe dla początków ciąży. Mimo to jakiś wewnętrzny impuls pobudzał ją do opuszczenia wygodnego fotela.

– Narozrabiałam, i to bardzo – powiedziała Pawłowska sama do siebie, ubierając się ciepło.

Poszła na przystanek i wsiadła w autobus, który podwiózł ją do Bieńczyc. Skierowała kroki do kaplicy pojednania znajdującej się pod kościołem. Kiedyś, gdy była małą dziewczynką, to miejsce budziło w niej strach. Ponure piety Antoniego Rząsy^[2] mocno oddziaływały na wyobraźnię kilkuletniej Wioli, podobnie jak ciemne, nisko sklepione wnętrza. Teraz, gdy była dorosła, doceniała panującą tam atmosferę skupienia.

Przeżegnała się i zmówiła krótką modlitwę. Później usiadła na ławce z tyłu. Przyszła do świątyni z bagażem całej swej rozpacz. Niepewna przyszłości. Przejęta strachem. Z głębokim poczuciem winy. Z obawami o Małgoškę.

Przypomniała sobie, jak dawniej, gdy była dzieckiem, babcia bardzo często przywoziła ją do Arki Pana. Zawsze siadały w tym samym miejscu i cichutko szeptały o swoich sprawach. Zwykle Wioletta opowiadała o tym, co ją trapi, a Julia, jak nikt inny, potrafiła wlać otuchę w jej serce.

Czasami przychodziły do świątyni bez konkretnego celu. Ot po prostu wstępowały, gdy było im to po drodze. Babcia pokazywała wtedy wnuczce figury zdobiące kaplicę oraz świątynię i opowiadała o ich historii.

Wioletta powiodła wzrokiem po dobrze jej znanym surowym wnętrzu. Zatrzymała na chwilę spojrzenie na rzeźbie przedstawiającej Maksymiliana Kolbego. Święty, ubrany w rozdarty obozowy pasiak, klęczał z dłońmi ułożonymi na głowie. Z jego postaci bił ogromny dramatyzm. Potem oczy Wioletty powędrowały ku posązkowi Matki Boskiej Pancерnej wykonanemu z odłamków, które przed laty zostały wyjęte z ran żołnierzy walczących pod Monte Cassino.

To jest obraz prawdziwego bólu. Istnieją cierpienia i troski znacznie większe

od tych, które dręczą mnie dzisiaj. Moje przy nich są mikre. Bo nie ma takiego problemu, dla którego nie znalazłoby się sensowne rozwiązanie. Trzeba tylko zachować rozsądek i pomyśleć, jak tego dokonać.

Przeanalizowała w pamięci minione dwadzieścia cztery godziny. Westchnęła. *Ależ to był długi i ciężki dzień. Muszę jednak znaleźć siłę, by rozwikłać kłębek, w który splątało się nagle tyle przykrych spraw.*

Czuła, że Gosi potrzebna jest pilna pomoc. To, co wraz z dziadkiem i wujkiem dla niej zrobiła, było zaledwie doraźnym działaniem, i zdecydowanie nie zamykało tematu. Nastolatkę bezwzględnie należało wysłać do lekarza. Przytulić. Zapewnić, że jest bezpieczna i ma oparcie w rodzinie.

Czy powinnam porozmawiać z wujostwem? Znając Andzię, zwyzywa mnie od wścibskich smarkul i każe pilnować własnego nosa. Wstrętne, głupie babsko nie widzi, że z rodzoną jedynaczką dzieje się coś złego!

Czas mijał, a ona siedziała w ciszy i samotności, analizując ostatnie wydarzenia. Znowu powróciło wspomnienie kłótni z Mirkiem i perspektywa samotnego macierzyństwa. Właściwie nie bała się obowiązków. Ani ludzkiego gadania. Czarną chmurą była świadomość, że gdy dziecko podrośnie, na pewno zapyta o swego tatę. A ona nie miała pojęcia, jak wówczas wybrnie. Jedno było pewne: nigdy więcej nie chciała mieć do czynienia z Brodnikiem. Zamierzała zrobić wszystko, by uniknąć przypadkowych spotkań.

Ale i to nie stanowiło najczarniejszej chmury na niebie Wioletty. Teraz bez porównania większym problemem był nieudana próba samobójcza Lorkowskiego.

Ani Wiola, ani Adrian nie mieli wątpliwości, że skacząc z dachu na jej osiedlu, Tomasz chciał odebrać sobie życie. Pawłowska gorąco modliła się, aby przeżył. Gdyby zginął z jej powodu, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. To właśnie myśl o nim przywiodła ją do kaplicy pojednania i wpędzała w rozpacz.

Następnego dnia Wiolka pojechała do szpitala Żeromskiego, do którego zgodnie ze słowami Adriana przewieziono Tomka po skoku. Choć nadal był utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej, pozwolono jej do niego wejść. Dowiedziała się, że prócz połamania nóg doznał jeszcze kilku innych, mniej znaczących obrażeń, a lekarze usunęli mu przebitą śledzionę.

Lorka umieszczono w izolatce tuż pod okiem personelu medycznego.

Spowity w bandażu, trupio blady i nieprzytomny, sprawiał upiorne wrażenie. Jego mało pociągająca twarz wyglądała nader smętnie, przez co nos wydawał się jeszcze dłuższy, a spieczone usta znacznie węższe niż w rzeczywistości.

Ogarnięta poczuciem winy Wioletta przysiadła na okrągłym, metalowym taborecie. Delikatnie dotknęła dłoni spoczywającej nieruchomo na kołdrze. Ujęła ją i lekko ścisnęła.

– Coś ty narobił! – powiedziała cichutko. – Dlaczego porwałeś się na takie szaleństwo? Po co ci to było? Przecież prosiłam cię, żebyś poszukał sobie porządnej dziewczyny, która będzie cię kochała tak, jak na to zasługujesz.

Siedziała u niego do wieczornego obchodu, na przemian płacząc i szepcząc słowa przeprosin. Nie była w stanie wyzbyć się tych wszystkich potwornych myśli, które szalały w jej głowie. W końcu opuściła salę. Nim wyszła, przycisnęła wargi do zadrapanego policzka mężczyzny.

– Przepraszam cię, Tomek – powiedziała. – Ja naprawdę nie chciałam cię skrzywdzić.

Łzy, które skapnęły z jej oczu, płynęły teraz po jego skórze. Otarła je opuszką, a potem odeszła w świat innych utrapień.

Wiedziała, że więcej nie wróci w to miejsce. Nie mogła odwiedzić Lorka, gdy ten już odzyska przytomność. Nie chciała wlewać w jego serce płonnej nadziei.

Sam mnie znienawidzi, gdy uświadomi sobie, do czego doprowadziła go ta miłość. Już nigdy się nie spotkamy. Będę uważała, by na niego nie wpaść.

[1] Fragment utworu *Amiranda*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

[2] Antoni Rząsa (1919–1980), artysta rzeźbiarz, wykładowca Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem, autor wielu świątków i rzeźb znajdujących się w nowohuckiej Arce Pana.

Rozdział 2

Skrzydła młodości

Spotkamy się idąc z wielu dróg

Gdzie płonie ogień na białej skale

Choć jedni proszą o mało, inni mają w bród

To jeden ból, jedna radość w nas [3]

W szkolnym korytarzu panował trudny do opisanego hałas. Nauczyciele nienawidzili dyżurów podczas długiej przerwy, ponieważ poziom decybeli przekraczał wówczas wszystkie dopuszczalne normy. Uczniowie dokazywali, odreagowując konieczność zachowywania ciszy na zajęciach lekcyjnych. Niejeden korzystał z chwili wytchnienia i pracowicie odpisywał zadanie domowe, inni po prostu gadali, przekrzykując się wzajemnie. Byli też tacy, którzy zwyczajnie odczuwali nudę i musieli wyładować rozpierającą ich energię. Chłopcy z klasy ósmej b wiodli prym w tej dziedzinie i byli niekwestionowanymi liderami w szkolnych rankingach złego zachowania.

Wychowawczynie, Beata Wieczorek, wciąż załamywała ręce, wysłuchując od reszty grona pedagogicznego doniesień pod adresem swoich podopiecznych. Nie pomagały prośby, groźby ani nawet widmo obniżenia not z zachowania całej klasie. Zgraja rozrabiaków była nie do okiełznania.

Korzystając z faktu, że dyżurująca nauczycielka odeszła na przeciwległy koniec korytarza, Cyprian Kowalik wyrwał torbę z rąk Agnieszki Nowak i zaczął uciekać ze zdobyczą w stronę męskiej ubikacji.

– Oddawaj to, ty debilu! – ryknęła za nim dziewczyna, nie przebierając w słowach.

Niestety, rzucenie się w pogoń nie wchodziło w grę, gdyż koledzy skutecznie jej to uniemożliwili. W tym samym czasie Cypek przystanął i zaczął grzebać w rzeczach Agi. Nie pomogły protesty i krzyki. Belferka, pogrążona w rozmowie z woźną, niczego nie zauważyła, zresztą w tym hałasie trudno byłoby cokolwiek usłyszeć.

Aga, klasowa ślicznotka, miała w ostatnim roku szkolnym ciężki żywot. Większość chłopaków na wszelkie możliwe sposoby usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę. Dokuczano więc pannicy na potęgę, a ona wciąż irytowała się o „końskie zaloty”, jak określała ten nagły przypływ zainteresowania ze strony kolegów. Skutkowało to sytuacjami takimi jak ta. Wystarczyła tylko

chwila nieostrożności, a w ich ręce trafiały rzeczy osobiste Agnieszki. Najczęściej szperali w jej kosmetyczce, z lubością wygrzebując ze środka krem, kredkę ochronną do ust, lub – o zgrozo! – podpaski. Mieli przy tym uciechy co niemiara i nie działało wyzywanie ich od głupich dzieciuchów ani szamotanie się, by odebrać zagarnięte mienie. Ot, cena popularności.

Gośka Szymczak przyglądała się wszystkiemu ze stoickim spokojem. Jej nikt nigdy nie zabierał torby, nie dokuczał. Chłopcy nie próbowali jej podszczypywać. Dla kolegów była niewidzialna. Nudna. Nieatrakcyjna.

– Ojej, znowu dręczą Agę. – Szturchnęła Julitę w bok i pokazała szarpaninę rówieśników.

– Przerąbane – stwierdziła Małkówna, przeżuwając batonik z kremem czekoladowym, który przed momentem dostała od przyjaciółki. – Ja to bym w życiu nie chciała, żeby tak mnie dręczyli.

– No, ja też nie – odparła Gośka.

W głębi duszy zazdrościła Agnieszce powodzenia u chłopaków. To na pewno było miłsze niż obojętność, z jaką ona stykała się na każdym kroku. Zresztą istniała jakaś równowaga w uczniowskiej społeczności, bowiem w ubiegłym semestrze najstarsi uczniowie wybierali miss szkoły i Nowakówna pokonała wówczas całą konkurencję. Głosowali na nią solidarnie wszyscy koledzy z klasy. A ponieważ Aga nie należała do zarozumiałych dziewcząt i woda sodowa nie uderzyła jej przez ten sukces do głowy, cieszyła się coraz większą popularnością.

Szymczakówna marzyła o tym, by choć na jeden krótki dzień zamienić się z Agnieszką. Poczuć satysfakcję, jaką daje grono wielbicieli, nawet jeśli ich atencja ma dość nietypowy charakter.

Może jak schudnę jeszcze trochę, to zaczną mnie zauważać? – westchnęła, spoglądając na rozwój sytuacji.

Ostatnio waga stała uporczywie w miejscu. Ubrania też nie robiły się luźniejsze. Bardzo ją to niepokoiło. Czy wciąż jadała zbyt dużo? Na samą myśl o tym dostawała mdłości. Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna pójść do łazienki, by zwymiotować resztki po wczorajszym posiłku.

Pani Wieczorek dostrzegła zamieszanie pod ubikacją i ruszyła z odsieczą. Już po chwili przegoniła stamtąd rozbrykane towarzystwo, a torba w niemalże nienaruszonym stanie wróciła do właścicielki.

Kobieta spojrzała profilaktycznie na uczniów okupujących ten kąt korytarza. Jej wzrok natrafił na Szymczakównę. Ściągnęła brwi, widząc wychowankę. Od dłuższego czasu nie dawała jej spokoju metamorfoza uczennicy, która

z pulchnej dziewczynki przedzierzgnęła się w kościstą pannicę.

Czy ona nie przesadziła czasami z odchudzaniem? Nie pierwszy raz taka myśl zaświtała w głowie Beaty. Wychowawczynie zawsze jednak dochodziła do wniosku, że zapewne nie ma powodów do obaw, ponieważ spadkowi masy ciała towarzyszył wyjątkowo szybki wzrost. Te dwa zjawiska nałożyły się na siebie, dając trochę niepokojące efekty. Rodzice na pewno mają nad tym kontrolę. Może sami zaprowadzili ją do dietetyka, bo przedtem była zdecydowanie zbyt opasła. Na dodatek nigdy nie uczęszczała na lekcje wuefu.

Dla spokoju sumienia podeszła do Szymczakówny i na moment odciągnęła ją na bok, z dala od koleżanek i kolegów z klasy.

– Małgosiu, dobrze się czujesz? – zagadnęła. – Wyglądasz mizernie. Wszystko w porządku? Nie jesteś czasem chora? Nie łapie cię jakieś przeziębienie? – dociekała, podczas gdy uczennica grzecznie zaprzeczała jej domysłom.

Siatka ze sprawunkami sporo ważyła, choć Sabina nabyła wyłącznie artykuły pierwszej potrzeby. Większe zakupy załatwiał zwykle Paweł, ale nie mogła czekać do soboty na chleb, mleko i kawałek kiełbasy krakowskiej. A i jakieś ciastko na osłodę życia wypadało kupić, i cukier, bo się kończył, i jeszcze parę innych drobiazgów.

Po noworocznej denominacji jakoś trudniej było zrobić zwyczajne sprawunki. Bo niby w sklepach widniały przeliczone na nowo ceny, lecz stara waluta pozostawała legalnym środkiem płatniczym. Właśnie to stanowiło największe utrudnienie i niosło za sobą pułapki. No bo jakże liczyć wydatek w groszach i niewielkich sumkach, gdy wciąż miało się w portfelu miliony? Każda transakcja wymagała teraz skrupulatnego przeszacowania, co wbrew pozorom przysparzało sporo kłopotów. Niby wszystko dzieliło się przez dziesięć tysięcy, ale do rachunków trzeba było mieć głowę. A Szymczakowa nie należała do mocnych w tej dziedzinie. Wciąż myliła sporadycznie otrzymywane nowe banknoty, a niewielkie monety niepokornie umykały palcom wykręconym przez reumatyzm. Jakże Sabina nie lubiła ich dostawać! A tu jak na złość z każdym dniem przybywało ich w obiegu. Ach, te małe wstrętne drobniaki! Ginęły w czeluściach torebki, to znowuż z brzękiem upadały na posadzkę, by odtoczyć się w jakąś szczelinę i zginąć w niej bezpowrotnie. To każdorazowo stanowiło dotkliwą stratę dla kobiety, która musiała skrupulatnie liczyć każdy grosz. Tak więc zwykłe wyjście do sklepu pochłaniało teraz nieporównywalnie więcej czasu niż w ubiegłym roku. I na nic było szukanie pociechy w tym, że nowe pieniądze z wolna wyprą stare, a wówczas sprawa się uprości.

Szymczakowa szła powoli chodnikiem, posapując z wysiłku. Mimo chłodu rozluźniła szalik, ponieważ ciężko jej było oddychać przez zdławione nim gardło. Co jakiś czas przekładała torbę z jednej ręki do drugiej, to znowu przystawała, by chwilę odpocząć.

Ech... Starość nie radość! Dość się nadreptałam w barze mlecznym za młodu, to teraz nogi nie chcę człowieka nosić – westchnęła na wspomnienie wiecznie opuchniętych kostek i łydek naznaczonych żyłakami. Dałby Bóg choć tyle, żeby nie cierpieć. Młodość minęła, a z nią uroda. Całe życie upłynęło w nędzy i szamotaninie. A jak człowiek jako tako odetchnął, gdy dzieciaki odchował, to zaraz przyszły choroby.

Sabina dotarła przed bramę klatki schodowej. Zobaczyła tam grupkę sąsiadek, więc wykorzystała tę sposobność, by odsapnąć i posłuchać, co ciekawego w trawie piszczy. A piszczało jak ta lala, sądząc po ich minach! Dawno już nie widziała, by z takim zaaferowaniem o czymś rozprawiły, gestykulując i łapiąc się za głowy. Prym wiodła Barciakowa, mieszkająca piętro wyżej od Szymczakowej, tuż obok Sadzidlów. Bojcora z niej była jeszcze większa niż z Baški, więc Sabina zawsze przestrzegała Gosię, by czasami nie chlapnęła czegoś głupiego przy tej plotkarze. A najlepiej, aby poprzestawała na zwyczajnym „dzień dobry” i „do widzenia”.

– No i mówię, pani Mieciu, jakie tam krzyki odchodziły! – perorowała zaaferowana. – Coś okropnego. Jak żyję siedemdziesiąt lat, to nie słyszałam, by ludzie tak wrzeszczeli. No może podczas stanu wojennego albo wtedy, gdy smarkacze wojowali z zomowcami pod kuternogą. Ale żeby w porządnym domu tak drzeć gębę? Skaranie świata! Mój wyskoczył, żeby uciszyć towarzystwo, to mu wtedy grzecznie poradzili, żeby się nie mieszał. Ale słuchać nie zakazali, no to słuchaliśmy!

– A co się stało, sąsiadko? – zagadnęła Sabina, odkładając sprawunki na ławkę.

– To pani nic nie wiesz? Awantura była u Sadzidlów! Pyskowali tak, że na całą klatkę krzyki niosło. Tydzień temu, w sobotę po południu. Ogłuchłaś pani czy co? Bez otwierania drzwi można było wszystko usłyszeć!

– Aa... W sobotę po południu to ja żem poszła na cmentarz zapalić świeczkę ślubnemu, bo przez pół nocy męczył mnie w śnie. No to pomyślałam, że pewnie trza do niego zajrzeć.

– Oj! To ominęło panią najlepsze! – powiedziała Barciakowa, łapiąc się pod boki niczym przekupka z bazaru.

Szymczakowa z miejsca pożałowała, że zamiast zostać w domu pojechała do Mogiły. Nie było jej tylko chwilę, a tu taka sensacja przeszła jej koło nosa!

Z tym chłopem to tylko zgryzoty miałam za życia i po jego śmierci. Nawet teraz przez niego ominęła mnie taka chryja! – pomstowała w duchu, czekając niecierpliwie na dalsze nowiny.

– A o cóż im poszło, że się tak pożarli? Baśka obiad spaliła? Wyrzuciła mu te jego stare gacie czy co?

– Gacie to pewnie poleciałyby przez okno, bo Baśka chciała chłopca wywalić z mieszkania na zbity pysk! – wtrąciła Aniela Krawczyk, mieszkająca z drugiej strony Sadzidłków.

– Phi! Też coś! Rozwodzić się w takim wieku? – prychnęła Sabina.

– Jakie tam rozwodzić, sąsiadko? Nic z tych rzeczy, choć wcale bym nie była zdziwiona, jakby po tym wszystkim Baśka poszła do adwokata.

– No to w czym rzecz, bo nie rozumiem? Sadzidłowie raczej są zgodni. Rzadko było od nich słyhać awantury. – Wzruszyła ramionami.

– Weź se pani wyobraź, że przyszli jacyś obcy do Sadzidłków. Troje ich było: dwóch chłopów i dziewczucha. Załomotali do drzwi i zapytali o Bolka. A jak ten drań wyszedł, to się zaczęło! Jęli mu ubliżać od zbrojeńców i pedofilów, policją straszyć i kryminałem. Że niby jakąś dziewczuszkę zaciągnął se do mieszkania pod nieobecność ślubnej i chciał ją zgwałcić. Po mojemu to mogli być rodzice tej smarkuli i dziadek, skoro i do rękoczynów doszło. Baśka też mu swoje dołożyła, bo jeszcze długo po ich odejściu dolatywały z mieszkania jakieś krzyki i hałasy. Sadzidło do dzisiaj nie pokazuje się na ulicy ani nawet nie wystawi nosa za drzwi.

– Pewnie wstyd mu wyjść między sąsiadów z obitą gębą. Ja to bym sama takiemu nakładła po łbie – stwierdziła mściwie jedna z kumoch, a inne zaraz poszły w jej ślady i też dorzuciły swoje trzy grosze.

– Baśka to już nawet nie kłania się ludziom, jak idzie chodnikiem. Taki wstyd na nią spadł, że se chłopca nie upilnowała!

– Wstyd, wstyd! Za późno na wstyd! Przecież musiała coś podejrzewać!

– Strach ino teraz żyć w jednej klatce schodowej z takim zbrojeńcem! Z tamtą dziewczuszką mu się chyba nie udało, inaczej już by siedział w ciupie, ale kto wie, co zwyrodniałemu krąży po łepetynie?

– Ja to bym mu przyrodzenie ucięła – skwitowała Wieśka, najbliższa sąsiadka Sadzidłków. – No i miej tu kogoś takiego pod bokiem!

Pożałowały jej kumochy, bo faktycznie sytuacja była nie do pozazdroszczenia. U Barciaków mieszkała córka z zięciem i dwójką drobiazgu. Przecież taki człowiek mógłby zwabić do siebie wnuczkę pani Wiesławy, obiecując jej cukierki lub czekoladę, a potem wykorzystać.

– On to chyba gustuje w dzieciaczkach – zawodziła Barciakowa, załamując ręce. – Bo ta kobita, co przyszła z awanturą, to chyba jeszcze była przed trzydziestką. Wprawdziem ją tylko zobaczyła przez okno, ale na moje uznanie była młoda. No to ileż lat mogła mieć jej córka? Pewnie nawet nie skończyła dziesięciu!

– O ludzie na świecie! – pisnęła Sabina. – Co to się wyrabia! Żeby na dziecko czyhać! Co za podły zwyrodnialec!

Ścisnęła ją groza, żeby jakiś cień nie padł na honor Gosi. Nagle ogarnął ją strach o ukochaną wnusię. Bo przecież sama posyłała niebożę do sąsiadów. Wiadomo to, czy ten stary świntuch jej nie skrzywdził? Serce Szymczakowej łomotało nerwowo. Jak na złość więcej sąsiadek podzieliło jej obawy, bo zaraz zaczęły wyrażać troskę o swoje dzieci lub wnuki.

Następnego dnia Sabina doszła do wniosku, że powinna osobiście pofatygować się do syna. Mroźne powietrze szczypało jej policzki, gdy stała pod wiatą przystankową, oczekując na tramwaj. Kilka minut później zajęła zimne plastikowe siedzisko w zaparowanym wagonie. Palcem zrobiła na szybie kółeczko, przez które mogła zerkać za okno.

Pojazd ruszył ze zgrzytem i nieprzyjemnym szarpnięciem.

– Kartofle wiezie czy co? – burknął jakiś pasażer, rozcierając ramię po zderzeniu z rurką poręczy.

Szymczakowa w milczeniu zerkała na zewnątrz. Minęli budynek Dzielnicowej Rady, później potężny gmach kina Świt.

Gdzieś tam zmarł Andrzej. O! A tutaj pracował – powróciła pamięć o dawno pochowanym mężu, gdy mijają dobrze znane miejsca. To już tyle lat!

Ostatnio przestała myśleć o nim z gniewem. Cóż z tego, że ją zdradził? Wszystko wydarzyło się tak dawno temu! A może sama była sobie winna? Nie chciała mu dawać. Przerazała ją myśl o kolejnej ciąży. Nic więc dziwnego, że znalazł poza domem to, czego mu w nim brakowało. Teraz pieściła duszę wspomnieniami przystojnego męża, który zawrócił jej w głowie, gdy była śliczną, młodą aktorką Teatru Ludowego. Pamiętała, jak inne za nim zerkały, jak zazdrościły jej wspaniałego mężczyzny. A on patrzył na nią tak, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie! Ach... te wszystkie noce spędzone na bibkach z przyjaciółmi, dancingi, na które zabierał ją mimo kalectwa i pilnował, by wytańczyła się z jego kolegami. Możliwości Andrzeja ograniczone były wyłącznie do powolnych melodii, w których rytmie mógł niezgrabnie kołysać się na koślawych nogach. Cóż za wspaniałe czasy!

Po zabawie przychodziły noce pełne namiętności. Żarliwe pocałunki. Czułe szepty, zapewnienia, wyznania. Elektryzujący dotyk dłoni, przyspieszony oddech, rozedrgane serce.

Był jej jedynym mężczyzną. Ani przed, ani po nim nikogo nie miała. Ciało Sabiny nie poznało dotyku innych rąk i ust.

Wybaczyła mu zdradę i przedwczesną śmierć. Tęskniła.

To już nie wróci – westchnęła cichutko. Została tylko samotna, gorzka starość. Z bolącymi nogami, pomarszczoną skórą i setkami pięknych reminiscencji. Tak, jakby w ciele steranej życiem kobiety wciąż mieszkała młoda, pełna życia dziewczyna.

Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk. Niebieski tramwaj mknął przez Nową Hutę, a za oknami przesuwaly się kolejne budynki. W końcu Szymczakowa dotarła do Mistrzejowic. Szczelniej otuliła szyję chustką, poprawiła moherowy beret. Z jej ust ulatywał biały kłębuszek pary, gdy posapując, wędrowała przez osiedle Złoty Wiek. Miała nadzieję, że winda będzie sprawna. Syn mieszkał na trzeciej kondygnacji – dość wysoko jak dla jej zmęczonych nóg. Sabina nie uprzedziła Pawła o swoim przyjeździe, i teraz doszło do dodatkowego zmartwienia, że może nie zastać go w domu. On i Andzia wciąż gonili za tymi swoimi interesami. Powinna była zadzwonić. Zawsze jej o tym przypominali. A ona odpowiadała, że umawiać to się może na audiencję u papieża, a nie na wizytę u syna.

Dopisało jej szczęście. Winda była sprawna. Z klekotem powiozła pasażerkę na górę. W kabinie cuchnęło moczem. Ktoś pogryzmoł ściany wulgarnymi słowami i rozbił wiszące niegdyś na jednej z nich lustro.

Wszystko muszą zdemolować! Nic się nie ostanie! – pomyślała Szymczakowa pod adresem bliżej nieokreślonych chuliganów.

– Mamusia? – wyraził zdziwienie Paweł, otwierając jej drzwi.

Ubrany był jak do wyjścia, choć nie miał jeszcze kurtki.

– A co wy? Idziecie dokądś? – zapytała zafrasowana Sabina.

– A do znajomka na imieniny. Ale wchodźże dalej, nie stój tak w progu. – Usunął się, robiąc jej przejście. – Zmarzłaś pewnie, co?

– No... Krzynkę.

– Gosia! Gosia! – zawołał w głąb mieszkania. – Zróbże babci herbatę z cytryną!

Sabina weszła, zdjęła wyświechtany płaszcz. Paweł odwiesił go do szafy. Podreptała za nim do pokoju dziennego, gdzie wyfiokowana synowa

kończyła kręcenie włosów na elektrycznej lokówce.

– Co mamusię sprowadza? – zagaiła pani domu.

Nie była rada jej odwiedzinom, wołała wyjść na przyjęcie. Ale z drugiej strony, skoro już teściowa przyszła, to może posiedzi razem z Gośką? Bo ostatnio córka wciąż chodziła jakaś czy to osowiała, czy to nadęta – nie potrafiła tego jednoznacznie stwierdzić. Andzia miała nawet niejaki wyrzuty sumienia, że zostawia ją samą, ale po całym tygodniu ciężkiej pracy należało się człowiekowi choć trochę relaksu. No i od czasu do czasu trzeba przecież pokazać koleżankom eleganckie kreacje, które szyły dla niej szwaczki z atelier.

– Straszna chryja zrobiła się w naszej klatce schodowej! – wysapała Sabina, wciąż jeszcze nie mogąc złapać oddechu po wędrówce z przystanku tramwajowego.

Opowiedziała ze wszystkimi szczegółami o plotkach, które dzień wcześniej zasłyszała od sąsiadek.

– Niech was ręka boska broni, byście puścili do mnie Gosię samą! No niechby doszło do czegoś złego! Niechby ją ten zboczeniec wciągnął do swojego mieszkania! Toć to byłby dopiero płacz! – przestrzegała zaaferowanego syna i synową.

Gosia, która jakiś czas temu podała babci herbatę i ulotniła się do swego pokoju, też słyszała niemalże każde słowo z jej wypowiedzi. Na początku aż zdrętwiała ze strachu, czy przypadkiem ktoś nie odkrył, że to ona jest dziewczyną, o którą wybuchła draka. Na szczęście z babci słów nic takiego nie wynikało. Być może nikt nie powiązał jej wizyt u Bolka z awanturą wywołaną przez Wiołkę. Nastolatka odetchnęła z ulgą. Chwilowo problem został zażegnany. Już nie będzie musiała udawać chorej lub bardzo zajętej nauką, by unikać wizyt w Centrum.

Ależ mi się upiekło! – odetchnęła w duchu. Od razu uczyniła mocne postanowienie, że nigdy więcej nie napyta sobie podobnej biedy. Poczuła jeszcze większą wdzięczność dla Wiołki. Doceniała zasługi kuzynki. Gdyby nie jej interwencja, zapewne już zawsze byłaby skazana na to, by chyłkiem przemykać przez klatkę schodową w bloku babci, modląc się, aby nie spotkać Sadržidły.

Po chwili naszła ją jednak refleksja, że problem wcale nie został rozwiązany. Wciąż bowiem istniało ryzyko, że ten okropny człowiek opowie komuś w przypiływie złości, jak piła u niego wraz z koleżanką piwo albo paliła papierosy. I jak oglądała te świńskie filmy. Wcale nie była wolna od strachu!

Ból istnienia był równie wielki jak ten wywołany przez połamane nogi i liczne stłuczenia. Tomasz Lorkowski nie mógł przeżalować, że w pijanym widzie zamiast na głowę, skoczył na nogi, trafiając jak na złość w kupę brudnego, zmrożonego śniegu, która zamortyzowała nieco upadek. Prawdopodobnie to ocaliło mu życie. A może po prostu wybrał zbyt nisko umieszczony dach i od samego początku skazał swoją misję na klęskę?

Nie chciał się budzić. Wolałby zasnąć snem wiecznym. Bez tych wszystkich nieprzyjemnych bodźców, które atakowały go ze wszystkich stron. Bo nie dość, że skutecznie unieruchomił się na wiele długich tygodni, to jeszcze zrobił z siebie pośmiewisko. Leżał jak warzywo z nogami uwieszonymi na wyciągu. Nie wolno mu było wstawać. Bolały go plecy i dupa, mimo że co jakiś czas pielęgniarki pomagały mu w zmianie pozycji. To jeszcze nic! O wiele gorszy był wstyd, gdy musiał prosić o kaczkę lub o basen. On, gwiazdor muzyki disco-polo, robił pod siebie jak jakiś mały dzidzius! Mało tego! Lekarze z kpina nazywali go skoczkiem, bo wieść o tym, że jest niedoszłym samobójcą, lotem ptaka obiegła cały szpital.

Wszyscy byli ciekawi, jak wygląda upadła gwiazda estrady. Dosłownie: upadła. Po korytarzu obok pokoju, w którym leżał, wciąż ktoś się kręcił. Co chwilę jacyś ludzie zaglądali z ciekawością przez drzwi. Odważniejsi przychodzili nawet zapytać, czy to on jest tym grajkiem z Silver Star i czy dałby autograf. A najlepiej płytę, kasetę, albo chociaż afisz. *Noż kurwa mać!* – zżymał się w duchu za każdym razem, gdy ktoś go o to męczył. *Tak, jakbym miał pod łóżkiem cały skład własnych nagrań i plakatów!*

I nieistotne, że litościwie umieszczono go w izolatce. Ludzie i tak nie chcieli zostawić Tomka w spokoju. A tu jeszcze jak na złość ciągle przychodził ktoś w gości. Najczęściej zaglądała matka, płacząca rzewnymi łzami i lamentująca, co on najlepszego narobił. No: nic, kurwa, nie narobił, bo taki już z niego życiowy nieudacznik. Jednej jedynej rzeczy nie potrafił zrobić należycie! Zamiast się zabić, musiał, kurwa, połamać gnaty!

Matkę zmieniała siostra i ta także biadoliła, że on taki biedny, nieszczęśliwy i tak wciąż z wszystkim ma pod górkę.

Wpadali też kumple z zespołu, przy których raz pielęgniarka narobiła mu straszego obciachu. Zajrzała do pokoju akurat wtedy, gdy u niego siedzieli.

– Basenik? Kaczuszkę? – zaproponowała, na co odpowiedziała jej salwa gromkiego śmiechu.

– No i co wam, kurwa, tak wesoło? – warknął wściekły.

Jakoś się opanowali, choć widział, że przez resztę wizyty aż dygotali od tłumionego na siłę chichotu.

– Stary, po co te nerwy? – zapytał Adek, gdy już trochę ochłonął. – Dziewczyna chciała dobrze. Swoją drogą niezła laleczka.

– No, ja bym tam nie miał nic przeciwko temu, żeby wzięła do ręki mojego ptaka – wtrącił Daniel.

– To se połam nogi, debilu. Położą cię na łóżku obok i do ciebie też będą przychodziły piguły z basenem albo kaczką. Tylko miej na uwadze, że nie wszystkie są takie ładne jak tamta.

– A co? Czarownica jakaś też ci się trafiła? – dociekał Królik, udając przerażonego.

– Wolałbyś nie wiedzieć. I skończ już, kurwa, ten głupi temat! – wrzasnął Lorek, czerwieniejąc po czubki uszu.

Ostatnio słowo „kurwa” zastępowało mu wszystkie znaki przestankowe. Powtarzał je w myślach na okrągło za każdym razem, gdy pielęgniarki musiały myć jego ufajdany tyłek. Gdy gmerały w jego genitaliach, pakując je do kaczki. Gdy go bolało. Gdy zasypiał i kiedy się budził. Gdy ktoś go próbował zapytać, co mu odbiło. Nie znał lepszego sposobu na oddanie swojego stanu ducha.

Choć od niefortunnego skoku minęły dobre dwa tygodnie, wciąż nie zdobył się na to, by zagadnąć Adriana o Wioletkę. Toczył wewnętrzną walkę, skręcało go z zazdrości, lecz bardzo chciał usłyszeć, czy jest szczęśliwa. Jak się czuje. I czy zaczęła już układać sobie życie z tamtym człowiekiem. Samego siebie wyzywał w myślach od największych kretynów, idiotów, debili i głupków. Miał na to nieskończenie wiele określeń. Bo zamiast zapałać nienawiścią do Wiolki, tęsknił za nią jak wariat.

Czasami o niej śnił. Otwierał oczy i widział ją siedzącą na taborecie obok szpitalnego łóżka. Czuł na ręce dotyk jej palców. Ciepło na wskroś przenikające przez skórę. Zapach perfum unoszący się wokół Wioletty. Słyszał zdławiony szept, widział płynące obficie łzy. W swoich majakach ocierał je i prosił, aby nie płakała, ponieważ to, co nawyczyniał, nie jest jej winą. Że sam doprowadził się do tego stanu po tygodniu niemalże nieprzerwanego picia wódki. A ona głaskała go po twarzy pieszczotliwie, z czułością, z uczuciem. Wtulał policzek w dłoń i próbował sięgnąć ustami jej wnętrza, lecz za każdym razem, gdy już mu się to udawało, sen mijał, a Tomasz znowu budził się w bolesnej i samotnej rzeczywistości.

Adrian unikał przypominania kumpłowi o swojej siostrze. Doszedł do wniosku, że skoro ten desperat próbował targnąć się na swoje życie, to teraz, leżąc i cierpiąc katusze z powodu poturbowanego ciała, na pewno wybił sobie z głowy amory. Nie dopytywał o dziewczynę, a to musiało oznaczać, że miłość umarła w miejscu, w którym on chciał zakończyć swój żywot. Nie było więc sensu w rozdrapywaniu ran.

– No i co będzie dalej? – zapytał Królik, gdy opuścili duszne mury szpitala.

– Z czym?

– No... Ze wszystkim. Z zespołem chociażby.

– Kurczę – jęknął Pawłowski. – Lipa. Wiolka odeszła, Lorek leży i nie wiadomo, kiedy wstanie. Musimy zawiesić działalność.

– Nie chrzań. Pociągniemy we dwóch!

– Ta... Jasne. Bez wokalu. Zapomnij!

– No to trzeba pogadać z Silver, żeby wróciła i nagrała z nami kolejną płytę.

– Nic z tego. Już ją o to pytałem. Nie wróci. Mówi, że boi się o siebie i o dziecko. Chce mieć święty spokój. Ten drań skutecznie ją zastraszył.

– A niech to! – warknął Królik.

Zaraz zaczął sobie wyrzucać w duchu, że poparł Wiolkę, gdy ta wyraziła chęć odejścia z grupy. Ale skąd mógł wtedy wiedzieć, że Lorek okaże się aż takim debilem? Co go naszło, żeby skakać z tego cholernego dachu? Ponieważ o niczym nie miał pojęcia, uznał, że kumpel przyjął po pijaku jakiś głupi zakład. Przez chwilę roztrząsał ten problem.

Adrian nie próbował wyprowadzić go z błędu. Bo choć Tomek nigdy nie pisał słowa, Pawłowski doszedł do wniosku, że im mniej osób domyśla się faktycznych przyczyn jego desperackiego wyczynu, tym lepiej dla wszystkich, a już na pewno dla Wioli.

Dobrze wiedział, że siostra wciąż chodzi udręczona. Było mu jej żal, lecz nie potrafił znaleźć słów pociechy. Nie próbował też namawiać jej na wizytę w szpitalu, a wręcz delikatnie ją od tego odwodził.

– Szlag trafił całą naszą robotę! Ponad dwa lata prób i zachodu, by trafić na top, poszło na marne – utyskiwał tymczasem Królik, gdy zmierzali na przystanek tramwajowy. – A może trzeba wziąć kogoś na miejsce Wiolki i Lorka? Stary! Pomyślże! Nie przekonaliśmy Marka? Facet ma fajny głos, wprawdzie trochę zachrypnięty, ale laskom na pewno by się spodobał. Przecież pociągnie chyba nasz repertuar. Żaden wyczyn śpiewać proste piosenki w jednej oktawie!

– Szkoda zachodu. Gadałem z nim już tyle razy, że nie ma sensu wracać do tematu. Zaparł się, że nie i już. Nie robi z siebie szmaciarza od disko-klepisko – powiedział cynicznym tonem.

– A ktoś inny, obcy?

– Mowy nie ma! – Adrian wpadł we wściekłość. – Pomieszało ci się w głowie? Mamy olać kumpla i formować nowy skład? W życiu! Poczekamy, aż Lorek wydobrzeje!

– Zdajesz sobie sprawę, ile to może potrwać?

– Niech trwa, ile musi! Takich rzeczy nie robi się kumplowi! Nie i już! – powiedział dobitnie, choć też ubolewał z tego powodu. Wychodził jednak z założenia, że nie może wykluczyć Lorca z kapeli. To byłby pewnie ostateczny cios zadany temu biedakowi.

Cztery dni spóźnienia to chyba wystarczający powód, żeby zrobić test – pomyślała Matylda, otwierając nerwowo pudełko.

Jeszcze nic nie powiedziała Karolowi, aby nie wzbudzać w nim niepotrzebnej nadziei, lecz dobrze wiedziała, z jakim utęsknieniem czekał na wieść, że po raz kolejny zostanie ojcem.

Obydwoje pragnęli dziecka, i to nie tylko po to, by scementowało ich związek, ale również, by zyskali nowe cele w życiu, poczuli się spełnieni jako małżeństwo. By została zaspokojona największa potrzeba Matyldy. Czterdziestojednolatce nie wystarczała doraźna troska o dorosłych pasierbów. Chciała własnego maleństwa: istotki, na której rozwój będzie mogła patrzeć każdego dnia. To był ostatni dzwonek na ciążę.

Mieli z Karolem doskonałe warunki ku temu, by wychowywać wspólną pociechę. Posiadali przestronne mieszkanie. Odkąd Wiola i Adrian wyprowadzili się do własnych lokali, panowała w nim przygnębiająca cisza. Marek wciąż gonił po świecie i właściwie wracał do domu tylko po to, by się odświeżyć, przespać i zjeść przyzwoity posiłek. Kiedyś w rozmowie z ojcem wspomniał, że gdyby w końcu znalazł sensowną pracę, to wzięłby ślub z Renią i wynajął jakąś kawalerkę na początek. W takim przypadku zostaliby sami w czterech pokojach! To zdecydowanie za dużo, więc dobrze byłoby zapelnąć opustoszały metraż. Dodatkowym atutem przemawiającym na korzyść powiększenia rodziny było to, że choć spłacali kredyt mieszkaniowy, to i tak odłożyli sporą sumkę jako ewentualne zabezpieczenie. Nie brakowało im na nic. Żyli dostatnio i błogo. Jedyńm marzeniem było dziecko.

Przez wywietrzniki w drzwiach łazienkowych napływał smakowity aromat

kawy. Z głębi mieszkania dobiegały odgłosy porannej krzątania Karola, który przygotowywał śniadanie. Mąż rozmawiał, zdaje się, z synem. Matylda słyszała ich głosy, zagłuszone przez radio. Zanuciła do wtóru Edycie Górniak, której wielki, ubiegłoroczny przebój z konkursu Eurowizji leciał właśnie w radio:

– „To nie ja byłam Ewą / To nie ja skradłam niebo / Chociaż dosyć mam łez / Moich łez, tylu łez / Jestem po to, by kochać mnie”[4].

Szybko zrobiła test i teraz nie pozostawało już nic innego jak odczekać trzy długie minuty na wynik – najlepiej w postaci upragnionych dwóch kresek.

– Jesteś tam po to, by cię kochać? – zapytywała z nadzieją własny brzuch.

Czekała, unikając nachalnego wpatrywania się w plastikową płytkę. Przerabiała to już kilkakrotnie i do tej pory zawsze wychodził negatywny wynik. Ale może poprzednio sama narażała się na rozczarowanie, gdyż wykonywała test już po dwóch dniach opóźnienia? Teraz z anielską cierpliwością odczekała aż cztery doby, co było nie lada wyczynem, gdyż paliła ją ciekawość, czy w końcu się udało.

Pewnie dziwnie to wyjdzie, jeśli Wiola będzie miała rodzeństwo młodsze od własnego dzieciaczka, ale co tam! Ja też chcę zaznać radości macierzyństwa. Nie zrezygnuję z marzeń tylko dlatego, że niebawem zostanę przyszywaną babcią.

Zerknęła na zegarek. Pora sprawdzić test.

Jedna kreska.

Kolejne rozczarowanie.

Matylda poczuła nieprzyjemną grudę, która nagle urosła w jej przełyku.

Nie będę płakać. Nie będę. Może uda się w przyszłym miesiącu?

Przygryzła wargę i przez chwilę walczyła ze łzami frustracji. Potem starannie spakowała zużytą płytkę, instrukcję wykonania oraz pudełko do woreczka i wcisnęła całość w kieszeń szlafroka. Zamierzała wyrzucić to poza domem. Nie chciała, by Karol zobaczył te rzeczy i przeżył niepotrzebny zawód.

Po kilku dniach roztopów zrobiło się przyjemnie. Wiosna zawitała w mieście nagle, bez uprzedzenia. Wyciągnęła z domów znużonych ludzi, którzy pozrzucali ciężkie okrycia i z przyjemnością wystawiali twarze do pierwszych ciepłych promieni.

W drodze ze szkoły Gośka i Julita zahaczyły o park. Rzuciły niedbale plecaki na ławkę, same usiadły na oparciu. Ponieważ o tej porze nie było wielu

spacerowiczów, Małkówna wyjęła z kieszeni nieco pogniecioną paczkę jakichś rosyjskich papierosów, które wprawdzie okropnie cuchnęły, ale miały jedną niewątpliwą zaletę: były tanie.

– No i co? – zapytała Małgosia, wciągając dym w usta, lecz nie przepuszczając go dalej do płuc. – Do jakiej szkoły składasz papiery?

– Tak jak ci mówiłam. Do zawodówki.

– Ej, no weźże się nie wygłupiaj. Czemu do zawodówki? Chodź ze mną do ekonomika!

– Nie da rady. Zawodówka trwa tylko trzy lata. Od razu będę miała praktyki, za które dostanę kasę. Muszę jak najszybciej zacząć zarabiać. Chcę mieć własną forszę i nie żebrać od starych o każdy grosz.

– A nie lepiej zdobyć solidne wykształcenie i dobrze płatną pracę w przyszłości? Serio chcesz być szwaczką?

– Zwariowałaś? Nie zamierzam być szwaczką. Otworzę własną pracownię – oznajmiła. – Trzeba mieć w życiu jakieś aspiracje. Odłożę kasę, kupię maszyny, wynajmę lokal i będę pracowała sama na siebie! Jak twoja matka. Ona to ma łeb na karku – westchnęła z podziwem.

– Moja absolutnie nic nie wie o szyciu – zauważyła Gośka. – A o modzie to już w ogóle.

– Ty nie sztachaj się papierosem jak żaba dynamitem! Nie rób obciachu, bo na odległość widać, że się nie zaciągasz. Szkoda fajek na takie palenie. – Przyjaciółka trąciła ją w bok. – No i co z tego, że twoja niewiele wie o szyciu? Grunt, że interes jej idzie.

– No właśnie w tym rzecz, że wcale nie trzeba się na czymś znać, żeby założyć działalność – powtórzyła zasłyszaną od rodziców teorię. – Wystarczy odrobina powierzchownej wiedzy, od reszty są wynajęci pracownicy. A prowadzenie biznesu to dopiero jest droga przez mękę. Nie masz pojęcia, ile wymaga zachodu! Ile się mama musi nauzerać z tym wszystkim!

– No... Tak przypuszczam – odparła Julita wymijająco.

Skończyła palić, więc po prostu rzuciła niedopałek na chodnik. W ślad za nim strzyknęła śliną. Gośka trochę zazdrościła koleżance tej umiejętności. Jej nigdy płucie nie wychodziło równie sprawnie, podobnie miała się rzecz z gwizdaniem na palcach. Zachichotała na samą myśl o minie, jaką zrobiłaby rodzicielka, gdyby mogła ją zobaczyć w takiej sytuacji.

– O właśnie. I dlatego mnie stara namawia na ogólniak albo ekonomik. Mam zdobyć solidne wykształcenie, potem pójść na studia i zajmować się biznesem. Albo znaleźć jakąś bardzo dobrze płatną posadę. W biurze,

w banku lub w polityce.

– Aha. I co wybierasz? Ekonomia?

– No. Tam chcę składać papiery. Mama wolałaby, żebym poszła do ogólniaka. Uważa, że najlepszy byłby „Nowodworek”, ale ja nie mam ochoty jeździć na plac Na Groblach. Na Handlowe jest dużo bliżej. Mówię ci, chodź ze mną. To tylko rok nauki więcej. Jak chcesz dobrze zarabiać, to najpierw musisz się poświęcić.

– Nic z tego! Liceum nie ma praktyk zawodowych i trwa zbyt długo. A potem co: jeszcze studia? Wykluczone, szkoda życia! Zanim ty skończysz naukę, ja będę bizneswoman.

– No dobra, niech ci będzie.

– Co robimy jutro po budzie? Może skoczmy do Bolka? – zmieniła temat. – Bardzo dawno nie byliśmy u niego.

– Nie ma mowy! – krzyknęła Gośka.

– A co ty się tak drzesz? – zdziwiła się Julita.

– Kurczę, no! Mówiłam ci przecież, że więcej do niego nie pójde, bo to stary zboczeniec. I ty też lepiej tam nie łaż, bo będą z tego jakieś jaja.

– Co ty pierniczysz, jakie jaja?

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że się do mnie dobierał?

– No. I co z tego? Przecież nic ci nie zrobił. – Wzruszyła ramionami.

– Nie, ale chciał. Napędził mi strachu. A potem była okropna chryja, bo ktoś mu urządził awanturę, że przystawia się do dziewczyn. – Celowo pominęła swój i Wiołki udział w tej sprawie. Wstyd było przyznać przed koleżanką, że pobiegnęła z płaczem do kuzynki i ta poszła interweniować do Bolka. Z perspektywy czasu, gdy wspomnienie nieco się zatarło, sama uznała, że jej reakcja była trochę przesadzona. Mogła po prostu zabrać kurtkę, wyjść od Sadzidłów i więcej tam nie wracać. Ale w gruncie rzeczy miała powody do zadowolenia, gdyż od tamtej pory rodzice nie zmuszali jej, by regularnie odwiedzała babcię, a podczas wizyt w Centrum zawsze miała towarzystwo taty.

– Ja nic do niego nie mam. To fajny facet. Przynajmniej nie przymula jak moje zgredy. Zna życie. – Julita pokiwała głową.

– A ja już go nie lubię i nie pójde tam więcej – odparła kategorycznie Gośka.

– Dobra, dobra – roześmiała się koleżanka. – Już ja dobrze wiem dlaczego. Zauważyłam, że wciąż ziorasz na Marcina.

– Wcale na niego nie zioram!

– Ziorasz ziorasz – zachichotała. – Ale nie martw się, nic mu nie wypeplam. Bo on i tak jest kretynem, więc nie masz sobie czym zawracać gitary. Chłopaki w naszym wieku to głąby, nie zauważyłaś jeszcze? – Szturchnęła Małgośkę w bok. – Tylko im głupoty w głowie. Jak już razem siedzą, to przegładają świerszczyki i przechwalają się, który ma dłuższego.

– Skąd wiesz? – dociekała Szymczakówna.

– No właśnie stąd, że jak się ma starszego brachola, to człowiek wie takie rzeczy. Słyszę, o czym gadają – wyjaśniła. – I bądź pewna, że to głupole. Nie pocałowałam żadnego z nich. Co innego pracujące chłopaki! Ci są zdecydowanie fajniejsi!

[3] Fragment utworu *Uayo*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

[4] Fragment tekstu piosenki *To nie ja* z repertuaru Edyty Górniak. Słowa: Jacek Cygan, muzyka: Stanisław Syrewicz, płyta *Dotyk*, 1995 r.

Rozdział 3

Nic zamieszkują demony

Budzisz się po to, by zasnąć

Bo wciąż największy jest strach [5]

Marek dobrze wiedział o problemach Adriana związanych z zespołem. Słyszał, że jako pierwsza zrezygnowała Wioletta, podając za powód ciężę i spodziewane zajęcia przy dziecku. Dotarły też do niego wieści, że Lorkowski po jakimś niefortunnym skoku wylądował w szpitalu.

– Tylko patrzeć, jak znowu Adek będzie suszył mi głowę o to, bym się przyłączył – powiedział do Reni, gdy w połowie kwietnia spacerowali razem po Plantach Mistrzejowickich.

Nie miał za co zaprosić dziewczyny do kina, choć wiedział, jak bardzo chciała zobaczyć *Spis cudzołóżnic* w reżyserii Jerzego Stuha. Właśnie stracił kolejną robotę. Tym razem sam był temu winien, gdyż przeholował z prochami i po prostu nie poszedł na dwie kolejne dniówki. Trzeciego dnia stawił się, a i owszem, lecz w tak opłakanym stanie, że szef wywalił go na zbity pysk, nie wypłacając pieniędzy za przepracowany czas.

Teraz Marek marzył, aby brat zaproponował mu wstąpienie do zespołu. Jakoś przeżyłby to upokorzenie. Mógłby strugać głupka przed kumplami, że to nie on. Albo wprost powiedzieć, że muzykuje wyłącznie dla forsy.

– I co zamierzasz?

– Nie wiem. – Wysilił się na spokojny ton, choć sprawa budziła w nim wiele emocji i w równym stopniu pragnął takiej propozycji, co nie chciał, aby padła. Coraz poważniej jednak dojrzywał do tego, by schować dumę do kieszeni. Pustej kieszeni de facto. – Chyba powinienem pomóc Adkowi. Tylko patrzeć, jak mu szlag trafi zespół. Może pogram z nimi do czasu, aż Lorek wróci do zdrowia? Jak poprosi, to pewnie się poświęcę. – Usiłował zaprezentować swoje stanowisko tak, by nie stracić twarzy przed ukochaną. Wszak jeszcze niedawno kpił sobie z działalności Adriana i twierdził, że nigdy w życiu nie zeszmaciłby się tak jak on. Bo trzeba mieć swój honor.

– Naprawdę?

– W sumie... Czemu miałbym odmówić? Podgoniłbym przy okazji trochę kasy, bo jak sama widzisz, nie mam ostatnio szczęścia do roboty. Straszna posucha.

Renata pokiwała głową ze zrozumieniem. W głębi duszy odczuła radość, że Marek w końcu podszedł do tematu trochę rozsądniej. Była przy nim w każdej trudnej chwili. Wspierała go i pocieszała zawsze, gdy tracił pracę. Pilnowała, by nie gubił motywacji, nie zrażał się i szukał nowego zajęcia. Kiedyś wspomniał coś o wspólnej przyszłości. Że chciałby mieć rodzinę, dzieci i dom. Ona też o tym marzyła, lecz na razie nie mieli przed sobą perspektyw – para życiowych nieudaczników, tak czasami myślała o tym wszystkim. Gdyby faktycznie Marek przełamał się i przyjął propozycję brata, to pewnie poprawiłby swoją sytuację. Może wtedy nie piłby tak dużo i nie brałby narkotyków? Bo na razie wciąż szukał pocieszenia w używkach.

– Cokolwiek postanowisz, wiedz, że zawsze będę przy tobie – powiedziała dyplomatycznie.

Zatrzymał się, stanął przed nią i otoczył jej twarz dłońmi. Spoglądał z miłością na najważniejszą kobietę swego życia. Ona też patrzyła na Marka z uczuciem, choć ostatnio coraz częściej martwiło ją, że bardzo wychudł i zmizerniał. Miał bladą twarz o nieładnym, ziemistym odcieniu cery i mocno podkrążone oczy. Wiedziała, że to wszystko na skutek zbyt częstego imprezowania, lecz nie potrafiła na niego wpłynąć, aby odciął się od towarzystwa sprowadzającego go na złą drogę. Zbyt mocno go kochała, by postawić sprawę na ostrzu noża i kazać mu wybierać pomiędzy sobą a kumplami. Bo gdyby wybrał ich, to chyba serce pękłoby jej z bólu.

– Moja jedyna – wyszeptał i przywarł chciwie do jej warg. Jego usta były suche w dotyku i spierzchnięte.

Po chwili puścił Renatę i odchylił głowę na bok, gdyż zaniósł się nieprzyjemnym kaszlem.

– Wszystko w porządku? – spytała zatroskana. – Może powinieneś pójść do doktora?

– Nic mi nie jest. Pokaszlę i samo minie. – Wzruszył ramionami i zadygotał z zimna. Choć była połowa kwietnia, wciąż panował nieprzyjemny chłód. – Zwijajmy się lepiej do chaty. Coś mnie trzęsie – oznajmił. – Zamiast łaźń i marznąć, posiedzmy u mnie.

Przypuszczał, że wieczorem Adrian wpadnie z wizytą do ojca. Zaglądał dość regularnie. Jeśli Marek był w dobrym humorze, co ostatnio należało do rzadkości, to zamieniał z bliźniakiem przynajmniej parę słów. Tym razem stwierdził, że nie będzie chował się przed nim jak jakiś dzikus. W gruncie rzeczy nic do niego nie miał, choć od dawna nie potrafili ze sobą gadać.

Sam zacząłem – pomyślał. To ja mu wciąż dogryzałem z powodu tego francowatego zespołu. A teraz chętnie bym do nich dołączył. Kurczę! Zarabiają łatwo i przyjemnie kupę kasy, a ja szarpię się jak jakiś kretyn z zapyziałymi burakami, którzy mają ludzi za nic.

Doszedł do wniosku, że nadszedł czas, aby jakoś ułożyć relacje z Adrianem.

Późnym popołudniem faktycznie przyjechał brat. Nie zajrzał do pokoju, który kiedyś dzielili. Usiadł w salonie z ojcem i Matyldą. Nawet nie zapytał o bliźniaka. Zagadnął o to, czy pokazywała się ostatnio Wioletta. Zniecierpliwiony kandydat na gwiazdora sam wyszedł ze swojego zacisza, ciągnąc za sobą przyjaciółkę. Pogwarzyli ze dwie godziny o jakichś błahostkach. Marek siedział jak na szpilkach, nie wiedząc, jak zagaic rozmowę na temat kapeli. Nie chciał, by brat pomyślał, że jest desperatem, który pilnie szuka jakiegokolwiek formy zarobku. Głupio mu było wprost coś

powiedzieć, gdyż do tej pory wciąż kpił z tej działalności. To ojciec poruszył drażliwą kwestię.

– No i co w końcu postanowiliście z Silver Star?

– Wczoraj wyrejestrowałem działalność gospodarczą. Koniec muzykowania. Wiolka kategorycznie odmówiła powrotu na estradę, Lorkowski też powiedział, że ma dosyć. Jak już wróci do zdrowia, czeka go powtarzanie semestru na uczelni. Twierdzi, że woli skupić się na czymś poważniejszym. Sam z Królikiem nie pociągnąłbym dalej grania. Zresztą po odejściu młodej i tak wszystko by się rozsypało, bo w rzeczywistości to ona była sercem tego zespołu. Wymyślała teksty, śpiewała, robiła cały show. Ludzie utożsamiali nas z Wiolką. Jak tylko podaliśmy do publicznej wiadomości, że będziemy występować w uszczuplonym składzie, z miejsca w gazetach zaczęto nam wróżyć koniec kariery. Może kiedyś do tego wrócimy, teraz przyszedł czas, żeby spoważnieć. Skończyć studia, poszukać normalnej pracy, ustatkować się – snuł plany, grzebiąc definitywnie nadzieje brata.

Renata posłała Markowi współczujące spojrzenie. Ten tylko wzruszył ramionami i jeszcze bardziej spochmurniał.

Wszystko na nic – westchnęła. Dlaczego był takim uparciuchem i nie podjął tej decyzji wcześniej? Adrian kilka razy proponował mu wspólne granie. A teraz, jak już Marek dojrzał, okazuje się, że jest za późno. Trudno, będzie musiał szukać nowej pracy. Może znajdzie zajęcie na budowie, tak, jak kiedyś wspominał?

Odczuła przykrość na samą myśl o tym. Przecież stać go było na znacznie więcej, nie musiał kopać rowów albo stać przy betoniarence! Co gorsza, od dawna wyglądał na osłabionego. Przepelniał ją lęk, że ukochany fizycznie sobie nie poradzi.

– Powinnam już iść – powiedziała. – Jutro muszę wstać do biura.

– Odprowadzę cię – oświadczył.

– Ależ nie ma takiej potrzeby – zaprotestowała Renia.

Przez całe popołudnie drżał z zimna. Mimo ciepłego ubrania, a nawet koca, którym na chwilę się opatulił, zanim przyszedł Adrian. Nie pomogła gorąca herbata, Marek sprawiał wrażenie przemarzniętego do szpiku kości. Renata wolałaby, aby został w domu, a najlepiej łyknął polopiryne i położył się w łóżku. Zasugerowała mu to, lecz chłopak tylko spojrzał na nią wilkiem.

– Dzięki za troskę, nic mi nie jest – burknął. – Po prostu wcześniej zmarzłem, ale zdołałem się zagrzać. Jest już ciemno, nie ma mowy, żebyś wracała sama do domu. Nie mógłbym spać, gdybym puścił cię o tej porze.

– Ależ Marku! Jeszcze nie ma dziewiątej. Młoda godzina. Mnóstwo ludzi chodzi po mieście.

– No właśnie. – Pokiwał głową. – Nie potrzebuję, żeby ktoś na ciebie napadł. Jadę z tobą – upierał się przy swoim.

– Nie powinienes, pogoda jest parszywa, a ty ciągle kaszlesz. Jeszcze na dobre cię rozłoży.

– Nic mi nie będzie. Złego diabli nie biorą – zachichotał.

– Nie zapomnij zabrać kluczy od mieszkania! – napomniał go Karol.

– Mam przy sobie! – odparł Marek, poklepując jeansy w okolicy kieszeni.

Pospiesznie włożył glany i starannie je zasznurował. Narzucił ramoneskę, omotał szyję bandaną. W tym czasie Renia zdążyła włożyć kurtkę i zawiązać modną apaszkę. Ostatni raz troskliwie pouczyła Marka, że z dreszczami nie powinien nigdzie wychodzić, lecz machnął ręką na jej gadaninę.

Tak naprawdę wcale nie trząśł się z zimna, choć rzeczywiście trochę zmarzł podczas spaceru. Na swoje dygoty potrzebował lekarstwa, które mógł nabyć od wujka. Wprawdzie u niego te wszystkie magiczne substancje kosztowały nieludzko drogo, lecz to był pewnik. Na innych dilerów nie zawsze mógł liczyć, miewali też jakiś syf, niewart wydanych pieniędzy. Taniej byłoby co prawda uraczyć się kompotem, ale on potrzebował konkretnego środka. Musiał bowiem choć na moment wyrwać z umysłu myśl o kolejnej porażce.

Narobił sobie tak wielkich nadziei na przystąpienie do kapeli brata, że w ogóle nie wziął pod uwagę innej możliwości. Jeszcze przed godziną wyobrażał sobie, jak stoi na estradzie w jakimś kiczowatym kostiumie. Dla żartu podśpiewywał nawet jedną z tych głupawych piosenek, które utkwily mu w pamięci, gdy jeszcze handlował kasetami. Przekomarzał się z Renią i dopytywał, czy będzie go kochała równie mocno, gdy zamiast ramoneski i glanów włoży garnitur w jakimś tandeciarskim kolorze i lakierowane półbuty. No i masz ci los! W jednej chwili szlag trafił wszystkie rojenia o łatwej forsie i nowym, lepszym życiu!

Nie można mieć aż tak zesranych gaci – pomstował w duchu, nadrabiając miną. Udawał, że informacja brata spłynęła po nim jak woda po gęsi, ale w rzeczywistości czuł w gardle dławiacą wściekłość i głębokie rozczarowanie.

Sprawdził, czy ma jeszcze jakieś pieniądze w portfelu, by zapłacić Pawłowi za crack. Potem wraz z Renią opuścił mieszkanie. Jak nigdy wcześniej marzył o tym, by jak najszybciej uwolnić się od jej towarzystwa. Mimo fatalnego samopoczucia konsekwentnie zamierzał pojechać z dziewczyną na aleję Róż,

a dopiero potem skoczyć do Pawła. Ojciec wpoił mu, że pannę zawsze należy odprowadzić do domu. Bez względu na kondycję, pogodę i inne sprawy.

Na zewnątrz mżyło. Drobny deszcz bezszelestnie oblepiał wszystko wilgotnymi mackami. Padało zbyt słabo, by szukać schronienia pod parasolem, a jednak na tyle irytująco, by skutecznie uprzykrzyć człowiekowi życie. Powietrze było gęste i ciężkie, nieprzyjemnie cuchnęło zgniłą roślinnością.

– Ale ohydnie! – stwierdziła Renata, narzucając na głowę kaptur. – W tak parszywą pogodę nawet psa z kulawą nogą żał wygonić. Wracaj do domu, Marku. Ja sobie poradzę – nalegała, lecz on nie słuchał.

Szli razem na przystanek. Miasto sprawiało wrażenie całkowicie opustoszałego. Było zbyt wcześnie, by robotnicy zapełnili tramwaje i autobusy, jadąc do pracy na noc.

Jeszcze godzina. – Marek szacował w myślach czas, który musiał upłynąć, nim zazna ulgi. Udawał, że słucha, o czym mówi Renia, lecz duchem pozostawał nieobecny. W takich chwilach żałował, że parę miesięcy wcześniej pozbył się wysłużonego fiata. Samochodem obróciłby zdecydowanie szybciej. Cóż, nie było go już stać na utrzymanie pojazdu, który żądał nieustannych danin w postaci napraw, przeglądów, ubezpieczeń, no i oczywiście wizyt na stacji benzynowej.

– Naprawdę nie musisz odwozić mnie do domu – zapewniła, gdy zobaczyła nadjeżdżający tramwaj. – Proszę, Marczku, wracaj do siebie. Połóż się i odpocznij, bo naprawdę źle wyglądasz. Poleż kilka dni w łóżku, nim znowu zaczniesz szukać pracy.

Spojrzał jej w oczy.

– Jesteś pewna? – Pokusa szybszego ukojenia głodu była zdecydowanie większa niż poczucie obowiązku wpojone przez ojca.

– Absolutnie. Nic mi nie grozi, nie martw się o mnie, okej? Zadzwoń do ciebie jutro.

Na przystanku zahamowała dwudziestka. Drzwi otwarły się z nieprzyjemnym trzaskiem. Wagon był niemalże pusty. Siedział w nim jakiś starszy człowiek, prócz niego na samym końcu stali dwaj lekko podchmieleni mężczyźni. Gadali dość głośno, a w dłoniach trzymali butelki z piwem.

Powinienem jednak jechać – pomyślał Marek, zerkając na pasażerów.

Renata miała inne plany.

– Pa! – rzuciła krótko. Wycisnęła na jego ustach pospiesznego buziaka. A potem weszła do tramwaju, odwróciła się i pomachała ręką. – Pamiętaj:

masz iść prosto do domu i do łóżka! – napomniała go, nim motorniczy zamknął drzwi.

Odczekał jeszcze chwilę, aż pojazd odjedzie. Wiedział, że Renata spogląda przez okno. Nie chciał, aby zauważyła, że nie odchodzi w stronę swojego osiedla.

Kiedy przystanek, na którym został chłopak, zniknął z jej oczu, Kołodziejówna wygrzebała z kieszeni bilet i wsunęła go do kasownika. Zajęła pierwsze z brzegu siedzenie, nie zwracając uwagi na to, że panowie stojący z tyłu zaczynają trącać się łokciami. Coś musieli mówić na jej temat, gdyż raz po raz zerkali w stronę pasażerki. W końcu jeden z nich, wyższy, podszedł. Drugi, rudy, o krępej budowie ciała, został na miejscu.

– A lalunia nie boi się sama podróżować nocą? – zagadnął pochylony nad dziewczyną dryblas. Chuchał na jej twarz nieprzetrawionym alkoholem. Wilgoć panująca w pojeździe uintensyfikowała nieprzyjemne zapachy.

Renata poczuła nadciągającą falę mdłości. Zaciśnęła usta i bez słowa odwróciła się w stronę okna. Matka zawsze pouczała ją, że najlepiej jest ignorować zaczepki pijaków. Jak na złość mężczyzna zaczął na nią napierać biodrem, udając, że kołysanie tramwaju zepchnęło go na pasażerkę.

– Niechże się pan odsunie – nie wytrzymała i warknęła. – Cały wagon jest pusty, nie musi mi pan sterczeć nad głową.

– Muszę, bo tylko tutaj siedzi ładna kobitka – odparł. – A ja mam ochotę porozmawiać!

– Ale ja nie mam na to chęci. Proszę wracać do swojego kumpla – powiedziała stanowczym tonem.

– Jaka nieprzystępna, słyssałeś, Mietek? Nie chce ze mną pogwarzyć! – rzucił do kompana.

– Panie! – wyraził oburzenie starszy człowiek. – Nie zaczepiaj pan kobiety. Nie widzisz pan, że sobie nie życzy towarzystwa?

– Dziadek niech się lepiej nie wtrąca! – Mężczyzna odwrócił na moment głowę i zmierzył go groźnym spojrzeniem. – Chyba nie chcesz, łamago, zbierać protezy z podłogi? – Potarł wymownie szczękę.

– Co za bezczelność! – obruszył się emeryt. – Niech no tylko motorniczy zatrzyma tramwaj, zaraz zawołamy milicję! – Ze zdenerwowania, a może z przyzwyczajenia, użył starej nazwy stróżów prawa.

– A wołaj se pan do woli. To nie te czasy, dziadku, gdy na każdym

krawężniku stała władza mundurowa. Mietek, chodźże tutaj! – Pokiwał głową na kolegę. – Staruszek ma jakieś pretensje, trza by go uciszyć!

– A pójdziesz ty, chuliganie? – Mężczyzna zdenerwował się nie na żarty i mocno chwycił laskę, kierując koniec w stronę agresora, jakby chciał jej w razie czego użyć w samoobronie. To tylko wywołało atak śmiechu ze strony mężczyzn. Ten, który stał z tyłu, zaczął przechodzić na przód. Akurat tramwaj był dość rozpędzony. Pijak obijał się o poręcze, co wywołało w nim falę złości.

W tym samym czasie Renata siedziała skulona na plastikowym krzeselku. Postanowiła, że na najbliższym przystanku umknie z pojazdu i poczeka na następny. Miała nadzieję, że namolny pasażer nie będzie jej zatrzymywał. Nie było to może zbyt rozsądne, gdyż miejsce, w którym zamierzała wysiąść, należało do raczej odludnych, ale nie chciała narażać się na zaczepki.

Odetchnęła z ulgą, gdy człowiek sterczący przy niej do tej pory odszedł o kilka kroków. Teraz mężczyźni zajęci byli starszym panem, tocząc z nim zażarty spór. Na razie nie dochodziło do rękoczynów. Z uwagi na tego człowieka Renata biła się z myślami, czy decyzja o opuszczeniu wagonu jest rozsądna. W końcu uznała, że mimo wszystko nic mu nie powinno zagrażać. Nic im nie zawinił. Wprawdzie byli zwykłymi gnojkami szukającymi głupiej zaczepki, lecz nie mieliby chyba aż takiego tupetu, by pobić niedołęznego starca. Zresztą, nawet gdyby to zrobili, to ona i tak nie mogłaby mu pomóc.

A może na następnym przystanku wsiądą jacyś pasażerowie? Przy świadkach na pewno nie dojdzie do większej draki – rozmyślała, obserwując awanturę.

Tramwaj wyraźnie zaczął zwalniać. Renata już widziała przystanek, na którym jak na złość nie dostrzegła nawet żywego ducha.

Uciekam! – podjęła ostateczną decyzję.

Chuligani mogli w każdej chwili stracić zainteresowanie mężczyzną. Nie chciała ryzykować dalszego nagabywania. Była całkowicie pewna, że tamci dwaj nie wysiądą bez potrzeby na tak parszywą pogodę. Zakładała, że będą woleli zostać w suchym wagonie niż skazać się na sterczenie w zimnie i wilgoci w oczekiwaniu na kolejny środek transportu.

Kiedy tylko motorniczy otwarł drzwi, opuściła tramwaj. Nie przewidziała jednak, że w ostatniej chwili wyskoczą także agresorzy. Widać niestraszny był im drobny deszcz i chłód, chęć dręczenia dziewczyny wzięła górę nad komfortem. Renatę przeraził ich widok. Przez moment zastanawiała się, czy gorszym wyborem byłoby pozostanie z nimi na tym cholernym opustoszałym przystanku czy szybki marsz w stronę osiedla, gdzie na pewno kręcili się jacyś ludzie. Doszła do wniosku, że lepiej brać nogi za pas. Przecież za nią

nie pójdą. Jechali dokądś, nim zaczęli ją nagabywać. Ruszyła więc pospiesznie w stronę bloków.

– A gdzie to idziesz, laleczko? – zapytał jeden z nich, ten rudy, łapiąc ją za ramię.

– Niech mnie pan puści! – krzyknęła.

W tym samym momencie dołączył do niego drugi mężczyzna. Ten zaszedł ją od tyłu i objął ramieniem w talii. Zaczęła krzyczeć i szarpać się, lecz jak na złość w pobliżu nie przechodził nikt, kto mógłby jej pomóc. Wrzaski szybko zostały stłumione ręką, która zasłoniła usta Renaty. Dziewczyna poczuła nieprzyjemny posmak nikotyny i brudu. Próbowała ugryźć napastnika, lecz jej wysiłek był daremny. Choć szarpała się ze wszystkich sił, mężczyźni powlekli ją w kierunku przeciwnym do bloków. W ciemność i pustkę wykrotów porośniętych ubiegłorocznymi, wyschniętymi trawami, spomiędzy których wyzierały już młode chwasty.

Niezabudowana przestrzeń przylegająca do ronda Piastowskiego pomiędzy osiedlami Piastów i Mistrzejowice a ulicą Okulickiego była dość niebezpiecznym i zdecydowanie odludnym miejscem. Renia wiedziała, że Marek chodzi tam z kumplami, by pić wódkę i brać narkotyki. Siadywali w nieuczęszczanej dziczy z dala od ciekawskich spojrzeń, mając pewność, że nikt ich nie znajdzie.

Wioletta stanęła bokiem do dużego lustra wiszącego w przedpokoju. Wygładziła luźną tunikę. Zobaczyła wyraźnie zarysowaną krągłość.

– To już piąty miesiąc – wyszeptała z niedowierzaniem.

Czas nieubłaganie uciekał, a ona wciąż nie mogła oswoić się z myślą, że będzie matką. Przychodziły momenty, gdy nieprzytomnie cieszyła ją myśl o wzrastającym w niej życiu. Wyobrażała sobie maleństwo: pierwsze bezzębne uśmiechy, gaworzenie, wspólne spacerunki pod mieniącymi się tęczą barw koronami drzew. Początek macierzyństwa miał przypaść na koniec lata i jesień. Uwielbiała ten okres, gdy rześkie powietrze dawało ulgę po dusznych, upalnych dniach, a soczysta zieleń drzew z wolna czerwieniała lub żółkła i wszystko wokół jaśniało przepychem ciepłych kolorów. Już teraz z rozmarzeniem czekała na ten okres.

Kiedy indziej popadała w jakiś letarg. Zaczynała myśleć o dziecku nie jak o żywej istocie, lecz jak o czymś abstrakcyjnym, niewyobrażalnym.

Jak to możliwe, że ona wyda na świat taką maleńką iskierkę? Z miniaturowymi paluszkami, stópkami i pyzatą buzią. Człowieczka, który

będzie od niej zależny.

Już teraz jestem mu potrzebna. Muszę być silna dla dzidziusia.

Bała się. Wizja samotnego macierzyństwa wzbudzała w niej okropne lęki.

Jak ja sobie poradzę? A co, jeśli zachoruję? Jeśli braknie mi sił albo środków do życia?

Dręczyły ją dziesiątki obaw. W takich chwilach siadała na ulubionym fotelu i podkurczała nogi. Zasluchana w miarowe tykanie starego zegara, odyskiwała spokój.

Czasami zaglądała do babci Julii i dzieliła się z nią swymi rozterkami. W ciepłe domowego ogniska dziadków była tak bezpieczna jak nigdzie indziej. Jakby do ich mieszkania nie docierało zło ani nawet najmniejsze fale negatywnej energii.

Ostatnio przyszło upragnione wyciszenie. Pogodziła się z oszustwem Brodnika, choć bardzo ciężko przeżywała pierwsze tygodnie po rozstaniu. Miłość prysnęła jak bańka mydlana. Pozostała gorycz, bo przecież mógł załatwić sprawę w subtelniejszy sposób i zaoszczędzić jej tych wszystkich kąśliwych uwag, jakoby sypiała ze swoimi fanami. To było niewybaczalne i niejedną raz zastanawiała się, co kiedyś powie dziecku, gdy zapyta o swego ojca. Bo w to, że zapyta, nie wątpiła.

Czy znajdę w sobie dość siły, by wyznać prawdę, a jednocześnie nie przenosić na dziecko mojej niechęci? Czy będę dość przekonująca, mówiąc, że nie powinno szukać taty, bo on sobie tego nie życzy?

Nie chciała zaszczepiać w maluszku negatywnych uczuć, lecz czuła, że trudno będzie o powściągnięcie emocji i racjonalizm przy rozmowach na ten temat.

Czy ono nie znienawidzi mnie za to wszystko?

Odeszła od lustra, usiadła w fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

Marek odczekał jeszcze chwilę, zastanawiając się, czy szybciej dotrze na osiedle Złotego Wieku pieszo czy tramwajem. Deszcz przybrał na intensywności, już nie mżył, lecz padał uporczywymi, drobnymi kroplami, obmywając wszystko wokół. Chłopak dygotał z narkotykowego głodu i zimna. Było mu źle. Rozpaczliwie. Ciężar istnienia stawał się tak bolesny, że niemalże nie do wytrzymania. Pawłowski pragnął choć na chwilę zaznać ulgi. Poczuć wszystkimi zmysłami, że życie wcale nie musi być równie parszywe jak ta cholerna pogoda.

Jeszcze nadejdą dobre czasy – szukał w myślach pociechy, lecz po chwili wracało przykre wspomnienie słów brata. Co za idiota! Że też musiał zlikwidować kapelę akurat teraz! Dołączyłbym do nich, niechby się nawet kumple śmiali. Przestaliby, gdyby zobaczyli, ile można wycisnąć z tego forsy. Odżyłbym. I też kupiłbym sobie mieszkanie, żeby nie siedzieć staremu na karku. Renata na pewno byłaby szczęśliwa. Co za debil z tego Adka!

Już miał ruszyć do Pawła na piechotę, gdy przyjechał kolejny pojazd. Marek postanowił podjechać kawałek zamiast leżeć w deszczu i moknąć. Teraz z komunikacji miejskiej korzystało znacznie więcej osób, robotnicy ruszyli do kombinatu na nocną zmianę. Pawłowski stanął na samym końcu wagonu. Spłukana deszczem szyba odbijała jego wymizerowaną twarz okoloną długimi, falującymi włosami zawiązanymi na karku w kitę. Spoglądał bezmyślnie na skazę, która nadawała odbiciu groteskowy wygląd. Przesuwał się lekko w prawo, to znowu w lewo, ubawiony efektem. Wyglądał tak, jakby miał na czole trzecie oko.

To oko mojej duszy – przemknęło mu przez myśl. Ono widzi więcej niż pozostała para. To ono widzi jasne barwy w ciemnym świetle. Ono sprawia, że wszystko jest piękniejsze i ma gładkie, opływowe kształty.

Po kilku minutach opuścił turkoczący wagon. Najpierw podszedł do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił do Pawła. Zapytał, czy wujek ma towar i czy mogą się spotkać za pięć minut pod jego blokiem. Miał. Nie robił problemu ze spotkaniem.

Ledwo Marek wdusił przycisk domofonu, w klatce schodowej rozbłysło światło.

– Wolałbym, żebyś nie przychodził po to do mojego mieszkania ani nie dzwonił w tej sprawie na domowy telefon – burknął Szymczak po przeprowadzonej transakcji. – Jak już musisz, to kręć na komórkę. Wiem, że drogo – uprzedził zastrzeżenia młodego – ale jak masz ochotę się zabawić, to płać. Chcesz mi ściągnąć kłopoty na łeb? – utyskiwał.

– Sorry. Następnym razem załatwimy wszystko na mieście.

– Masz czym to sobie zapodać?

– Mam – bąknął, oklepując kieszenie kurtki.

– Tylko wiesz: uważaj. Pamiętaj, że łatwo jest przegiąć. Nie bierz czasem dwóch działek naraz.

Marek był już na takim głodzie, że nie słuchał jego napomnień. Bąknął jakieś słowa pożegnania i odszedł w stronę parku. Usiadł na ławce. Sięgnął po torebkę z heroiną. Nie dbał o to, czy będzie mu się lało na głowę, czy

przemarznie i przemoknie do ostatniej nitki. Byle tylko zażyć tę magiczną substancję, po której człowiek przestaje dygotać, a brudny, szary świat nabiera soczystych kolorów. Byle znowu spojrzeć na otaczającą go rzeczywistość tym wewnętrznym trzecim okiem, które na co dzień pozostaje zamknięte, jakby było pogrążone w głębokim śnie i otwierało się wyłącznie wtedy, gdy sięgał po narkotyk lub zaznawał spełnienia z Renatą.

Spojrzał na fiolkę. W świetle latarni połyskiwała brunatna ciecz.

– Jedna teraz, druga na rano. A potem niech się dzieje, co chce. Nie mam więcej forsy. Nie jestem w stanie dłużej funkcjonować w taki sposób.

Gwałtowne stukanie do drzwi wyrwało Karola Pawłowskiego ze snu. Przez chwilę mężczyzna leżał, zastanawiając się, czy nie uległ jakiejś iluzji. Na szczęście czasy, gdy taki łomot w środku nocy oznaczał poważne tarapaty, minęły bezpowrotnie. Zerknął na zegarek, dochodziła druga. Pukanie znowu zakłóciło ciszę.

– Zobacz, kto to – wymamrotała zaspana Matylda.

– Pewnie Marek zapomniał kluczy – stwierdził, gramoląc się z pościeli. – A mówiłem mu, żeby wziął.

Narzucił szlafrok i po ciemku opuścił sypialnię. Światło włączył dopiero w przedpokoju. Odryglował zamki. Za drzwiami stał obcy mężczyzna.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że przeszkadzam po nocy. Janusz Kołodziej, ojciec Renaty – wyjaśnił przybysz, wyciągając dłoń na powitanie.

– Pawłowski. Karol Pawłowski. Co pana sprowadza? – zapytał, poprawiając pasek szlafroka.

– Szukam córki. Miała być przed dwudziestą drugą. Ja wiem, że to głupio brzmi, bo jest dorosłą kobietą i teoretycznie ma prawo robić, co zechce, ale Renia zawsze uprzedzała o zamiarze nocowania poza domem. Rano jedzie do biura, więc tym bardziej się martwię, bo nie zadzwoniła – tłumaczył. – Pomyślałem, że może jest u Marka. Znalazłem jego adres w notatniku – wyjaśnił. – Przepraszam, powinienem pewnie zadzwonić, ale nie mam numeru, a bardzo się o nią martwię. Nigdy wcześniej mnie nie zawiodła, to do niej niepodobne.

– Ale jej u nas nie ma – odparł skonsternowany Pawłowski. Zdenerwowała go wizyta Kołodzieja, gdyż jak żywe stanęło mu w głowie wspomnienie o tym, jak pewnej nocy u wujka Leszka też pojawił się człowiek szukający swojej córki. Tamta noc zakończyła się dramatem. – Marek miał ją odwieźć do domu.

– Ojej – zmartwił się przybysz. – A o której wyszli?

– Było jakoś tak koło dziewiątej. Proszę, niech pan wejdzie. – Pawłowski przypomniał sobie o grzeczności. – Zjrzę do pokoju syna i zobaczę, czy nie zawrócili, choć prawdę mówiąc, nic nie słyszałem. Położyłem się jednak dość wcześnie, więc mogłem nie zwrócić uwagi. Chłopaka brała wczoraj choroba i Renia kilkakrotnie proponowała, by został w domu – oznajmił, uchylając drzwi ze zmatowioną szybą.

Pomieszczenie świeciło pustkami. Łóżko było starannie zaścielone, z całą pewnością nikt w nim nie spał.

– Nikogo nie ma – odparł zafrasowany Pawłowski. – Nawet Marka. Już dawno powinien był wrócić.

– Słuchaj pan... A co mu dolegało? Może pojechali na jakiś nocny dyżur do lekarza? – zapytał mężczyzna z błyskiem nadziei w oczach.

– Nie sądzę. Miał dreszcze, był lekko przeziębiony. Raczej nie dałby się namówić na wizytę u doktora z czymś tak mało poważnym. Renia co prawda chciała wracać do siebie sama, ale nalegał, że ją odwiezie. Ma poczucie obowiązku, tak go wychowałem. Gdyby faktycznie bardzo źle się czuł, to pewnie zamówilibyśmy taksówkę, żeby dziewczyna nie wracała samotnie po nocy.

Jego słowa ani trochę nie uspokoiły Kołodzieja, zresztą Karol też odczuwał zdenerwowanie.

– Coś się stało – stwierdził niespodziewany nocny gość. – No bo raczej nigdzie indziej by nie poszli, prawda?

– Nie. Nie sądzę.

– Karolu, z kim tam rozmawiasz? – dobiegło z sypialni wołanie Matyldy.

– Renia i Marek gdzieś przepadli. Pan Kołodziej przyszedł do nas, by szukać swojej córki!

– Jak to przepadli? – Zdenerwowana kobieta stanęła w drzwiach pokoju.

– No... Nie ma ich. Renata nie wróciła na noc do domu. Zamartwialiśmy się z żoną, bo to taka mądra i dobra dziewczyna, zwykle dawała nam znać, o której będzie – powiedział skonsternowany ojciec. – Pewnie spotkało ich coś złego!

– Fatalnie! A może stan Marka uległ pogorszeniu i jednak pojechali razem do doktora? – zasugerowała kobieta bez większego przekonania.

Znała swojego pasierba wystarczająco, by wiedzieć, że unikał wizyt u lekarzy. Ona była wprawdzie kardiologiem, ale siłą rzeczy miała też

podstawową wiedzę internistyczną i już poprzedniego dnia rano sama mu sugerowała, aby poszedł do przychodni albo przynajmniej został w łóżku zamiast szwendać się po mieście.

– Wątpię – odparł Karol. – Wie pan co? Proszę wejść do pokoju. Musimy zadzwonić na pogotowie i obdzwonić szpitala. Najlepiej zacząć od Żeromskiego. Zapytamy, czy nie było wieczorem jakiegoś wypadku. Albo czy nie przewieziono na ostry dyżur naszych dzieci.

– Zaparzę kawę – oznajmiła Matylda i podreptała do kuchni.

Karol sięgnął po aparat i książkę telefoniczną. Odnalazł numer na izbę przyjęć.

– Proszę powtórzyć nazwisko.

– Pawłowski. Marek Pawłowski.

– Pa-włow-ski – przesyłabizowała za nim kobieta. – Nie, nie ma!

– A może trafił ktoś bez podawania nazwiska? Młody mężczyzna, wysoki, szczupły, długie włosy...

– A tego nie wiem, bo ja ich nie widuję. Ale nie ma zapisu o NN.

– A Renata Kołodziej? Ko-ło-dziej – powtórzył Karol do słuchawki.

– Niechże pan poczeka, już patrzę do książki przyjęć.

Stuknęła odkładana na blat słuchawka. W aparacie zapadła cisza, jeśli nie liczyć szelestu przewracanej kartki. Nieco uspokojony Karol pociągnął w tym czasie łyk mocnego naparu. Nadal dręczył go niepokój o to, gdzie zniknął syn, lecz rozpaczliwie wierzył, że nie wpadł w żadne tarapaty. Wciąż czuł na sobie spojrzenie Janusza.

– Jeśli tam ich nie ma, to zadzwonimy zaraz na policję – oznajmił Kołodziejowi. W tej samej chwili usłyszał trzask w słuchawce

– Halo? To miała być Renata? – rozległ się znowu kobiecy głos.

– Tak. Renata Kołodziej.

– Ano mamy tutaj taką. Przed chwilą ją przywieźli, dlatego jeszcze nikt do pana nie zdążył zadzwonić. Znaczący przywiozła ją karetka pogotowia. I policjanci.

– Co się stało? Był z nią ktoś jeszcze? – wykrzyknął zdenerwowany Karol.

– Panowie mówią, że została pobita i chyba zgwałcona. Jest sama, nikogo z nią nie było.

Pawłowski zamienił jeszcze parę słów z kobietą, a potem spojrzał na

struchlałego gościa.

– Pana córkę pogotowie przywiozło na ostry dyżur. Była sama. Faktycznie zaszło coś bardzo złego. Nasze dzieci zostały prawdopodobnie napadnięte! Nie mam pojęcia, gdzie przepadł Marek!

Powtórzył to, co usłyszał od kobiety, z którą rozmawiał.

Kołodziej jęknął i zasłonił usta dłonią.

– Moja córka!

– Trzeba szybko jechać do szpitala! – stwierdziła Matylda, która jako jedyna zachowała przytomność umysłu. – Ubieraj się! – fuknęła na zeszywniałego z przerażenia męża. – Może są tam policjanci i będą mieli jakieś informacje o Marku? Może on nadal jest w miejscu, gdzie znaleziono Renatę?

– Mogę zadzwonić do żony? – zapytał Janusz.

– Ależ oczywiście, niech pan dzwoni. Możemy ją zabrać w drodze do Żeromskiego.

W szpitalu usłyszeli, że na izbę przyjęć przywieziono tylko dziewczynę. Skrajnie przerażona, pobita i zgwałcona trafiła na ostry dyżur, gdzie z miejsca zaaplikowano jej środki uspokajające. Gdy dotarli Pawłowscy i Kołodziejowie, poddawana była badaniom i zabiegom opatrunkowym. Matka Reni, Elżbieta, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Wszyscy dociekali, co też mogło zająć, lecz funkcjonariusze niewiele mieli do powiedzenia. W chwili, gdy zostali wezwani, poszkodowana była sama, jakiś przechodzień znalazł ją błąkającą się po ulicy. Nawet nie tyle błąkającą, co biegnącą w panice. A ponieważ jej wygląd wzbudzał poważny niepokój, mężczyzna postanowił zaryzykować wezwanie policji. Funkcjonariusze powiadomili pogotowie i tak ofiara trafiła pod opiekę lekarzy.

– Jesteście pewni, że nie było przy niej młodego mężczyzny? – dopytywał przygnębiony Karol. – Mój syn wyszedł, by odprowadzić ją do domu. Nie wrócił do tej pory, martwię się o niego.

Policjanci spojrzeli po sobie i zaczęli wypytywać o Marka, jakby podejrzewali, że to on miał coś wspólnego z napaścią na dziewczynę.

– Ludzie, co wyście sobie ubzdurali? – oburzył się Pawłowski. – On świata nie widział poza Renatą. Bardzo ją kocha i z całą pewnością nie zrobiły jej krzywdy. Zresztą ona też jest w nim zakochana, i z tego co wiem, sypiają ze sobą regularnie. Nigdy w życiu nie uwierzę, że mógłby ją pobić i zgwałcić. Nie mój syn, do jasnej cholery!

Na szczęście nie było przy tym państwa Kołodziejów. Ciężko byłoby mówić o intymnych sprawach młodzieży w ich obecności.

– No to co pan sugeruje?

– Że był razem z nią, gdy na nich napadnięto. Jak znam mojego Marka, broniłby ukochanej kobiety jak lew! Prawdopodobnie został pobity jeszcze dotkliwiej niż ona i leży gdzieś nieprzytomny, czekając na pomoc! Gdzie znaleźliście dziewczynę?

– Przy rondzie Piastowskim – odparł jeden z funkcjonariuszy i zwrócił się do kolegi: – Trzeba dać znać do bazy, niech puszczą tam jeszcze jeden patrol. My, niestety, musimy zakończyć tutaj czynności, do których zostaliśmy wezwani. To wszystko, co mogę zrobić dla państwa w tej sprawie.

Karol podziękował.

– Jedziemy – powiedział do Matyldy. – Nic tu po naszej obecności. Trzeba szukać Marka. Pożegnaj się tylko z Kołodziejami.

Ruszył chwiejnym krokiem do Janusza. Mężczyzna stał kilkanaście metrów dalej, przed drzwiami pokoju, w którym udzielano pomocy jego córce.

– Bardzo pana przepraszam, ale muszę jechać na poszukiwania syna – powiedział łamiącym się głosem. – On... On chyba został tam, gdzie... O matko! – jęknął przerażony. – Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Proszę jechać. Dziękuję za pomoc. – Janusz uścisnął dłoń Pawłowskiemu. – Niech Bóg ma go w swojej opiece. To dobry chłopak. Oby pan odnalazł go żywego.

Kołodziej klapnął ciężko na krzesło obok zapłakanej Elżbiety.

Karol wrócił do Matyldy i razem opuścili szpital. Gdy wyjechali na ulicę, pokrótce przedstawił żonie swój plan.

– Zapewne Marek leży nieprzytomny gdzieś w chaszczach, które porastają ten pusty teren w pobliżu ronda. Muszę go poszukać. Zawiozę cię do domu, będziesz siedziała przy telefonie na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił. Ja wezmę latarkę i pomogę policjantom w poszukiwaniach. Wierzę, że on gdzieś tam leży. A gdyby... Gdybyś miała jakieś wiadomości, to wezwiesz taksówkę i przyjedziesz do mnie.

– Tak, masz rację. Chyba nie pozostaje nam nic innego.

– Zadzwonź w razie czego do Adka i do Wiolki. Zapytaj, czy jakimś cudem Marek nie dotarł do któregoś z nich. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem!

– Pacnął się dłonią w czoło. – Mógł być w szoku i po prostu pojechać w pierwsze miejsce, jakie przyszło mu na myśl.

– Słuchaj, to może wstąpmy po drodze na Albertyńskie? Trzeba sprawdzić, czy przez przypadek tam nie dotarł. Mieszkaliście tam długie lata. Jeśli jest w szoku pourazowym, to mógł skierować kroki pod adres, który kojarzy mu się z czasem bezpiecznego dzieciństwa.

– Masz rację! Może faktycznie tam go znajdziemy?

Poszukiwania Marka spełzły na niczym. Karol wspólnie z policjantami przeczesywał teren. Wezwano nawet patrol z psem, lecz na nic się to zdało, gdyż owczarek niemiecki w ogóle nie podjął tropu. Pawłowski błagał wręcz funkcjonariuszy, by nie poprzestawali, lecz ci odmówili dalszej penetracji odludzia.

– Ale jest pan całkowicie pewien, że on tutaj dotarł? Może nie było go z tą dziewczyną? Może jest już w domu, cały i zdrowy?

– To absolutnie niemożliwe, by puścił Renatę samą. Ręczę za niego! On musi gdzieś tu być. Może zdołał uciec i teraz leży w tym deszczu i moknie? A może to przez ten deszcz pies nie może złapać tropu?

– Wątpliwe. Proszę wracać do domu i czekać cierpliwie na syna.

– Nie, błagam... Nie przerywajcie poszukiwań. On był chory. Przeziębiony. Może też został pobity i nie ma sił, by zawołać o pomoc?

– Mamy procedury i musimy ich przestrzegać. Według mojego rozeznania tutaj wszystko zostało sprawdzone. A ta kobieta, która rzekomo z nim była, mówiła coś?

– Nie. Ale jest w szoku i nie kontaktuje.

– Fatalnie – westchnął mundurowy. – Byłoby nam o wiele łatwiej, gdyby cokolwiek potwierdziła. Może jednak nie dotarł tutaj razem z nią? – ponowił sugestię.

– Nie wierzę. Nie mój syn. To odpowiedzialny chłopak.

– Jasne, wszyscy rodzice tak mówią. A pan nigdy nie miał dwudziestu lat? Nie odwalił pan rodzicom żadnego brzydkiego numeru?

Karol zwiesił ramiona i przypomniał sobie, jak przed laty uciekł z domu i wraz z grupą przyjaciół włóczył się wokół Jeziora Rożnowskiego. Tylko że on miał ku temu istotne powody, a Marek nie.

– Nalegam na dalsze poszukiwania – odparł.

– Szanowny panie, to nie ma sensu. A jeśli chłopak nie wróci w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od opuszczenia mieszkania, to wtedy trzeba będzie

oficjalnie zgłosić zaginięcie.

W końcu zdruzgotany mężczyzna dał się przekonać. Wracał z poczuciem, że coś zostało zaniedbane lub przeoczone. Świtało, gdy dotarł do mieszkania. Był wykończony, nerwy miał w strzępach. Nawet nie czuł chłodu, nie przeszkadzało mu przemoczone ubranie. Umierał ze strachu o syna.

– Nikt nie dzwonił, prawda? – odgadł, gdy zobaczył zafrasowaną minę Matyldy.

– Przykro mi, Karolu.

Wyciągnęła dłoń, by pogłodzić go po szorstkiej od zarostu twarzy. Wtulił policzek w jej ciepłe palce.

– A Adrian? Wiola?

– U nich też go nie było. Obydwoje chcieli tutaj przyjechać, ale wybiłam im to z głowy.

– No i dobrze. Jeszcze tego brakowało, by i Wiołkę ktoś napadł.

– Dobry Boże... Jak sobie przypomnę o tej biednej dziewczynie! Takie nieszczęście! – westchnęła Matylda. – Mam nadzieję, że Marek się znajdzie.

– Musi! Przecież ludzie nie znikają ot tak! Boże... Mój syn!

W mokrym płaszczu i uszarganych butach klapnął ciężko na fotel.

– Rozbierz się – poprosiła żona. – Jesteś cały przemoczony i przemarznięty! Zaraz podam ci gorącą herbatę.

– Co ja mam zrobić? Co robić? Aniele mój! – Objął kobietę w pasie i przyciągnął do siebie. Wtulił twarz w jej brzuch. – Poradź mi coś, Matyldziu, bo chyba zwariuję!

Serce jej krwawiło, gdy patrzyła na tę rozpacz przemieszana ze strachem. Pogłaskała go po mokrych włosach.

– Wszystko będzie dobrze, Karolku. Wszystko będzie dobrze – próbowała go pocieszyć.

Nagle z przedpokoju dobiegło ciche szcęknięcie zamka.

– Marek! – wykrzyknął Pawłowski, zrywając się z fotela. Wybiegł na korytarz, a w ślad za nim żona.

Do mieszkania rzeczywiście wchodził młody mężczyzna. Wyglądał jak prawdziwe nieszczęście: mokry i zmarznięty. Z opuchniętym, czerwonym nosem, podkrążonymi oczami o przekrwionych spojówkach.

– Dobry Boże! Jesteś! – wykrzyknął Karol, porywając ślaniającego się na

nogach syna w objęcia. – Gdzieżeś ty był? Nic ci nie jest? – Odsunął go na wyciągnięcie ramion.

Marek wyglądał na zaskoczonego niecodziennym przyjęciem. Niejeden raz przychodził z imprez nad ranem. Odkąd wrócił z wojska, nie tłumaczył się ojcu ze swoich kroków, był przecież dorosły.

Pawłowski ze zdziwieniem stwierdził, że synowi właściwie nic nie dolega. Na jego twarzy i ubraniu nie było śladów pobicia. Uciekał wprawdzie wzrokiem w bok, lecz nic nie wskazywało na to, by i on padł ofiarą napaści.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – zapytał ponownie.

– No jak to? – zdziwił się syn. – Odwoziłem Renatę i trochę mi zeszło.

– Co? – wykrzyknęli jednocześnie ojciec i macocha.

– Odwoziłem Renatę – powtórzył.

W tej samej chwili dłoń Karola wyprzedziła jego myśli, opadając z nieprzyjemnym trzaskiem na policzek chłopaka.

– Ty zakłamany gówniarzu! Ty podły kłamco! Odprowadzałeś Renatę? Łziesz jak pies! – zaczął krzyczeć.

Przestraszona Matylda przyglądała się awanturze z boku. To wszystko nie dawało jej spokoju i miała już pewną koncepcję, lecz jeszcze zwlekała z wygłoszeniem przemyśleń.

– Daj spokój, tato! – wybełkotał Marek.

Kobieta pociągnęła nosem, lecz nie poczuła charakterystycznego zapachu wódki. Tymczasem pasierb wyglądał na otumanionego.

– Karolu... To na nic! – Powstrzymała męża przed wymierzeniem kolejnego ciosu. – On jest pod wpływem narkotyków!

Pawłowski spojrzał z niedowierzaniem na żonę.

– Co ty mówisz?

– Popatrz na jego źrenice. Jest naćpany!

Słowa Matyldy tylko go rozjuszyły. Złapał syna za włosy, z całych sił zacisnął na nich palce.

– Ty idioto! Ty kretynie! – wykrzykiwał w amoku. – Najarałeś się, tak? Zamiast odwieźć dziewczynę do domu, poszedłeś... Poszedłeś... – Te straszne słowa nie chciały mu przejść przez gardło, lecz w końcu je wykrztusił: – Wysłałeś ją samą po nocy i poszedłeś ćpać?

– Puść – poprosił Marek zbolalym tonem.

– Nie! Miarka się przebrała! Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Nie tak cię wychowałem! Ty cholerny ćpunie! – wrzeszczał.

– Karolu! – Mężczyzna poczuł na ramieniu dotyk żony. – Zostaw go. To na nic. Porozmawiasz z nim, jak do siebie dojdzie.

– Tak, masz rację. Nie ma sensu szarpać się z tym warzywem – powiedział z goryczą i pogardą.

Uchylił drzwi do pokoju Marka i zawlókł tam bezwolnego syna. Nie zadając sobie trudu, by zdjąć z niego ubranie oraz buty, pchnął go na zaścielone łóżko.

– Ten gnój nie potrzebuje większych wygód. Niech no tylko oprzytomnieje, już ja sobie z nim porozmawiam! – rzucił, wychodząc z pomieszczenia.

Ogarnięta litością Matylda rozsypała sznurówki w butach i zsunęła je ze stóp chłopaka. Pomogła mu zrzucić kurtkę, a potem okryła go kocem. Później dołączyła do męża.

Karol stał w salonie i wyglądał przez okno na budzące się ze snu miasto. Deszcz wciąż padał, pogrążając o parapet i szyby. Kobieta podeszła bliżej. Stała za plecami mężczyzny, objęła go w pasie i położyła policzek na ramieniu ukochanego. On przykrył dłońmi jej dłonie.

– Spokojnie, skarbie. Nie wiadomo, co było powodem, dla którego doprowadził się do takiego stanu.

– Brak odpowiedzialności, ot co! – stwierdził. – Puścił dziewczynę samą po to, żeby ćpać! Zamiast chronić, naraził ją na niebezpieczeństwo.

– A jeśli też został pobity? Jeśli widział wszystko, nie był w stanie jej obronić, a potem z rozpaczyny sięgnął po prochy? To, że nie ma zmasakrowanej twarzy, wcale nie oznacza, że nie dostał lania. Może ma siniaki pod ubraniami? Powinam była go obejrzeć – stwierdziła.

– Może i masz rację? Chciałbym wierzyć w tę wersję, ale to jest tak mało prawdopodobne! On już od dłuższego czasu mnie niepokoi – przyznał, strapiiony. – Nie jestem w stanie do niego dotrzeć i nie potrafię skutecznie mu pomóc.

Odsunął się od Matyldy i ukrył twarz w dłoniach.

– Do dupy z takim ojcem jak ja – oświadczył. – Dzieci nie mają we mnie oparcia. Wiola pozwoliła, by wykorzystał ją jakiś bydlak, Marek sięgnął po narkotyki. Strach pomyśleć, z jakimi problemami może zmagać się Adrian...

– Kochanie, nie mów tak! – perswadowała łagodnie kobieta. – Jesteś dobrym ojcem. Najlepszym, jakiego mogli sobie wymarzyć. Poświęciłeś się dla nich,

zastąpięś im zmarłą matkę! Teraz to są niezależni i dorośli ludzie! Sami podejmują decyzje, które pociągają za sobą pewne konsekwencje. Karol! Możesz ich wspierać, być blisko, ale nie przeżyjesz za nich życia! Czy chcesz, żebym zadzwoniła do ośrodka i powiedziała, że nie przyjadę dzisiaj do pracy? Zostać z tobą w domu?

– Nie. Nie ma takiej potrzeby, skoro ten gałgan wrócił. Jak się wyśpi, wyjaśnimy sobie to i owo po męsku. A potem pomyślę, co dalej. Strasznie mi przykro z powodu tej biednej dziewczyny. Poniekąd też ponoszę winę za to, co zaszło. Powinienem był wezwać dla niej taksówkę, bo Marek faktycznie źle wyglądał wieczorem. Może rzeczywiście nie był w stanie jej obronić i stąd ta rozpacz plus prochy? – powiedział z nadzieją, choć w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że akurat ta nadzieja jest matką głupich.

Właściwie jednego głupca. Karola Pawłowskiego.

Przeciwko synowi przemawiało zbyt wiele. Musiał gdzieś kupić narkotyki. Dobrze wiedział, gdzie może dostać je nocą. Przecież nie nabył ich w całodobowym supermarkecie. Nie był posiniaczony. No i kłamał. Ewidentnie łągł, że odwoził Renatę do domu.

– Powinieneś zadzwonić do Adriana i Wiolki. Daj im znać, że Marek już wrócił, bo na pewno zamartwiają się o niego. Choć wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby lada moment dotarli tutaj – stwierdziła Matylda.

– Tak, masz rację. Zaraz to zrobię. Wolałbym, żeby teraz nie przyjeżdżali, bo jak już Marek dojdzie do siebie, czeka nas poważna konfrontacja. Lepiej, by odbyła się w cztery oczy. Muszę zgłosić urlop na dzisiaj – westchnął.

Podszedł do stolika, na którym stał aparat telefoniczny. Ujął w dłoń słuchawkę i najpierw wybrał numer do córki. Po rozmowie z dziećmi zadzwonił na uczelnię i oznajmił, że nagłe sprawy rodzinne zmuszają go do wzięcia wolnego dnia. Przeprził za zaistniałą sytuację.

Kiedy Matylda wyszła do pracy, usiadł z kubkiem mocnej kawy w dłoni i popadł w zadumę. Mimo niemalże nieprzespanej nocy nie odczuwał potrzeby snu. Powrócił myślami w lata własnej młodości, do swoich doświadczeń z alkoholem, marihuaną i LSD. Do czasów, gdy uciekł wraz z grupą hippisów – na przekór rodzicom, którzy, takie miał wówczas wrażenie, zniszczyli jego życie swoimi kłamstwami. Tamte bolesne sprawy już dawno uległy przedawnieniu. Odbudował serdeczne relacje z ojczymem, przeprził matkę. Był z nimi blisko, kochał ich, szanował. Zrozumiał motywy, którymi wówczas się kierowali, choć z tamtego okresu została mu głęboko zakorzeniona niechęć do konfabulacji.

Nie ma nic gorszego od łągarstwa – tego uczył swoje potomstwo. Życie należy

budować na prawdzie, jakakolwiek by była.

Błędy młodości... Któż z nas ich nie popełnił? Nie zdołam ustrzec przed nimi moich dzieciaków – stwierdził z ogromnym smutkiem. Dojrzywałem w trudnych czasach, ale im teraz nie jest nic lżej niż mnie. Mają inne problemy i trudności, lecz ich ranga wcale nie jest mniejsza. Może nawet jest jeszcze gorzej, niż było? Bo teraz wszyscy ulegają jakiemuś paskudnemu owczemu pędowi. Wyścigowi szczurów, w którym nie ma nagrody, a są same kary. Trzeba być najlepszym, najszybszym, zabłysnąć na topie. Bo kto nie idzie do przodu, ten już nie tylko nie stoi w miejscu, ale wręcz się cofa. Jak mam pomóc Markowi i Wioli?

[5] Fragment utworu *Nic zamieszkują demony*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

Rozdział 4

Ciemne chmury

Nosił czarną koszulę, miał oczy pełne łez, a na imię Benjamin

Nie było takich miejsc, w których nie chciałby być

Płakał z deszczem i nocą, gdy szukał swoich gwiazd [6]

Karol zajrzał do pokoju syna i zobaczył, że chłopak jeszcze śpi, zwinięty w kłębek.

– Tak bardzo chciałbym wierzyć, że nie zawiniłeś – stwierdził ze smutkiem.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa Marek drgnął i zaczął się budzić. Widać było, że nocna eskapada nie poprawiła jego samopoczucia. Kaszel, który męczył go od kilku dni, przybrał na sile i to właśnie jego atak na dobre wytrącił młodego ze snu.

– Raczyłeś się wyspać? – zapytał kąśliwie Pawłowski.

Syn uniósł głowę i spojrzał na ojca. Choć był przykryty kocem, drżał. Na jego twarzy lśnił skroplony pot, a spieczone usta łaknęły choćby zwilżenia wodą.

– Pamiętasz cokolwiek z minionej nocy?

W umyśle chłopaka pozostały tylko przebłyski pamięci. Odprowadził Renatę na przystanek. Pomachał ręką, gdy wsiadła do tramwaju. Potem poszedł do Pawła. Pierwszą działkę wziął na pobliskiej ławce. Po niej poczuł zadziwiająca moc. Gdyby zechciał, przenosiłby góry. Biegał w rześkim deszczu i śmiał się, to znowu płakał. A potem znowu dopadło go poczucie beznadziejności. Skulony i zapadnięty w sobie, siedział na jakimś murku. Na powrót przytłoczyła go ponura, wręcz upiorna rzeczywistość. Wtedy wziął drugą działkę, lecz euforia już nie wróciła. Było mu zimno i źle, więc poczłapał do domu. Pamiętał dziwne zachowanie ojca i krzyki Matyldy, ale to wszystko stanowiło jedną wielką, burą plamę.

– Co się stało? – Spojrzał na Karola.

– Ha! Sam chciałbym wiedzieć, jak to możliwe, że nie odprowadziłeś Renaty. Wszak po to z nią wyszedłeś? – uniósł się mężczyzna.

– Skąd wiesz, że jej nie odprowadziłem? Dzwoniła?

– Przypuszczam, że nieprędko zadzwoni. O ile w ogóle to zrobi. W drodze do domu została pobita i brutalnie zgwałcona. Jest w szpitalu. Możesz mi powiedzieć, co było ważniejsze od zapewnienia bezpieczeństwa dziewczynie? Co, narkotyki?

Słyszając to, Marek jęknął przeraźliwie i złapał się za głowę.

– Co ty mówisz?

– Mam powtórzyć? Ktoś ją zgwałcił! Trzy kilometry stąd! W okolicy ronda Piastowskiego!

– Ale... Ale przecież ona pojechała tramwajem... Jak to możliwe?

– Pojechała? A ty? Czemu ciebie nie było w tym tramwaju? Co tak ważnego porabiałeś, gdy ją krzywdzono? Wciągałeś kreski? A może dawałeś sobie w żyłę? Wiesz, co ja przeżyłem w nocy? O drugiej przyjechał tutaj Janusz Kołodziej! Szukał córki. Obdzwoniliśmy szpitale i okazało się, że karetka przywiozła zmalretowaną Renatę na ostry dyżur w Żeromskim. Twoja dziewczyna została dotkliwie pobita. Była sama, bez ciebie! A ja... Ja myślałem... Kurczę! Ty idioto! Byłem niemalże pewny, że ciebie zabili! Przez pół nocy razem z gliniarzami przeczesywaliśmy krzaki, wypatrując twojego ciała. A wcześniej... Wcześniej padło podejrzenie, że to ty ją tak urządziłeś! – wrzeszczał z palcem wskazującym skierowanym oskarżycielsko w stronę syna. – Omal nie zszedłem na zawał! Boże! Powinienem cię zabić! Zapewniałem policjantów, że ty też musiałeś oberwać. Błagałem, żeby nie przerywali poszukiwań. Przysięgałem Kołodziejowi, że byłeś z Renatą. A on mi współczuł, gdy usłyszeliśmy, że znalazła się tylko jego córka! Myśleliśmy o najgorszym! W tym czasie ty siedziałeś naćpany w jakiejś dziurze!

Skulony Marek słuchał tego wszystkiego z przerażeniem. Nie mógł uwierzyć w tę dramatyczną wiadomość.

To nieprawda. To jakiś popieprzony sen. Zaraz się obudzę! Zaraz się, kurwa, obudzę! – myślał, szczypiąc dyskretnie własny bok.

– Nie wierzę! Okłamujesz mnie! To jakiś głupi żart! – krzyknął.

W tym momencie ojciec złapał go jedną ręką za skosmaczone włosy, drugą wymierzył cios w szczękę.

– A teraz do ciebie dotarło? Pojąłeś w końcu, coś narobił? Jeśli nie jesteś w stanie zapewnić bezpieczeństwa własnej dziewczynie, to znaczy, że jesteś zwykłym szmaciarzem, a nie mężczyzną, i nie zasługujesz na to, by z nią być!

Puścił syna i z obrzydzeniem wytarł palce o spodnie. Wyszedł z pokoju. Nie miał już nic więcej do dodania.

Marek został sam z najczarniejszymi myślami. Ostatecznie zrozumiał, że słowa ojca nie były żadnym głupim żartem, próbą ukarania go za to, że wrócił do domu naćpany. Przez chwilę siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, kiwając się w przód i w tył. W końcu wstał, sięgnął po leżącą na krześle ramoneskę. Włożył buty.

– A ty dokąd? – zapytał ojciec, widząc go stojącego w przedpokoju.

– Jadę do szpitala.

– Pomyślałeś, jak spojrzysz w oczy Renacie i jej rodzicom? Jak wytłumaczysz tym ludziom, co robiłeś przez pół nocy, czyli w czasie, gdy ktoś skrzywdził ich dziecko?

– Nie. Ale muszę tam jechać.

Karol pokiwał głową i odwrócił się plecami do syna.

– Nie zapomnij powiedzieć dziewczynie, w jakim stanie przylazłeś do domu. Bo jak ty jej tego nie powiesz, to sam to zrobię. Aha! – rzucił przez ramię. – Do tego tematu jeszcze wrócimy!

– Musimy akurat dzisiaj iść do babci? – burczała niezadowolona Małgorzata, wchodząc po schodach w ślad za tatą.

– Oczywiście. Dzień równie dobry jak każdy inny. A ty już dawno u niej nie byłaś. Jeszcze się obrazi. Na pewno babci jest przykro, bo teraz to w ogóle do niej nie zaglądasz.

– Ale przecież babcia sama mówiła, żebym do niej nie przyjeżdżała.

– Miała na myśli to, żebyś nie przyjeżdżała bez opieki. Chodź szybciej, nie marudź! – strofował ją ojciec.

– No dobra, przecież idę!

W tym samym czasie gdzieś u góry trzasnęły drzwi mieszkania. Nastolatka zadygotała ze strachu, czy przypadkiem nie jest to Bolek. Na szczęście ktoś zaczął zbiegać po schodach tak szybko, że aż dudniło. Sadziło nie mógłby pędzić w takim tempie. Na półpiętrze Szymczakowie stanęli twarzą w twarz z Małkówną. Gosia zamarła i obrzuciła przyjaciółkę spłoszonym wzrokiem. Ta oblała się głęboką czerwień rumieńca, spuściła głowę i bez słowa pognęła dalej.

– Ej, Gocha... A to nie była czasami ta twoja najlepsza koleżanka? Co za niewychowane dziewczuszyko! Żeby nie powiedzieć nawet „dzień dobry”? Toć jej matka pracuje w atelier! Choćby z tego powodu winna okazywać odrobinę szacunku! – utyskiwał.

– Nie! Wydawało ci się, tato! – zaprotestowała córka, lecz on nie dał sobie zamydlić oczu. Coś w tym wszystkim wzbudzało jego nieufność, no bo niby skąd Małkówna wzięłaby się w klatce schodowej akurat tego bloku? A ponieważ właśnie dotarli na miejsce, postanowił, że wróci do tematu później.

– Paweł, Gosiula! Jak dobrze, że w końcu żeście mnie odwiedzili! – wykrzyknęła na ich widok Sabina.

Syn zaniósł do kuchni ciężką torbę z zakupami. Matka wylewnie mu za nie podziękowała. Coraz trudniej przychodziło jej wiązanie końca z końcem, bo czegoż ona mogła nakupić ze swej niewysokiej renciny? I tak trzeba było się cieszyć, że ZUS przysyłał świadczenie w całości i terminowo, bo Danka wciąż beczała, że jej szef, cholerny prywaciarz, od trzech miesięcy zalega z wypłatą wynagrodzenia. Dobrze więc, że choć syn jej czasami pomógł. A i niełatwo było pójść samej do sklepu, a potem dźwigać wszystko własnymi rękami.

Stara śpiewka – westchnęła wnuczka, zajmując miejsce na wygniecionej wersalce.

Przez całą wizytę siedziała jak na szpilkach i, czego nie robiła nigdy wcześniej, z dużą uwagą słuchała rozmowy babci z ojcem. Na szczęście tato miał na głowie jakieś ważniejsze sprawy. Pomyślała, że zbagatelizował spotkanie z Julitą. Jakież to mogło mieć dla niego znaczenie, że minęli ją na schodach?

Zgnębiony Marek stał na przystanku tramwajowym, z trudem panując nad tym okropnym dygotem, który znowu ogarniał jego ciało. Teraz do kompletu nieprzyjemnych bodźców doszedł jeszcze paniczny strach przed spojrzeniem w oczy ukochanej dziewczynie.

Ona mnie znienawidzi – myślał.

Chwilowo wszystkie inne problemy zeszły na boczny tor, choć chłopak brał pod uwagę możliwość, że znienawidzi go nie tylko Renia, lecz również jej rodzice oraz jego rodzina. A jeśli wieść rozniesie się wśród znajomych, to i oni nie zostawią na nim suchej nitki. Czuł się jak szmata.

Co ja bym dał, żeby nie musieć znosić tego wszystkiego. Gdyby choć jedna mała działeczka na rozluźnienie! Dla odwagi. Na odpędzenie tych cholernych demonów, które chcą mnie pożreć!

Na samą myśl o narkotykach dygot przybrał na sile.

Nie mógł znowu zaćpać. I tak nie miał za co. A poza tym, jak tu się pokazać

Renacie? Tyle razy prosiła, by nie brał, a on składał obietnice, że rzuci prochy. Nigdy nie dotrzymywał słowa.

Tak rozmyślając, wszedł do tramwaju. Skasował bilet. Włożył rękę do kieszeni jeansów i wygrzebał stamtąd parę drobnych monet. Nie miał nawet na kwiaty dla dziewczyny. Może wystarczyłoby przynajmniej na jedną ciętą różę?

Tylko czy kolczasty badyl odkupi choć minimalnie jego winę? Bo Marek był winny temu, co zaszło – bez dwóch zdań.

Wyrzucił z pamięci problem kwiatka, gdy pojazd przejeżdżał przez rondo Piastowskie. Serce ścisnął mu nieprzyjemny skurcz. *To stało się gdzieś tutaj! Tylko czemu? Przecież widziałem na własne oczy, jak wsiadała do tramwaju. Dlaczego go opuściła? Czy ktoś ją do tego zmusił?*

Nie pamiętał już szczegółów minionego wieczoru. Obraz rozstania z ukochaną rozmywał się w jego wspomnieniach. Znacznie bliższy był ten, gdy brał drugą porcję heroiny, choć jeszcze nie do końca przestała nań działać pierwsza.

Tramwaj dojechał do alei Jana Pawła II. Jeszcze chwila i Marek mógł opuścić hałaśliwy pojazd. Zakręciło mu się w głowie, gdy wyskoczył na przystanek. Nic dziwnego, skoro nie jadł nic od wczorajszego obiadu. Matylda wprawdzie przygotowała dla wszystkich kolację, lecz on nie był głodny. Adrian skutecznie pozbawił go apetytu, wspominając o likwidacji Silver Star.

Drobniaków wystarczyło na precla z solą. Dobrze i to. Kwiatka dla Reni nie będzie, trudno. Czy dziewczyna w jej stanie myśli o takich bzdurach?

Czas brać się serio do życia – stwierdził, skubiąc zębami stwardniałe ciasto. *Dość już narozrabiałem! Jak teraz iść do szpitala?*

Jakby mało było tego, że narozrabiał, to jeszcze zdawał sobie sprawę z żalostnego wyglądu. Po nocy spędzonej w parku oraz w jakiejś klatce schodowej jego ubranie nasiąknęło wilgocią i niezbyt świeżo pachniało. Był nieogolony, a włosy sterczały mu niechlujnie. Kiedy wychodził z domu, w ogóle nie myślał o takich drobiazgach, pragnął jak najszybciej dotrzeć do Renaty, a groza wywołana zaistniałą sytuacją przesłaniała wszystko inne. Teraz odczuwał wstyd za niedostatki higieny, lecz było za późno na to, by zawrócić i doprowadzić się do porządku.

Dopytał na izbie przyjęć o oddział, na którym umieszczono dziewczynę. Z daleka zobaczył idących Kołodziejów. Janusz obejmował zapłakaną Elżbietę. Pod wpływem impulsu Pawłowski przystanął za załomem korytarza. Minęli go, nie rozglądając się wokół. Nawet nie usłyszał, o czym mówią, był zbyt wystraszony. Jeszcze nie miał odwagi, żeby spojrzeć im w oczy. Nie

wiedział, co mógłby im powiedzieć. Na razie najważniejsza była Renia.

Idąc korytarzem, spoglądał na numery pomieszczeń. Mijał lekarzy i pielęgniarki. Drażnił go zapach szpitala – okropna mieszanina lizolu, leków, chorób i diabli wiedzą czego. Żołądek podchodził do wyschniętego na wiór gardła. Pragnienie spotęgowane preclm z solą nieludzko dokuczało Markowi. Chłopak odnosił wrażenie, jakby wszystkie bodźce docierały do niego w znacznym zwielokrotnieniu – niczym kara za zaniedbanie, którego się dopuścił.

W końcu znalazł poszukiwane przez siebie miejsce. Poczłł nieprzyjemny ucisk w piersi, gdy naciskał klamkę polakierowanych na biało drzwi.

Szara twarz Renaty odcinała się od sztywnej, szpitalnej pościeli. Kosmyki włosów leżały rozsypane na poduszce. Jedno oko niknęło pod groteskowo nabrzmiałą powieką. Dolna warga była nie mniej spuchnięta – zmieniona w krwawą miazgę. Na kołdrze spoczywały ręce dziewczyny. Wzrok Marka przyciągnęły otarcia na nadgarstkach i połamane paznokcie.

Czy bronila się jak lwica?

Z całą pewnością, w przeciwnym razie nie byłaby może aż tak poturbowana.

Pawłowski przytknął zaciśniętą pięść do ust i mocno ją zagryzł. Płakał – pierwszy raz od niepamiętnych czasów, może od śmierci matki.

– Mój promyczku słońca. Moja iskierko – powiedział szeptem.

Wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie jej palców. Śpiąca drgnęła niespokojnie, a potem otwarła oko, które nie zapuchło po pobiciu. Zobaczył w nim strach. Krzyknęła.

– To ja, Reniu. Nie bój się – próbował ją uspokoić, równie przerażony.

Widać dopiero teraz go rozpoznała, ponieważ krzyk zamarł w jej gardle. Oddychała jednak nerwowo i cofnęła dłoń.

– Przepraszam – powiedział zdławionym, niepodobnym do niego głosem. – Przepraszam, że nie odprowadziłem cię do domu. Zawiodłem na całej linii. Przepraszam!

– Marek – szepnęła. – Ty tutaj... Mówili mi, że zaginałeś.

– Kto?

– Mama i tato. Pytałam ich o ciebie. Czy dali ci znać, że jestem w szpitalu? Tak się o ciebie bałam... Gdzie byłeś, Marku? – zagadnęła, jak zwykle stawiając jego sprawy na pierwszym miejscu.

– Jestem, iskierko. Nic nie mów. Odpoczywaj. Śpij – poprosił.

To była najrozsądniejsza rzecz, jaka teraz przychodziła mu na myśl.

Kiedyś, gdy już Renia wydobrzeje, opowie jej szczerze o wszystkim. Padnie przed nią na kolana, pochyli głowę i wyzna swój najcięższy w życiu grzech. Będzie bił dłonią w piersi i błagał ją o wybaczenie. Kiedyś. Byle nie teraz, nie w tej chwili – tak przerażającej i przepelnionej rozpaczą.

– Boję się spać... To tak okropnie boli... Tak się boję... – powiedziała płacząco, a on odniósł wrażenie, jakby prosto w serce wbiła mu nóż.

– Nie bój się, kochanie. Nic ci już nie grozi. Posiedzę tutaj z tobą. Mogę zostać?

Odpowiedziało mu delikatne skinienie. Chciał ująć jej dłoń, lecz paraliżowała go obawa, że znowu zobaczy strach i grymas cierpienia wypisany na jej twarzy. Siedział tak dość długo, podczas gdy ona wyglądała na uspioną. Może rzeczywiście zapadła w sen? Być może w kroplówce, która spływała do jej żyły, znajdował się jakiś środek uspokajający. Marek nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Po prostu tkwił na taborecie. Był tak bardzo pogrążony w zadumie i rozpacz, że drgnął nerwowo, gdy ktoś uchylił drzwi.

– Marek? Dobry Boże! Znalazłeś się w końcu! – Janusz nie pohamował głośnego zdziwienia, które z miejsca wytrąciło Renatę z lekkiego snu.

Dziewczyna z krzykiem otworzyła oczy.

– Mamo! Mamusiu! Boję się! – zawołała.

Elżbieta czym prędzej podeszła do córki, rzucając mężowi karcące spojrzenie.

– Wyjdźcie na korytarz! – poleciła mężczyznom zniżonym do szeptu głosem.

– Tam sobie pogadacie, nie straszcie tej nieszczęśnicy!

Posłuchali rozkazu kobiety i opuścili pomieszczenie. Kołodziej uważnie zmierzył Pawłowskiego. Powiódł wzrokiem po jego twarzy i sylwetce.

– Tobie nic nie dolega! – zauważył oburzony. – Jak więc możliwe, że tam – wskazał drzwi od szpitalnej sali – leży moja córka i jest dotkliwie poturbowana? Możesz mi to jakoś sensownie wytłumaczyć? Twój ojciec zapewniał mnie w nocy, że byłeś z Renatą, gdy do tego doszło. Miałeś ją odprowadzić do domu...

Marek zerknął na niego ze skruszoną miną.

– Nie odwiozłem jej. Zaprowadziłem ją tylko na przystanek – wyjaśnił.

– To gdzie byłeś przez resztę nocy? Szukała cię policja i twoi rodzice! Umierali ze strachu, że leżysz gdzieś dotkliwie pobity albo wręcz nieżywy! Dlaczego nie odwiozłeś Renaty? – Złapał go za kołnierz ramoneski i potrząsnął. – Kurwa, człowieku! Dlaczego dopuściłeś do tego, by ktoś tak

sponiewierał moją córkę? – Nagle w jego głowie zaświtała potworna myśl. Już wcześniej miał takie przebłyski, lecz usiłował je tłumić, ponieważ dobrze wiedział, jak bardzo ta nieszczęśnica kocha Pawłowskiego. Wydawało mu się więc niemożliwe, by on miał jakiś udział w krzywdzie, którą jej wyrządzono. – Czy to ty ją doprowadziłeś do takiego stanu?

– Nie! Niech mnie pan puści! – zaprotestował Marek. Słowa Janusza były niczym cios pięścią w brzuch. – Nigdy w życiu nie podniosłbym ręki na kobietę. To nie ja! Nie mógłbym jej tego zrobić!

– Nie wierzę! Po prostu nie wierzę! Łziesz jak pies!

Wziął zamach, by go uderzyć, lecz w tej samej chwili ktoś złapał go za nadgarstek.

– Co to za rozróby w szpitalu, obywatelu?

– Aspirant Słowikowska – przedstawiła się policjantka, która towarzyszyła funkcjonariuszowi pacyfikującemu Kołodzieja. – Chcielibyśmy przesłuchać pańską córkę. Czy odzyskała już przytomność?

– To zły pomysł – stwierdził mężczyzna. – Jest w szoku. Lepiej przesłuchajcie tego tutaj. – Kiwnął głową w stronę Pawłowskiego. – To on niby miał być z nią wtedy, gdy doszło do napaści. Wasi koledzy szukali go po zaroślach aż do rana. Jak widać, wygląda nader dobrze, choć rzekomo pobito go do nieprzytomności.

– Jak się pan nazywa? Dowód osobisty proszę. – Mundurowy spojrział na Marka.

– Ja nie mam absolutnie nic wspólnego z tym pobiciem! – zaprotestował przygnębiony chłopak. – To moja dziewczyna, kocham ją i nie mógłbym jej skrzywdzić.

– Porozmawiamy o tym na komisariacie – stwierdził policjant. – Pójdzie pan z nami dobrowolnie czy mam użyć tego? – Wskazał kajdanki przypięte do skórzanego pasa.

– Pójdę złożyć wyjaśnienia – oznajmił Pawłowski – choć tak właściwie sam nic nie wiem na temat napaści na Renatę.

– Wsiadaj – rzucił Paweł, gdy dotarł z córką na parking.

Dopiero gdy zajęła miejsce w samochodzie i zapięła pasy, odwrócił się do niej i zapytał:

– Możesz mi powiedzieć, co Julita Małek robiła w klatce schodowej bloku babci?

– Nie wiem, co tam robiła – odparła nastolatka, której oczy zogromniały tak, jakby pytanie ją zaskoczyło.

– No dobra. Nie chcesz, nie mów. Pogadamy w domu – oświadczył, włączając się do ruchu ulicznego.

Przez całą drogę Małgorzata kombinowała, jakiego kłamstwa użyć, by zabrzmiało wystarczająco wiarygodnie dla ojca. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że razem z Julitą chodziły tam na wagary, a Bolek podrabiał podpisy Małków i Szymczaków pod zwolnieniami z lekcji. Taka wersja zdarzeń z całą pewnością nie spotkałaby się z akceptacją. A w to, że tato dostanie nagłego ataku amnezji w drodze do Mistrzejowic, po prostu nie wierzyła.

Jak na złość matka była już w mieszkaniu. Gosia z miejsca pożałowała, że nie wyjaśniła sprawy od ręki. Zawsze łatwiej byłoby przekonać jedno z rodziców niż zwarty mur.

Ledwo weszli do pokoju, Paweł opowiedział Andzi o niezwykłym spotkaniu na schodach.

– Ale jesteś pewny, że to była córka Małkowej? – dopytywała kobieta.

– Ależ oczywiście. Przecież nie jestem ślepy! Gówniara też mnie poznała. Na nasz widok spaliła cegłę i spuściła łeb, a potem tak spierniczała do wyjścia, że się za nią kurzyło!

– W porządku. Nie mogłeś mieć przywidzeń. Małgorzato, czekamy na wyjaśnienia! – ryknęła kobieta, prostując się na fotelu, z którego jeszcze przed momentem oglądała jakiś program telewizyjny.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Zapewne była tam przez przypadek – stwierdziła wykrętnie.

– Nie ma czegoś takiego jak „przez przypadek”. Nie wmówisz mi, że wsiadła do tramwaju i pojechała do Centrum ot tak sobie!

– Może ma tam krewnych? – zasugerowała dziewczynka.

– Jakoś do tej pory nigdy nic na ten temat nie słyszałam! Odnoszę wrażenie, młoda damo, że maczałaś w tym palce.

– Nie! – upierała się przy swoim Małgosia.

– Nie? O ile wiem – wtrącił zdenerwowany rodzic – nim wyszła ta cała chryja z Bolkiem, dość często latałaś na górę. Babcia mówiła, że lubiłaś spędzać czas u Sadzidłów. A ona ci nie broniła, bo nie wiedziała, kim naprawdę jest jej sąsiad: starym zbereźnikiem i pedofilem! Ech! Że też ci ludzie nie zadzwonili wtedy po policjantów! Powinni byli zamknąć tego skurwysyna!

– Pawle, nie przy dziecku, proszę! – Ostatnio Andzia wciąż karciała męża za używanie rynsztokowych określeń w domowym zaciszu. Postawiła sobie bowiem za punkt honoru uczynienie z ich mieszkania eleganckiego i kulturalnego miejsca. Wszak aspirowała do wyższych sfer! – A ty masz mi natychmiast wyjaśnić, skąd Julita wzięła się w tamtym bloku. Czy w tajemnicy przed nami zabierałaś ją ze sobą do Sadzidłów?

– Nie! – Gosia postanowiła, że pójdzie w zaparte.

– Łżesz. Mój drogi, chyba musimy pójść do Małków i zapytać tę smarkulę o to, co tam robiła – zwróciła się do mężczyzny, zapominając, że „smarkula” też należy do słów zakazanych w jej domu.

– Nie chodźcie nigdzie! – zaprotestowała Gośka. Ostatnie, czego mogła sobie życzyć, to awantura wywołana przez rodziców u państwa Małków. – Powiem wszystko. To ja zaprowadziłam Julitę do Sadzidłów.

– Po co?

– Bo pan Sadzidło chciał poznać jakąś moją koleżankę. Był miły, fajnie się z nim rozmawiało. Nie wiedziałam, że to taki zły człowiek – wyznała, robiąc niewinną minkę.

– A więc jednak! – Andzia klasnęła w ręce. – Po co ciągnęłaś ją tam ze sobą?

– No... Mówiłam już: bo chciał, żebym przyszła z koleżanką.

– Czy on... No... – zająknął się Paweł. – Czy usiłował się do was przystawiać?

Gosia doszła do wniosku, że będzie bezpieczniej, jeśli skłamię.

Pokręciła głową.

– Nie. Rozmawialiśmy tylko. Częstował nas cukierkami, pytał o szkołę i tak w ogóle.

– Na pewno? Bo jeśli próbował czegoś więcej, to musisz nas o tym koniecznie poinformować!

Zagryzając wargi, ponownie pokręciła głową. Wolą, żeby tato nie wszczynał kolejnej draki z tego powodu.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Gdyby usłyszał, że ten drań tknął jego ukochaną córusię choćby czubkiem palca, to pewnie by go zabił.

– No dobrze – powiedział spokojniej. – I po co było zmyślać?

– Nie powinnaś była zabierać tam Julity. Do babci też z nią chodziłaś? – zapytała nagle matka, tknięta jakimś nieprzyjemnym przecuciem.

– Nie. Nigdy. Jak mi nie wierzysz, to zapytaj babcię!

– No dobrze. Jeszcze tego potrzeba by mi było do szczęścia, żeby ta hołota, co u mnie pracuje, strzępiła sobie języki na obsmarowywanie mojej teściowej!

– A co ma piernik do wiatraka? – oburzył się Paweł.

– A to, że nasze życie prywatne i koligacje rodzinne nie powinny nikogo interesować! Wiesz, jakie to są plotkary? Po co mają opowiadać niestworzone historie o nas? Już ja dobrze znam Teresę! Zaraz by sobie zaczęła dorabiać własne śpiewki do tego, co powiedziałyby jej córka. To pierwsza bojcora w atelier! – wyjaśniła szybko.

Nie chciała, aby Paweł zorientował się, że tak naprawdę jest jej wstyd przed ludźmi za taką teściową: zaniedbaną, noszącą jakieś złachane rzeczy i po prostu... odstręczającą. Kto to widział, by nie kupić porządnych rajstop, tylko nosić wciąż stare, pocerowane i z puszczonymi oczkami? Nie pójść do lekarza, by wyleczyć obrzydliwie wyglądające halluksy i żyłaki? Albo żeby nie zrobić sobie porządnej fryzury? Makijażu? Manicure'u?

– Dobra. Na szczęście do niczego złego nie doszło – stwierdził uspokojony mężczyzna. – Nie rozumiem tylko jednego: po co gówniara tam chodzi? Mówiłaś Julicie, co to za człowiek z tego Sadzidły? – zwrócił się do córki.

– Tak. Powtórzyłam jej babcine słowa – odparła bez zastanowienia.

– I ona nadal tam łązi? Na dodatek sama? – wykrzyknęła zbulwersowana Szymczakowa. – Cóż to za niemoralna dziewczucha! Żeby odwiedzać takiego obrzydliwca! Niech cię ręka boska broni, żebyś nadal przestawała z tą latawicą! Nigdy mi się nie podobało wasze koleżeństwo, też żeś se znalazła przyjaciółkę!

– Ależ mamó! – zaprotestowała nastolatka.

– Ani słowa! – zgromił ją ojciec. – Mnie też ta gówniara drażni!

– No! Jeszcze cię sprowadzi na złą drogę! Wiadomo, co takiej siedzi we łbie? Ona pewnie łązi do tego pedofila w jednym celu! Masz absolutny zakaz rozmawiania z Julitą! A z jej matką to ja też zrobię zaraz porządek! Dawno powinnam była wywalić ją na zbity pysk. No... Co tak na mnie patrzysz? Marsz do swojego pokoju! I ciesz się, że nie dostałaś kary za zawleczenie Julity do Sadzidłów!

Małgorzata nie próbowała dyskutować. Żadne argumenty nie byłyby w stanie przekonać matki do zmiany zdania, córka знаła ją aż nazbyt dobrze. Poszła więc do siebie i rzuciła się na tapczan. Właściwie miała powody do zadowolenia, ponieważ zamieszanie uszło jej na sucho. Żywiła nadzieję, że za

kilka dni mama spuści z tonu i znowu będzie przymykała oko na tę przyjaźń. Gosia już dawno się nauczyła, że w takiej sytuacji nie należy dyskutować ze starymi, lecz przeczekiwać to, co najgorsze. A potem wszystko się jakoś układa. Tak jak teraz: trochę pokrzyczeli, ale w gruncie rzeczy przecież nic złego nie zaszło. Nadal nie pomyśleli o tym, że styczniowa afery dotyczyła ich córki.

Naiwniacy!

Cholera jasna, jeszcze tutaj mnie nie widzieli!

Marek tkwił w ciasnym pokoju na komisariacie i czekał, aż siedzący za biurkiem policjant przygotuje się do przyjęcia jego zeznań. Patrzył, jak funkcjonariusz wkłada mocno zużytą kalkę pomiędzy czyste formularze protokołów. To znowu wodził wzrokiem po odrapanych ścianach, analizował kształt zacieku, który powstał w narożniku pod sufitem. Spoglądał na stare, rozklekotane meble z niedomkniętymi drzwiczkami, smętnie zwisającymi na oberwanych zawiasach. Przynajmniej krzesło było dość wygodne: wyściełane, z oparciem i nawet z podłokietnikami.

Czy za czasów Polski Ludowej przykuwali do nich podejrzanych? – zaświtała mu w głowie nieprzyjemna myśl.

Pomieszczenie przesycone było duszną mieszaniną zapachów. Wyczuwał smród pleśni z zacieku, aromat świeżo zaparzonej kawy, kurz oraz zatechłą woń starych papierów, które zalegały na każdym skrawku wolnej przestrzeni, sprawiając wrażenie, jakby znajdowały się tam od zawsze. Zapach małej czarnej pobudził kubki smakowe Pawłowskiego. Chłopak przepchnął resztki śliny przez boleśnie zdławione gardło. Męczyło go pragnienie, lecz raczej nie miał co liczyć nawet na szklanekę wody.

Nigdy wcześniej nie był na komisariacie. Podczas zadym z końca lat osiemdziesiątych szczęśliwie udawało mu się unikać aresztowania, choć dość mocno wówczas chuliganił. Niejeden slogan jego autorstwa „ozdobił” wówczas mury. Cały problem w tym, że tamte przewinienia były niczym w porównaniu z tarapatami, w które niespodziewanie wpadł. To byłby zresztą poniekąd powód do dumy, gdyby wtedy go przymknęli. Nawet Kazik Staszewski śpiewał swego czasu, że „kto nie cierpiał za komuny, teraz jest po prostu nikiem”[7]. Ale podejrzenie o pobicie i gwałt na własnej dziewczynie? To było coś potwornego, nie do ogarnięcia rozumem! A ponieważ miał czyste sumienie, nie stawiał najmniejszego oporu, gdy psiarnia zaprosiła go do siebie celem składania wyjaśnień.

Wierzył, że nie trafi na dołek. Była szansa, że Renata cokolwiek zapamiętała

z wydarzeń minionej nocy i uwolni go od podejrzeń. Nawet teraz, gdy siedział, próbując sobie gorączkowo przypomnieć jakieś szczegóły z chwili, gdy wsiadła do tramwaju, nie potrafił się skupić, gdyż troska o ukochaną skutecznie rozpraszała jego koncentrację. Na domiar złego wspomnienia z tego feralnego czasu zacierały heroinowe majaki.

– Dobra, zaczynamy – oznajmił funkcjonariusz. – Imię? Nazwisko? Data i miejsce urodzenia? – zapytał standardowo.

Dość sprawnie pisał na maszynie. Miał zapewne za sobą całe lata doświadczenia, gdyż klepał w klawisze z pamięci, bez zerkania na urządzenie. Rytmiczny stukot boleśnie wbijał się w czaszkę Pawłowskiego. Nieprzyjemne doznanie potęgowane było pragnieniem, które doszczętnie wysuszyło mu gardło.

Wody! Oddałbym pół życia za szklankę wody – myślał Marek. Nie śmiało głośno wyrazić potrzeby. Żywił obawy, że siedzący naprzeciwko mężczyzna gotów uznać, iż przesłuchiwany ma kaca, a faktycznie popełnił przestępstwo pod wpływem alkoholu. Ale on przecież nie pił wódki, był trzeźwy jak nowo narodzone dziecko. Nie miał też na sumieniu nic, poza cholernymi prochami i tym, że pokpił sprawę odprowadzenia dziewczyny.

Ale – do jasnej cholery! – skąd mógł wiedzieć, że akurat tego dnia ktoś na nią napadnie? Każdego wieczoru tysiące kobiet chodziło samotnie ulicami miasta. Jakie było prawdopodobieństwo, że spotka je coś złego? Zgodnie z tą logiką nie powinny samotnie opuszczać mieszkań po zapadnięciu zmroku.

– A ręce to zawsze się panu tak trzęsą czy tylko dzisiaj? – zapytał z przekąsem funkcjonariusz, obserwujący uważnie aresztanta. – Coś ty mi tu chyba kręcisz, gagatku, ale to nic. Wszystko wyjaśnimy w trakcie dochodzenia.

Po zadaniu kilku rutynowych pytań w celu ustalenia danych personalnych policjant wytoczył ciężkie działa. Zaczął wypytywać Marka o szczegóły minionego wieczoru i nocy. Chłopak ze wszystkich sił wyęczał szare komórki, by przypomnieć sobie jakiegokolwiek detale z przystanku. Powiedział o tym, że w pojeździe, którym odjechała Renata, nie było wiele osób.

– Z tyłu stali chyba dwaj mężczyźni, a z przodu siedział jakiś starszy człowiek. To był drugi wagon. W pierwszym nie było absolutnie nikogo prócz motorniczego.

– Jest pan w stanie opisać tych ludzi?

– Nie. Nie zdążyłem się im przyjrzeć. Padał deszcz, a ja miałem dreszcze, bo dopadło mnie przeziębienie. Renata widziała, że jest z mną kiepsko. Dlatego nalegała, żebym z nią nie wsiadał do tramwaju. Kazała mi pójść do łóżka.

– No tak, ale wiadomo, że nie poszedł pan do mieszkania na osiedlu Oświecenia. Ma pan jeszcze inny adres, o którym najbliżsi mogliby nie wiedzieć?

– Nie. Mieszkam z ojcem i macochą.

– Jak już ustaliliśmy, nie posłuchał pan swojej dziewczyny i nie wrócił na noc do siebie. Mam informację o tym, że dwa patrole policji z pomocą psów przez pół nocy przeczesywały zarośla przylegające do ronda Piastowskiego. Wie pan, czego tam szukali? Otóż pańskiego ciała, gdyż zachodziło przypuszczenie, że pan również padł ofiarą napaści. Jak więc wytłumaczy pan swoją nieobecność w domu?

– Po odprowadzeniu Renaty poczułem się jeszcze gorzej. Usiadłem na ławce w parku i po prostu zmorzył mnie sen.

– Taa... Usnął pan na deszczu. A to ciekawe. Ma pan świadków? Ktoś pana na tej ławce widział? Jakiś kumpel albo nocny cieć?

– Nie.

– A może jednak pojechał pan z ofiarą? Pokłóciliście się i wysiedliście wcześniej. No a potem...

– Nie! – przerwał mu wzburzony Marek. – Zostałem na przystanku. Jestem pewny, że Renata to poświadczy. I ci ludzie z tramwaju!

– Na razie nie wiemy, kim byli. Nie zdołaliśmy jeszcze przesłuchać poszkodowanej, więc zasadniczo nie wiemy, czy jechali jacyśkolwiek pasażerowie prócz niej – burknął policjant i siorbnął łyk wystudzonej kawy ze szklanki w skorodowanym, metalowym koszyczku.

Marek wbił w niego sępi wzrok. Pragnienie było coraz uciążliwsze.

Zaraz się, kurwa, odwodnię.

Tymczasem mężczyzna kontynuował:

– Wiadome jest, że od dłuższego czasu ma pan problem ze znalezieniem stałej pracy. Nie skończył pan nauki w liceum. Rodzice poszkodowanej niechętnie patrzyli na pański związek z ich córką. Ich zdaniem nie zasługiwał pan na nią. A może było tak, że pod ich naciskiem dziewczyna postanowiła z panem zerwać i zrobiła to w drodze do domu? A pan, zamiast pogodzić się z porażką, wywłókł pannę z tramwaju, pobił i zgwałcił?

– Nie! – ryknął Marek tak głośno, na ile pozwoliło mu zaschnięte gardło. Przez moment odnosił wrażenie, jakby znowu otrzymał cios pięścią w splot słoneczny. Znał z czasów zasadniczej służby wojskowej to parszywe uczucie, gdy człowiek nie może złapać oddechu. Podczas jednej ze stałych przepustek

do miasta wdał się w bójkę z miejscowymi opryszkami, którzy spuścili mu wówczas tęgie lanie. – Co panu przyszło do głowy? Co ten Kołodziej wymyślił? Nigdy słowem nie wspomniał, że ma do mnie jakieś zastrzeżenia!

– Spokojnie, obywatelu, spokojnie. To wszystko zostanie zbadane.

Zadał Markowi jeszcze parę pytań, potem zadzwonił do jakiegoś kolegi i na moment opuścił pomieszczenie. Pawłowski zerknął za nim. Za drzwiami stał mundurowy, pilnując, by nikt więcej nie wyszedł. Niby nie został oficjalnie aresztowany, lecz Pawłowski czuł zdenerwowanie.

Kilka minut później usłyszał następną przerażającą wiadomość w ciągu tego jednego, parszywego dnia:

– Jest pan zatrzymany na czterdzieści osiem godzin pod zarzutem brutalnej napaści na Renatę Kołodziej.

Po powrocie z pracy Matylda zastała Karola samego.

– A gdzie Marek?

– Pojechał do Renaty.

– To chyba nie był najszczęśliwszy pomysł – stwierdziła. – Ona jest pewnie w szoku. Obecność mężczyzny, jakiegokolwiek, może na nią źle wpłynąć.

– Też tak uważam, ale nie szło mu przegadać. Poza tym powiedziałem, żeby się dobrze zastanowił nad tym, jak spojrzeć w oczy jej rodzicom.

– Sądzisz, że będą go obwiniali?

– Zakładam, że tak. Bo gdyby chodziło o moją Wiołkę, to na pewno uznałbym, że matoł, który nie odwiózł jej do domu, jest współwinny. Do tej pory wściekam się na myśl o bydlaku, który ją wykorzystał, a potem wziął nogi za pas. Gdybym złapał tego gnojka, to chyba urwałbym mu jaja. Tym bardziej więc mogę przypuszczać, co chodzi po głowie Kołodziejowi. Rodzice zawsze chcą chronić swoje dzieci, nawet gdy te są dorosłe. I z zaciekleścią szukają sprawców, gdy dzieje się krzywda.

– Nie przesadzasz?

– Zapewniam cię, że nie. Każda córka jest dla swojego ojca małą księżniczką.

Mężczyzna zerknął na zegar. Dochodziła dwudziesta.

– Martwię się o Marka. Dość długo nie wraca. Kurczę! Chyba ten cymbał nie poszedł pić albo ćpać!

– Według mnie trzeba go namówić na odwyk w Monarze – stwierdziła

Matylda.

– Też tak myślę. Zamierzałem z nim porozmawiać o tym, gdy wróci. Nie mam pojęcia, od jak dawna istnieje problem narkotyków. Do tej pory nie zwróciłem na to uwagi – przyznał strapiiony Karol.

– Ja też nie. Ale to raczej nie był jednorazowy wyskok.

– Psiakrew!

Krążył po pokoju, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nagle zadzwonił telefon. W ciszy mieszkania dzwonek zawibrował nieprzyjemnie. Odebrała Matylda, gdyż stała bliżej.

– To do ciebie – oznajmiła, podając słuchawkę mężowi. – Marek.

Dwie minuty później Pawłowski odłożył ją na widełki. Spojrzał na żonę.

– Został aresztowany pod zarzutem napaści – powiedział, blednąc.

– O matko! Dlaczego? Renata go oskarżyła?

– Nie. To na podstawie podejrzeń. Nie przesłuchiwali jeszcze dziewczyny, a na razie wszystko świadczy przeciwko niemu. Nie ma alibi, nie było go w mieszkaniu. Dam głowę, że nie wspomniał o tym, że ostatnią noc przesiedział naćpany w jakiejś dziurze.

Matylda podeszła do męża i pogłaskała go po ramieniu.

– Nie martw się, Karolu. Na pewno Marek jakoś wyjaśni tę sprawę. Jeśli tego nie zrobił, to zeznania Renaty uwolnią go od podejrzeń.

– Jeśli... – powtórzył mężczyzna. – Ty też myślisz tak jak policjanci?

– Nie. Ale nie będę cię czarowała. Na razie nie wiemy, co rzeczywiście się wydarzyło. Zakładam, że Marek też niewiele pamięta. A, niestety, pod wpływem narkotyków ludzie robią różne głupstwa.

– Boże!

[6] Fragment utworu *Beniamin*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki,

płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

[7] Fragment utworu *Jeszcze Polska* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Kazik

Staszewski, Piotr Strembicki, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy,

płyta *Spalam się*, Zic Zac, 1991.

Rozdział 5

Noc nad miastem

Z Tobą odeszły anioły

Jest noc w ogromnym domu

Umierałem i wołałem do nich

Nie ma nas, nie ma nas [8]

Przez następne kilka dni Małgorzata nie widywała Julity, ponieważ koleżanka nie przychodziła do szkoły. Ktoś puścił plotkę, że jest chora, ale Gośka nie miała jak tego sprawdzić, gdyż pomna rodzicielskiego gniewu, nie zaryzykowała odwiedzenia Małkówny w drodze powrotnej z lekcji.

Pilnują mnie jak jacyś klawisze w więzieniu – zżymała się w duchu. Od ostatniej afery codziennie któreś z domowników wracało do domu na tyle wcześniej, by udaremnić córce samotne eskapady popołudniami. No i oczywiście, jeśli tylko nie szła na naukę angielskiego, tańców towarzyskich czy inne zajęcia pozalekcyjne, to zaraz wynajdowali jej różne „przyjemności”. Gosia nie próbowała także dzwonić do mieszkania Małków, aby matka nie wypatrzyła rozmowy na billingu. Do znudzenia więc spędzała czas z bliskimi: towarzyszyła ojcu, gdy ten wybierał się do babci, jechała z mamą do hurtowni po towar albo szła z nimi na spacer, co już w ogóle było jakimś ewenementem, gdyż Szymczakowie rzadko spędzali wolny czas w trójkę – żeby nie powiedzieć, że nigdy.

W końcu nastolatkom udało się zobaczyć, a raczej to Gosia umknęła spod kurateli i poleciała do przyjaciółki. Drzwi otworzyła pani Teresa. Spojrzała nieprzychylnie na przybyłą i, co do niej niepodobne, zamiast zaprosić dziewczynę do mieszkania, zapytała z wrogością:

– A jaśnie panienka z dobrego domu czego tutaj poszukuje? Matka wie, że cię

tu przygnało?

– Dzień dobry. Zastałam Julitę? – zagadnęła wystraszona Małgorzata. Nigdy wcześniej nie spotkała jej w tym domu tak chłodne powitanie. Odgadła więc, że mama musiała coś nagadać pani Małkowej.

– Jeszcze mało narobiłaś kłopotów? Jula! – zawołała w głąb mieszkania. – Gośka do ciebie.

Nie wpuściła jej do środka. Póki nie przyszła córka, stała w drzwiach, mierząc intruza nieprzychylnym wzrokiem. Potem zostawiła koleżanki same.

Julita miała nadętą minę. Ona także obrzuciła Gośkę nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Czego chcesz? – fuknęła na powitanie.

– Pogadać.

– Nie ma o czym, spadaj stąd!

– Julita, no nie wygłupiaj się. Chodź na pole, musimy coś sobie wyjaśnić – nalegała Szymczakówna, czując, jak jej żołądek podchodzi do przełyku.

Niepotrzebnie zjadłam tego biszkopta – pomyślała – bo teraz mi niedobrze.

W rzeczywistości złe samopoczucie nie miało wiele wspólnego z tym, co spożyła. Tak naprawdę odczuwała ogromny stres, ponieważ bała się, że przez popędliwość matki straci jedyną przyjaciółkę, jaką kiedykolwiek miała.

– Dobra, chodźmy stąd – burknęła Julita, wkładając wiatrówkę.

Poszły na ławkę i jak zwykle usiadły na oparciu.

– Musiałaś narobić takiej zadymy? – warknęła Małkówna do koleżanki.

– Jakiej zadymy? – zdziwiła się Gośka.

– No z Bolkiem i w ogóle! Wiesz, że twoja stara wywaliła moją z roboty?

– Ojej! Co ty mówisz?

– No właśnie to! Wapniaczka wyleciała ze szwalni, ale najpierw usłyszała, że jestem małą kurwą, sprowadzam cię na złą drogę i puszczam się z tym obleśnym dziadem. I że mam się trzymać z daleka, bo źle na ciebie wpływam. Matka dała mi za to parę razy po buzi. A ojciec, jak usłyszał to wszystko, wziął pasek i sprzął mnie jak jakąś gówniarę. To twoja wina! – Zwróciła do koleżanki wykrzywioną z wściekłości twarz. – Byłam tak posiniaczona, że wstyd było pójść do szkoły.

– Jezu... Julita, ja cię bardzo przepraszam – wyjąkała winowajczyni.

- Ty mi tu teraz nie „jezusuj”! Idiotko! Musiałaś wszystko wypeplać swoim starym?
- Przycisnęli mnie, musiałam!
- Nic nie musiałaś! Trzeba było o niczym nie mówić!
- Kiedy oni zamierzali iść do twoich rodziców! No to co miałam zrobić? Nie chciałam, żeby była chryja!
- I tak jest, bo twoja nagadała mojej ile wlezie!
- Przepraszam cię...
- Teraz mnie przepraszasz? Kurwa! Trzeba było wcześniej pomyśleć! Nie wiesz, za co teraz będziemy żyć? Nie! No skąd ma wiedzieć takie rzeczy panienka z dobrego domu? – zapytała uszczypliwie i przewróciła oczami obwiedzionymi granatową konturówką. – Ojciec już od trzech miesięcy nie dostaje wypłaty! A teraz ona wylądowała na bezrobociu! Obydwoje z matką wściekają się na mnie! Na każdym kroku przypominają, że to przez ciebie i tego twojego koleżkę mama straciła pracę.
- To nie jest mój koleżka!
- A właśnie że tak! To ty mnie z nim poznałaś!
- No i co z tego, że was poznałam? Poza tym mówiłam ci kiedyś, że była afera i więcej nie możemy tam chodzić! Nawet przez myśl mi nie przeszło, że sama do niego pójdziesz. Co ci odbiło? Po co tam łąziłaś?
- Po gówno! Wiesz co? Guzik wiesz o życiu! Wracaj lepiej do mamusi i tatusia, niech cię dalej niańczą! A ode mnie się odwal raz na zawsze, słyszysz? Już nie jesteśmy kumpelami! Kumasz?

Dzień, w którym Tomaszowi zdjęto gips, był chyba najlepszym w ostatnich miesiącach. Choć czekała go jeszcze długa rehabilitacja, chłopak doceniał to, że gdy swędzi kolano, może się po nim podrapać. I że powoli zaczyna stawiać pierwsze kroki.

– Miałaś więcej szczęścia niż rozumu – stwierdził Adrian, gdy odwiedził go krótko po tym doniosłym wydarzeniu.

Lekarze rokowali pomyślny rezultat terapii. Kości zrosły się bardzo ładnie i równo, mięśnie wprawdzie zwiotczały, ale ich odbudowanie było kwestią czasu. Co najważniejsze: nerwy nie ucierpiały, a to oznaczało, że rekonwalescent odzyska pełną sprawność.

– No, miałem – odparł uszczęśliwiony Lorek. – Czas brać się do życia!

Zobaczysz, już niedługo dojdę do siebie! O własnych siłach! – Puścił do niego oko.

– Całe szczęście, bo ostatnio wciąż marudziłeś jak baba.

– Ciekaw jestem, czy ty byś nie marudził, gdyby cię na ten przykład śwędziała lewa łydka, a ty nie mógłbyś się po niej poskrobać.

– No... Pewnie nie byłbym zadowolony – przyznał mu rację.

– Albo gdyby ładne pielęgniarzki skakały wokół ciebie w wyjątkowo krępujących sytuacjach.

– Dobra, nie kończ. Miałeś prawo marudzić! Ale teraz zapowiadam ci: jedno kwęknięcie, a dostaniesz w łeb!

– Nie masz powodów do stosowania przemocy – zapewnił.

Do tej pory Tomaszowi brakowało odwagi, by wypytywać przyjaciela o jego siostrę. Bał się wszystkich wieści, które mógłby usłyszeć: że jest już szczęśliwą mężatką, jej mąż to fajny facet i obydwójce czekają z utęsknieniem na dzidziusia. Ale teraz był tak podekscytowany, że nic nie mogłoby mu popsuć humoru. I gotów był wziąć na ramiona brzemię cudzego szczęścia.

– Dobra, zejdźmy w końcu ze mnie. Powiedz mi lepiej... – urwał. – Powiedz, co słyhać u Wiolki. Jak się czuje? Wszystko w porządku z jej eee... ciążą?

Zaskoczony Adrian spojrzał na niego uważnie, lecz twarz Lorcka mimo wszystko nie wyrażała większych emocji. Wyglądało to tak, jakby chłopak nagle przypomniał sobie o istnieniu koleżanki i zapytał o nią mimochodem.

– Jest okej. Wiolka nie narzeka na samopoczucie. Nigdy nie mówiła, by coś dolegało dziecku.

Nie chciał wchodzić w szczegóły, lecz nie do końca pokrywało się to z prawdą. Bo o ile ciąża faktycznie przebiegała prawidłowo, to gorzej było z kondycją psychiczną przyszłej matki. Siostra wciąż chodziła przygnębiona. A raczej nie tyle chodziła, co przesiadywała w domu. Jakimś ostatnim przypływem energii zdołała zaliczyć sesję, a potem złożyła wniosek o urlop dziekański. Wspominała coś o zmianie uczelni, wzbudzając zdziwienie wśród krewnych, gdyż do tej pory chwaliła sobie studia w Akademii Ekonomicznej. Czyżby jednak uznała, że nie widzi się w pracy biurowej? Innego wytłumaczenia nie było, choć Adek miał przez moment przebłysk, że być może ta decyzja związana jest z człowiekiem, który ją wykorzystał. Czyżby razem uczęszczali na zajęcia? Tak, to było możliwe.

Nadmiar wolnego czasu sprawiał, że dziewczyna ewidentnie nie miała co ze sobą zrobić i pogrążała się w stanach depresyjnych. Zapewne gdyby nie babcia Julia i dziadek Wawrzek, całymi dniami tonęłyby we łzach, opłakując

szczęście, które zakpiło sobie z niej w okrutny sposób. Prócz utraconej miłości i bólu złamanego serca dręczyło ją także gigantyczne poczucie winy i choć Adrian – jedyny dopuszczony do tego sekretu – pocieszał ją na wszelkie możliwe sposoby, nie potrafiła się od niego uwolnić.

To chyba nie były informacje, które mógłby przekazać koledze. Postanowił więc przemilczeć temat Wioletty i pogadać o zupełnie innych sprawach. Chyba nadszedł czas na szczerą, męską rozmowę, gdyż do tej pory konsekwentnie unikali wszelkich drażliwych kwestii.

– To świetnie – odparł Tomasz, wciąż siląc się na zachowanie spokoju. Oględna odpowiedź kumpla trochę go przystopowała, więc nie zadawał więcej pytań o dziewczynę. Zwłaszcza że Adrian uznał za stosowne wziąć go pod lupę.

– Powiedz mi, stary, tak między nami, coś ty właściwie za numer chciał odpierniczyć w styczniu, żeś wylądował w tym cholernym gipsie?

– Po prostu mnie poniosło. Za dużo wody, za mało rozumu. Chciałem się pobawić w Batmana i poćwiczyć skoki w śnieżną zaspę. Jak byłem gnojkiem, to jeździłem do babci na wieś i tam skakaliśmy z dachu w śnieg albo na kopę siana. No i tak mnie coś naszło – kłamał nad wyraz przekonująco, gdyż tę historyjkę już dawno sobie obmyślił w razie gdyby ktoś w końcu o to zapytał. – Znalazłem odpowiedni dach, mniej więcej tej samej wysokości co tamten. Tylko nie wziąłem poprawki na to, że na wsi skakałem w świeży puch, którego było znacznie więcej, a nie na złodowaciałą przyzme.

Adrian popatrzył czujnie na przyjaciela. Lorkowski wyglądał na rozluźnionego, jego słowa zabrzmiały wiarygodnie. Mimo wszystko Pawłowski postanowił się upewnić.

– Ale to nie zawód miłosny był przyczyną?

– Jaki zawód? – Rekonwalescent okazał wyraźne zdenerwowanie.

– No... Wiesz... Z powodu Wiolki. Bo kilka dni wcześniej...

– No właśnie: kilka dni wcześniej – przerwał mu obcesowo Lorek. – Gdybym faktycznie zadurzył się w twojej siostrze i gdyby chodziło o próbę samobójczą, to pewnie podjąłbym ją jeszcze tego samego dnia. Ale nic z tych rzeczy. Bo ani się w niej nie durzyłem, ani nie chciałem odebrać sobie życia. Po prostu zalałem pysk i chciałem udowodnić światu, jaki ze mnie kozak!

– A ja odnosiłem wrażenie, że macie się ku sobie. No wiesz... Po tym, jak wróciliście skądś na imprezie zamykającej sezon koncertowy... A potem jak zaskoczyła nas wszystkich wieściami o dziecku... Byłem pewny, że to ty jesteś szczęśliwym tatusiem.

– Nic podobnego. Owszem, kiedyś brałem ją pod uwagę. Byliśmy nawet w kinie, ale jak sam widziałeś: nie wyszło. Dałem sobie spokój, choć skłamałbym, mówiąc, że mnie nie kręci. Jest ładna, sympatyczna i zapewne nie ma faceta, który by się oparł takiej lasce. Ale uwierz mi, że od takiego zauroczenia do prawdziwej fascynacji jest naprawdę daleka droga.

Właściwie Adrian nie miał powodu, aby wątpić. *Przecież Lorek nie kłamałby aż tak przekonująco! Kurczę, co ja narobiłem? To ja wmówiłem Wiołce, że ten cymbał się w niej podkochuje i przeze mnie ona ma poczucie winy, choć tak naprawdę nie powinna! Ja pierniczę! Muszę to szybko odkręcić! Może w końcu zdołam choć trochę poprawić jej humor. Pewnie zeklnie mnie na czym świat stoi za tę akcję, bo spierniczyłem ostatnie cztery miesiące jej życia, ale co tam! Grunt, by przestała się zadreczać!*

Małgorzata nigdy nie należała do dziewcząt, które otaczało liczne grono przyjaciółek. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poza Julitą nikt nie kolegował się z nią bliżej. W szkole zaledwie ją tolerowano. Niby do tej pory nikt otwarcie jej nie dokuczał, ale wiedziała, że nie jest lubiana. Niejeden raz miała okazję podsłuchać uszczypliwe komentarze dziewczyn. Wciąż nazywały ją nieużytą grubaską, tłustą świnią, a czasami w dosadniejszy sposób.

Jeszcze za mało schudłam – oceniła zmartwiona nastolatka, zerkając w lustro. I choć odbijało ono przeraźliwie suchą postać, ta wciąż widziała zbyt okrągłe policzki i fałdkę tłuszczu na brzuchu.

Zasadniczo prócz Wioletty nikt nigdy nie powiedział Gosi, że jest szczupłą. No, może jeszcze szwaczka z atelier, która zdejmowała miarę, by przygotować dla dziewczyny nowy komplet strojów na lato. Ona jednak ograniczyła się tylko do oględnego: „Aleś ty wyszczuplała!”. A potem wróciła do swoich spraw. Nawet nie przeszło jej przez myśl, aby wspomnieć cokolwiek na ten temat szefowej, choć dobrze pamiętała, że jeszcze przed dwoma laty Szymczakówna była dość tęgim dzieckiem. Doszła jednak do wniosku, że być może pani Anna postanowiła trochę odchudzić córkę i straciła umiar w tym odchudzaniu. Albo że nastolatka zeszczuplała, gdy zaczęła dojrzewać. Wszystkie robotnice wiedziały, że jeśli ktoś chce utrzymać się na swojej posiadzie, to absolutnie nie ma prawa dyskutować z właścicielką o jej sprawach prywatnych, a już na pewno nie wolno komentować tych okropnych projektów garderoby, jakie obmyślała dla swojej córki.

Gośka wciąż żyła w przekonaniu, że jest gruba, i tak też postrzegało ją otoczenie. Nie chodziła na zajęcia wychowania fizycznego, ponieważ od lat matka załatwiała jej zwolnienie roczne u znajomego lekarza. Wystarczyło

tylko, że córka raz wyraziła niezadowolenie z powodu zimna, które panowało w dziewczęcej szatni, i możliwości złapania kataru. Andzia za nic w świecie nie zamierzała narażać córki na choroby, ponieważ takie sytuacje znacznie komplikowały życie rodzinne. Trzeba było wtedy wywozić małą do Centrum i codziennie podrzucać tam zakupy, co było dość kłopotliwe. Zostawianie chorego dziecka w domu bez opieki w ogóle nie wchodziło w grę. Lepiej więc zwolnić małą z nieprzyjemnego obowiązku. No bo kto to widział, by zgrzana bieganiami i ćwiczeniami przebierała się w lodowatym pomieszczeniu?

Nauczyciele też nie darzyli Szymczakówny jakąś szczególną sympatią. Należała bowiem do całkowicie przeciętnych uczniów. Wyniki w nauce miała niezłe, ale nie wybitne. Nie łąpała ocen niedostatecznych. Nie sprawiała problemów wychowawczych. Nie bywała wzywana na dywanik. Nie angażowała się w żadne szkolne inicjatywy. Ot, brnęła przez okres edukacji podstawowej niezauważalnie dla innych.

Skoro więc nie przyciągała niczyjej uwagi, nie istniała szansa, aby koleżanki lub nauczycielki dostrzegły jakąkolwiek zmianę w jej powierzchowności. Nigdy nikt nie przypatrywał się Goście jakoś szczególnie – nie stanowiła dla rówieśnic żadnej atrakcji. Zwykle nosiła nieładne i niemodne rzeczy godne staruszki, a nawet, gdy czasami wkładała coś fajnego, to i tak zostawało to przeoczone – siła przyzwyczajenia brała górę.

Nazajutrz po rozmowie z Goską Julita Małek wróciła do szkoły. Siniaki na twarzy oraz ciele pozostawione przez karzącą ojcowską dłoń zdążyły już zniknąć. Te, które powstały na duszy, wciąż bolały, ale życie nadal trwało i trzeba było jakoś funkcjonować. A ponieważ Julita za całe zło, które jej się przydarzyło, winiła eksprzyjaciółkę, postanowiła konsekwentnie wyeliminować Szymczakównę ze swojego świata. Nie na darmo mama mówiła, że z bogaczami lepiej nie mieć wiele wspólnego, bo są fałszywi, podli i tylko patrzą, jak wykorzystać człowieka. I choć wcześniej nastolatka nie dowierzała tym słowom, teraz przekonała się na własnej skórze, że nie było w nich ani krzty przesady. Wszak ta wstrętna mała, Gośka, nie omieszkała wygadać wszystkiego swoim rodzicom i narobić niezłego bigosu. Sama na pewno się wybieliła, udając niewiniątko, a ją pogrążyła tak bardzo, jak tylko to było możliwe. I, co chyba najgorsze, to przez tę głupią krowę matka straciła pracę w szwalni.

Z naburmuszoną miną ostentacyjnie ominęła ławkę, w której dotychczas siedziała razem z Goską, i zajęła inne miejsce. Woląла tkwić samotnie na końcu sali niż mieć cokolwiek wspólnego z tą zdrajczynią. Jej zachowanie wywołało poruszenie wśród dziewczyn. Zaraz pomiędzy ławkami zaczęły

kursować liściki z zapytaniem, czy coś się stało. Odpisywała więc bardzo pracowicie, że głupia Gośka wyspała ją przed starymi, bo sama chciała uniknąć kary za palenie fajek i picie piwa u jednego znajomego. Nim minęła lekcja historii – pierwsza w planie lekcji na bieżący dzień – wszystkie koleżanki zdążyły zawrzeć oburzeniem z powodu donosicielstwa „grubej”.

Pod koniec zajęć okazało się, że Małgośka nie tylko straciła jedyną przyjaciółkę, ale nie ma już ani jednej życzliwej koleżanki. Dziewczęta, pozbijane w ciasne grupki, wyraźnie ją ignorowały. A gdy podchodziła do kogoś, to słyszała jedynie złośliwe docinki. Nazywano ją tłustą kablarą, skarżypytą lub jeszcze dosadniej. Z trudem panowała nad łzami napływającymi do oczu.

Chciałabym umrzeć. Będę miała przekichane do końca roku szkolnego – myślała rozpaczliwie w drodze powrotnej. Nie mogła nawet pojechać do kuzynki, by się wypłakać, bowiem od czasu tego zamieszania z Julitą rodzice wciąż mieli ją na oku. Na pewno nie byliby zachwyceni, gdyby wyraziła chęć spotkania z Wiolką. Nie przepadali za nikim z rodziny Pawłowskich. *Oni są tacy beznadziejni!* – nie po raz pierwszy zżymała się w duchu na myśl o bliskich.

W mieszkaniu był już ojciec. Czytał gazetę, gdy weszła.

– Dzień dobry – burknęła i ruszyła w stronę swojego pokoju.

– Cześć, Gocha. Masz ochotę na obiad teraz czy wolisz czekać na mamę? – zapytał, nawet nie podnosząc głowy znad artykułu.

– Później – odparła.

– Dobra, ale jakby zachciało ci się jeść, to sobie zagrzej, bo ja muszę już iść. Mam ważny interes do zrobienia – oznajmił.

Nastolatka odczekała, aż tato wyjdzie. Potem zajrzała do lodówki. Zmarszczyła nos na widok klopsów w gęstym, zawiesistym sosie. Prócz nich były jeszcze kluski śląskie. Nałożyła porcję na talerz, a następnie poszła do łazienki i tam wrzuciła jedzenie do toalety. Starannie spuściła wodę, a brudne naczynie włożyła do zlewozmywaka. Wylała tylko jego brzeg, by nie było widać, że posiłek został z niego zgarnięty. Gdy matka wróciła do domu i zagadnęła o obiad, córka oznajmiła, że poczuła głód i już sobie pojadła. W dowód prawdziwości swoich słów pokazała brudne nakrycie.

– Komu zostawiłaś ten bałagan? – burknęła zirytowana kobieta. – Ciężko było to umyć?

Nikt nie będzie mnie nazywał tłustą skarżypytą – pomyślała Gośka, zmywając.

Nie pozostawało już nic, jak tylko czekać na rozdanie świadectw i egzaminy wstępne do liceum. A potem żywić nadzieję, że nikt z jej obecnej klasy nie trafi do tej samej szkoły. W nowym otoczeniu, wśród obcych osób, będzie mogła zacząć wszystko jeszcze raz. Już nie popełni tak głupich błędów. Nie zaprzyjaźni się aż tak blisko z nikim. Nie dopuści nikogo do swoich tajemnic. I z całą pewnością będzie trzymała nowe koleżanki jak najdalej od rodziców.

Zaraz po opuszczeniu aresztu Marek chciał ruszyć do szpitala. Pragnął być przy dziewczynie, lecz w porę uświadomił sobie, że nie może jej się pokazać w takim stanie: nieświeży, w przepoconym ubraniu, z włosami zbitymi w kołtun. Poza tym ojcu należało powiedzieć choć słowo dla uspokojenia emocji. Na pewno nieźle wytrącił go z równowagi samym telefonem o zatrzymaniu. Wsiadł więc w tramwaj, by najpierw jechać na Oświecenia.

– A ty nie na uczelni? – zdziwił się na widok taty.

– Jak widać. Poprosiłem o kilka wolnych dni, żeby jakoś to wszystko ogarnąć. Będziesz potrzebował adwokata? – zapytał rzeczowo Karol, stojący w drzwiach kuchni. Gniew to jedno, ale przecież nie mógł dopuścić, by chłopak trafił do więzienia. Wierzył w jego niewinność.

Chłopak w przedpokoju zdejmował glany i ramoneskę.

– Nie. Raczej nie będzie takiej konieczności. Zeznania Renaty pokryły się z moimi. Ale dzięki, że pomyślałeś. – Pokiwał głową.

– Mimo wszystko jesteś moim synem i nie mogę zostawić cię samemu sobie – odparł ojciec.

– Mimo wszystko? – podłapał Marek.

– Tak. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo zawiodłeś pokładane w tobie nadzieje? Po co ci to było? Te narkotyki. Czyż nie oferowałem ci pomocy? Nie proponowałem, byś skończył spokojnie szkołę i poprawił swoją sytuację?

– Oj tato! Daj już spokój! – burknął.

– Co za: daj spokój? Człowieku! Opamiętaj się! Nie uciekniesz przed problemami w świat iluzji! Albo raczej uciekniesz, ale tylko na moment!

– Co ty tam wiesz...

– Wiem! Też byłem kiedyś młody! Wiem, jak się człowiek czuje po wyjaraniu maryški albo wzięciu LSD. No? Co tak głupio na mnie patrzysz? – rzucił Karol. – Serio myślisz, że nie znam życia? Fakt, byłem młodszy od ciebie, jak dostałem małego rozumu, ale też przez to przechodziłem. I pewnie gdyby nie kubek zimnej wody, który ojciec wylał mi na łeb, to

skończyłbym wtedy marnie. Tato nie dość, że mnie wyciągnął z czarnej dupy, to uświadomił mi także, jakim byłem głupkiem. I ja też niniejszym to czynię. Jesteś idiotą, Marku, jeśli myślisz, że biorąc prochy, poczujesz się lepiej! Sam widzisz, do czego już cię to doprowadziło! Małós się napatrzył na upadek wujka Darka? Też chcesz skończyć jak bezdomny ćpun, któremu nie wolno zbliżać się do żony i syna? Co jeszcze musi się wydarzyć, byś do reszty otrzeźwiał?

– Idę pod prysznic – bąknął syn, jakby nie usłyszał ojcowskich słów.

Wszedł do swego pokoju, by zabrać niezbędne rzeczy.

Karol zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią o futrynę.

– Matylda zostawiła dla ciebie obiad. Zanim znowu dokąds cię poniesie, masz zjeść porządny posiłek. I nie myśl sobie, że to koniec. Będziemy wracali do tego tematu tak długo, jak długo będzie to konieczne – powiedział do przechodzącego obok chłopaka.

Widząc, że dalsza rozmowa prowadziłaby donikąd, Pawłowski odszedł do swoich spraw. Nazajutrz miał wrócić do obowiązków zawodowych. Musiał więc przygotować wykłady i przejrzeć prace zaliczeniowe studentów. Potrzebował zajęcia, które wypełni jego umysł i oderwie go choć na moment od nieprzyjemnych przemyśleń.

Zajrzę później na aleję Róż. Odwiedzę Wiolettę, sprawdzę, co u niej. A potem pójdę do rodziców. Może tato coś mi podpowie, bo nie mam pojęcia, jak dotrzeć do tego idioty – pomyślał o Marku.

Od dłuższego czasu spoglądał z trwogą na syna i jego szarpaninę. Bał się o niego. Młody ewidentnie nie potrafił znaleźć swojego miejsca w świecie.

Chłopak nie mógł dalej słuchać karcących słów ojca. W głębi duszy nie mógł odmówić mu racji, ale z drugiej strony to wszystko tak bardzo bolało! Ciężar istnienia bez szczypty magicznych substancji był nie do udźwignięcia. Życie z miejsca nabierało kolorytu, gdy znieczulał się na atakujące go zewsząd problemy. Kiedyś na pewno ostatecznie odstawi narkotyki. Ale jeszcze nie teraz. Nie w chwili, gdy nastąpiła taka fatalna kumulacja.

Wziął długi prysznic, umył włosy, ogolił trzydniowy zarost. Fizycznie wciąż odczuwał wyczerpanie, choć wykonanie toalety przyniosło mu odrobinę ulgi. Z kuchni dobiegały zapachy zupy jarzynowej i gulaszu, przez które przebijał kuszący aromat kawy. Przełknął ślinę, był głodny. Poczuł wdzięczność do ojca, który mimo gniewu myślał o tak prozaicznych sprawach. Zapewne domyślił się, że syn będzie chciał jechać do Reni, i dlatego zagrzał dla niego posiłek. Być może gdyby woń ciepłych potraw nie pobudziła jego kubków smakowych, Marek sam nie pomyślałby o tym, by cokolwiek zjeść.

Chłopak usiadł przy kuchennym stole i sięgnął po przygotowane sztucce. Chlipnął trochę zupy, poprawił kaszą z gulaszem. W rzeczywistości głód był znacznie mniejszy, niż mu się wydawało. Wszak w areszcie dostał jedzenie. Zresztą wciąż miał żołądek zaciśnięty w supeł i odczuwał zdenerwowanie przed czekającą go wizytą u dziewczyny.

Ile czasu upłynie, nim ona wróci do normalnego stanu? Czy taki powrót jest w ogóle realny?

Nalał kawy do kubka i wrzucił dwie kostki cukru. Solidny napar postawił go na nogi. Chłopak z przyjemnością dolał sobie resztę z dzbanka stojącego na podgrzewanej płycie ekspresu.

Po dostarczeniu organizmowi znacznej porcji kofeiny Marek przełamał krępujący go wstyd i zajrzał do gabinetu urządzonego w niegdysiejszym pokoju Wioletty. Ojciec siedział pochylony nad jakimiś notatkami. Na nosie miał okulary w drucianych oprawkach – nowość, której wcześniej nie musiał nosić. W jego siwiejących skroniach odbijało się światło lampki dodatkowo oświetlającej biurko, gdyż za oknem znowu mżyło i, mimo wczesnej pory, było szaro.

– Dziękuję za podgrzanie obiadu i kawę.

– Nie ma sprawy – odparł Karol, unosząc głowę. – Jedziesz do Renaty – odgadł.

– Tak. Chciałem to zrobić po wyjściu z aresztu, ale cuchnąłem jak wieprz.

– Nie da się ukryć.

– Tato...

– Tak?

– Głupio mi prosić... – urwał. Zagryzł wargę.

– No mów – zachęcił go ojciec.

– Pożyczysz pięć dych? Muszę kupić jakieś kwiaty i czekoladki. No i nie mam już ani grosza przy dupie. W ostatniej robocie orznęli mnie na wypłacie.

Karol obrzucił go badawczym spojrzeniem.

– Mogę ci zaufać, że nie wydasz na prochy?

– Słowo honoru, że nie wydam. Dość już narozrabiałem – powiedział ze skruchą.

– Okej. Pożyczę. – Karol wysunął szufladę biurka i sięgnął po portfel. – Ale zapowiadam, że jak zobaczę cię na hajku, to gorzko tego pożałujesz.

- Nie zobaczysz. Nie jestem uzależniony – oświadczył chłopak.
- Ta... Jasne! Według mnie powinienes zgłosić się na leczenie. Masz. – Podał mu niebieski banknot.
- Dzięki. Na pewno oddam. Jutro znowu zacznę szukać pracy.
- Nie ma pośpiechu. – Ojciec machnął ręką. – Pozdrów Renatę.

O ile będziesz miał możliwość – przeszło mu przez myśl. Dziewczyna mogła nie chcieć go już widzieć. Teraz, gdy minął pierwszy szok i została przesłuchana, na pewno dotarło do niej, co zaszło. Takie wydarzenia muszą wywoływać głęboką traumę.

Wieści, które przyniósł Adrian, tylko nieznacznie poprawiły humor siostry. Teraz zamiast obwiniać się o podjętą przez Lorka próbę samobójczą, wyrzucała sobie, że postąpiła jak tchórz i nie próbowała skonfrontować jakoś swoich przemyśleń ze stanem faktycznym. Ubolewała, że po tym, jak kolega odzyskał przytomność, ani razu nie odwiedziła go w szpitalu. Powinna była to zrobić – bez względu na wszystko, a nie wzorem strusia chować głowę w piasek i udawać, że cała sprawa nie dotyczy jej w żaden sposób. Bądź co bądź przeżyli razem wiele chwil: dobrych i złych. Przemierzyli niezliczone kilometry dróg. Zagrali mnóstwo koncertów.

- Nie łam się, Wiolka! – pocieszał ją brat. – Po prostu jedź do niego i sama sprawdź, że chłopak nie żywi urazy. Coś sobie uroiliśmy na ten temat. Lepiej go odwiedź, bo w końcu gotów pomyśleć, że faktycznie masz jakieś bezsensowne poczucie winy.
- Skoro tak mówisz... Zajrzę do niego po południu. A potem skoczę na Oświecenia. Dręczy mnie niepokój o Marka i o tatę.
- Ale się porobiło!
- No. Jak usłyszałam, że został aresztowany, to mnie normalnie wcięło. On w życiu nie skrzywdziłby kobiety, dobrze go znam.
- Tak, ale policjanci go nie znają. Na szczęście Renata oczyściła chłopaka z podejrzeń.
- Biedactwo... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, ile to wszystko musiało ją kosztować. Może uda mi się również i ją odwiedzić. Ale zanim to zrobię, sprawdzę, czy można. Nie chciałabym przysparzać jej stresu w tak koszmarnej sytuacji.
- Dobry pomysł. Trzeba trzymać się razem w trudnych chwilach. Też bym do niej zajrzał, ale myślę, że widok niemal obcego faceta może na nią źle

wpłynąć. Skoczę za to do Marka, ale na razie muszę na uczelnię. Mam wykład za dwie godziny. Tylko jeden, więc średnio opłaca mi się jechać. Sęk w tym, że przedmiot jest w cholere trudny, więc lepiej poświęcić mu trochę czasu. Jakby co, to pozdrów wszystkich ode mnie. I nie rozpaczaj już, młoda. Wszystko idzie ku dobremu!

– A ty czego tu jeszcze szukasz?

W szpitalnym korytarzu Marek spotkał Kołodzieja, który obrzucił go nader nieprzychylnym spojrzeniem.

– Przyszedłem odwiedzić Renatę.

– Spierdalaj stąd, gnojku. Nie zasługujesz na moją córkę.

Szymczak jakoś przełknął tego „gnojka”. W każdej innej sytuacji skoczyłby do gardła osobie, która ważyłaby się go tak określić. Ale nie mógł sobie pozwolić na to, by wystartować z pięściami do ojca ukochanej. Rozumiał jego gorycz, sam bowiem miał wrażenie, jakby rozdzierano mu serce i umysł na strzępy.

– Proszę, panie Januszu... Ja muszę ją zobaczyć.

– Ale ona nie chce cię widzieć!

– Tak powiedziała? – wyraził zdziwienie. Przecież kiedy ostatnio u niej był, nic nie wskazywało na to, by miała go przegnać. Martwiła się o niego.

– Oczywiście! Już dawno powinna była cię pogonić – powiedział zajadle Kołodziej.

– Chcę to usłyszeć od Renaty – odparł zdenerwowany Marek.

Czuł się jak ostatni głupiec, stojąc z bukietem kwiatów przed człowiekiem, który patrzył na niego z taką niechęcią. Oczywiście Janusz o niczym nie chciał słyszeć, lecz Pawłowski dotąd obstawał przy swoim, aż tamten odpuścił.

– Dobra, sama ci to powie. I niech cię ręka boska broni, byś próbował ją skrzywdzić w jakikolwiek sposób. Dość już wycierpiała przez ciebie. Mało wylała łez, jak żeś popijał i ćpał na imprezach? Pewnie to dlatego nie miałeś siły, żeby ją odwieźć do domu, co?

Marek zdrętwiał, słysząc te słowa. Nie przypuszczał, że ukochana żali się na niego rodzicom. Zanim ktoś ją tak sponiewierał, często u niej bywał i Kołodziejowie traktowali go wówczas z sympatią. Odnosił wrażenie, że szczerą, gdyż czasami w żartach nazywali go swoim zięciem. Nie mówiliby tak, gdyby uważali, że nie pasuje do tej roli.

Z przestraczem stanął w drzwiach izolatki. Renata nie spała. Wbijała tępy wzrok w ścianę. Jej potłuczona twarz prezentowała całą paletę kolorów. Opuchlizna zaczęła powoli ustępować. Dziewczyna nadal wyglądała koszmarnie i miała usta wykrzywione w grymasie cierpienia.

– Iskierko... – szepnął, by zwrócić na siebie jej uwagę, gdyż w pierwszej chwili uznał, że go nie zauważyła.

– Idź stąd – zażądała, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem.

– Proszę, nie wyganiaj mnie. Chcę z tobą porozmawiać. Reniu!

– Zostaw mnie w spokoju. To koniec. Nie będziemy się więcej spotykać. Oni mnie zniszczyli – powiedziała z wysiłkiem, lecz bez emocji. Prawdopodobnie była pod wpływem środków uspokajających.

– Nie – odparł, podchodząc. – To minie. Siniaki znikną, ból przejdzie. Zapomnimy o tym koszmarze.

– Tego nie da się zapomnieć, rozumiesz? To już na zawsze zostanie w mojej pamięci i będzie nas dzieliło. Bo już nie ma nas i nigdy nie będzie.

– Renia, iskierko, nie mów takich rzeczy.

Podszedł do łóżka. Chciał wziąć dziewczynę za rękę, lecz ją wyrwała. Spojrzała na niego z przestraczem i wyrzutem.

– Ty też użyjesz siły? – zapytała ironicznie.

– Nie. Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

– To odejdz.

– Nie mogę. Kocham cię. Chcę z tobą zostać na zawsze. Razem stawimy temu czoła.

– Jak chcesz mi pomóc, skoro sam jesteś słaby? Gdzie byłeś tamtej nocy, Marku? – zapytała, spoglądając mu w oczy. – Co wtedy robiłeś? Co było dla ciebie najważniejsze?

– Kazałaś mi odejść – przypomniał. – Miałem wrócić do domu. Powiedziałaś, że sobie poradzisz. Przepraszam, że nie uparłem się, by z tobą pojechać.

– Ale nie poszedłeś do domu. Gdzie byłeś? – ponowiła pytanie tak stanowczym tonem, że Marek spojrzał na nią z zaskoczeniem. – Poszedłeś z kumplami na wódkę? Na panienki? Na prochy?

– Zaćpałem – przyznał ze skruchą, ponieważ wiedział, że prędzej czy później prawda i tak wyszłaby na jaw. Zresztą ojciec sam mu przykazał, jeszcze przed poprzednią wizytą w szpitalu, by wyznał dziewczynie prawdę, jakakolwiek by była. – Błagam cię, wybacz mi, Reniu, że zawiodłem!

– Zaćpałeś – powtórzyła. – Tak przypuszczałam. Widzisz? Dla nas nie ma już żadnej przyszłości. Dziesiątki razy obiecywałeś mi, że przestaniesz. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Iskierko! Nie! Przysięgam. To był ostatni raz. Daję słowo, że już nigdy więcej niczego nie wezmę.

– Nie chcę twoich obietnic. Już cię nie kocham. Wyjdź stąd natychmiast, bo jak nie, to zawołam tatę. Rozumiesz? – powiedziała dobitnie.

Odwrócił się i wyszedł, tak jak tego zażądała. Przechodząc obok Kołodzieja, nie wytrzymał. Spojrzał z wyrzutem na mężczyznę i wcisnął mu w garść kwiaty, które kupił dla Reni. Nie miał szansy dać ich ukochanej dziewczynie.

– To pana sprawka, tak?

– Sam tego chciałeś, Pawłowski. I wiesz co? Masz cholerne szczęście, że do tej pory nie pisnęła na ten temat ani słówka. Już dawno bym cię przegnał i jeszcze obiłbym ci ryja! Nie zbliżaj się od niej! Czy to jasne? – krzyczał za odchodzącym.

Zdruzgotany Marek wybiegł na zewnątrz. Wiatr szarpnął jego długimi włosami i splunął mu w twarz kroplami deszczu. Wszystko się przeciwko niemu sprzysięgło: rodzice Renaty, pogoda, fatalny zbieg okoliczności. Powrócił ten koszmarny dygot, który zdążył nacichnąć w minionych paru godzinach. Pawłowski zaciskał dłonie w pięści, lecz to nie pomagało. Drżał. Bolał go każdy mięsień. Odczuwał cierpienie każdą komórką ciała. Tylko jedna rzecz mogła go uleczyć. Dać zapomnienie choć na krótki moment. Odsunąć na później myśl o zerwaniu.

Ruszył w stronę ulicy.

– Marek? – Usłyszał nagle głos Wioletty. – Ty tutaj? Ach! Byłeś u Renaty! Jak ona się czuje? Wszystko w porządku? – zasypała go lawiną pytań.

– A co ty tutaj robisz? – zapytał wykrętnie.

– Idę do Lorka. A przy okazji chciałabym zajrzeć do Reni. Myślisz, że to możliwe?

– Odsuść sobie. Do niej cię nie wpuszczą.

– Czemu? Aż tak źle z nią? – zmartwiła się dziewczyna.

– Nie. Ale w drzwiach stoi cerber, który waruje, by nikt nie mógł tam wejść.

– Kto taki?

– Jej ojciec – burknął brat.

– Ojej. Nie wpuścił cię do córki? Mnie nie zna, więc może pozwoli mi wejść.

Przedstawię mu się jako jej koleżanka. Chcesz jej coś przekazać?

Marek pokręcił głową.

– Dzięki za pomoc, siostrzyczko, ale nie ma potrzeby. Byłem u Renaty. Pogoniła mnie jak kundla – wyznał.

Niewiele myśląc, Wiola przygarnęła Marka wolną ręką. Uścisnęła go na tyle, na ile pozwalał uwypuklony ciężą brzuch. W drugiej dłoni trzymała parasol.

– Och... Tak mi przykro, Maruś! Tak bardzo mi przykro! Na pewno za kilka dni jej przejdzie i się pogodzicie. Ona nie myśli teraz racjonalnie. Jest w szoku. Wszystko będzie dobrze – próbowała go pocieszyć, lecz brat dobrze wiedział, że to beznadziejna sprawa.

Pokiwał głową i delikatnie uwolnił się z uścisku siostry. Nie zamierzał beczeć jej w rękaw, nie był babą.

– Lepiej zmykaj, bo jeszcze złapie cię przeziębienie – wyraził troskę.

– Nic mi nie będzie. Złego diabli nie biorą – wysiliła się na mało zabawny suchar. W rzeczy samej, ostatnio myślała o sobie jak o na wskroś zepsutej kobiecie. – Poradzisz sobie?

– Oczywiście. Idź. Lorek pewnie już czeka.

Przez jej twarz przebiegł cień smutku. Tak naprawdę nikt jej nie oczekiwał. Nawet na wizytę do kolegi wyruszyła z pewnym oporem, dobrze wiedząc, że Tomasz będzie raczej zaskoczony niż uradowany jej przyjściem. Szła do niego tylko po to, by ostatecznie uciszyć głos sumienia i sprawdzić, czy faktycznie obwiniała się bez powodu.

[8] Fragment utworu *Eli Lama Sabachtani*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

Rozdział 6

Ważne spotkania

Do ilu dobrych drzwi zastukałeś

W ilu takich miejscach chciałbyś żyć

Ile marzeń, ile pragnień zapomniałeś [9]

Tomasz czytał gazetę, gdy kątem oka zarejestrował, że ktoś stanął przy jego łóżku. Owionął go zapach deszczu zmieszany z delikatną wonią perfum. Nie zdążył unieść wzroku, gdy usłyszał głos, który przyprawił go o żywsze bicie serca.

– Hej. Jak się czujesz?

– Wiola?

– No cześć – powiedziała, tkwiąc w miejscu.

Przez chwilę w milczeniu spoglądał jej w oczy. Nie dowierzał, że w końcu przyszła. Po tylu tygodniach, gdy skrycie marzył, aby znowu ją zobaczyć! I teraz sam już nie wiedział, czy cieszy go jej wizyta, czy raczej złości, ponieważ swą obecnością Wioletta na nowo otwierała ranę, która powoli zaczynała się zasklepieć.

– Usiądź, proszę. – Wskazał dłonią okrągły taboret polakierowany na biało.

Dziewczyna rozpięła kurtkę. Zauważył jej zaokrąglony brzuch, gdy siadała. Poczuł nieprzyjemny ucisk w piersi. Nadal bolała go myśl o tym, że w życiu Wioletty zabrakło miejsca dla niego. Ktoś inny mu ją zabrał: szybko, dyskretnie, bez uprzedzenia.

– Jak samopoczucie? – przerwał chwilę niezręcznej ciszy.

Wyglądała mizernie i jakoś tak bezbarwnie. Miała cienie pod oczami, które mocno odcinały się od pergaminowo białej skóry. Bardzo dobrze znał jej twarz, lecz inaczej ją zapamiętał. W spojrzeniu Wioletki brakowało tej radosnej iskry, która zawsze w nim migotała. A ponieważ dzień wcześniej był u niego Adek i wspomniał o kłopotach Marka, założył, że dziewczyna po prostu się o niego martwi.

– Powinnam zapytać o to samo ciebie. – Przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

– U mnie wszystko okej. Gips już zdjęty, teraz czeka mnie rehabilitacja. No i mam naukę na przyszłość, że latanie jest dla orłów, a barany powinny łązić po ziemi – zakpił.

Odetchnęła z ulgą, słysząc, jak humorystycznie rozprawia na ten temat. Może faktycznie prawdą było to, co powiedział Adrianowi? Tak bardzo chciała wierzyć jego słowom!

Mężczyzna utkwiał wzrok w jej brzuchu.

– No to teraz kolej na ciebie – powiedział. – Jak się czujesz? Dzidzius, jak widzę, rośnie.

– U mnie też wszystko w porządku. Maluszek faktycznie rośnie i dokazuje.

– Na kiedy masz termin? – zapytał, z wysiłkiem nadając głosowi lekki ton.

– Połowa sierpnia.

– Pełnia lata. Rok temu o tej porze jeździliśmy z koncertami po Mazurach – przypomniał. – Było fajnie.

– Fakt, było. Póki nie zaczął mnie prześladować jakiś zboczeniec.

– Sorry, nie powinienem był o tym wspominać.

– Żaden problem. Wciąż jestem kontakcie z Dyrwą. Obiecała, że gdyby coś się działo, da mi znać. Ale obydwie doszliśmy do wniosku, że ten maniak sobie odpuścił. Już od dawna nie przypomina o swoim istnieniu.

– Całe szczęście – odetchnął z ulgą. – Osiągnął cel, więc pewnie dlatego zrezygnował z prześladowania. Szkoda tylko, że przeze mnie zespół ostatecznie zakończył działalność. Podobno Królik długo nie mógł się z tym pogodzić.

– Tak, wciąż namawiał Adka, by pchali to dalej we dwóch albo żeby dorzucili jeszcze jakiś wokal.

– Adrian uparł się, że to koniec.

– Tak. Według niego granie w połowicznie zmienionym składzie nie miałoby sensu. A może przyszło wypalenie? Bo ileż można ciągnąć piosenki na jedno kopyto? Ja to nawet nie byłam zmartwiona, gdy poplątałam coś w tekście albo melodii. Mało kto zauważał takie wpadki podczas koncertów.

– Rzeczywiście. Ja też zaliczyłem wtopę parę razy. A pamiętasz, jak Królik zaczął grać *Tylko ja i ty*, a Adkowi się pomyliło i leciał z *Moja kochana*?

– Oczywiście! – parsknęła śmiechem. – Miałam niezłą zagwozdkę, co powinnam zaśpiewać.

– Powinniśmy byli wtedy koncertować na dwa głosy: ty jedną, ja drugą piosenkę.

– Byłoby super!

– Publiczność na pewno by oszalała, próbując nam wtórować. Ech... To były czasy. Wiesz, chwilami brakuje mi tego.

– Koncertów czy pięknych fanek?

– Koncertów. Fanek trochę mniej. Niekiedy bywały uciążliwe, choć pewnie nie tak bardzo, jak twoi wielbicieli. Pamiętasz, jak czasami jeden z drugim próbował przeskakiwać przez barierki? Albo jak rzucali ci pod nogi kwiaty i maskotki? – Puścił oko do dziewczyny i z zadowoleniem stwierdził, że trochę się rozluźniła.

– To było bardzo miłe. I wiesz co? Powiem ci w sekrecie, tylko nie wysyp mnie przy Adku: mnie też trochę tego brakuje.

– No to może dokonamy reaktywacji Silver Star?

– Ee... Raczej nie. Dobrze się bawiłam, ale z drugiej strony czasami odczuwałam zażenowanie. To jednak nie był mój styl. Gdybym miała jeszcze kiedyś wrócić do branży muzycznej, to chciałabym zrobić to z ambitniejszym repertuarem.

– Pop czy rock?

– Mogłoby być i jedno, i drugie. Ale bardziej skłaniałabym się ku ostrzejszym brzmieniom. Albo czemuś takiemu jak Wilki. To są fajne kawałki!

– Fakt. No i popatrz, takie to różne od disco polo, a jaki sukces! Gawliński odwalił kawał dobrej roboty, wydając te dwa krążki. Słyszałem, że sprzedał je w nieprawdopodobnym nakładzie.

– Wcale się nie dziwię. Jest świetny. Ja też go uwielbiam – stwierdziła, odgarniając z twarzy niesforny pukiel.

Dotąd unikał spoglądania na dłonie Wioli, lecz w końcu nabrał odwagi, by zerknąć na serdeczny palec jej prawej ręki. Nie zauważył obrączki. Nie miała też pierścionka zaręczynowego. A może ich po prostu nie nosiła? Coś mu świtało, że czasami ciężarnym puchną palce. Ale u niej wciąż były smukłe, z wyraźnie zarysowanymi kosteczkami.

Nie starczyło mu siły, by zapytać o to, kiedy ślub.

Może zrobią to, gdy już urodzi się dziecko? A może lada dzień? To nie jest moja sprawa...

To nie jest moja sprawa. To nie jest, do cholery, moja sprawa!

W mieszkaniu rodziców pachniało ciastem. Jeszcze było w piekarniku, ale aromat już drażnił boleśnie kubki smakowe Karola. Wawrzyńca chyba też,

ponieważ raz po raz zerkał w stronę kuchni.

– Julciu? A te pychoty się nie przypalają? – dopytywał raz po raz żonę, lecz ta kręciła głową.

– Jeszcze chwilę. Trzeba solidnie dopiec szarlotkę. Przecież nie podam wam zakalca.

– Ale tak pachnie...

– Musi pachnieć. A ty i tak nie powinienes być łakomczuchem, bo znowu zgaga będzie cię męczyła – przypomniała mężowskie dolegliwości.

Jak tylko Karol zadzwonił, że zamierza wpaść z wizytą, zabrała się do pieczenia. Zamierzała spakować większość smakołyku synowi, by poczęstował żonę i Marka, a w domu zostawić jedynie małe kawałtko, tyle co dla córki, zięcia i wnuków. Bo lekarz przestrzegał Wawrzyńca, by ten ograniczył słodczy. A ponieważ łasuch z niego był nieprzeciętny, ciasto na pewno zniknęłoby w jego żołądku.

– A co z Markiem? – zagadnęła, przysiadając na krześle stojącym obok miejsca zajmowanego przez syna.

– Martwię się o niego.

Opowiedział rodzicom o tym, co zaszło w ostatnich dniach, a czego nie zdążył wcześniej zrelacjonować w rozmowie telefonicznej. Teraz mógł wyrzucić z siebie troskę o przyszłość dziecka, podzielić się obawami związanymi z uzależnieniem od narkotyków i wyrazić współczucie dla Marka z powodu zaistniałej sytuacji. W domu unikał okazywania emocji z obawy, by nadmierne drażnienie tematu jeszcze bardziej nie oddaliło chłopaka od niego.

– Wiecie, co w tym wszystkim najdotkliwiej mnie gryzie? To, że choć sam przerabiałem na własnej skórze zbliżone problemy, teraz nie wiem, jak mam mu pomóc.

– Historia lubi się powtarzać – stwierdził Wawrzyniec. Dobrze pamiętał, jak pewnego letniego dnia musiał pojechać nad Jezioro Rożnowskie, by wyciągnąć syna z aresztu. – Niesamowite, jak ten czas szybko leci – westchnął.

– Proszę?

– Głośno myślę. Pamiętam, że ty też miałeś przygody z narkotykami.

– No właśnie: przygody. Parę razy zapaliłem trawkę, skosztowałem też LSD. Ale to był epizod. Natomiast w przypadku Marka w grę wchodzi chyba prawdziwe uzależnienie. Rozmawiałem z Matyldą. Ona wprawdzie nie jest specjalistą w tej dziedzinie, ale twierdzi, że na jej oko sprawa wygląda

poważnie. Bo już dawno zauważyła, że Marek dziwnie się zachowuje i wygląda na chorego. Początkowo składała to na karb jakiegoś niedoleczonego przeziębienia. Kilkakrotnie sugerowała mu wizytę u doktora. Widziała, jak chłopak dygocze, lecz myślała, że to z zimna lub na skutek gorączki.

– Tak bywa na ogół – wtrąciła Julia. – Człowiek spycha problem na bok, marginalizuje, pociesza się, że chodzi o jakiś drobiazg. A potem niestety trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i stawić czoła trudnościom.

– Strasznie to wszystko pogmatwane. Mam wrażenie, jakbym szedł przez gęsty, ciemny las i nie widział końca.

Matka poklepała go po ramieniu.

– Wszystko się ułoży. Jesteśmy z tobą, zawsze będziemy cię wspierać. Pomożemy ci nakłonić Marka, by podjął terapię.

Wawrzyniec pociągnął nosem.

– Szarlotka! – Chrząknął znacząco. – Zaraz będzie z niej węgiel.

– Szarlotka! – pisnęła Julia i w te pędy pognała do kuchni.

Ciasto na szczęście nie zdążyło się całkiem przypalić, trochę bardziej złapało je z jednej strony. Pani domu odkroiła najmocniej spieczony fragment. Potem odcięła kilka porcji i nałożyła na paterę. Część zanosła córce. Resztę od razu zapakowała w folię aluminiową i położyła na komodzie stojącej w przedpokoju, by nie zapomnieć obdarować syna przed wyjściem.

– No nareszcie! – ucieszył się Wawrzek na widok tego, co przyniosła żona.

Karol, choć posępny, nie mógł zapanować nad śmiechem. Ojciec zawsze był niepoprawnym łasuchem. Ale czy ktokolwiek oparłby się wypiekom mamy? Nawet on wsunął w usta widelczyk z odrobiną ciasta. Po podniebieniu rozpląnął się wspaniały smak przywodzący na myśl beztroskie dzieciństwo.

Ech... Gdyby znowu wrócić w tamten czas... Jaki był, to był. Poniekąd mroczny i pełen obaw przed władzą. Ale bez współczesnych problemów egzystencjalnych. Kiedyś zmartwieniem był podział ról przy zabawie w odgrywanie czterech pancernych, zakradanie się na dach, by tam w spokoju wypić piwo i zakurzyć papierosa, pierwsze porywy serca. Teraz Karola dręczyły obawy o dzieci, które, choć dawno dorosły, wciąż przysparzały zmartwień. Podzielił się tą myślą z matką.

Julia pieściliwym gestem odgarnęła mu włosy z czoła.

– Ach, synku! Rodzicem pozostaniesz na całe życie. I nieważne, czy pociecha liczy lat cztery czy czterdzieści, zawsze będzie ci leżało na sercu jej dobro.

– Żebyś wiedziała. Dopiero teraz, gdy mam już własne dzieciaki, dociera do mnie, jak mocno sam dałem wam w kość.

– Oj tam, synu. Nie było aż tak źle. – Wawrzyniec machnął zdrową ręką. – Byłeś dobrym chłopakiem, a tamto pamiętne lato... Cóż, sami się o to prosiliśmy, zatajając przed tobą prawdę o twoim pochodzeniu. Jestem szczęśliwy, że czas wszystko poukładał w twojej głowie i między nami. Teraz pozostaje wierzyć, że i Marek oprzytomnieje.

– Ale musimy mu pomóc – dodała Julia. – Wiem, że czujesz gniew, ale nie możesz pozwolić, by chłopak został sam ze swoją tragedią. On potrzebuje naszej bliskości.

– To prawda.

– Jestem przekonany, że to szaleństwo z narkotykami ma głębsze podłoże. On na pewno nie bierze dla rozrywki, lecz po to, by zagłuszyć swoje bóle.

– Tak. Też o tym rozmyślałem. Wiecie, sprawia wrażenie zadowolonego z życia, a przynajmniej tak było jeszcze niedawno. Owszem, na pewno irytował się, że nie jest w stanie zagrzać miejsca w żadnej pracy, ale za to miał szczęśliwy związek, snuł jakieś plany na przyszłość. Od czasu do czasu przebąkiwał, że chce podjąć przerwana naukę.

– Ale to chyba go przerosło. Zawsze powtarzałam, że pracy odkładanej na później przybiera, a problemy spychane na bok zaczynają przybierać ogromne rozmiary. Może on czuje się już za stary na powrót do szkoły?

– Myślę, że w jego przypadku w grę może wchodzić już tylko wieczorówka. A tam uczęszczają ludzie w różnym wieku – stwierdził Karol.

– On to chyba zaczął demonizować. Ubzdurał sobie, że czeka go ślęczenie nad podręcznikami, przypominanie sobie całego materiału i tak dalej. A z drugiej strony pewnie dręczy go wstyd, bo ta jego panna studiuje i ma pracę biurową. Biedak, zapewne czuje się przy niej kimś gorszym – stwierdził Wawrzyniec, łypiąc okiem na paterę z ciastem. A ponieważ żona skupiona była na rozmowie z Karolem, powolutku przesunął swój talerzyk w poblizsze naczynia. Potem widelczykiem zgarnął kawałek szarlotki.

– Ja to widziałam, Wawrzusiu! – Usłyszał głos Julii. – Nie myśl sobie, że spuściłam cię z oczu.

– Ależ Julciu, przecież już nałożone. No to muszę zjeść. – Popatrzył na nią błagalnie.

Kobieta zrobiła srogą minę.

– Nie zapomnij o leku na zgagę. Wiesz, synu, tato słusznie zwrócił uwagę na niedowartościowanie Marka. On na pewno ma zaniżoną samoocenę. Myślę,

że tu jest pies pogrzebany. Gdybyśmy zdołali go jakoś zmotywować, to może wyrwałby się z tego marazmu? Ja wiem, że teraz to nieodpowiedni moment, bo ta bidula pewnie jeszcze nieprędko dojdzie do siebie, ale warto byłoby porozmawiać z Renią, aby i ona spróbowała na niego wpłynąć. To takie sympatyczne dziecko. Grzeczna, miła i ładna. Byłaby dla niego wymarzoną żoną – rozczuliła się Julia. – Ach! Że też na tę biedną dziewczynę spadło takie nieszczęście.

Wawrzek popatrzył na nią z przestachem. Pomny tego, co ukochana przeszła w młodości, żywił obawy, czy teraz nie dopadną jej przerażające wspomnienia. Na szczęście Julia obrała zgoła odmienny tok rozumowania.

– Ja wierzę, że prędzej czy później upora się z tym, co ją spotkało. To nie jest łatwe, ale nie jest też niemożliwe. Zwłaszcza z pomocą kogoś bliskiego. – Rzuciła mężowi czułe spojrzenie i z miejsca zmarszczyła groźnie brwi, gdyż ten najwyraźniej zamierzał sięgnąć po kolejną porcję szarlotki. – Łapy ci poubijam, jak weźmiesz – zagroziła.

– Będę jęczał z bólu.

– Zdecydowanie wolę, byś jęczał z powodu ubitych rąk niż na skutek zgagi, niestrawności czy wrzodów!

– Kochanie ty moje najpiękniejsze! Jak dobrze, że tak się o mnie troszczysz. – Przesłał żonie całusa, a potem zwrócił wzrok na syna, by nie kusiło go ciasto.

Po przypadkowym spotkaniu z siostrą Marek sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Zaślepiła go rozpacz, a ból rozdzierał mu serce. Miał jeszcze trochę pieniędzy z tego, co pożyczył mu ojciec. Mógłby pójść do Pawła i kupić za to przepustkę do krótkotrwałego szczęścia. Odsunąć na później myśl o rozstaniu z Renatą.

Mimo uporczywej mżawki usiadł na ławce. Pochylił się, oparł łokcie o kolana, a dłonie zanurzył we włosach. Zacisnął powieki. Niczym w kalejdoskopie przed jego oczami przepływały obrazy wspólnie spędzonych chwil. Niesamowity uśmiech ukochanej – biel równiutkich zębów, które tak chętnie pokazywała. Piegi na zgrabnym nosku. Delikatne, niemalże kruche ciało, które uwielbiał pieścić, tulić i całować. Teraz zbrukane obcym dotykiem. Pozbawione tej czystej niewinności, która budziła w nim taki zachwyty. Był jej pierwszym chłopakiem. Do niedawna myślał, że będzie też ostatnim.

Przypomniał mu się jesienny spacer po parku, gdy Renia płała wśród chrzęszczących sucho wielobarwnych liści. Tamtego dnia była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Dobry Boże! Ależ byliśmy wtedy beztroscy! – westchnął, tarmosząc własną czuprynę. Czegóż wtedy brakowało mi do szczęścia, że musiałem szukać zapomnienia w prochach? Pracy? Matury? Pieniędzy? Jakie znaczenie ma to wszystko w sytuacji, gdy zostałem sam?

Jego dłonie opanowało drzenie, podobnie jak całe ciało. To nie były powierzchowne dreszcze zmarzniętego człowieka, któremu skóra cierpnie pod wpływem chłodu i wilgoci, lecz dygot zaczynający się w mózgu i rozchodzący promieniście całym systemem nerwowym.

– Kurczę! Jaki jestem obolały! – jęknął.

Już sam nie potrafił ocenić, co jest źródłem większego cierpienia: czy myśl o utracie ukochanej istoty, czy ten głód, niepokój i uczucie, jakby mięso odchodziło mu od kości. Same negatywne doznania szalały w jego głowie.

Muszę coś wziąć, żeby poczuć się lepiej. Ostatni raz. Nigdy więcej nie sięgnę po prochy. Nie po tym wszystkim, co zaprzepaściłem z ich powodu – szukał usprawiedliwienia dla decyzji, która zmusiła go do powstania z ławki.

Gdy Karol wrócił od rodziców, w mieszkaniu było ciemno.

– Halo, jest tu ktoś? – rzucił w głąb mieszkania, lecz nikt nie odpowiedział.

Mężczyzna włożył szarlotkę do lodówki. Zaparzył mocną herbatę z miodem i cytryną. Przypomniawszy sobie czasy, gdy cytryny były rarytasem, po który trzeba było stać w kilometrowych kolejkach. I choć takie rzeczy zdążyły już ludziom spowszednieć, dla niego żółty plaster pływający w szklance wciąż był czymś nadzwyczajnym.

Siedział samotnie w kuchni, rozmyślając o wizycie w Centrum.

Jak to możliwe, że nawet teraz, gdy mam już siwą głowę i niemal czterdziestkępiątkę na karku, wciąż ciągnę do rodziców? Że gdy siedzę z nimi przy jednym stole, wraca spokój i poczucie bezpieczeństwa? Że ich obecność jest tak bardzo pokrzepiająca, a patrząc na Wawrzyńca, nigdy nie myślę „ojczym”, tylko „tato”? Co jeszcze mogę zrobić, by i moje dzieciaki chętnie do mnie wracały i były przy mnie wolne od ciężaru trosk? By patrzyły ufnie w przyszłość i wierzyły, że wszystko jakoś się poukłada?

Gdyby tylko mógł ująć trochę tego smutku, który dręczył Wiołę, i ponieść go na swoich ramionach! Gdyby tylko był w stanie pomóc Markowi! Ukoić jego cierpienie związane z napaścią na Renatę, skłonić syna, by zaczął porządkować wszystkie inne problemy.

Z głębokiej zadumy wyrwał go jakiś hałas. Mężczyzna drgnął, jego serce załomotało nerwowo. Był przekonany, że jest w mieszkaniu sam. Czyżby

jakiś złodziej? W pośpiechu wyszedł na korytarz. Hałas powtórzył się, ewidentnie dobiegał z pokoju Marka. Karol nacisnął klamkę, wszedł do środka i włączył światło.

– Zgaś! Razi – dobiegło go mamrotanie.

W pomieszczeniu panował zaduch. Czuć było nieprzyjemną woń nieświeżych ubrań i czegoś jeszcze – słodkawego, mdlącego. Na ławie leżała okopcona łyżka stołowa oraz zapalniczka. Marek siedział na podłodze, oparty plecami o rozbebeszone łóżko. Zasłaniał twarz łokciem, jakby chciał uniknąć jasności.

– A to ty tutaj jesteś? – wyraził zdziwienie Karol. – Czemuś się nie odezwał?

– Spałem – padła krótka odpowiedź, którą Pawłowski z miejsca uznał za mało wiarygodną.

– Na dywanie? Pokaż no mi się, kolego – zażądał.

– A dajże mi spokój! – burknął syn.

Ojciec nie ustąpił. Podszedł bliżej, złapał chłopaka za rękę i szarpnął ją na bok. Zacisnął dłoń na jego włosach, by pociągnąć opuszczoną głowę. Spojrzał mu w oczy. Zawrzał w nim gniew, ponieważ uświadomił sobie, że parę godzin wcześniej dał Markowi pieniądze.

– To mówisz, że spałeś? A od czego masz takie małeńkie źrenice, co? Chyba nie od snu? I na to potrzebne ci było pięć dych ode mnie? Ty gnybie! Ty cholerny draniu! – wykrzykiwał, szarpiąc siedzącego na dywanie.

Czuł się nad wyraz podle. On, profesor z renomowanej krakowskiej uczelni, człowiek światły i utytułowany, zszedł do poziomu rynsztokowego. Bluzgał na rodzonego syna w niewybredny sposób. Ciągnął go za włosy. Wypominał mu pieniądze, które zamiast na kwiaty dla Reni i jakieś drobne wydatki poszły na narkotyki. Czuł narastającą bezsilność. Nachodziła go przemożna chęć, by zawlec smarkacza za kudły do ubikacji, wsadzić jego głowę do ustępu i dotąd puszczać wodę, aż z mózgu wyparują mu resztki substancji odurzającej.

– Ty śmieciu! Jak mogłeś to zrobić w moim własnym domu! Niemal pod moim oknem, wiedząc, jak bardzo już wcześniej narozrabiałeś? Co ty masz w tym durnym łbie?

– Zostaw. Puść! – bełkotał narkoman, nawet nieszczególnie broniąc się przed ojcowską furją.

W końcu to Karol sam otrzeźwiał, rozluźnił dłoń i puścił jego włosy. Wyszedł ogarnięty przeraźliwą niemocą. Wrócił do kuchni, usiadł na tym samym miejscu co przed momentem, ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał – pierwszy raz od niepamiętnych czasów dał upust szlochowi i łzom.

Uświadomił sobie, jak bardzo był zaślepiiony w minionym roku. A przecież to musiało trwać, odkąd Marek wrócił z wojska i nie odnalazł się w otaczającym go świecie.

Dlaczego wcześniej nie zwróciłem na to wszystko uwagi? Dlaczego byłem za mało stanowczy? Dlaczego nie nakłoniłem go do podjęcia nauki i zerwania z szemranym towarzystwem?

Siedział tak, aż wróciła Matylda. Kobieta dostrzegła go, jak tylko stanęła w przedpokoju. Przestraszona weszła do kuchni w kurtce i butach, przykucnęła przed mężem i zasypała go pytaniami.

– Karolu? Co ci jest? Coś się stało? Coś z Markiem! – odgadła.

Podniósł głowę, a gdy zobaczyła, że ma zapłakane oczy, ogarnęło ją przerażenie, że chodzi o coś bardzo poważnego.

– Powiedz mi, co doprowadziło cię do takiej rozpacz – poprosiła.

– Marek. Doszło już do tego, że wziął prochy w domu. Leży u siebie na podłodze. Jest ewidentnie naćpany. Wdychał opary, zostawił łyżkę na stole.

– Heroina?

– Na to wychodzi – odparł zdruzgotany mężczyzna. – Wczoraj dzwoniłem na numer telefonu zaufania, by zasięgnąć informacji w tej sprawie. Podali mi trochę szczegółów, na które powinienem zwrócić uwagę. Mój syn jest ćpunem, Matyldo. Jest cholernym, pieprzonym ćpunem!

– Nie klnij. To twoje dziecko – skarciła go łagodnym tonem. – Musimy mu jakoś pomóc. Sam sobie nie poradzi.

– Możemy spróbować załatwić sądowe skierowanie na przymusowe leczenie. Nie widzę innej opcji. Wszystko posypało się tak nagle, że nie ma już czasu na testowanie innych sposobów. On nie wygląda na kogoś, kto chciałby dobrowolnie pójść na terapię odwykową. Nie mogę go też wyrzucić na bruk i zostawić samemu sobie. To mój syn. Nieważne, że ma już dwadzieścia cztery lata i powinien wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Potrzebuje mojego wsparcia.

Spojrzeli po sobie z przygnębieniem.

– Kochany, to jedyne wyjście – oznajmiła Matylda.

– Tak, wiem. Dziękuję – powiedział, ujmując dłoń żony i unosząc do ust. Pocałował jej grzbiet.

– Za co?

– Za to, że jesteś przy mnie w tych trudnych chwilach i mam w tobie oparcie.

– Przypominam ci, że jestem twoją żoną na dobre i na złe. Razem przez to wszystko przejdziemy.

Po kilku dniach od pamiętnej awantury z Julią w roli głównej życie Szymczaków na nowo zaczęło się toczyć utartym torem. Jediną różnicą było to, że mimo wiosennej aury Gosia spędzała teraz znacznie więcej czasu w domu, oglądając telewizję bądź czytając książki. Nie ciągnęło jej na zewnątrz, ponieważ nie miała już ani jednej życzliwej koleżanki. Małkówna dopilnowała bowiem, by wszyscy patrzyli na nią wilkiem.

Andzia niespecjalnie przejmowała się tym, że nastolatka siedzi samotnie w mieszkaniu. Miała dzięki temu święty spokój. Odkąd ucięta została niefortunna przyjaźń, odpadło jej zmartwienie, że córka przebywa w nieodpowiednim dla siebie otoczeniu. *Na spotkania towarzyskie będzie miała jeszcze dość czasu, jak dorośnie i nabierze rozumu* – uspokajała się w myślach, gdy czasami nachodziła ją refleksja, że dziewczyna powinna więcej przebywać z rówieśnikami. By dostarczyć Gosi rozrywek, zadbała o to, aby częściej widywała babcię. Niestety Paweł nie zawsze mógł jechać z córką do Centrum, a Andzia szczególnie lubiła swoją teściową. Pomyślała jednak, że skoro Sadzidło został zdemaskowany, to z jego strony już nic nie zagraża jedynaczce. A ponieważ Sabina nieustannie narzekała na kłopoty z poruszaniem się po schodach oraz z chodzeniem, Anna doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wnuczka regularnie odwiedzała ją sama. A gdyby wpadła na tego okropnego człowieka, ma podnieść wrzask.

Gosia nie była zachwycona tym pomysłem, ale zyskała przynajmniej okazję do kolejnych odwiedzin u Wioli. Wstyd przyznać, ale nie zaglądała do niej aż od stycznia. Parę razy zadzwoniła, by pogadać, ale to nie było to samo co spotkanie twarzą w twarz. Skoro więc rodzice dali jej skwapliwie wolną rękę, postanowiła nie odkładać tego na później i przy najbliższej sposobności pojechała z wizytą.

Nazajutrz spędziła nudną godzinę, wysłuchując spokojnie wszystkich historyjek dotyczących babcinych bolączek, wizyt u lekarzy i plotek o ludziach, z których większości nie znała. Odmówiła spożycia obiadu, tłumacząc, że zjadła wcześniej w domu. Skubnęła za to kawałek sernika. Zamierzała pozbyć się go przy pierwszej sposobności.

– Już uciekasz? – powiedziała ze smutkiem Sabina, widząc, że wnuczka wstaje.

– No. Muszę lecieć. Mam trochę nauki – oznajmiła nastolatka.

– Ojej! Przecież wakacje już za pasem. Jeszcze się uczysz?

– To przygotowania do egzaminów wstępnych.

– Ano idź, idź! Szkoda, żeś wpadła jak po ogień. Tak rzadko teraz cię widuję! Przykrzy mi się za tobą – stwierdziła kobieta, której ostatnimi czasy coraz mocniej doskwierała samotność.

Nastolatka pożegnała ją krótkim całusem w policzek. Podziękowała za czekoladkę, którą dostała na drogę. Jak tylko wyszła z bramy, wyrzuciła do kosza batonik, by nie stanowił pokusy. Odkąd nie kolegowiała się z Julitą, wszystkie słodczyce trafiały do śmietnika. Przedtem obdarowywała nimi przyjaciółkę, a ta zawsze z ochotą je przyjmowała.

Koniec kwietnia przyniósł powrót ładnej pogody, więc nareszcie można było rozpiąć kurtkę i odmotać z szyi szalik lub apaszkę. Pobudzona przyjemnym ciepłem Gosia ruszyła szybkim krokiem w stronę alei Róż. Odczuwała zadowolenie na myśl, że nie doszło do spotkania z Bolkiem na klatce schodowej. Mimo zapewnień Wioletty, że mężczyzna został surowo pouczony, by się do niej nie zbliżał, wciąż odczuwała lęk na myśl o przypadkowej konfrontacji. Miała wrażenie, że jest już całkowicie bezpieczna, gdy nagle poczuła nieprzyjemne szarpnięcie za ramię.

– Ty mały kurwiszonie! Mam cię w końcu! – Usłyszała głos Sadzidy.

Odwróciła się z przerażeniem w oczach. Wiedziała, że powinna spróbować oswobodzić rękę i uciec, lecz sparaliżował ją strach. Tymczasem mężczyzna ścisnął ją jeszcze mocniej i wysyczał:

– Ty szmato! Ty mała podpuszczalska zdziro! Przyłaziłaś do mojego domu, wdzięczyłaś się, pokazywałaś nóżki! Piłaś moje piwo, paliłaś moje papierosy i żarłaś moje cukierki. I co? Jak żeś mi odpłaciła, ty gówniario?

– Niech mnie pan puści – poprosiła płaczliwie.

– O nie! Już ja ci powiem do słuchu, ty wstrętne smarkulo! Chciałaś z porządnego człowieka zrobić przestępcę? Niedoczekanie twoje! Nie będziesz na mnie nasyłać jakichś obcych ludzi, żeby robili mi wstyd przed sąsiadami! – wrzeszczał, tarmosząc dziewczynę.

Gosia daremnie próbowała się wyrwać. Nikt nie przyszedł jej z pomocą, choć w odległości kilkunastu kroków przystanęli jacyś gapi. Dopiero po paru minutach krzyków i szamotaniny jakiś mężczyzna podszedł i zapytał, o co chodzi.

– O gówno! Nie twój interes. Smarkula nabroiła, to ją przywołuję do porządku. No i na co się tak patrzycie? – fuknął do najbliższej stojących ludzi.

Nastolatka wykorzystała to, że na chwilę rozproszyła się jego uwaga.

Wykręciła ramię z uścisku palców i zaczęła uciekać co sił w nogach. Zmierzała w stronę alei Róż, którą już widziała przez bramę wjazdową do osiedla. Sapała jak miech kowalski, czuła zawroty głowy, a serce waliło jej tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi, lecz nie zwolniła nawet na moment. Z przygnębieniem pomyślała, że może jednak szkoda tych wszystkich lekcji wychowania fizycznego, na które nigdy nie chodziła, ponieważ teraz prozaiczna czynność stanowiła dla niej nie lada wysiłek.

Ostatkiem tchu dobiegła pod blok, w którym mieszkała Wiola. Rozejrzała się wokół i widząc, że nic jej nie zagraża, przysiadła na ławce, by choć trochę ochłonąć i wyrównać oddech. Wołała, żeby kuzynka nie dopytywała o powody jej wzburzenia. Chodzenie do Bolka z kolejną awanturą byłoby bezcelowe. To mogłoby tylko pogorszyć sytuację. A nuż ten straszny człowiek zacznie rozpowiadać o niej jakieś niestworzone rzeczy? Już bez tego miała dość kłopotów i coraz częściej myślała, że tak naprawdę życie nie ma absolutnie żadnego sensu.

W końcu, gdy już zdołała wystudzić targające nią emocje, wstała i poszła w stronę bramy. Wprawdzie nie uprzedzała kuzynki o planowanych odwiedzinach, ale mimo wszystko liczyła, że zastanie Wiołę w mieszkaniu.

– Gosia? Cześć! Nie spodziewałam się ciebie. Wchodź dalej – powiedziała pani domu na jej widok. – Coś ci jest? – zapytała, widząc jej niewesołą minę.

– Nie, nic takiego. Byłam u babci i pomyślałam, że może tutaj zajrzę.

– Bardzo mi miło. Masz ochotę na coś do picia?

Parę minut później siedziały w salonie. Rozmowa szła wyjątkowo ciężko. Małgorzata z przygnębieniem zerknęła na kuzynkę, zastanawiając się, czy i ona też już ją znienawidziła, tak jak wszyscy inni. Po namyśle stwierdziła jednak, że chyba nie, gdyż Wiola miała dziwnie zaczerwienione oczy i sprawiała wrażenie smutnej. Wyglądała jakoś inaczej niż zwykle. Miała na sobie luźną tunikę i legginsy, co było do niej niepodobne, gdyż zwykła nosić znacznie seksowniejsze ciuszki. Kiedy wstała, by odłożyć szklankę na stół, nastolatka stwierdziła, że jest znacznie cięższa niż wtedy, gdy ostatnio się widziały.

Chyba dlatego jest przygnębiona – stwierdziła odkrywczco. – Na pewno nie dają jej spokoju dodatkowe kilogramy, ponieważ wie, że nikt nie lubi grubasów. Mnie do tej pory nikt nie zauważa, choć zdołałam troszeczkę schudnąć. Widać jednak to wciąż za mało, skoro za moimi plecami nazywają mnie tłustą skarżypytą.

– Czym się tak smucisz? – zagadnęła po chwili namysłu.

Wiolka spojrzała na nią z zaskoczeniem. Sprawiała wrażenie wyrwanej

z głębokiej zadumy.

– O co pytałaś?

– Jesteś zmartwiona. Dlaczego?

Przeszło jej przez myśl, że kuzynka nic nie odpowie. Ewentualnie zdenerwuje się za wtykanie nosa w nie swoje sprawy, ale ku jej zaskoczeniu Pawłowska westchnęła.

– Bycie dorosłą jest przereklamowane. Doceniaj dzieciństwo, póki masz taką możliwość.

– Ee... Nie ma powodu do radości – odparła nastolatka. – Nikt mnie nie rozumie, nie mam żadnej przyjaciółki, moi rodzice są wredni i w ogóle wszystko jest beznadziejne.

– Co ty mówisz? – zmartwiła się Wioletta. Pogłaskała jej chudziutką rączkę. – Nawet jeśli teraz coś idzie nie po twojej myśli, to zapewniam, że kiedyś będziesz to wspominała z przymrużeniem oka. Nie żebym umniejszała twoje bolączki. Dobrze wiem, jak to jest, gdy ma się czternaście lat. Ale uwierz mi, w świecie dorosłych bywa jeszcze gorzej.

– Aż tak źle?

– No, wesoło nie jest.

– To dlatego, że przytyłaś? – wypaliła nastolatka.

Wiolka spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Zauważyłaś.

– No... Trochę widać. – Zrobiło jej się głupio, ponieważ nieumyślnie sprawiła kuzynce przykrość.

– Niedługo będzie jeszcze bardziej – odparła Pawłowska zadziwiająco lekkim tonem.

Czyli nie chodzi o problemy z nadwagą – pomyślała Gosia. A może to tylko mnie tak źle z tego powodu?

Nie dane jej było dalsze roztrząsanie tematu, gdyż Wiola dokończyła swoją wypowiedź:

– Będę miała dzidziusia, dlatego przytyłam.

– Dzidziusia? Ojejku! – Nie wiedziała, czy to jest powód do radości, czy smutku.

Próbowała wyobrazić sobie kuzynkę w roli mamy. Porównywała ją w myślach do swojej rodzicielki, lecz te dwa obrazki kontrastowały zbyt

mocno. *A co, jeżeli człowiek staje się beznadziejny dopiero wtedy, gdy przychodzi na świat dziecko? Czy Wiolka też będzie wtedy irytująca, marudna i zaślepiona?* Małgosia uznała, że jest to absolutnie niemożliwe.

– No i cieszysz się? – zapytała dla pewności.

– Jasne!

Wioła rozciągnęła usta w uśmiechu i pogłaskała z czułością wypukły brzuch. Nastolatka odetchnęła z ulgą. Skoro są rodzice, którzy nie traktują dzieci jak zła koniecznego, to znaczy, że świat nie jest jeszcze taki najgorszy.

[9] Fragment utworu *Ballada Emanuel*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.

Rozdział 7

Przyjacielskie gesty

Żyjemy w obcym miejscu żyjąc marzeniami

Jesteśmy tu i na wszystko czekamy [10]

Zasapana Julia przystanąła na półpiętrze. Zerknęła w górę.

– Jeszcze tylko pół kondygnacji – westchnęła. – Ech... To nie te siły, co jeszcze nie tak dawno temu. Kiedyś człowiek gonił po schodach tam i z powrotem bez choćby drobnej zadyszki.

Odetchnęła kilkakrotnie, a potem dziarsko ruszyła dalej, do mieszkania ukochanej wnuczki. Od dłuższego czasu Wioletta wciąż chodziła markotna. Frasowało się biedactwo i perspektywą samotnego macierzyństwa, i problemami starszego brata. Na sprawy związane z Markiem babcia nie mogła wiele zaradzić, choć próbowała przemówić wnukowi do rozsądku, lecz o samotnym macierzyństwie wiedziała absolutnie wszystko. I teraz nadeszła

pora na to, by przekazać swoje doświadczenia życiowe Wioli. Włać w umysł i serce dziewczyny optymizm, który przyszej matce był absolutnie niezbędny.

Energicznie zastukała do drzwi.

– Wiolciu, serduszko moje, a co ty? Płaczesz? – Przejęła się na widok zaczerwienionych oczu wnuczki.

Nie czekając na odpowiedź, objęła nieszczęśnicę i przytuliła na tyle mocno, na ile pozwalał jej wypukły brzusek.

– Ach, tak się jakoś rozkleiłam – odparła Wioletta. – Jak dobrze, że przyszałaś, babciu.

– Ależ ptaszyno! Jak ci smutno, to czemu nie wpadniesz do nas, tylko siedzisz tutaj, rozczulając się nad sobą? Głowa do góry, kochanie. A teraz wkładaj buty i weź jakiś lekki sweterek, bo dziś jest trochę rześko. Wawrusz czeka na dole w aucie. Zabieramy cię na zakupy – oświadczyła Julia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Na zakupy? – wyraziła zdziwienie pani domu.

– No tak. Czas zacząć kompletowanie wyprawki. Uważam, że powinnaś też zacząć urządzenie pokoju dla maluszka. Myślałaś już o tym? Wprawdzie to nie jest najpilniejsze, bo przez pierwsze tygodnie dziecina będzie pewnie spała w twojej sypialni. Tak jest zdecydowanie wygodniej dla młodej mamusi. Ale jak już brzdąc troszkę podrośnie, warto byłoby mieć dla niego oddzielny kącik.

– Oczywiście, babciu – powiedziała oszołomiona dziewczyna. – Wybrałam już pomieszczenie. Nawet wymierzyłam je z zamiarem kupna mebli i tapet. Ale brakło mi ochoty, by ruszyć tyłek do sklepu – przyznała z rozbijającą szczerością.

– Ha! No to teraz masz doskonałą okazję – oświadczyła Julia.

Ach, nie jest aż tak źle! – odetchnęła. Skoro zaczęła działać, to znaczy, że powoli bierze się do życia. Bo te ostatnie tygodnie to była prawdziwa gehenna!

Kilka godzin później całą trójką wnosili do mieszkania sprawunki. Na początek Wawrzek doradził wnuczce, by nabyła tapety i klej. Obiecał, że zadzwoni do majstra, któremu zlecił remont jej mieszkania przed rokiem, i poprosi go o odświeżenie pokoju. Zamówili także mebelki i łóżeczko, lecz te miały dotrzeć dopiero za kilka tygodni.

– W samą porę – cieszył się kandydat na pradziadka. – Akurat do tego czasu ogarniemy tapetowanie.

Oczywiście nie pożałowali sobie wizyty w sklepie z ubrankami i akcesoriami dla niemowląt. Tam szalała Julia, bez opamiętania kupując śpioszki i kaftaniki dla pierwszego dzidziusia w tym pokoleniu. Kategorycznie odmówiła przyjęcia od Wioletty pieniędzy, tłumacząc, że nie wiadomo, czy doczeka jakichś innych prawnuków, bo u Adka i Marka raczej nieprędko coś będzie, a pozostałe wnuczeta są jeszcze zdecydowanie za młode. Niech więc Fasolka pozwoli jej się nacieszyć, bo to może być jedyna taka radość w jej życiu.

– A co ty, babciu, wybierasz się na tamten świat? – wpadła w popłoch Wiola.

– Nic podobnego! Ale człowiek niczego nie może być pewien.

– Ja cię w zaświaty nie puszczam – wtrącił przytomnie Wawrzyniec, który nie wyobrażał sobie życia bez ukochanej Julci i jej wypieków ze palce lizać.

Zaferowana kobieta pomogła przyszłej matce rozpakować zakupy. Z miejsca poradziła jej, by ciuszki już teraz wyprała, najlepiej w płatkach mydlanych, a nie czekała na ostatnią chwilę. Nie powinna szukać sobie dodatkowych zajęć tuż przed porodem, bo wtedy będzie jej ciężko.

Dziadek jeszcze raz dla porządku wymierzył pokój przylegający do sypialni. Pokiwał głową z ukontentowaniem.

– Będzie dobrze, Fasolko – stwierdził.

Im bliżej był koniec roku szkolnego, tym trudniej przychodziło Gosi uczęszczanie na lekcje. Koleżanki wciąż ją ignorowały, a kiedy już zaczynały rozmowę, to zwykle, by jej w czymś dokuczyć. Wszystko wskazywało na to, że etykietka skarżypyty przylgnie do nastolatki na dobre. Pokątnie Szymczakówna dowiedziała się, że do tej samej szkoły co ona złożyło dokumenty jeszcze kilka innych dziewcząt. Z przygnębieniem myślała więc o nadchodzącym wrześniu. Momentami żałowała nawet, że nie posłuchała matczynych rad i nie wybrała „Nowodwórka”. Ale czy tam miałyby lepiej? Jakie było prawdopodobieństwo, że w ogólniaku nie spotka absolutnie nikogo z podstawówki?

Spędzała więc czas samotnie, unikając rówieśnic. Te, zbite w ciasne gromadki, wciąż chichotały i dobrze się bawiły. Goście było bardzo przykro. Na domiar złego – chyba z tych wszystkich zmartwień – ostatnio odczuwała niezwykłą słabość i zmęczenie. Szkolna teczka – ohyda, sprawiona przez matkę zamiast upragnionego plecaka – ciążyła jak nigdy dotąd. Nastolatce

doskwierały zawroty głowy, a przed jej oczami krążyły ciemne plamki.

Tego dnia lekcje zaczynały się geografią. Pani Kozłowska z wolna robiła przymiarki do końcowych ocen i w związku z tym odpytywała przy mapie uczniów, co do których miała pewne wątpliwości. Do tego grona należała również Gosia. Wywołana delikwentka wyszła ślamazarnie z ławki. Byłaby się wyciągnęła jak długa, ponieważ siedząca przed nią koleżanka kopnęła w swój plecak, wpychając go tym samym pod stopy „grubej”.

– Uważaj, niezdaro! – fuknęła Monika.

– Co to za pogawędki? Szymczakówna do mnie, a ty nie podpowiadaj – napomniała je Kozłowska.

Gosia z ociąganiem dotarła pod tablicę zasłoniętą przez mapę fizyczną Europy. Nie dosłyszała pytania zadanego przez geograficzkę. Stała nieruchomo, łapiąc ustami powietrze niczym wyrzucona z wody ryba.

– No, co jest, Małgośka? – zapytała zniecierpliwiona kobieta, lecz nie doczekała się na odpowiedź, ponieważ nastolatka bez słowa runęła na posadzkę.

Nauczycielka zerwała się z krzesła stojącego przy biurku. Podbiegła do leżącej na podłodze dziewczyny. Klękła przy niej, ułożyła głowę nieprzytomnej na swoich kolanach. Potem spojrzała na siedzących najbliżej.

– Leć do higienistki, powiedz, że zemdląca uczennica. A ty do sekretarki. – Przeniosła wzrok na następną osobę. – Powiedz, co tu zaszło, i poproś o wezwanie pogotowia. Szybko! – ponagliła chłopaków.

W klasie zawrzało jak w ulu, nastolatki zaczęli wychodzić na środek. Skupiona na cuceniu Szymczakówny Kozłowska przestała zwracać uwagę na panujący chaos.

– Udaje. – Julita wzruszyła ramionami.

– No jasne, że udaje. Pewnie pożarła sobie jak świnia i nie może się ruszać – odparła Monika Kwiecińska, z którą Małkówna zacieśniła kontakty, odkąd Gośka okazała swą nielojalność.

Zbite w gromadkę dziewczyny szeptały coś między sobą, a widząc, że Kozłowska zajęta jest „grubą”, jedna z nich podeszła do ławki zajmowanej zwykle przez Szymczakównę. Sięgnęła po jej torbę i z pomocą koleżanek wysypała do niej całą zawartość kosza na śmieci.

Po chwili w klasie powstał jeszcze większy ruch, gdyż pojawiła się higienistka, niosąc szklanek wody. Nim przyjechało pogotowie, Małgorzata odzyskała przytomność. Była jednak tak osłabiona, że nie mogła samodzielnie wstać. Z pomocą nauczycielki i higienistki dotarła na kozetkę

w szkolnym gabinecie lekarskim. Geograficzka poleciła, by któryś z uczniów spakował jej rzeczy.

Rekonwalescencja Tomasza przebiegała nad wyraz szybko. Młody mężczyzna został wypisany do domu. Odwiedzali go tam rehabilitanci, to znowu jeździł z ojcem do różnych specjalistów. Był tak zdeterminowany, że niezrażony drobnymi uciążliwościami wytrwale stawiał kolejne kroki.

Tuż po spotkaniu z Wiolettą popadł na kilka dni w gorszy nastrój, lecz potem nagle odzyskał utraconą energię.

Czas skończyć z rozdrapywaniem ran. Trzeba wziąć się do życia. Przyjdzie kiedyś taki dzień, gdy poznam inną i pierwsza miłość wywietrzeje mi z łepety. Wszak tylko patrzeć, jak Wiolka stanie na ślubnym kobiercu.

Pewnego dnia znalazł w sobie dość odwagi, by zadać dręczące go pytanie Adkowi. Zaskoczyła go mina kumpla. Dostrzegł też delikatne drżenie rąk, nad którym Pawłowski nie był w stanie zapanować.

– Nie powiedziała ci, gdy wpadła z wizytą do szpitala?

– Głupio mi było pytać. Mieliście wtedy dość utrapienia z Markiem.

– Nadal mamy. – Adrian westchnął, lecz nie pociągnął tematu. – A wracając do młodej, to powiem ci tylko tyle, że ze ślubu nici.

– Nie chcą się pobrać? – zapytał Lorek z mocno bijącym sercem. Sam nie wiedział, jakiej odpowiedzi oczekiwać, lecz w głębi duszy chyba najbardziej pragnął usłyszeć, że miłość prysła jak bańka mydlana.

– Ech, co ci będę ściemniał. Facet ją wykorzystał i puścił kantem – oznajmił z wściekłością brat Wioletty.

– Ale jak to? – dociekał Tomasz, z trudem panując nad emocjami.

Niełatwo przychodziło mu zachowanie obojętnego wyrazu twarzy w momencie, gdy usłyszał coś tak sensacyjnego. Nie mógł pojąć, że ktoś mógłby dobrowolnie zrezygnować z takiej dziewczyny. Słuchał więc z zainteresowaniem krótkiej relacji przyjaciela. Dowiedział się, że Wiola ma za sobą romans z człowiekiem, który ją oszukał, bo prócz niej miał żonę i trójkę dzieci. A na wieść o ciąży poczuł, jak mu się grunt pali pod nogami, i wyznał prawdę.

– Gdyby tylko zdradziła mi, kto ją tak potraktował, to spuściłbym gnojowi taki łomot, że popamiętałby do końca życia.

– No to kłapa. A jak ona sobie z tym radzi?

– Kiepsko. Bydlak zranił jej uczucia i porzucił ją z brzuchem. Na uczelni wzięła dziekanę, kapeli już nie ma, nie pracuje zawodowo. Siedzi całymi dniami w domu i rozpacza. Jakby nie dziadkowie, to nie wiem, co by było. Oni wciąż nad nią czuwają. Chodzą do niej albo wołają ją do siebie. Wyszukują Wiołce jakieś zajęcia, byle oderwać jej myśli od tego wszystkiego. Na dodatek Marek daje nam w dupę, Matylda szaleje, kombinując, jak pomóc temu głupkowi, a ojciec wciąż chodzi struty. Dom wariatów! To nie poprawia Wioli nastroju.

– A to się porobiło!

– No. Same problemy.

– A ty uważasz, Adek, że ona to tak płacze po tamtym facecie? – zapytał Lorkowski, z trudem udając spokój. W rzeczywistości był mocno zaaferowany.

– Nie sędzę. Po tym, jak ją potraktował ten gnyb, miłość dobiegła końca. Przypuszczam, że bardziej przeraża ją myśl o tym, jak sobie poradzi sama z dzieckiem. Babcia wciąż kładzie jej do głowy, żeby się nie martwiła, bo nie ona pierwsza i nie ostatnia. I żeby nie słuchała tego, co ludzie gadają.

– Przykre to wszystko. A co z Markiem? – Tomasz celowo zmienił temat. Nie chciał, by Adrian szepnął coś niedyskretnie siostrze.

– Z nim jest tragicznie. Odkąd rzuciła go dziewczyna, wciąż chodzi pijany albo na haju.

– Pracuje?

– Nie.

– To skąd bierze na to forszę?

– Głupia sprawa – odparł zażenowany Pawłowski. – Kradnie ojcu lub Matyldzie. Jak go na tym przyłapali i zaczęli lepiej pilnować portfeli, z domu zaczęły znikać różne drobne przedmioty. To zegarek, to radio, to nowa torebka Matyldy. Kiedyś wyniósł złoty pierścionek. Stary się wściekł i zagroził, że jak młody nie pójdzie na terapię, to wywali go z domu na zbity pysk. Nie pomogło.

– No i co teraz? Wyrzuci go?

– Wątpię. W końcu to najbliższa rodzina. Będzie próbował wysłać go na przymusowy odwyk. Sęk w tym, że trudno coś takiego załatwić.

Jeszcze długo po odejściu Adriana Lorkowski rozmyślał o wcześniejszej rozmowie. Walczyły w nim sprzeczne uczucia: miłość i urażona duma.

Niechęć do obcego człowieka, który skrzywdził Wiolettę. Zazdrość. Wściekłość.

Nadzieja.

Jazda karetką pogotowia na sygnale była dla Gosi dość fajną zabawą. Dodatkową ekscytację wzbudzała w nastolatce świadomość, że nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Wszyscy dopytywali ją, czy zjadła coś na śniadanie i wczorajszą kolację, czy już miesiączkuje i czy często omdlewa. Szymczakówna uważała, że sanitariusze niepotrzebnie wkłuli jej igłę do podania wzmacniającej kroplówki. Przecież czuła się już lepiej! A ponieważ ktoś ze szkoły dał znać jej rodzicom o incydencie na lekcji, krótko po tym, jak dotarła na izbę przyjęć, do szpitala przyjechała zdenerwowana matka.

Małgorzata zdecydowanie wolałaby, żeby zamiast niej wpadła Wioletta. Poprosiła nawet jedną z pielęgniarek, aby zadzwoniła po jej kuzynkę. Ta rzuciła obietnicę, że później o tym pomyśli, na razie zaprzętały ją ważniejsze sprawy. Z perspektywy nastolatki o wiele przyjemniej byłoby mieć przy sobie kogoś, kto po prostu by ją przytulił, zamiast zrzędzącej rodzicielki.

– Cóżes ty nawyczyniała? – zdenerwowała się Andzia na widok córki.

Zamierzała właśnie wyjechać z towarem do sklepu, gdy telefon złapał ją w pracowni. Całe szczęście, że to ona podniosła słuchawkę, a nie te wstrętne plotkary! France tylko uszami strzygły, czy nie wpadnie im jakaś ciekawostka do obgadania w przerwie od szycia. Dopiero miałyby używanie, gdyby któraś usłyszała, że Małgorzatka zemdląła w czasie lekcji i zabrało ją pogotowie!

Spojrzała wyczekująco na latorośl. Żywiła nadzieję, że otrzyma jakieś solidne wytłumaczenie tego, co zaszło. Na razie sprawczyni zamieszania leżała na kozetce z naburmuszoną miną. Wprawdzie podawano jej jakąś kroplówkę, ale zdecydowanie nie wyglądała, jakby była chora.

– No... Co jest? – ponowiła pytanie, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

– Nic – burknęła smarkula.

Szymczakowa przewróciła oczami. Ależ ją to dziecko irytowało! Kiedy z miłej i posłusznej dziewczynki wyrosła na wiecznie nadętą pannicę o nieprzyjaznym spojrzeniu? Ostatnio córka wciąż była naindyczona. Przesiadywała samotnie w swoim pokoju, niby pod pretekstem nauki, lecz przeważnie gdy rodzice do niej zaglądali, patrzyła w telewizor. Prawie z nimi nie rozmawiała, a jak już coś mówiła, to jakoś tak opryskliwie. Oczywiście Andzia karciała smarkulę za wszelkie przejawy bezczelności. Z dwojga złego lepiej, by dziewczyna siedziała cicho za ścianą, niż gdyby miała działać jej na nerwy swoim zachowaniem.

Wyrosnie z tego. – Wzruszyła ramionami. Ot, cielący wiek. Dojrzewa. Pewnie niedługo zacznie miesiączkować. Na razie nie ubywa mi podpasek, więc chyba jeszcze nie krwawi. Zresztą nic o tym nie wspomniała. Przecież powiedziałyby mi, gdyby tak było. Hormony buzują, to pyskuje i chodzi z niezadowoloną miną, choć nie widzę ku temu powodów. Wszak niczego jej do szczęścia nie brakuje. Ma piękne stroje szyte dla niej na zamówienie i własny pokój z telewizorem oraz magnetowidem. Kupuję jej prawie wszystko, o co poprosi.

Tak czy owak postanowiła wybadać sprawę.

– To czemu zadzwonili ze szkoły i oderwali mnie od pracy? Podobno zemdlłaś w czasie lekcji. Żle się poczułaś?

– Nie – padła kolejna lakoniczna odpowiedź.

– No to ja już nic nie rozumiem – westchnęła Szymczakowa.

Dalszą konwersację przerwała pielęgniarzka.

– Doktor Dziegiel prosi panią do gabinetu.

Anna nerwowo odgarnęła spadające na twarz kosmyki i wygładziła zakiet nowej garsonki. Żałowała, że przed wyjściem z pracowni nie poprawiła makijażu, który od rana pewnie stracił świeżość. *Mogłam chociaż pociągnąć usta szminką* – stwierdziła z żalem.

– Pani jest matką Małgorzaty Szymczak?

– Tak.

– Proszę usiąść. – Młody lekarz wskazał krzesło stojące po drugiej stronie biurka, przy którym urzędował. Spojrzał w kartę rozłożoną na blacie.

– Kiedy będę mogła zabrać dziecko do domu? – zapytała matka pacjentki. – Nie dam rady sterczeć tutaj przez cały dzień. Mam ważne sprawy na głowie, a Małgorzata mówi, że nic jej nie dolega.

– Straciła przytomność podczas zajęć lekcyjnych.

Obrzucił kobietę uważnym spojrzeniem i zmarszczył czoło. Nie spodobało mu się, że matka zamiast wykazać zainteresowanie stanem córki, zaczyna rozmowę od utyskiwania.

– To pewnie przemęczenie nauką. Ciągłe ślęczy nad podręcznikami! – wyjaśniła opryskliwym tonem. A potem dodała apodyktycznie: – Oczekuję natychmiastowego wypisu.

Podniosła się, jakby chciała wyjść.

– Szanowna pani, proszę zostać. Sprawa jest poważna – uderzył z grubej rury. Nie zwykł straszyć pacjentów ani ich krewnych, ale czuł, że inaczej nie można rozmawiać z tym babskiem. – Pani córka została przywieziona na izbę przyjęć po omdleniu wywołanym prawdopodobnie przez znaczne osłabienie organizmu. Dziewczynka ma bardzo niski stosunek masy ciała do wzrostu. Czy w ostatnim czasie przebyła jakąś ciężką chorobę? Skarżyła się na bóle brzucha? Nudności? Biegunkę?

– Nie, nigdy. Małgorzata jest całkowicie zdrowym dzieckiem.

– Ale jest nadmiernie wychudzona. Wygląda tak, jakby od wielu miesięcy nie jadła prawie nic.

– Co pan wymyśla? – zirytowała się Anna. – Przecież niczego jej nie brakuje! Zawsze była rumiana i okrągłutka!

Lekarz przetarł czoło ręką.

– Powtarzam: pani córka jest bardzo niedożywiona. Sprawia wrażenie zagłodzonej. Może to pani jakoś sensownie wytłumaczyć? Zauważyła pani u niej jakieś objawy budzące niepokój?

– Nie! – upierała się przy swoim. – Pan chyba pomylił pacjentki! Ja miałabym głodzić dziecko? Jestem bizneswoman. U mnie w domu nigdy nie brakło jedzenia. Mogę Małgorzacie kupić, co tylko zapagnie!

– No dobrze. Widzę, że w ten sposób nic nie osiągniemy – stwierdził poirytowany mężczyzna. – Zapraszam panią do pokoju zabiegowego.

Weszli z powrotem do sali, w której leżała nastolatka.

– Czy to jest pani córka? – zapytał Andzię.

– Tak. To jest Małgosia – odparła zaskoczona kobieta.

– Pani Kasiu. Proszę na chwilkę odpiąć pacjentkę od kroplówki. Będziemy ją ważyć.

Na jej oczach pielęgniarka podprowadziła dziewczynę do metalowej wagi.

Gosia stanęła na niej, a wskazówka zatrzymała się na trzydziestu siedmiu kilogramach.

– Jeszcze wzrost – odpowiedział lekarz, a gdy pielęgniarka spełniła polecenie, ponownie spojrzął na Szymczakową. – Przy stu siedemdziesięciu centymetrach dziewczyna powinna ważyć co najmniej sześćdziesiąt kilo. Czy teraz do pani dotarło?

– Ta waga jest uszkodzona. – Wzruszyła ramionami.

– Może teraz pani wejdzie na wagę?

Andzi cisnęło się na usta, by powiedzieć mu coś do słuchu, lecz stwierdziła, że dla świętego spokoju stanie na urzędzeniu. A potem zabierze Małgorzatę z rąk tego konowała, który śmie twierdzić, że w tak dostatnim domu jest głodzone dziecko.

– No i co my tutaj mamy? – poprosił pielęgniarkę o odczyt.

Korpulentna kobieta obdarzona burzą blond loków dokonała starannego pomiaru.

– Osiemdziesiąt siedem kilo – oznajmiła triumfalnie, na co Andzia zaraz oblała się purpurą, bowiem sądziła, że jest znacznie lżejsza.

– Pani jest niższa od Małgosi – stwierdził Artur Dziegiel.

– No... Tak na moje oko o pół głowy, panie doktorze – wtrąciła przytomnie Katarzyna, zerkając z wrogością na Szymczakową.

– Ale to jakaś pomyłka, zwykle nieporozumienie – wyszeptała Andzia, nagle pozbawiona rezonu.

– Nie ma mowy o nieporozumieniu! Waga działa jak należy, a my mamy tutaj poważny problem w postaci chorobliwie chudej nastolatki. Pani jako matka nie zauważyła, że dziecko jest w stanie krytycznym? – zapytał kąśliwie.

Milcząca pacjentka stała z opuszczoną głową. Unikała matczynego wzroku.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Andzia przyjrzała się uważnie rodzonej córce. Dopiero teraz dostrzegła, jak wysoko dziewczyna wystrzeliła. Rzeczywiście nastolatka górowała nad nią. Kiedy tak urosła? Ale nie to było najgorsze, bowiem Szymczakowa nareszcie zauważyła nieprawdopodobną chudość Małgośki. Kości sterczące ze zbyt luźnych rękawów bluzki. Obojczyki przebiegające ostrą linią nad obrzeżem ubrania. Patykowate nogi. Zapadnięte policzki. Oczy zdające się uciekać w głąb czaszki. Długi, sterczący nos. Ostro zarysowaną żuchwę i kości policzkowe.

– Od jak dawna to trwa? – padło kolejne niewygodne pytanie ze strony lekarza.

– Nie wiem... Małgorzata nigdy nie była taka chuda. To musiało się stać w ostatnim czasie.

– Co też pani wygaduje! Aby doprowadzić kogoś do takiego stanu, trzeba co najmniej kilku miesięcy, a niekiedy nawet i lat! Serio niczego pani nie zauważyła? – Nie mógł powstrzymać się przed jeszcze jednym, złośliwym pytaniem.

– Co dolega mojej córce? – zapytała przerażona matka.

– Wyjdźmy – powiedział doktor.

Wrócili do jego gabinetu, a tam spokojnie wyjaśnił:

– Tego, na co choruje Małgorzata, jeszcze z całą pewnością nie wiemy. Robimy badania, by wykluczyć pasożyty. Przeprowadziłem z nią wstępny wywiad, ale nie wiem, na ile jej odpowiedzi są szczerze, gdyż mówiąc, uciekała spojrzeniem w bok.

– A co pan podejrzewa?

– Jeśli badania nie wykażą obecności tasiemca lub innych organizmów obcych, to stawiałbym na anoreksję lub bulimię. W tym przypadku potrzebna będzie konsultacja psychiatry.

– Psychiatry? – Andzia zadygotała na samą myśl o takiej opcji i o tym, co ludzie powiedzieliby, gdyby sprawa się rozniosła.

– Oczywiście. Zaburzenia łaknienia u dziewczyny w jej wieku mogą mieć podłoże psychiczne. Musimy najpierw postawić jednoznaczną diagnozę.

Przerażona kobieta ukryła twarz w dłoniach. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, że rodzone dziecko może cierpieć na jakąś okropną chorobę psychiczną. *To niemożliwe, by Małgorzata była nienormalna! Ona nie jest wariatką! I co teraz będzie? Kobierzyn[11]?*

Po opuszczeniu gabinetu Andzia zobaczyła Pawła. Ten, widząc jej zbolaną minę, zaczął wypytywać o szczegóły. Przekazała mu więc to, co powiedział doktor. Usiłowała maksymalnie zbagatelizować temat chudości córki. Żywiła bowiem obawy, że mąż skoczy jej do gardła i zacznie obwiniać ją o zaniedbywanie dziecka. Wszak ona wcale nie zaniedbywała Małgorzaty, ale trudno chodzić krok w krok za nastolatką i kontrolować, czy zjadła posiłki. Dziewczyna nie ma pięciu lat, by trząść się nad nią jak nad jajkiem. Jest już duża, sama powinna wiedzieć, czy jest głodna, czy nie. A tak poza tym, to przecież najwięcej czasu spędzała z babcią, więc gdzie teściowa miała oczy, gdy wnuczka chudła? Czemu jej nie dopilnowała?

Kończąc swe wywody, pociągnęła nosem tak, że zabulgotało. Zaczęła nerwowo przeglądać torebkę w poszukiwaniu chusteczki. W ruch poszły

także kieszenie jeansów Pawła.

– Może tutaj? – stwierdziła, sięgając po szkolną torbę córki.

Kiedy ją otworzyła, uderzył ją nieprzyjemny zapach zgnilizny.

– A fuj! – krzyknęła. – Co to jest?

Rozchyliła szerzej krawędzie i zajrzała do środka.

– Cóż to za śmieci? Ogryzki, papierki, jakieś skórki...

Paweł także zajrzał do środka. Był znacznie domyślniejszy.

– To wygląda tak, jakby ktoś wsypał tu zawartość kubła na odpadki! No bo chyba Małgośka nie jest taka głupia, żeby nosić to wszystko ze sobą! Zaraz ją wezmę na spytki, a jak się okaże, że zrobił to któryś z uczniów, pójdę z awanturą do szkoły!

– Ale co ty opowiadasz? Dlaczego ktoś miałby do jej torby wsypywać śmieci? – zdziwiła się Andzia.

– Bo gówniarze już są tacy rozwydrzeni. Co ty, Andzia? Życia nie znasz?

– No znam, znam! Ale żeby ktoś chciał dokuczać Małgorzacie? Niby czemu?

– Temu, że wyrosło z niej ciele, co nie potrafi gęby otworzyć!

– Nie ciele, tylko porządnie ułożona panienska z dobrego domu.

– Panienska z dobrego domu, też coś! – zachnął się Paweł. – Ty, Andziu, zamiast wpajać dziecku do głowy te głupoty z dobrym wychowaniem, powinnaś była nauczyć Gośkę przebojowości. Żeby w życiu umiała się rozpychać łokciami, a nie stała jak ofiara losu! Jakby była inna, to nie dałaby sobie w kaszę dmuchać i nikt nie nasypałby jej do torby odpadków. Doczekałem pociechy, ech! Co z ciebie za matka, żeś tak dziecko zmarnowała?

– Taka sama jak z ciebie ojciec! Też masz oczy, więc czegoś nie dopatrył Małgośki? Przecież wiesz, że mnie pochłania atelier. Nie mogę dać tym wałkoniom wolnej ręki, bo zaraz by mnie puściły z torbami!

– Ja też mam biznes! I to nie taki jak twój! Przynoszę do domu więcej forsy! A poza tym, jak świat światem, baby zawsze były od wychowywania dzieci!

– A chłopcy to może od parady? – syknęła cicho kobieta i kopnęła dyskretnie Pawła w kostkę. – Nie przy ludziach, gamoniu! Porozmawiamy o tym później.

Roztrząsanie tematu podziału ról w małżeństwie odwróciło na moment uwagę Szymczaków od problemu, który faktycznie przygnał ich do szpitala. Przez

dłuższą chwilę spierali się zajadłym szeptem o to, które z nich jest bardziej zapracowane. Wyrażali wzajemne pretensje o zaniedbywanie dziecka, potem stopniowo zaczęli zrzucać odpowiedzialność na otoczenie, lecz i tutaj nie było pomiędzy nimi zgody. Paweł twierdził, że nie można mieć zastrzeżeń do jego matki, bo ta zawsze uwielbiała Małgosię i nieba przychyliłaby wnusi.

– Szkoła! Wszystkiemu winna jest szkoła! – piekliła się Andzia. – Za co obiboki biorą tyle forsy? Gównu robią, wakacji mają ponad dwa miesiące, do tego ferie, przerwy świąteczne i różne takie... Wciąż są pokrzywdzeni! Z nudów mogliby poświęcić trochę uwagi dzieciom, a nie tylko siedzieć w pokoju nauczycielskim, popijając kawkę i paląc papierosy!

– No właśnie! Czym oni się zajmują? Czy te ślepugi mają klapki na oczach? Żeby dopuścić do chuligańskiego wybryku i pozwolić na nasypanie komuś śmieci? No przecież to przechodzi ludzkie pojęcie! – urągał Paweł, poniekąd rad temu, że znaleźli z żoną wspólnego wroga. – To pewnie przez tych rozwydrzonych gówniarzy zachorowała Gosiula. Nie mogła znieść szykan!

– Tak! Na pewno! Trzeba koniecznie pójść do szkoły. Pogadać z dyrektorem i tą, pożał się Boże, wychowawczynią, która na nic nie zwraca uwagi!

– O! Już ja jej powiem, co myślę o tym zaniedbaniu – wygrażał rozgorączkowany Paweł. – Zmarnowali mi dziecko!

Dalsze, dość nerwowe, pogaduszki małżonków przerwała pielęgniarka. W końcu pozwoliła wejść rodzicom na salę, w której ulokowano ich córkę. Ruszyli więc jednocześnie do drzwi, i byliby się zaklinowali, gdyż ostatnio Andzia mocno przybrała w biodrach, lecz Paweł w porę przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania i puścił kobietę przodem.

– Małgorzatko, córciu! – wykrzyknęła matka na widok chudziny leżącej w ubożuchnej szpitalnej pościeli.

Cóż to był za nędzny widok! Anna załamała ręce, spoglądając na te poszwy: sztywne od krochmalu, postrzępione, ba, miejscami nawet pocerowane, ostemplowane sinymi pieczętkami! W życiu nie trzymałaby takich szmat w domu! U niej wszystko musiało być ładne, pachnące kwiatowym płynem zmiękczającym, przyjemne w dotyku i przede wszystkim niezniszczone! No jakże jedynaczka miała godnie egzystować w takich żalonych warunkach?

Paweł z niepokojem spojrział na córkę. Ależ ona obco wyglądała! Taka niepodobna do tego rumianego pączusia, którym była jeszcze niedawno, zdawać by się mogło, że wczoraj. Błada na buzi, wychudła, z zapadniętymi policzkami i podkrążonymi oczami spoglądającymi na świat wilkiem.

– Gosiula! Cóż ty nawyczyniała? – zapytał zdławionym głosem.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej policzka, lecz ona umknęła spojrzeniem i odwróciła głowę.

– Jak mogłaś doprowadzić się do tego stanu? – Matka była bardziej obcesowa. – Co ci strzeliło do łba?

– Nic – dobiegło ich uszu nieprzyjazne burknięcie.

– Małgorzato, przywołuję cię do porządku! – warknęła zirytowana Andzia. – Jak ty się odzywasz? Nie umiesz normalnie odpowiedzieć na pytanie?

Paweł położył dłoń na ramieniu żony. Gdy spojrzała na niego, pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: nie tędy droga!

– Nie pogarszajmy sytuacji – bezgłośnie poruszył ustami.

Bał się panicznie, że coś złego spotka to chuchro – szczelnie okryte kołdrą mimo znacznego upału. Usiadł na taborecie obok łóżka i pogładził dłoń córki, z której sterczał wenflon.

Ręka dziewczyny drgnęła niecierpliwie.

Gośka nie mogła jej zabrać z uwagi na kroplówkę. Tak naprawdę chciała w tej chwili zniknąć. Schować się przed rodzicami i całym otoczeniem. Przepaść. Było jej potwornie źle ze samą sobą i z tym wszystkim, co zaszło w jej życiu. Nim tata i mama weszli do sali, rozmyślała o tym, że właściwie nigdy nie powinna przyjść na świat. Bo jej wegetacja, naznaczona porażką, nie miała najmniejszego sensu. Dziewczynka uważała, że stanowi kłopot dla całego otoczenia: dla wiecznie zabieganych rodziców, schorowanej babci, zapracowanych nauczycieli. Koleżanki jej nie lubiły, koledzy z niej szydzili, Julita obraziła się na śmierć. Nawet Wiola miała teraz na głowie ważniejsze sprawy: oczekiwała dzidziusia. Będzie więc miała kogo kochać. Na cóż jej taka nudna kuzynka?

A jednak to Wioletta była jedyną osobą, za którą teraz rozpaczliwie tęskniła. Tylko jej mogłaby opowiedzieć o swoich problemach, bo tylko ona nigdy jej nie oceniała, nie porównywała do nikogo. Patrzyła na nią, a nie na wskroś przez nią.

– Gosiula... – Usłyszała głos taty. – Jak do tego doszło? Co się stało?

– Nic.

– Nie mów nam, że nic – wtrąciła zdenerwowana matka. – Nikt nie trafia do szpitala bez przyczyny. Możesz nam to wyjaśnić w sensowny sposób?

– Nie.

– Gosiula, proszę, nie traktuj nas wrogo. Jesteśmy twoimi rodzicami. Martwimy się o ciebie.

– No właśnie. Człowiek sobie żyły wypruwa, by zapewnić ci łatwiejszą i lepszą przyszłość oraz dostatnie życie, a ty wciąż chodzisz nabzdyczona. Nie uważasz, Małgorzato, że jesteś nam winna wyjaśnienie?

– Nie.

Andzia poczuła, że jeszcze moment, a chyba eksploduje. Opuściła pracownię w pośpiechu, nie dając tym gnuśnym nierobom żadnych wytycznych. Już mogłaby liczyć straty, jakie poniesie, gdyż tkwiła w szpitalu od kilku godzin, wezwana z powodu jakiejś absurdalnej przypadłości córki. Nie można więc było dziwić się jej rozdrażnieniu.

– Ależ Gosiulko! – Ojciec także był na granicy wybuchu. – Chcemy wiedzieć, co doprowadziło cię do tego stanu. Że jesteś taka chudziutka. Musisz nam o tym powiedzieć. Czyżby babcia cię głodziła? Jeśli tak, to powiedz, już ja sobie z nią porozmawiam!

Nastolatka wystraszyła się, że tato faktycznie spełni tę srogą obietnicę. Przecież nie mogła dopuścić, by wrzeszczał na Bogu ducha winną staruszkę.

– Nie – odparła znacznie grzeczniej. A potem odwróciła twarz do rodziców. Powiodła po nich wzrokiem. Obydwoje byli wzburzeni, lecz cóż mogli jej zrobić teraz, gdy była w szpitalu? Przecież nie urzędzą tutaj awantury. Nie będą też straszyć jej wakacjami u babci, bo tam na dzieci czyha rozpustny Bolek pedofil.

– No to ja nic nie rozumiem. W domu nigdy nie brakowało jedzenia, a ty zawsze mówiłaś, że już jadłaś albo że jesteś najedzona. Skąd więc ta chudość? – drażył tato.

– Stąd, że nie jadłam posiłków, bo mam obrzydzenie do tłustych kotletów, sosu i innych świństw. A jak już musiałam coś zjeść, to potem szłam rzygać. Wkładałam sobie palce w gardło i rzygałam – powiedziała dobitnie.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się rodzicielka.

– Bo nie chciałam być taka gruba jak ty! Bo nikt nie lubił mnie w szkole. Bo wszyscy mnie wyśmiewali i wyzywali od tłustych świń! – Nie dokończyła wypowiedzi, gdyż brakło jej tchu, a chciała jeszcze wykrzyknąć, że robiła to również, by ktoś zwrócił na nią uwagę. By w końcu zauważono, jak zeszczupiała i ładnie wygląda. Ale nikt tego nie dostrzegął, więc widocznie nadal jest zbyt gruba.

– Ach więc to tak! – wykrzyknęła Szymczakowa, nie bacząc na to, że na tej sali leżą jeszcze trzy inne dziewczyny, które zapewne potrzebują odrobiny spokoju. – Wiedziałam! Ja to wiedziałam! Ta cholerna szkoła i te głupie nauczycielki! Nic nie widzą, ślepugi! Moglibyście się wyzabić, a one

w ogóle by nie zareagowały. Darmozjady pierońskie!

W miarę jak rodzicielka rozkręcała się ze swoim utyskiwaniem, Gosia czuła odpływ sił witalnych. Nie miała ochoty dyskutować z rozsierdzoną matką. Zresztą po co? Już od dawna przyzwyczajona była do tego, że nie jest rozumiana przez rodziców. Obydwoje z ojcem okazywali jej tak mało zainteresowania, jakby była jeszcze jednym przedmiotem w ich luksusowym mieszkaniu. Zawsze wszystko bagatelizowali, ważniejsza była pogoń za pieniędzmi. A ona zdążyła przywyknąć do ich obojętności i zasadniczo teraz było jej na rękę, że o nic nigdy nie wypytują, nie dociekają, nie próbują ingerować w jej prywatny świat. Bo jak już zaczęli to robić, zwykle efektem końcowym była jakaś katastrofa – tak jak w przypadku Julity i jej matki. Nawet teraz przerzucali odpowiedzialność za stan jej zdrowia na innych ludzi. Jakież to było dla starych typowe!

A tak właściwie: o co ta cała chryja? Przecież nic jej nie jest! Schudła, bo tak chciała. Nie jest nawet chuda, skoro w szkole wciąż nazywa się ją grubaską. Nawet mama niczego nie dostrzegła i gdyby Gosi nie kazano w jej obecności stanąć na wadze, w życiu nie zwróciłaby na to uwagi. Czyli rzeczywiste efekty wciąż dalekie były od zamierzonych.

Krzyki Karola i Marka słychać było na klatce schodowej. Do uszu Matyldy dobiegły tuż po tym, jak kobieta opuściła windę. Jednocześnie zabrzmiał trzask na tej samej kondygnacji – jakby ktoś szybko zamknął mieszkanie, by nie dać się przyłapać na podsłuchiwanie awantury. Kobieta z przygnębieniem ruszyła w stronę swojego lokalu. Musiała jak najszybciej ostudzić emocje mężczyzn. Przypuszczała, że znowu poszło o narkotyki. Albo o kroki, które Karol podejmował, by wyciągnąć syna z nałogu. Albo o kolejną kwotę ukradzioną z jego portfela. Możliwości było sporo i wszystkie przykre.

Zauważyła prześwit przy futrynie sąsiadów i cienie majaczące w tle.

Przystanęła na swojej wycieraczce. Położyła na klamce dłoń, gdy drzwi otwarły się i pasierb wpadł na nią z całym impetem. Zderzenie sprawiło Matyldzie ból, a na dodatek poskutkowało tym, że kobieta potłukła bok o narożnik ściany. Pawłowska jęknęła. Przez chwilę zamroczona tkwiła w miejscu. Marek nawet nie przeprosił, tylko pognał w stronę schodów. Nie wszedł do windy, choć jeszcze była na ich piętrze, lecz zbiegł błyskawicznie w dół, głośno tupocząc glanami.

Na progu mieszkania zjawił się Karol. Zobaczył stojącą przy wejściu żonę.

– Co ci jest? – zapytał, widząc jej załzawione oczy. – Popchnął cię?

Zaprzeczyła i weszła do środka. Dopiero gdy odcięli się od strzygących

uszami sąsiadów, odpowiedziała, rozcierając obolałe ramię:

- Nie zrobił tego naumyślnie. Po prostu wpadł na mnie przypadkowo.
- Przekładkowo, też coś! – wykrzyknął oburzony Pawłowski. – Wybiegł stąd, jakby go coś goniło! Boże... Nie mam już do niego siły.
- O co była ta kłótnia?
- Jak zawsze: o narkotyki. Wczoraj zwinął mi pięćdziesiąt złotych. Przed momentem to odkryłem.
- Przyznał się do winy?

Karol pokiwał głową.

Matylda zdjęła czółenka na niewysokim słupku i zastąpiła je domowymi pantoflami. Małżonkowie weszli razem do salonu.

- Pokaż to ramię – poprosił mężczyzna. – Bardzo boli?
- Trochę – przyznała.

Zdjęła lekki sweterek, pod którym miała bluzkę bez rękawów. W miejscu stłuczenia została również otarta skóra i zebrało się na nim parę kropel krwi.

- Brzydki to wygląda. Co za gamoń! Już ja mu powiem do słuchu, jak go zobaczę!
- Daj spokój, to nic nie da. Zresztą mówiłam ci, że wpadł na mnie przypadkowo.
- I tak mu nie daruję. Zostań tu, zaraz przyjdę.

Mężczyzna poszedł do kuchni po lód. Wyjął kilka kostek z zamrażalnika i owinął w świeżą ścierkę. Z naprędce przygotowanym kompresem wrócił do żony.

- Proszę, przyłóż. – Podał jej zawiniątko. – Masz ochotę na coś do jedzenia? Kawę? Herbatę? – dopytywał, lecz ona odmówiła.
- A ty już jadłeś? – zatroszczyła się o męża.
- Ten drań skutecznie odbiera mi apetyt. Może później coś przegryzę, na razie muszę ochłonać.

Opowiedział Matyldzie o awanturze. Wspomniał też, że kolejny raz rozmawiał z prawnikiem na temat przymusowego leczenia Marka. Sprawa wyglądała na beznadziejną.

- Jestem bezsilny! – wyznał. – Nie daję sobie rady z tą sytuacją. Wiem, że krzykami nic nie osiągnę, ale szlag mnie trafia, gdy patrzę, jak moje dziecko

samo się zabija. Kawalek po kawałku. Dzień po dniu.

– Odkąd Renia z nim zerwała, jest bardzo źle – stwierdziła Pawłowska. – Ona miała na niego choć odrobinę pozytywnego wpływu, bo póki byli razem, na pewno brał znacznie mniej prochów. A przynajmniej ja nie przyłapałam go na tym.

– To go załamało. Ale sam sobie zawinił. Gdyby wtedy nie poszedł ćpać... Ech! Wałkowałam tę sprawę już tyle razy, że mam dosyć. Powiedz lepiej, że choć ty miałaś przyjemny dzień czy coś – zmienił temat – bo nie chce mi się w kółko gadać o tym głąbie.

– Tak, kochanie. Miałam bardzo udany dzień. Pacjenci byli wyjątkowo mili. Jeden pan przyszedł nawet z kwiatami, bo w końcu zdołałam odpowiednio ustawić leki na nadciśnienie tętnicze.

Poprawiła kompres z lodu, gdyż nieprzyjemnie podrażniał jej ciało.

– Wspaniale. A jak stłuczenie? – wyraził troskę. – Przestało doskwierać?

– Może by przestało, gdybyś podmuchał? – odparła żartobliwie, by rozładować smętną atmosferę.

– Pokaż. Podmuchar. Mogę nawet pocałować!

– Ach, ty głuptasie!

– Zakochany głuptasie – poprawił. – Choć tyle człowiek ma przyjemności. Nie mogę dopuścić, by ten nicpoń odbierał mi całą radość życia – dodał, a potem delikatnie ucałował chłodną skórę ramienia żony. – Ależ ty pachniesz – szepnął po chwili, oszołomiony subtelną wonią jej perfum.

Uświadomił sobie, że nie byli tak blisko już od ładnych paru tygodni. Do tego stopnia pochłoneły ich problemy z Markiem, że brakowało im energii na cokolwiek innego.

– Przepraszam, Matysiu. Ostatnio wciąż cię zaniedbuję – powiedział skruszony.

– To nie twoja wina. Wszyscy jesteśmy rozemocjonowani – wyszeptała kobieta, nim ich wargi połączył namiętny pocałunek.

Mężczyzna całował ukochaną z desperackim żarem. Jakby już nigdy więcej nie miał tego zaznać. Szukał w tej nieplanowanej bliskości wytchnienia od bolączek szarej codzienności. Zachłannie błądził językiem w ustach żony. Dotykał to zębów, to podniebienia, to jej języka. Pawłowski czuł wzbierające pragnienie. Nie próbował go stłumić. Pragnął Matyldy tu i teraz. Jak najszybciej. Z pasją.

Ona także odczuwała równie mocne pożądanie. Już nie rozmyślała, czy tym

razem prócz fizycznego spełnienia w jej ciele pozostanie jeszcze jeden ślad miłosnych uniesień. Pierwszy raz od wielu miesięcy nie miało znaczenia, czy w końcu poczną nowe życie. Zamierzała po prostu cieszyć się bliskością ukochanego człowieka. Dotykem jego zaborczych dłoni, gorączkowymi, pozbawionymi finezji pieszczotami.

Po trzech latach małżeństwa wciąż czuła nienasycenie, a mąż pociągał ją z taką samą intensywnością, co na początku. Pragnęła zaspokoić zmysły. Spłonąć jednym ogniem w porywach namiętności.

Ich oddechy łączyły się w jeden zgodny szmer. Zdzierali z siebie odzież. Już nie pamiętała o stłuczonym barku. Na moment zniknęły troski o Marka. Byli tylko oni: wygłodzeni siebie. Nie przeszkadzał blask dnia, zagładający przez otwarte na oścież okno. Nie odczuwali zażenowania drobnymi niedoskonałościami: nieznaczną fałdką tłuszczu na brzuchu, ciałem, które z wolna traciło jędrność. Kochali się takimi, jakimi uczyniła ich natura.

Matylda zacisnęła palce na karku męża i chciwie wpiła usta w jego szyję. Kąsała, nie bacząc na to, czy zostawia ślady swoich zębów. Czuła lekko słonawy smak wilgotnej skóry. Po chwili w tym samym miejscu przesunęła językiem. Sama pociągnęła na siebie ukochanego, nie pozwalając na przedłużanie gry wstępnej. Tego dnia subtelne pieszczoty nie były konieczne – żądza przysłaśniała wszystko. Przywarła do rozpalonego żarem pożądania ciała, oplatając nogami biodra mężczyzny.

Wszedł w nią z taką pasją, że gdyby nie była tak spragniona, to zapewne poczułaby ból. Chciała więcej, intensywniej, do utraty sił.

– Och tak, kochany. Mocno! Tak... – wzdychała, gdy poruszał się w jej wilgotnym wnętrzu.

Z cichym, miękkim pacnięciem upadły na podłogę strącone z kanapy ozdobne poduszki. Zaskrzypiały sprężyny, gdy Karol odsunął się na moment, by zmienić pozycję. Teraz on wpełzł, a Matylda klęczała nad nim jak amazonka. Ruch jej niedużych, lecz wciąż jędrnych piersi doprowadzał go do szału. Chciwie zassał stwardniały sutek. Z gardła ukochanej wydobyło się pełne satysfakcji mruczenie. Uwielbiał, gdy to robiła: gdy mruczała jak kotka, drapała go po klatce piersiowej, zostawiała na niej ślady swoich paznokci.

– Niegrzeczny profesor – szeptała mu na ucho, a on szalał z ekscytacji.

Upojna chwila zapomnienia. Cały świat wokół przestał się nagle liczyć. Ważne były coraz szybsze ruchy i zapowiedź nadchodzących dreszczy rozkoszy.

Ostatnia godzina lekcyjna klasy ósmej b przeznaczona była na spotkanie z wychowawczynią. Większość nastolatków wyraziła chęć wcześniejszego opuszczenia budynku, ponieważ i tak nadciągał koniec roku i większość uczniów została już sklasyfikowana. Nauczycielka uprzedziła ich jednak, że obecność jest obowiązkowa. Zniechęcona młodzież spodziewała się jakichś nudnych spraw organizacyjnych związanych z wyczekiwaniem przez wszystkich rozdaniem świadectw.

Byli już tacy dorośli!

To oni trzęśli całą szkołą. Koledzy z młodszych klas odczuwali przed nimi respekt. Nawet belfrowie zaczęli im pobłażać, gdyż wiedzieli, że to już finisz. Po wakacjach czekał ich kolejny etap nauki, tym razem w szkołach średnich, gdzie nikt nie będzie traktował ich jak smarkaczy. Część zacznie nawet zarabiać własne pieniądze dzięki praktykom zawodowym. A to już nie byle co!

Wielu z nich poznało smak papierosów i piwa. Niejeden sięgnął nawet po mocniejsze alkohole. Gdy tylko było to możliwe, oglądali na kanałach satelitarnych filmy przeznaczone dla pełnoletnich widzów. Niektórzy mieli już za sobą pierwsze pocałunki i obmacywanki.

Tak, zdecydowanie byli prawie dorośli.

Ale nagle ten światopogląd tępnał. A to przez wychowawczynię, Beatę Wieczorek, która sprawiła, że znowu poczuli się jak smarkacze.

– Nie zapytam was, kto wpadł na szczeniacki pomysł, by wsypać zawartość kosza na śmieci do torby należącej do Gośki Szymczak – zaczęła nauczycielka z surową miną. – Wiem, że ta osoba nie przyzna się do winy, a wy w ramach fałszywie pojmowanej solidarności nie zdradzicie, kto zniszczył mienie koleżanki.

W ławkach zajmowanych przez dziewczęta powstało zauważalne poruszenie. Siedzące w tylnych rzędach uczennice zaczęły szeptać między sobą, lecz uszu Wieczorkowej nie dobiegały poszczególne wypowiedzi, choć ze szmeru wyłapała słowa:

– Dobrze jej tak, tej tłustej świni.

– Ma za swoje, gruba kablara.

Beata pokręciła głową z dezaprobatą i kontynuowała:

– Śmiejecie się? To było takie zabawne! Figiel spleatany nie lubianej dziewczynie. Cała klasa przeciwko jednej osobie. Bo oczywiście w grupie łatwiej, tak? Nie ma konkretnego winowajcy, a odpowiedzialność zbiorowa jest bez znaczenia. Ale wiecie co? Przypomnę wam o czymś. Na pewno

znacie takie dziecinne powiedzonko, rodem z piaskownicy, bodajże: dwóch na jednego to banda łysego. Znacie? – Pani Wieczorek powiodła wzrokiem po uczniach. Chichoty i szepty zaczęły milknąć. – Znacie. A ja wam przytoczę teraz jeszcze jedno hasło. Dorosłe, bo przecież czujecie się już tacy dorośli! To, które łączy was w imię krycia chuligańskich wybryków. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Też znacie, prawda?

W sali zapadła krótkotrwała cisza. Jakiś odważniejszy chłopak odwrócił się w stronę pozostałych uczniów i rzucił:

– A może ktoś by się przyznał, co? Byłoby po kłopotcie. Czemu wszyscy mamy wysłuchiwać za jednego debila?

Młodzież zaszemrała. Wychowawczynie, by nie zdzierać gardła bez potrzeby, uniosła dziennik lekcyjny i kilkakrotnie uderzyła nim płasko o blat biurka.

– Spokój! Postąpiliście jak banda smarkaczy, wykorzystując nieuwagę nauczycielki, która zajęta była ratowaniem Gośki. Mogłabym długo rozwodzić się na ten temat, ale po co? Za kilka dni opuścicie te mury już na zawsze, zostawiając po sobie opinię niedojrzałych emocjonalnie dzieciaków. Jak wiecie, wczoraj była konferencja. Na podstawie obserwacji poczynionych przez wiele miesięcy uznaliśmy jednogłośnie, że jesteście najgorszą zbieraniną, jaka kiedykolwiek tu uczęszczała. Grono pedagogiczne wnioskowało o to, aby każdemu z was obniżyć ocenę z zachowania o jeden stopień.

– Ależ proszę pani! – zaprotestowała jedna z dziewcząt. Zerwała się z krzesła i zaczęła polemizować z krzywdzącą decyzją. – Nie możecie karać całej klasy za to, że jakaś idiotka nasypała Goście śmieci do torby! Przecież idziemy do nowych szkół! Dlaczego z powodu jednego wybryku wszyscy mamy dostać gorsze świadectwa? A gdyby sprawcy zamieszania przeprosili Gośkę? – złożyła propozycję.

– Nic z tego – odparła pani Wieczorek. – Nie zauważyliście, że Małgorzata przestała uczęszczać na zajęcia?

– No... – bąknął prymus z pierwszej ławki. – Nie ma jej, odkąd zemdlą. Czy jest chora?

– Dobre pytanie, ale padło zdecydowanie za późno – stwierdziła z goryczą wychowawczynie.

– To niech winowajcy pójdą do jej domu i tam ją przeproszą! – gorączkowała się dziewczyna, której najbardziej zależało na zachowaniu pozytywnej noty.

– Siadaj, Agnieszko. Tutaj nie chodzi tylko o ostatnie wybryki, lecz o postawę, jakie prezentowaliście w skali całego okresu edukacji. Na waszą

gromadę było nieprawdopodobnie dużo skarg i uwag. Chuligańskie ekscesy, podszczypywanie i podglądanie dziewcząt, złośliwe docinki, szykany, niszczenie mienia szkolnego i prywatnego – odczytywała z kartki, która leżała przed nią na biurku. – To wszystko otrzymałam w sprawozdaniu pani psycholog, której nieźle daliście popalić w minionym roku. A wracając do sprawy Gosi Szymczak. Czy ktoś z was ma w ogóle pojęcie o tym, co się z nią dzieje?

Uczniowie spoglądali po sobie w milczeniu.

– Nadal uważacie, że jesteście w porządku? Gdzie zniknęły wasze koleżeńskie odruchy? – zapytała ze zgrozą pani Wieczorek. – Julita! Ty siedziałaś do niedawna w jednej ławce z Szymczakówną. Jesteś w stanie powiedzieć, czemu twoja przyjaciółka nie przychodzi do szkoły?

Wywołana uczennica wstała. Nie nawiązała kontaktu wzrokowego z panią Beatą. Tkwiła w miejscu ze zwieszoną nisko głową. Przełknęła ślinę, drżąc z obawy, że zaraz ktoś doniesie wychowawczyni, kto wsypał śmieci do torby Małgośki. Gdyby sprawa wyszła na jaw i dotarła do jej rodziców, to nastolatka miałaby się z pyszna. Ojciec z matką dobitnie jej zapowiedzieli, że nigdy więcej nie chcą słyszeć ani słowa na temat Szymczakówny. Kiedy nauczycielka ponowiła pytanie, Julita uporczywie milczała.

– Siadaj, Małkówna. Moja droga klaso ósma b. Ósma bee, jak barany! Informuję was, że Małgorzata Szymczak od dwóch tygodni przebywa w szpitalu. Serio nikt z was się tym nie zainteresował? – rzuciła z przekąsem.

W sali lekcyjnej znowu zawrzało, więc uciszyła młodzież sposobem wypróbowanym wcześniej. W końcu zaczęto zagadywać o Gośkę, jej chorobę i samopoczucie.

– U Małgosi zdiagnozowano zaawansowane stadium anoreksji. Wasza koleżanka była na skraju wyczerpania, a wy nic nie zauważyliście! Co więcej, z raportu psychologa jasno wynika, że stan Gosi jest skutkiem braku akceptacji w środowisku.

Precyzyjnie opisała schorzenie Szymczakówny, wywołując coraz większe zaskoczenie wśród uczniów.

– Ilu z was nazwało Gośkę grubaską? Ilu z was określiło ją mianem tłustej świni? Milczycie? A ja wam powiem, że nawet dzisiaj słyszałam te epitety wśród waszych szeptów. Naprawdę żadne z was nie zwróciło uwagi, że koleżanka jest przeraźliwie chuda, i nadal musieliście jej dogryzać? – Zamilkła na moment. Tym razem w klasie panowała niczym niezmacona cisza. Jedyne, co było słychać, to odgłosy dochodzące zza otwartych okien oraz brzęczenie olbrzymiej, mieniającej się metalicznie muchy, która fruwała

pod sufitem. Po krótkiej chwili nauczycielka dodała z goryczą: – W trakcie burzliwej narady doszliśmy do wniosku, że nie będziemy wam obniżać ocen, bo w niektórych przypadkach jest to niewykonalne. Musielibyście chyba wszyscy otrzymać noty nieodpowiednie, lecz to i tak niczego by nie zmieniło. A wiecie dlaczego? Bo jesteście bandą nieodpowiedzialnych, rozwydrzonych i egoistycznych dzieciuchów. Nie dorośliście, by pójść do szkół średnich, lecz powinniście cofnąć się do piaskownicy.

Gdy wypowiedziała ostatnie słowa, zabrzmiał dzwonek oznajmiający koniec lekcji. Cała ósma b siedziała na swoich miejscach. Uczeń przy uczniu, z opuszczonymi głowami. Zawstydzeni jak nigdy w życiu.

Minęły dwa miesiące – pomyślała beznamiętnie Renata, spoglądając na ścienny kalendarz.

Usiłowała wymazać z pamięci tamte przerażające chwile, lecz one wciąż powracały nieprzyjemnymi wspomnieniami. Zapachy, kształty, szum deszczu, a czasami jakieś słowo lub mroczna noc – tyle wystarczało, by je pobudzić.

Po kilkudniowej obserwacji, gdy zbladły sińce, a otarcia i skaleczenia zaczęły się goić, wypisano ją ze szpitala.

Od powrotu z oddziału niemalże nie opuszczała domu. Lekarz parokrotnie przedłużał jej zwolnienie chorobowe z pracy. Konieczność jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym napawała ją głębokim lękiem. Oczywiście wiedziała, że kiedyś będzie musiała porzucić bezpieczne kąty mieszkania i stawić czoła rzeczywistości. W końcu wyczerpie się zasilek, a nie mogła oczekiwać, że rodzice pozwolą jej pozostać na ich garnuszku. Pragnęła odwlec ten moment w jak najdalszą przyszłość.

Samotne wędrówki po mieście na razie w ogóle nie wchodziły w grę. Kiedy szła do lekarza albo na policję, celem uzupełnienia zeznań, albo do psychologa, który roztoczył nad nią opiekę po tym koszmarnym wydarzeniu – zawsze ktoś jej towarzyszył. Niekiedy ojciec lub młodsza siostra. Najczęściej wychodziła z matką. W jej obecności dziewczyna czuła się zdecydowanie najlepiej, choć trudno było mówić o dobrym samopoczuciu.

Czas stracił na znaczeniu. Każda minuta trwała nieprawdopodobnie długo. Dni i noce upływały żółtym tempem. A wspomnienia, zamiast znikać, pęczniały w jej umyśle.

Gwałciciele wciąż przebywali na wolności, choć policjanci dość intensywnie ich poszukiwali. Nie znaleziono także starszego pana, którego zaczepiali w tramwaju tamci dwaj. Być może jego zeznania wniosłyby coś do śledztwa. Renata nie przyjrzała się zbyt dokładnie sprawcom. Wtedy nie patrzyła na

nich ostentacyjnie, ponieważ żywiła obawy, że może sprowokować ich poprzez samo spojrzenie. A później było zbyt ciemno i paraliżował ją niewyobrażalny strach.

W jej pamięci pozostały raczej jakieś ohydne przebłyski: smak nieprzetrawionego alkoholu w ślinie człowieka, który ścisnął boleśnie jej żuchwę i wsunął język w jej usta. Fetor niedomytego, spoconego ciała. Przerażenie. Chrapliwy oddech. Nadgarstki miażdżone silnym uściskiem przez drugiego oprawcę.

Później się zamienili. Gwałcili ją na przemian. Kilkakrotnie. Leżała na brzuchu z twarzą wciśniętą w mokrą trawę i błoto. To znowu przewracali ją jak kukłę na plecy. Jej wnętrze rozdzierał ból. Szczypali piersi, gryźli sutki.

Walcząc z obrzydzeniem i wstydem, opisała przesłuchującej ją policjantce wszystko, co zdołała zauważyć. Część zeznań powtórzyła w obecności rysownika. Na podstawie jej zeznań sporządzono portrety pamięciowe.

Jej życie momentalnie stało się puste i utraciło cały sens. Miała wrażenie, jakby doszczętnie umarły w niej pozytywne uczucia. Była zdolna jedynie do tego, by przeżywać na nowo swój strach. Dygotać na wspomnienie cuchnącego alkoholem oddechu, dłoni przebiegających po jej skórze, dotykających biustu, pośladków, rozpychających się pomiędzy udami.

Śniła koszmary w nocy. Zmagiała się z nimi każdego dnia.

Już dawno zabrakło jej łez. Tkwiła godzinami nieruchomo, zapatrzona w jakiś punkt na ścianie bądź na suficie. Wycofana. Zamknięta w sobie. Pograżona w bezpiecznym kokonie obojętności.

Nie tęskniła za Markiem. Z perspektywy czasu wydawał jej się odrealniony. Jakby nigdy niczego razem nie zaznali. Jakby nie było zaliczonych wspólnie upadków i wzlotów, miłości, namiętności, planów na przyszłość we dwoje. Jakby nie mieli za sobą wspólnie spędzonych chwil, spacerów, szeptów i wyznań.

On zabił we mnie wszystko – myślała czasami. Zabił mnie. Zniszczył. Przez niego to się stało. Okłamał mnie, że jest chory, lecz zamiast do łóżka, poszedł ćpać.

Ojciec wciąż utrzymywał Renatę w przekonaniu, że jej nieszczęściu winien jest Pawłowski. A ona podzielała jego zdanie. Gdyby po raz kolejny nie przedłożył narkotyków nad nią, być może do niczego by nie doszło. Może tamci dwaj nie próbowaliby zaczepiać dziewczyny będącej w towarzystwie rosłego chłopaka. A gdyby nawet, to Marek nie poddałby się bez walki. Był zadziornym zabijaką, a oni byli nietrzeźwi. Może doszłoby wówczas do jakiejś bójki. Może cała gromadka wylądowałaby na komisariacie. Ale nikt

by jej nie pobił i nie sponiewierał. Może.

Gdyby mogła cofnąć czas!

Nie wysiadłaby z tramwaju tamtej przerażającej nocy. Nie odprawiłaby Marka do domu. Poprosiłaby pana Karola o wezwanie taksówki. Nie spotkałaby się tego dnia z chłopakiem. Zerwałaby z nim wtedy, gdy na jakiejś imprezie po raz pierwszy poprosił, by nie pił i nie brał prochów, a on jej nie posłuchał. Nie pokochałaby go pierwszą, niewinną miłością. Nie poszłaby z nim na ten cholerny sprytny do przydrożnego baru. Nie wracaliby razem na przystanek po nieudanej rozmowie w sprawie zatrudnienia.

– Dziecko, nie możesz w nieskończoność tkwić w domu – powiedziała pewnego czerwcowego dnia Elżbieta Kołodziej, ujmując szczupłą dłoń córki.
– Musisz znowu normalnie żyć. Wychodzić, spotykać się z rówieśnikami, pracować.

– Przeraza mnie myśl, że spotkam tamtych dwóch i koszmar wróci – wyszeptała dziewczyna.

– Nie możesz trwać w nieustannym strachu. Nawet gdybyś któregoś z nich spotkała, do niczego złego nie dojdzie. Bo jeśli rozpoznasz przestępców, to może wtedy policja ich ujmie?

– Nie wierzę w to. I wątpię, bym zdołała rozpoznać któregoś. Prędzej to oni mogli zapamiętać, jak wyglądam. Będą mijali mnie na ulicy, wyśmiewali i wytykali palcami. A ja nic nie będę mogła zrobić. To wzbudza mój największy lęk.

– Możemy trochę temu zapobiec – stwierdziła Ela.

– Jak?

– Powinnaś zmienić wygląd. Pójdziemy do fryzjerki. Poprosimy, by obcięła ci włosy na krótko. Na chłopczycę przykładowo! – Zapaliła się do tego pomysłu i momentalnie zaczęła snuć plany kolejnych zmian. – Przefarbujemy je na inny kolor. Mogłabyś także skorygować linię brwi pęsetą. I kupimy ci okulary zerówki w ciemnych oprawkach. To powinno wystarczyć. Nawet nie wiesz, jak bardzo takie drobiazgi zmieniają buzię – mówiła z coraz większym entuzjazmem.

– Myślisz, że to cokolwiek pomoże? – Córka pozostała sceptyczna.

Siedziała na wersalce w pokoju dzielonym z dwiema młodszymi siostrami. Skulona w kłębek i mimo upału ubrana w bluzkę z długim rękawem oraz jeansy. Nie odczuwała gorąca. Właściwie wciąż było jej zimno, jakby chłód tamtej okropnej nocy przeniknął ją na wskroś i na zawsze pozostał w szpiku

kości, kroplach krwi i komórkach skóry. Choć prawie nigdzie nie wychodziła, odczuwała potrzebę, by dokładnie zasłaniać ciało.

– Ależ oczywiście, że pomoże, kotku. Poza tym wątpię, czy oni aż tak dokładnie ci się przyjrżeli. Skoro byli pod wpływem alkoholu, to równie dobrze mogli w ogóle cię nie zapamiętać. To co? Spróbujesz?

Przez chwilę Renata milczała, zamknięta szczelnie w kokonie obojętności. Potem wzruszyła ramionami.

– Mogę spróbować – odparła cichym tonem.

– Wspaniale – powiedziała ucieszona Elżbieta.

Dla niej to znaczyło bardzo dużo. Choć w domu nigdy się nie przelewało, uznała, że metamorfoza dobrze zrobi córce. Może dzięki temu dziewczyna znowu będzie wychodzić między ludzi? Może odzyska odwagę i wróci do pracy? Zapewne już nie do tej samej, gdyż tam wiedzieli, co zaszło. Czy zmiana otoczenia nie wpłynęłaby na nią pozytywnie? Minęło już dość czasu. Zdaniem Eli nadeszła pora, by Renata zaczęła zapominać o traumatycznych wydarzeniach. Póki beczynnienie siedziała w domu, póty jedynym jej zajęciem było katowanie samej siebie rozmyślaniami o nieszczęściu.

Oczywiście wiedziała, że nowy wizerunek nie załatwi sprawy. Serce pękało jej z bólu za każdym razem, gdy spoglądała na córkę. Gdyby tylko mogła ująć dziecku choć część tego cierpienia! Wziąć je na siebie, do swojej głowy i myśli. Zamiast niej przeżyć ból, upodlenie, strach! Byle Renia przestała zadrećcać się wspomnieniami. Byle znowu zobaczyć wesołe iskierki w jej oczach i te śliczne, białe jak perły zęby odsłonięte w uśmiechu.

Urządzenie pokoju dla maleństwa poszło szybko i sprawnie. Kilka tygodni po wyprawie na zakupy z dziadkami pomieszczenie było gotowe. Jego ściany oklejono pastelową tapetą w chmurki i baśniowe postaci. Dziadek z pomocą Krzyśka skreślił i poustawiał śliczne meble lakierowane na jasny kolor. Babcia Julia uszyła nowe zasłonki do okien i powiesiła firankę drukowaną w pęki baloników. Wspólnie z Wiolą poukładały w szafkach pachnące świeżością ubranka.

– Ślicznie wyszło – zachwycała się nestorka, stojąc w drzwiach z wnuczką. Objeżdżowała przyszlą matkę w talii i przytulała policzek do jej policzka.

– Dziękuję, babciu. Nie wiem, co bym zrobiła bez waszej pomocy.

– Oj tam! – dobiegł z salonu głos Wawrzyńca. – Pewnie pomógłby ci Karol z Adkiem.

Może nawet zaprzęgliby do roboty Marka, byłby przynajmniej jakiś pożytek

z tego huncwota – dodał w myślach. Wolał nie wspominać o tym na głos. Wiedział, jak drażliwe są kobiety w ciąży. Przerabiał to w domu kilkakrotnie zarówno z żoną, jak i z synową, a potem z córką.

Gnębiły go troski i o wnuka, i o syna. Widział, jak Karol udęczonej jest tym wszystkim. W tym przypadku najgorsza była bezsilność.

Marek był dorosły i nie dało się ot tak wysłać go na terapię. Brakowało nawet podstaw do tego, by ubezwłasnowolnić chłopaka, gdyż nie miał żadnych wyroków na koncie i nie wywoływał awantur w domu. Owszem, zdarzało się, że w okresie większej posuchy wynosił z mieszkania to i owo lub podkradał forszę rodzicom, lecz były to drobiazgi. Na ogół kupował narkotyki za pieniądze, które sam zarabiał. Od jakiegoś czasu zwykł jeździć na plac Imbramowski, gdzie ściągali okoliczni rolnicy z płodami na handel oraz w poszukiwaniu taniej siły roboczej. Wnuk najmował się do drobnych prac, za które od razu dostawał dniówkę. Potem kupował opiaty. I tak w kółko.

Gdyby nie te perturbacje z Markiem, to życie byłoby naprawdę piękne – westchnął Wawrzyniec, rozmasowując cierpnący bark. Wiola jakoś ułoży swoje sprawy na nowo. Młoda jest, ładna, mądra. Znajdzie kogoś, kto będzie na nią zasługiwał i kto ją doceni. Adrian, dzięki Bogu, nie sprawia żadnych problemów. Reszta działyw pomału rośnie. Byle tylko Markowi wrócił rozum. Byle wrócił...

Po wyjściu dziadków Wioletta jeszcze raz zajrzała do pokoju przeznaczanego dla maleństwa. Pogłaskała brzuch w miejscu, gdzie czuła delikatne ruchy.

– To dla ciebie, bąbelku. Mam nadzieję, że będziesz tutaj szczęśliwy.

Zgodnie z zapowiedzią wychowawczynie, Gośka nie pokazała się więcej w szkole. Wiadomo było, że opuściła szpital, gdyż jeden z kolegów widział ją z daleka na osiedlu. Jak potem stwierdził, pewnie by jej nie poznał, bo rzeczywiście nagle zobaczył wychudłą jak szkielet, wysoką dziewczynę w miejsce grubaski średniego wzrostu. Pamiętał jednak, że rodzice Szymczakówny mają fajnego opla z paskudnie porysowanym bokiem. To po tym samochodzie rozpoznał koleżankę z klasy.

– Głupio wyszło – powiedział potem do kumpli, gdy rozchodzili się do domów po uroczystym rozdaniu świadectw. – Niby widywaliśmy ją co dzień w budzie, ale tak, jakby człowiek w ogóle jej nie widział.

– No. Bo w sumie zawsze robiła nijakie wrażenie. Ani ładna, ani fajna, a zanim jej odwaliło, była na dodatek gruba – poparł go zaraz kolega. – No to

nie zwracało się nią głowy, bo człowiek nie miał na czym oka zawiesić.

O ile chłopcy jakoś szybciej przeszli nad sprawą do porządku dziennego, to dziewczyny dłużej roztrząsały temat. Było im nawet trochę głupio, że niczego wcześniej nie zauważyły. Niby takie spostrzegawcze, jedna u drugiej błyskawicznie wypatrywała nowe ciuchy, zmianę uczesania czy oko podmalowane kredką, a umknęła im taka metamorfoza! Dokuczały trochę przy tej okazji Julicie, bo ta nie dość, że była najlepszą koleżanką Gośki i okazała się ślepa jak kret, to jeszcze niepotrzebnie nasypała jej tych śmieci do torby.

– Głupia jesteś – fuknęła Agnieszka. – Może jakbyś tego nie zrobiła, to nie byłoby aż takiej draki dwa tygodnie temu.

Nazajutrz po pamiętnej godzinie wychowawczej ktoś przyniósł do klasy plotkę, że o te śmieci w torbie Szymczakowie byli strasznie wkurzeni. O to i o brak koleżeństwa. O dokuczanie słabszym, jak chociażby ich córce, która nie wytrzymała presji i przesadziła z odchudzaniem. Podobno winą za zły stan zdrowia nastolatki obarczyli wszystkich: od grona pedagogicznego, poprzez nieudolną panią pedagog, a na koleżankach i kolegach Małgośki skończywszy.

– Sama jesteś głupia – odcięła się Julita Małek. – I tak by była chryja, bo narozrabialiśmy dość w ciągu całego roku. Poza tym nie jest mi ani trochę szkoda tej idiotki. Byłyśmy przyjaciółkami, a ona najpierw sama nabroiła, a potem doniosła na mnie swoim wapniakom. Tak się nie robi najlepszej kumpeli!

– No ale co wyście tak właściwie odwalily? – zapytała Nowakówna, dla której całe to zamieszanie było dziwne.

– No... Chodziłyśmy razem na wagary do takiego jednego faceta, sąsiada jej babci. Było piwo, fajki i kasety z filmami dla dorosłych. Gośka chyba go do czegoś sprowokowała, bo nagle rodzice zabronili jej samotnie jeździć do staruszki. Z tego wszystkiego wyszło takie piekło, że Szymczakowa wywaliła z roboty moją mamę. Matka pracowała u niej przez jakiś czas – rzuciła tytułem wyjaśnienia. – No i starzy wściekli się na mnie i zabronili mi nawet gadać z tą konfidentką.

– Aha. Więc o to poszło.

– No. – Julita pokiwała głową. – Zdziwiona jesteś jeszcze, że przestałam się z nią zadawać? Nigdy jej tego nie daruję! – dodała zaciekle.

Szybko skończyły rozmowę, potem Julita opuściła gromadkę idącą chodnikiem i skręciła w stronę swojego bloku.

Agnieszka spoglądała za nią przez chwilę, a potem rzuciła do Marty Zajac:

– Okej, rozumiem, że Gośka dała ciała z tym podkablowaniem Julity. Ale kurczę, co to były za przyjaciółki, skoro nawet Julita nie zauważyła, że coś złego dzieje się z kumpelą? Ani nie zauważyła, że schudła, ani nie zauważyła, że Szymczakówna miała z tym problem. Przecież musiały ze sobą gadać. I co? Nigdy nie rozmawiały o tym, co ją gryzie?

– Na to wychodzi. Może Gocha wcale jej nie wspominała, że źle się czuje?

– No, ale mogła coś mówić o tym, że jest nielubiana i że ktoś dokucza jej z powodu tuszy – drążyła temat Agniecha.

– Ja bym tak nie dała rady – stwierdziła w końcu Zajacówna. – Na pewno chciałabym komuś o tym powiedzieć.

– Gośka się nie żaliła.

– No. Twarda sztuka. Ale jak by na to nie patrzeć, podpieprzyła Julitę.

– A wiadomo, jak było naprawdę? Znamy tylko jedną wersję.

Agnieszka doszła do wniosku, że fatalnie to wszystko wygląda. Trzepnęły ją słowa wychowawczyni oraz sama świadomość, że koleżanka mogła umrzeć z powodu tej dziwacznej choroby. Parę dni temu była w bibliotece publicznej i tam wypożyczyła książkę o anoreksji. Zrozumiała, że pani Wieczorek ani trochę nie przesadzała.

Muszę porozmawiać z Gośką – stwierdziła, wracając do domu. O ile pamiętam, ona też złożyła papiery do ekonomika. Jeśli trafimy do tej samej klasy, to głupio byłoby mi później spojrzeć jej w oczy. Powiem, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co zaszło. Ona na pewno czuje się okropnie samotna.

W tym samym czasie, gdy Agnieszkę dręczyły myśli zdominowane przez poczucie winy, Julita maszerowała w stronę swojego bloku. Rozmowa z koleżanką mocno pogorszyła jej i tak nie najlepszy humor. Miała już dość słuchania o Gośce i jej problemach. No bo co z niej niby była za przyjaciółka, skoro nigdy nie opowiadała o tym, co ją gryzie? Gdzie w tym wszystkim szczerłość i zaufanie?

A zresztą, co to za przyjaciółka, która pakuje człowieka w tarapaty, a potem sama się z nich ratuje, pogrążając przy tym innych?

Dotarła w pobliże klatki schodowej, gdy dostrzegła Szymczakównę idącą

chodnikiem w towarzystwie swoich rodziców. Nie widzieli jej, więc szybko weszła do środka. Bezpiecznie schowana, patrzyła na zewnątrz przez grubą szybę. Obrzuciła uważnym spojrzeniem Małgorzatę. Ta niby wyglądała tak samo jak zazwyczaj: zdaniem Julity była naprawdę brzydka z tymi strączkami rzadkich włosów, ziemistą cerą i ogólną bezbarwnością. Ale faktycznie dopiero teraz dostrzegła jej niezwykłą chudość. Przedtem nie zwracała na to uwagi. Wydawało jej się, że koleżanka wygląda normalnie.

Jest ciężko chora. Ta choroba siedzi nie tylko w jej ciele, ale i w głowie. Może przez to zachowywała się tak idiotycznie? – przemknęło jej przez myśl. Nie byłam dobrą przyjaciółką, skoro niczego nie widziałam.

[10] Fragment utworu *Letnia piosenka dla Ciebie*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.

[11] Właściwie: Szpital Kliniczny im. Józefa Babińskiego Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Krakowie. Placówka mieści się na osiedlu Kobierzyn przy ul. dr. J. Babińskiego 29. Głównym celem jest leczenie i rehabilitacja chorych w zakresie psychiatrycznym, odwykowym i neurologicznym.

Rozdział 8

Kruchość przyszłych dni

Nim ptaki z gór wzlecą do gwiazd

Nim znajdę sam słowa bez cienia

Wszystko co znam, wszystko co znam

Światło jest tu

Wierzę, że czeka [12]

Odkąd Tomasz usłyszał, że Wioletta nie wyjdzie za mąż, w jego sercu znowu rozbłysła iskierka nadziei. Czuł się jak skończony głupiec, bowiem każdego dnia owa nadzieja gorzała coraz mocniejszym ogniem.

Teraz, gdy już nie leżał w szpitalu, lecz wracał do dawnej sprawności pod okiem rehabilitantów z pobliskiej przychodni, czuł przypływ niezwyklej energii. Przestał uważać, że jest pechowcem, gdyż w gruncie rzeczy miał niesamowite szczęście. Przecież mógł się zabić, choć to chyba byłaby lepsza ewentualność niż trwałe kalectwo i funkcjonowanie na wózku inwalidzkim do końca życia.

Wprawdzie Wioletta odwiedziła go tylko raz, jeszcze w szpitalu, lecz jakoś nie odczuwał przykrości z tego powodu, mimo że serce wyrывało mu się do niej. Rozumiał, że dziewczyna przeżywa teraz wyjątkowo trudne chwile. Jest ciężarna, osamotniona, zapewne dręczy ją wiele trosk.

Pewnego lipcowego dnia stwierdził, że poruszanie się o własnych siłach bez pomocy kul albo laski wychodzi mu dość przyzwoicie. Uznał zatem, że czas najwyższy złożyć wizytę na alei Róż. Spodziewał się zastać Wiołkę w domu. Wiedział od przyjaciela, że jeszcze nie urodziła, a do wyliczonego przez lekarza terminu zostały zaledwie trzy tygodnie. Nie miał pojęcia, czy to odpowiednia pora na odwiedzin, lecz postanowił zaryzykować. Potem ona nie będzie miała głowy do tego, by rozmawiać na poważne tematy.

A on już podjął decyzję i był jej całkowicie pewien. By rozwiązać ostatnie wątpliwości, omówił problem z ojcem – największym autorytetem moralnym, jaki miał w całym życiu. Był bowiem ciekaw, czy rodzina zaakceptuje jego wybrankę i to maleństwo, które spłodził inny mężczyzna. Nie oczekiwał, że ukochana rzuci mu się z entuzjazmem na szyję, więc tym bardziej zależało mu na życzliwości ze strony bliskich.

– Rozumiem, że dobrze przemyślałeś swoją decyzję – powiedział Władysław Lorkowski.

– Tak. Kocham Wiolettę. Zawsze ją kochałem, nawet wtedy, gdy kręciłem z innymi dziewczynami.

– Ale co możesz jej zaoferować prócz miłości? Nie chodzi mi bynajmniej o kwestie finansowe. Teraz masz dość pieniędzy, choć to oczywiste, że prędzej czy później może ich zabraknąć. Ale wierzę, że wkrótce znowu zaczniesz zarabiać.

– Chcę zaopiekować się nią i jej dzieckiem.

– Jesteś przekonany, że będziesz w stanie zaakceptować dziecko obcego

mężczyzny?

– Podołam temu wyzwaniu.

– To ogromna odpowiedzialność. Nie powinieneś brać sobie ciężaru na ramiona, jeżeli nie jesteś pewny, czy go udźwigniesz. Puszczając go, możesz narobić wiele szkód.

– Tak, tato. Nieustannie o tym myślę i wierzę, że sobie poradzę. Chciałem tylko wiedzieć, czy ty i mama nie będziecie stawali nam na przeszkodzie.

– Jeśli o mnie chodzi, nie musisz się martwić. Nie znam wprawdzie Wioli tak dobrze jak ty, cóż, widziałem ją zaledwie parę razy, sprawia jednak wrażenie miłej dziewczyny. Zawsze ceniałem jej wizerunek sceniczny. Nie była prowokująca ani ordynarna, a to też świadczy o jej charakterze. Mama także nie powinna wam tego utrudniać. Teraz jedynym jej marzeniem jest to, abyś był szczęśliwy. Przeżyła załamanie na wieść o wypadku. Błagała Boga, żeby cię nie zabierał. Nie sądzę, by teraz chciała piętrzyć trudności.

Odkąd wypisano Gosię z oddziału, rodzice zrobili się wprost nieznosni! Na każdym kroku pilnowali, by coś jadła. Półki w lodówce wypełnione były produktami bogatymi w białko służące do odbudowy ubytków w mięśniach i narządach. Doktor, który prowadził ją w szpitalu, ułożył specjalny plan dietetyczny i przestrzegł rodziców, by go ściśle stosowali. Nie było mowy o żadnych odstępstwach. Najgorsza była konieczność regularnego spożywania posiłków. Te zalecił w liczbie sześciu na dobę! Początkowo były to jakieś papki na bazie ryżu i warzyw, które nie dość, że miały obrzydliwy smak, to jeszcze wyglądały ohydnie, przynajmniej zdaniem zainteresowanej.

Oczywiście rodzice musieli sprowadzić do domu nadzorcę w postaci babci. Sabina została dokładnie poinstruowana, jak należy przygotowywać poszczególne potrawy, by nie zaszkodziły delikatnym wnętrzościom anorektyczki. Na razie należało więc zachować szczególną ostrożność z używaniem tłuszczu, który nie dość, że mógł być źle tolerowany przez rekonwalescentkę, to jeszcze powodował obniżenie łaknienia.

Dla Sabiny było to niezrozumiałe. No bo jakże ugotować solidny obiad bez oleju czy smalcu? Bez skwierczącej na patelni słoninki czy złościście przyrumienionej cebulki? Przecież jałowym posiłkiem nie nakarmi się do syta tej mizeroty! I jakże przywrócić toto do naturalnej postaci? Jak zaokrąglić zapadnięte policzki?

Przyzwyczajonej do innego jadłospisu babci trudno było zaufać, że dieta ułożona przez lekarza przywróci zdrowie wnuczce. Ona uważała, że nic nie postawiłoby dziecka na nogi szybciej od zacnego kotleta schabowego,

klopsików w zawiesistym sosie lub sznycelków smażonych w głębokim oleju. Toć na sam zapach takich delicji ślinka napływa do ust człowiekowi! Nic dziwnego, że bidulka w ogóle odmawiała jedzenia i trzeba było stać nad nią niczym kat, by wmusiła w siebie choć parę łyżek zupy.

Lekarz stanowczo odradzał nadmierne napychanie dziewczynki, ale za to zalecił dopilnowanie, by pokarmy przyjmowane były regularnie i trafiały do żołądka, a nie do klozetu. Należało zwracać szczególną uwagę na to, czy tuż po posiłku Małgosia nie wychodzi do toalety w celu wymuszenia torsji. Chorej wytłumaczył, że takim postępowaniem rujnuje sobie zdrowie, ponieważ powinna jeść coraz więcej, by nabrać choć trochę ciała i wigoru. Wyjaśnił jej również, że w przypadku, gdy nie będzie się należycie odżywiała, zostanie skierowana na oddział psychiatryczny i tam będą ją karmili przymusowo – przez sondę umieszczoną w dziurce od nosa.

– Ja nie wytrzymam! – zbuntowała się, gdy w domu rodzice palnęli jej kazanie na ten temat. – Przecież nie jestem jakąś wariatką, żeby zamykali mnie u czubków!

– Ale właśnie tak postępujesz! – skwitowała matka. – Kto to widział, żeby marnować jedzenie? To my z ojcem żyły sobie dla ciebie wypruwaliśmy, byś miała pomarańcze, mandarynki i inne frykasy, o których za naszych dziecięcych czasów człowiek nawet nie słyszał, a ty wyrzucałaś to wszystko na śmietnik lub do ustępu!

– Czasami jadłam!

– Owszem, ale tylko po to, by zaraz wyrzygać wszystko! – huknął zniecierpliwiony tato. – Dziewucho! Ja w twoim wieku marzyłem o kotlecie schabowym i szynce! W domu bieda aż piszczała, w sklepach straszyły puste półki. Jak dostałem pierwszą wypłatę, to wszystko wydałem na jedzenie, tak mi głód zaglądał do dupy!

– Pawle, nie wyrażaj się! – skarciła go połowica wyniosłym tonem. – A ty – wyciągnęła palec wskazujący w stronę córki – zapamiętaj sobie, moja droga, że koniec z fanaberiami! Już my dołożymy starań, żebyś była odżywiona jak należy.

Jak powiedziała Andzia, tak też się stało, gdyż od tej pory pod nieobecność dorosłych w domu przebywała z nią babcia Sabina. Gosi absolutnie nie wolno było odchodzić na krok bez opieki i nawet na egzaminy wstępne do nowej szkoły odwoził ją ojciec. Czekał dość cierpliwie na korytarzu, aż skończy pisać, a poza tym nawet na moment nie zostawił jej samej.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że wciąż ktoś jej pilnował, a gdy wychodziła do ustępu, to zawsze pod drzwiami czuwał cerber w postaci babci

lub któregoś z rodziców, co było doprawdy krępujące. Zagrozili, że jak nastolatka zostanie przyłapana na rzyganiu, to odwiozą ją do szpitala i będzie tam tak długo, aż zmadrzeje.

Koszmar!

Gosia marzyła, by choć na chwilę umknąć spod ich kurateli. Tęskniła za Wiołką i Tuptusiem, lecz o odwiedzinach u kuzynki mogła zapomnieć. Rodzice niezmiennie od lat nie lubili Pawłowskich i z całą pewnością byliby zbulwersowani, wiedząc o komitywie córki z jedną z nich.

Tak mijał dzień za dniem: pusto, nudno, wręcz beznadziejnie.

Jedzenie stawało w gardle rekonwalescentki. W lustrze widziała odbicie grubaski, która musi jeść na siłę. Wciąż o tym rozmyślała. Każdy posiłek był okupiony jeśli nie płaczem, to przynajmniej awanturą. Kilka razy nastolatka nie wytrzymała presji i zwymiotowała przy stole. Od tamtej pory musiała jadać w kuchni, gdzie zamiast obrusa i dywanu były łatwe do uprzątnięcia ceraty oraz terakota.

Z akceptacją ojca Tomasz czuł się znacznie pewniej, więc następnego dnia pojechał do Wioletty. Przez całą drogę powtarzał w myślach, że musi być pewny siebie i zdecydowany. Nie może okazać, że ma jakiegokolwiek wątpliwości. A nade wszystko, że czas zrzucić z twarzy maskę przyjaciela i wyznać ukochanej prawdziwe uczucia – trwałe i niezmiennie od lat. I jeszcze przekonać ją, że bez problemu rozciągnie żar swej miłości również na jej dziecko. Godnie zastąpi maleństwu tatę. Uczyni ją szczęśliwą.

Rozmyślał o tym wszystkim, jadąc taksówką. Poprosił kierowcę o zatrzymanie się jak najbliżej kwaciarni w Centrum. Wierzył, że stamtąd doczłapie jakoś do mieszkania Wioli. Pierścionek miał już wcześniej, dostał go onegdaj od matki, która słysząc o planach matrymonialnych syna, wyjęła ze szkatułki pamiątkę po swej rodzicielce. Teraz kupił więc nieduży bukietik białych margerytek. Nie były to może najelegantsze kwiaty na zaręczyny, lecz na razie nie miał pewności, czy w ogóle poruszy dzisiaj ten temat. Gdyby okazało się, że nie będzie sprzyjających okoliczności, nie zrobi z siebie durnia, wręczając Wiołce róże.

Zgodnie z oczekiwaniami zastał Pawłowską w mieszkaniu. Była sama, wyglądała na smutną. Przed jego przyjściem czytała, zdaje się, książkę, gdyż na stoliku obok jej ulubionego fotela leżał drugi tom powieści *Przeminęło z wiatrem*. Nigdy nie zgłębił tego dzieła, lecz kiedyś przy jakiejś okazji obejrzał film. Wiedział więc, że treść jest nader przygnębiająca. Czy odpowiednia dla kogoś, kto ma dość trosk, by obdzielić nimi przynajmniej

dwie inne osoby? Pozostawił lekturę bez komentarza. Pomyślał, że w gruncie rzeczy lepsze to niż siedzenie i rozmyślanie o wszystkich bolączkach.

Uśmiechnęła się na widok bukietu.

– Kwiaty? Jak miło!

Ze smutkiem pomyślała o tym, że ostatnia wiązanka, jaką otrzymała, pochodziła od ojca i miała bezpośredni związek z jej urodzinami. A wcześniej obdarowywali ją fani podczas koncertów.

Mirek nigdy nie dał jej choćby jednej róży. Przynosił czasami wino, czekoladki, kawę. Kwiatów nigdy nie otrzymała. Właściwie nawet nie myślała o tym aż do teraz. Margerytki od Lorka trochę ją zaskoczyły, lecz nie doszukiwała się podtekstów. Uznała to za miły, przyjacielski gest. Wstawiła je do wody. Potem zaproponowała gościowi coś do picia. Poprosił o kawę.

– Jak się masz? – zapytał, gdy przyniosła mu filiżankę małej czarnej.

Nim odpowiedziała, podeszła do okna i otworzyła je szerzej. Podparła kwaterę doniczką z begonią. Dodatkowo pstryknęła przycisk na stojącym obok wentylatorze, by zwiększyć jego obroty. Wymownie powachlowała się ręką, a potem zajęła miejsce na fotelu.

– Nie najgorzej, zważywszy na ten cholerny upał. Marzę o choć niewielkim ochłodzeniu. Puchną mi nogi, a to raczej żadna przyjemność – wypaliła szczerze. Z miejsca przyszło jej na myśl, że Lorka pewnie nie interesują takie szczegóły, lecz rzucił grzecznościowo ogólne pytanie. No ale skoro już się napatoczył, to czemu nie miałyby trochę ponarzekać? – Jestem zmęczona. Dziecko chyba też, bo ostatnio bywa jakby mniej ruchliwe.

– Pewnie zbiera siły na poród – podsunął Tomek.

– Prawdopodobnie.

Z czułością przesunęła dłonią po brzuchu. Ten gest mu nie umknął. Kochała rosnące w niej życie, ale właściwie Lorek nie przypuszczał, aby mogło być inaczej. Wioletta była mocno zżyta ze swoimi bliskimi. Rodzina zawsze była dla niej najważniejsza. Czy podobne uczucia żywiła do mężczyzny, który spłodził dziecko? Zazdrość ukłuła go w serce.

– Pewnie odliczasz już dni – stwierdził domyślnie.

– I tak, i nie. Oczywiście jak każda mama nie mogę się doczekać, by już przyszło na świat. Z jednej strony marzę o odzyskaniu własnego ciała, bo teraz wciąż mam wrażenie, że ono nie należy do mnie, tylko do maluszka. Chcę znowu mieć pełną swobodę ruchów i móc samodzielnie zasznurować tenisówki. A z drugiej strony wiem, że póki dzidzius siedzi w środku, póty nie mam urwania głowy z kolkami, zmianą pieluch, ząbkowaniem i innymi

atrakcjami. Można więc powiedzieć, że korzystam z ostatnich chwil swobody. Zakładam, że za parę tygodni sięgnięcie po książkę będzie czynnością absolutnie niemożliwą.

– Prawdopodobnie, gdy już będziesz miała chwilę luzu, to priorytetem będzie drzemka. Moja kuzynka urodziła parę miesięcy temu, więc jestem nieco zorientowany w temacie. Ominęła mnie fucha, miałem być ojcem chrzestnym, ale przez ten głupi wyczyn ze stycznia pokrzyżowałem jej plany.

– No... Poniosła cię wtedy fantazja. – Wysiliła się na uśmiech.

– A co z Markiem? – zagadnął, by uniknąć wałkowania sprawy niefortunnego skoku.

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Nadal same kłopoty. Odkąd zerwała z nim dziewczyna, chłopak nie może sobie znaleźć miejsca. Już nawet nie udaje, że szuka normalnej pracy, tylko zadowala się dorywczymi robotami. Tato jest na granicy załamania nerwowego. Nie takiej pragnął dla niego przyszłości, a niestety nie ma widoków na żadną pozytywną zmianę.

Urwała. Nie chciała wspominać, że Marek coraz częściej wynosi z domu pieniądze i jakieś wartościowe drobiazgi. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Ojciec nie zamierzał wyrzucać go na bruk, ponieważ żywił obawy, czy wówczas syn nie sięgnie dna.

– Bardzo mi przykro. Szkoda go, ale może jeszcze wróci mu rozsądek?

– Mam nadzieję. Ojciec próbuje załatwić przymusowy odwyk. Wiele wskazuje na to, że lada dzień dostanie skierowanie. Matylda dotarła do jakichś ludzi, którzy zadeklarowali pomoc. Czekamy na ponowne rozpatrzenie sprawy przez sąd, a właściwie to na prawomocną decyzję. Prosimy Boga, by do tego czasu Marek nie zaćpał się na śmierć – powiedziała grobowym głosem.

Lorek zebrał w sobie odwagę i wyciągnął rękę. Uścisnął lewą dłoń Wioli spoczywającą dotąd na podłokietniku. Prawą głaskała brzuch.

– Wszystko będzie dobrze – próbował ją pocieszyć, choć sam niespecjalnie dawał temu wiarę.

Miał świadomość, jakim uparciuchem jest jej brat. Człowiek, do którego nie przemawiały żadne racjonalne argumenty, na pewno nie nagnie się do czyjejś woli. Sam kilkakrotnie prowadził z Markiem jakieś dyskusje i nigdy nie zdołał przekonać go do swoich racji. Podobnie było z grą w zespole. Adrian wielokrotnie mu proponował, by do nich dołączył. Twierdził, że byłby cennym nabytkiem, ponieważ grał na klawiszach i nieźle śpiewał. Mógłby

z powodzeniem zastąpić Królika, którego wzięli do składu niejako z musu. Cóż, chłopak uparł się, że nie będzie brał udziału w kiczowatym przedsięwzięciu, i nie było siły, która przekonałaby go do zmiany zdania. Pozostawał nieczuły nawet na argumenty pieniężne i chyba serio wołał machać łopata lub przerzucać jakieś klamoty w hurtowniach, niż lekko, łatwo i przyjemnie zarabiać muzykowaniem. Ot po prostu, cenił swój honor!

– Usiłuję w to wierzyć – powiedziała dziewczyna, podczas gdy Lorek kombinował, w jaki sposób nakierować rozmowę na najważniejszy dla niego temat. – Czasami jest mi głupio i mam wyrzuty sumienia z powodu Marka.

– Wyrzuty sumienia? – zdumiał się gość. – Dlaczego? Przecież nie włożyłaś mu narkotyków w łapę! Jest dorosły i na tyle inteligentny, by wiedzieć, czym może się zakończyć zabawa z dragami.

– Nie o to chodzi, Tomku. – Spoglądała na niego ze smutkiem. Gdyby tylko mógł choć trochę ukoić jej ból. Jakże wiele oddałaby za to, by znów zobaczyć w jej oczach radosne gwiazdy. – Przykro mi, że nigdy nie byłam z nim tak blisko, jak z Adrianem. Nie mieliśmy wspólnych spraw, bywaliśmy w innych kręgach towarzyskich. Odkąd rzucił szkołę, oddaliliśmy się od siebie jeszcze bardziej. Bo najpierw jego pochłaniał handel kasetami, potem moją uwagę zaczęły zaprzętać sprawy zespołu. Kiedy Marek wrócił z wojska, byłam w ciągłych rozjazdach. Mijałam go w drzwiach i czasami nawet nie zapytałam, jak mu leci. A on miotał się w tamtym czasie, szukając godziwego zajęcia i swego miejsca w świecie. Nie poznałam zbyt dobrze jego dziewczyny. Sprawiała wrażenie miłej, poukładanej i kochającej. Może gdybym poświęciła więcej uwagi Renacie, to we dwie wpłynęłybyśmy jakoś na Marka? Może zmieniłby coś w swoim życiu, zanim doszło do dramatu, z którym nie może sobie poradzić? Nawet nie wiesz, jak mi z tym wszystkim ciężko – westchnęła, a potem pochyliła się tyle, na ile pozwalał jej wypukły brzuch, i ukryła twarz w dłoniach.

Tomasz pomyślał, że logika Pawłowskiej jest dość dziwna, lecz złożył to na karb ciąży i szalejących hormonów.

– Nie powinnaś obwiniać się za jego niepowodzenia! Na nic nie miałaś wpływu, bo on jest dorosłym człowiekiem. Poza tym dobrze wiesz, jak niezależną ma naturę. Jest niczym kot, który chodzi własnymi ścieżkami. Z kimś takim trudno nawiązać bliskie relacje.

Kucnął przed nią i pogłaskał ją po ramieniu. Podniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

– Mogłam przynajmniej próbować...

– Ależ maleńka! Dobrze wiem, że byłaś dla niego znacznie lepszą siostrą niż

on dla ciebie bratem. Ty nigdy nie kpiłaś z jego poczynań, a on wyśmiewał nasz zespół przy każdej okazji. Sam nie raz słyszałem jego docinki. Pamiętasz, jak musieliśmy przerywać próby, bo jemu przeszkadzał nasz repertuar? Przestań się zadrećzać. Nie wolno ci teraz popadać w ponury nastrój. Twój dzieciaczek na pewno płacze razem z tobą – powiedział miękkim, łagodnym tonem. – Chcesz, żeby był takim samym smutaskiem jak ty? Gdzie zniknęła pełna energii i optymizmu Srebrna Gwiazdka?

– Spadła z firmamentu. Po drodze spłonęła w atmosferze ziemskiej i zamieniła w kawałek węgla. Jestem wypalona na popiół – odparła z rozbijającą szczerością.

– To minie. Ty jesteś jak feniks. Odrodzisz się z tego popiołu z jeszcze większą siłą.

– Dzięki, Lorek. Przynajmniej ty w to wierzysz, bo moja wiara uległa wyczerpaniu.

– Zaufaj mi. Będzie dobrze. Kiedyś przyjdzie lepszy czas.

– Możliwe... A wiesz, moja babcia często powtarza, że zawsze jest jakieś jutro, na które warto czekać. Twierdzi, że to nasza rodzinna dewiza.

– Uwielbiam twoją babcie. – Uśmiechnął się. – Powinnaś słuchać starszych i mądrzejszych.

– No wiesz? – udała oburzenie. – Uważasz mnie za głupią?

– Nie. Ale na ile zdołałem poznać panią Julię osobiście oraz z twoich opowiadań, wiem, że nazbierała dość życiowych doświadczeń, by ufać jej słowom.

Usiadł w fotelu naprzeciwko Wioletty. Przez chwilę trwali w ciszy zakłócaną jedynie szumem wentylatora oraz miarowym tykaniem potężnego zegara szafkowego. Tomasz z ulgą zauważył, że twarz dziewczyny uległa nieznacznemu rozpodgodzeniu.

– A ty jak się czujesz? – przerwała milczenie. – Chodzisz chyba coraz lepiej, skoro dotarłeś i tutaj.

– Tak. W końcu mogę poruszać się bez podpierania. Czasami bolą mnie nogi, mięśnie też odmawiają posłuszeństwa, ale pracujemy, żebym jak najszybciej odzyskał formę. Trafiłem na świetnych rehabilitantów. Obiecują mi, że na własnym weselu będę mógł tańczyć całą noc – pokierował zręcznie tematem, by w końcu naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

– O! Czyżbyś coś planował? – Spojrzała na niego z uwagą. Po raz pierwszy tego dnia dostrzegł w niej dziewczynę, którą pamiętał sprzed kilku miesięcy.

– Będzie weselisko?

– To zależy. Nie mam ciśnienia na huczną imprezę. Dla mnie równie dobrze może być całonocny bal, jak i cicha ceremonia w gronie najbliższej rodziny – odparł wymijająco. – Wszystko w rękach mojej wybranki.

– Łał! Zdradzisz, kim jest ta szczęściara? Znam ją? Pewnie jakaś miła pielęgniarczka z Żeromskiego[13] – próbowała zgadywać.

– Nie – odparł krótko.

Teraz, Lorek. Teraz albo nigdy! – dopingował samego siebie w myślach.

Ponownie opuścił fotel, tym razem, by przyklęknąć przed dziewczyną. Ujął jej dłoń, spojrzał w rozszerzone zdumieniem oczy.

– Wiolu... Nie wiem, na ile moje słowa cię zaskoczą. Podobno kobiety mają niesamowitą intuicję i domyślają się wielu spraw, więc może nie będziesz zdziwiona, gdy powiem, że jestem w tobie zakochany. Zawsze cię kochałem. Nawet wtedy, gdy nie miałem nadziei, że istnieje dla nas wspólna przyszłość. Moje uczucie nigdy nie ulegnie zmianie, jestem tego pewien. Chciałbym iść przez życie razem z tobą. Otoczyć opieką ciebie i twoje dziecko. Dać wam moją miłość i dołożyć starań, żebyście byli szczęśliwi. Godnie zastąpić ojca maleństwu albo, jeśli taka będzie twoja wola, zostać jego ojcem. Wioletto, proszę, wyjdź za mnie.

Zdziwił ją tymi słowami. Bez trudu odgadła, że Adrian szepnął mu kilka niedyskretnych słów o Brodniku. Musiał to zrobić, skoro Tomek zebrał w sobie odwagę, by poprosić ją o rękę. W jednym Lorek miał rację – domyślała się jego uczuć, choć usiłował je ukrywać. Spoglądała teraz na klęczącego przed nią mężczyznę, ważąc wszystkie przesłanki do podjęcia decyzji.

Nie kochała go – to był największy argument przemawiający przeciwko zawarciu małżeństwa. Tomasz wzbudzał w niej uczucia przyjacielskie. Darzyła go sympatią, lecz uważała, że to nie wystarczy, by zbudować stabilny związek. Nie mogła podejmować takiego ryzyka, nie była sama. Odpowiadała za tę małą istotkę, która dorastała w jej wnętrzu. Winna była dziecku zapewnienie jak najlepszych warunków do życia: w ciepłym, przepełnionym miłością domu.

A może właśnie dzięki Lorkowskiemu stworzyłaby taki dom dla maleństwa? Tomasz zawsze był odpowiedzialnym człowiekiem. Jego rozsądek niejedną raz przysłużył się karierze ich grupy. Wiola była przekonana o stabilności jego uczuć, a myśli o tym, że przed upadkiem z dachu randkował z innymi dziewczynami, nie przysparzała jej troski. Robił to, ponieważ pragnął zapomnieć. Gdyby zechciała za niego wyjść, mogłaby być pewna, że pozostanie jej wierny.

Tylko czy rzeczywiście mężczyzna jest w stanie zaakceptować pod swoim dachem dziecko innego człowieka? Traktować je jak własne? Pokochać?

– Wiolu? – Z zadumy wyrwał ją szept Tomasza.

Spoglądała z namysłem na jego bladą twarz. Nie był przystojny, ale też i nie szpetny. Nie pociągał jej, lecz czy namiętność jest aż tak istotna? W jej życiu porywy namiętności wyrządziły zbyt wielką szkodę.

– Zaskoczyłeś mnie – stwierdziła. – To bardzo szlachetne, że chcesz się o nas zatroszczyć. Nie wiem, co powiedzieć...

– Potrzebujesz czasu, by pomyśleć o mojej propozycji? – odgadł.

Odetchnęła nieznacznie.

– Tak. Nie chcę podejmować pochopnej decyzji, która mogłaby skrzywdzić ciebie, mnie i dziecko.

– Wiesz, że ja nigdy bym was nie skrzywdził.

– Wiem. Ufam ci, Tomku. Ale nie mam równie dużego zaufania do samej siebie.

– Będę czekał tak długo, jak to konieczne. Mogę? – zapytał, zbliżając ręce do brzucha przyszłej matki.

Oszołomiona, skinęła głową. Tomek delikatnie pogłaskał wypukłość i na moment przytknął do niej policzek. Wioletta z mieszanymi uczuciami spoglądała na jego jasną czuprynę. Nie widziała twarzy Tomka. Czuła osobliwe ciepło wokół serca, gdy widziała te tkliwe gesty. I strach, ponieważ miała nieodparte wrażenie, że nie zasługuje na jego uczucie i szacunek. *Pewnego dnia on przejrzy na oczy i zobaczy we mnie kobietę, która puściła się z żonatym mężczyzną, i znienawidzi mnie za swoje zmarnowane, pozbawione miłości życie.*

Pokochać go... Gdyby to było takie łatwe!

Gdyby potrafiła zmusić serce do szybszego bicia, gdyby można było nadać myślom odpowiedni tor, a ciału pragnienia!

Wykonała dłonią ruch, jakby chciała pogłaskać go po włosach, lecz zawahała się przez chwilę, i gdy już miała to zrobić, on podniósł głowę.

Może to i lepiej? Jeszcze pomyślałby sobie Bóg wie co. Potrzebowała ochłonąć po jego nieoczekiwanej propozycji. Wzbudzenie w Tomku przedwczesnej nadziei byłoby w jej odczuciu podłością.

Słońce dopiero zaczynało rozgrzewać wychłodzone przez noc miasto, gdy

pierwsi handlarze pojawiali się na placu Imbramowskim. Nadjeżdżali z okolicznych wsi, głównie z Proszowic czy Miechowa, gdzie mieli swe gospodarstwa najwięksi „badylarze”. Ciągnęli żukami i nyskami pamiętającymi czasy komuny. Eleganckimi, białymi transitami sprowadzonymi z Zachodu. Nieco rzadziej lśniąco nowością lublinami. A czasami skromniej, bo jakimś zdezelowanym pick-upem lub furmanką. Zwozili płody rolne na handel, wyłaczanki pełne świeżych jaj, miody prosto z pasieki, domowe kaszanki i kielbasy. Biznesmeni w złachanych portkach i przepoconych flanelowych koszulach. W jeansach brudnych jak święta ziemia. Staruszkowie odziani w wyświechtane ze starości garnitury, które kilkadziesiąt lat wcześniej służyły właścicielom za ubranie ślubne, potem za kościelne, następnie takie do codziennego użytku, by na ostatek stać się roboczą kapotą.

Marek Pawłowski krążył pomiędzy tym towarzystwem w nadziei na złapanie jakiejś pracy. Przyglądał się chłopom oraz ich pojazdom, czasami zagadywał, czy ktoś nie potrzebuje pomocnika.

– Ziemniaki młode! Ziemniaki! – wrzasnął wniebogłosy tuż przy jego uchu jakiś operatywniejszy przekupień, zachwalając raz po raz swój towar.

Marek uskoczył na bok, zdumiony, że z niepozornego, wręcz cherlawego ciała wydobywa się tak tubalny głos.

– Panie! Młode ziemniaki pod koniec lipca? Młode to one były na świętego Jana. Teraz to już zwykłe kartofle! – wykiął handlarza prześmiewca, który przyszedł na plac nie na zakupy, lecz po to, by po prostu połączyć między ludźmi. Plotek posłuchać. Sprawdzić, co w trawie piszczy. Zabić nadmiar wolnego czasu. W pozółkłych zębach międlął kopającego niemiłosiernie taniego papierosa, zapewne nabytego od Ruskich na Tomeksie lub pod Arką. Wyglądał na niezgorszego cwaniaczka.

– Nie znasz się pan! – huknął niemalże bezzębny chłopina w błyszczącej ze starości marynarce, która musiała pamiętać zamierzchłe czasy kułaków i powstających wówczas PGR-ów. Na głowie, mimo gorąca, a może właśnie dla ochrony przed nim, nosił dzierganą na drutach czapkę w bliżej nieokreślonym kolorze. – Porządne ziemniaki, po ugotowaniu pyszne jak świeże maselko. Do zjedzenia od razu, a nie do przechowania na zimę.

Marek odszedł dalej. Nie interesowały go jałowe pogaduszki. Musiał zarobić parę złotych na swoje potrzeby. Nie mógł w nieskończoność podbierać forsę ojcu czy Matyldzie, ponieważ bał się, że stracą cierpliwość i wyrzucą go na bruk. A jemu ciągle jeszcze nie było wszystko jedno. Zależało mu na tym, by mieć porządny dom. Dach nad głową, w którym można bezpiecznie przesypiać noce. Bez obawy, że w tym czasie ktoś przetrząśnie mu kieszenie

w poszukiwaniu pieniędzy, których i tak nie posiadał, a na ostatek z zemsty za ich brak poderżnie mu gardło. Świadomość, że może dokądś wracać – choć tam najczęściej czekały go krzywe spojrzenia, awantury bądź przepychanki – była na wagę złota. Tym różnił się od zwyczajnych ćpunów. Bo dzięki temu odnosił wrażenie, że jeszcze panuje nad swoim życiem, w każdej chwili może z tym zerwać i, wzorem swego brata idealnego, włożyć wdzianko grzecznego chłopca, a następnie odnaleźć dawno zagubiony sens życia.

Tak właściwie już od dawna nie zależało mu prawie na niczym, prócz zachowania możliwości powrotów do domu.

Kiedy odeszła Renata, świat utracił swe barwy, a on przestał odczuwać motywację, by próbować zmienić cokolwiek. Już nie myślał o kontynuowaniu nauki, bo i po co się męczyć? Uważał, że jest zbyt stary na to, by znowu siadać w ławce, odrabiać lekcje, wkuwać jakieś bzdurne wierszyki. Wiedzę podręcznikową oceniał jako bezużyteczną nudę. Kiedyś kochał książki, więc zaczytywał się w dekadence powieściach, których nie obejmował kanon lektur. Ostatecznie przeszedł do porządku dziennego nad tym, że czas edukacji przeminął.

Podobne podejście miał do stałego zajęcia. Teraz wolał być wolny jak ptak niż ugrzęznąć u jakiegoś zapyziałego prywaciarza. Dzisiaj tu, jutro tam. Bez umowy, papierków, zbędnych formalności. Co go obchodziły jakieś biurokratyczne bzdety? Pracował, gdy chciał. Nie miał dużych potrzeb. Byle było na fajki i działkę. Jedzenie i tak zawsze znajdowało się w lodówce. Rachunki za prąd, wodę, czynsz? Te go nie obchodziły. Ojciec i macocha i tak by je opłacali, czy mieszkałby z nimi, czy nie. Kiedyś, owszem, kwestię udziału w domowym budżecie traktował honorowo. Dawał staremu pieniądze – ile tylko mógł. Teraz nie było go na to stać. Nie zamierzał tyrać nic więcej, niż to wynikało z konieczności. W krótkim czasie przeszedł metamorfozę w egoistycznego minimalistę.

Łachów na dupę też nie potrzebował. Czy on był jakąś cholerną babą, żeby się stroić? Renata ładnie wyglądała w nowej wiosennej kurtce i z szyją omotaną tęczową chustą. Może to właśnie przyciągnęło uwagę gwałcicieli, którzy splugawili dziewczynę swoim dotykiem i zniszczyli jej osobowość? Może właśnie przez to musieli się potem rozstać, a nie dlatego, że ten jeden jedyny raz nie odprowadził panny pod drzwi jej mieszkania?

Pieprzone poczucie obowiązku. – Wzruszył ramionami na myśl o mądrościach, które przez całe życie kładł mu do głowy ojciec na spółkę z dziadkami.

Znowu zaczepił kogoś w sprawie roboty i tym razem dopisało mu szczęście. Jeden z gospodarzy potrzebował ludzi do pomocy na budowie. Przyjechał na

plac po to, by zostawić ojca z towarem do zbycia, złapać kilku ochotników i w te pędy wracać na wieś, gdzie w pośpiechu stawiał nowy budynek gospodarczy.

Marek wskoczył z trzema innymi robotnikami na pakę zdezelowanego żuka. Kierowca ruszył z impetem. Wokół wszystko niemiłosiernie zgrzytało i trzeszczało, jakby samochód miał się zaraz rozsypać w drobny mak. Przez dziurawą plandekę przebijały promienie lipcowego słońca. W strunach światła tańczyły drobiny kurzu, którego nie brakowało w samochodzie dostawczym. Auto podskakiwało na wyboistym asfalcie.

– No ja pierdołę – zaklął zezowaty chłopak siedzący obok Marka. – Ziemniaki wiezie gospodarz?

Po tym, jak na zakręcie zaliczył bolesne uderzenie w ramię, Pawłowski kurczowo trzymał się burty. Mężczyźni zaczęli gwarzyć między sobą. Głównie były to narzekania na upał, ale również na rząd i politykę, na bezrobocie i ogólną beznadzieję.

– Ja to już za cholere nie zagłosuję na Wałęsę – głosił zezowaty Maciek. – Obiecywał, że za jego rządów każdy dostanie sto milionów. I co? I nic. Gówno mi dali! Roboty państwowej nie ma. Kuroniówka już mi się skończyła. Prywaciarze wyzyskują jak jasny gwint.

– A pewnie! – poparł go najstarszy w tym gronie człowiek, który przedstawił się jako Adam. – Przez dwa lata robiłem u takiego buca. Bogacz z niego był jakich mało. Jeden pokój w domu miał ponoć wytapetowany dolarami.

– Prawdziwymi? – zdziwił się Maciek.

– A żebyś wiedział.

– Ee... pitolisz!

– Jak Boga Kocham! Znajomy mi o tym mówił. A on nigdy nie łże!

– No i co z tym biznesmem?

– Ano tyle, że po półtora roku przestał nam płacić, że niby zabrakło mu pieniędzy.

– To nie mógł odlepić wtedy ze ściany tych dolarów?

– Chyba nie. Klej musiał mocno chwycić. No a człowiek nie popuszczał roboty w nadziei, że w końcu coś się poprawi. I tak minął jeden miesiąc, drugi, trzeci... A forsy jak nie było, tak nie było. Potem skurwysyn zlikwidował firmę, a nas wszystkich wywalił na zbity pysk. Pół roku tyrałem u skurwysyna za darmo! Pół roku!

– A toś długo wytrzymał – stwierdził zezowaty.

– No... Nadzieję miałem!

– Ee... tam! – Krępy blondyn o fizjonomii wiejskiego durnia machnął ręką. – Nadzieja matką głupich. Ale ja też nie zagłosuję już na Wałęsę, ino na Kwaśniewskiego.

– Co? Na Kwacha? Na tego komucha? – oburzył się Adam.

– A niby na kogo? Na elektryka? – zapytał uszczypliwie Maciek. – Lepszy komuch Kwaśniewski, mówię wam. Jak dojdzie do władzy, to rozpiżdzi w cholere i demokracje, i te kapitalizmy. Przywróci komunę i znowu zapanuje ład i porządek. I praca będzie dla każdego, o!

– Ja to bym nie głosował na komucha. Mało masz, chłopie, kandydatów? Do wyboru, do koloru! Nawet baby leżą teraz do sejmu.

– Akurat bab nie powinno się dopuszczać do polityki – stwierdził szowinistycznie najstarszy rozmówca. – Ich miejsce jest przy garach i dzieciach.

– No. Na Gronkiewicz szkoda głosu. Ja to chyba postawię na Pietrzaka, przynajmniej będzie wesoło – burknął nieznany z imienia chłopak, któremu Marek już wcześniej nadał w myślach ksywę „Przygłup”.

– Jasne. Kabaret robią z rządu – powiedział z przekąsem zezowaty.

– Kabaret już mamy w polityce – stwierdził Adam. – Kto to widział, żeby w innym państwie, takiej Ameryce na ten przykład, aż siedemnaście osób walczyło o stołek prezydenta?

– A jużci! U nas wszyscy ciągną do koryta. Chrzanić tych darmozjadów – zachichotał głupek – w następnych wyborach ja wystartuję! Skoro taki chłopak-roztropek jak Lepper może, to czemu ja miałbym się marnować na dorywczych robotach? Najpierw, jak on, narobię trochę szumu wokół siebie. A potem niech ludzie na mnie głosują. Przycupnę sobie na jakimś urzędzie. Może być za posła-osła. Będę se siedział i ciągnął kasiorę za nic.

Matko, ależ oni pieprzą trzy po trzy! – pomyślał Marek, lecz nie brał udziału w dyskusji, bo i po co? Nie zamierzał pić z nimi wódki po robocie. Być może nigdy więcej już ich nie spotka. Mądrości i tak nie wleje im do łbów, a nie chciało mu się szarpać o głupoty. Bo on politykę miał głęboko w nosie, by nie powiedzieć dosadniej. Od dawna to wszystko po nim spływało, a za te sześć lat kapitalizmu dość już zobaczył, usłyszał i odczuł na własnej skórze. Ani Wałęsa, ani Kwaśniewski nie byli w stanie poprawić jego sytuacji życiowej. Żaden nie zapewniłby mu pracy. Nie przywrócił sensu życia. Nie sprawił, że Renata do niego wróci.

Siedział więc w milczeniu, spoglądając na uciekającą wstążkę jezdni. Akurat

ławka na pace przylegała do kabiny, więc wszyscy tkwili tyłem do kierunku jazdy. A że zmiierzali na północny zachód, słońce raz po raz zaglądało pod plandekę, rażąc niemiłosiernie w oczy. Zapowiadał się duszny, gorący dzień. Już teraz Markowi doskwierało pragnienie i żałował, że nie wysupłał paru groszy na butelkę wody mineralnej. Pozostawała nadzieja, że dostaną coś na miejscu. Na zimne piwo raczej nie liczył, choć i taki rarytas czasami mu skapnął. Właściciel żuka raczej nie wyglądał na krezusa, ale na liczykrupę. Nim Marek podjął decyzję, że pojedzie, z góry ustalił z nim stawkę dzienną i ostro się o nią targował. Miniony czas nauczył go bowiem, że można w pocie czoła przepracować cały dzień, a na ostatek dostać talerz zupy, flaszkę piwa i „Bóg zapłać” na drogę powrotną.

Raz, na samym początku, miał taki przypadek, że jakiś facet wywiózł ich w szczerze pola – dżicz z dala od zabudowań gospodarczych, ponad dwadzieścia kilometrów za Krakowem. Tam powiedział, że trzeba robić wykopy pod fundamenty na stajnię, stodołę i dom. Pokazał kawałek skoszonej łąki, gdzie już wcześniej poznał sznurkami odpowiednie miejsca. W cholere tego było! Zażądał od swoich robotników kaucji za udostępnienie sztychówek, tłumacząc, że już parę razy zostawił kogoś na zadupiu z narzędziami, a gdy wrócił, nie zastał śladu ani po sprzęcie, ani po robotnikach. Za stare łopaty policzył sobie jak za nowe. No ale cóż pozostawało, skoro już przyjechali taki szmat drogi na robotę? Kto miał kasę, wysupłał z kieszeni i wręczył zleceniodawcy. Kilku z nich zabrakło paru złotych, dwaj w ogóle nie mieli pieniędzy. Poskładali się więc solidarnie, bo przecież na koniec mieli otrzymać dniówki. Pracodawca wziął gotówkę i odjechał, zapowiadając, że wróci pod wieczór. Nie zostawił im nawet nic do picia, taki z niego był kutwa! Na szczęście w pobliżu było źródło z dość czystą wodą. W niemiłosiernym skwarze dziesięciu mężczyzn kopano głębokie rowy. Głodni, spragnieni, zmęczeni. Z utęsknieniem wyglądali zmiierzchu, a gdy tylko zaczęło się ściemniać, nasłuchiwali, czy najeżdża szef. Czas nagle przyspieszył. Zmiersch przeszedł w noc, a oni wciąż czekali.

Nie przyjechał.

W końcu gdzieś tak koło jedenastej w nocy któryś z chłopaków rzucił hasło, że trzeba wracać do miasta. Dość długo brnęli po wybojach, nim dotarli do asfaltowej, mało uczęszczanej szosy. Na złapanie okazji nie było szansy. Zdołali wprawdzie zatrzymać jakąś ciężarówkę, ale jedyna korzyść, jaka z tego wyniknęła, to ta, że kierowca wskazał, w jakim kierunku powinni pójść, by dotrzeć do Krakowa.

Wędrowali całą noc, pomstując na skurwysyna, który oszukał ich w tak niecny sposób. Bo nie dość, że stracili czas i urobili się ile wlezie, to jeszcze pozbawił ich ostatnich pieniędzy. Po zażartych dyskusjach doszli do jednego

wniosku: ta praca zapewne była daremna i tylko zryli komuś całą łakę, bo na takim zadupiu na pewno nikt nie będzie budował domu: z dala od drogi, bez prądu i sieci wodociągowej.

Ot, nauka na przyszłość.

Od tej pory Marek z góry upewniał się, że nie musi wpłacać żadnej kaucji i dostanie wszystkie niezbędne narzędzia, a robota nie jest w szczerym polu z daleka od jakiegokolwiek cywilizacji.

W końcu, po blisko godzinnej telepaninie, samochód wjechał na podwórko. Zanim Marek zeskoczył z paki, usłyszał ujadającego agresywnie kundla. Z oddali dobiegał hałas domowego ptactwa.

Kiedy wysiadł z samochodu, rozejrzał się bez większego entuzjazmu. Plac budowy nie był zacieniony choćby jednym drzewem. Na miejsce zwieziono już materiały: pustaki, pospółkę i worki cementu. Betoniarki nie było, za to w pobliżu studni stała dość duża kastro murarska, o którą oparto kilka sztychówek. Marek przypuszczał, że trzeba będzie ręcznie mieszać beton.

– Ty siejesz piach i zasypujesz do kajfosa. Ty ciągniesz wodę ze studni, sypiesz cement i mieszasz zaprawę. Ino solidnie! A ty przewozisz ją taczkami. Ty podajesz pustaki. Ten, który jest chwilowo bez zajęcia, też nosi budulec murarzowi. – Gospodarz szybko rozdzielił zadania. – Nie ma bezczynnego siedzenia!

Pawłowskiemu przypadło w udziale przesiewanie pospółki. Stanowisko było już przygotowane. Miejsce na piasek zostało odmiecione z brudu, sito ustawiono pod odpowiednim kątem, podparte o pustaki. *Nie jest tak źle – pomyślał, biorąc do ręki szufłę. Przerąbane ma ten, co będzie wszystko mieszał. Żeby nie skołować betoniarki na taki zapierdziel?*

Po dwóch godzinach pracy zmienił zdanie. Było gorzej niż źle. Gospodarz wciąż ich poganiał. Trzonek łopaty narobił Markowi odcisków, które już zaczynały podbiegać wodą. Chłopak wbił sobie kilka drzazg. Kiedy nie odsiewał kamyków od piasku, musiał nosić pustaki. Te też obcierały mu dłonie. Jak na złość zleceńodawca nie zapewnił rękawic roboczych. Gdy Marek o nie zagadnął, to usłyszał:

– A cóżeś ty jest, dziewczucha na wydaniu, że się ciaćkasz rączkami? Co z ciebie za chłop?

Pragnienie doskwierało Pawłowskiemu chyba nie mniej niż temu psu, który wciąż jazgotał przy budzie. Stary sknera nie przyniósł nic. Powiedział tylko, że woda w studni jest czysta i zdatna do spożycia. Obiecał, że później będzie kompot z czereśni, ale najpierw ktoś tam musi je zerwać, obrać z kocotków – cokolwiek to miało znaczyć – ugotować i choć trochę przestudzić, bo takiego

gorącego przecież nie przyniesie. A oni, wiedząc, że jadą na robotę, powinni byli pomyśleć i kupić se coś do picia. A nie, jak te panny nieroztropne z przypowieści, co im zabrakło oliwy w lampach i nie mogły pójść na spotkanie z oblubieńcem, liczyć na kogoś.

Jak na złość w pobliżu nie było żadnego sklepu, bo w takim przypadku może udałoby się któremuś skoczyć po zakupy. Marek czekał więc z utęsknieniem na ten gorący kompot, bo woda ze studni pachniała jakoś dziwnie i była trochę przymulona. Owszem, wypił jej dość dużo, bo na placu budowy niemiłosiernie skwarzyło i momentami miał wrażenie, jakby pracował na rozgrzanej patelni.

Z zawiścią myślał o Adrianie, który zapewne siedział teraz w Kryspinowie, sącząc zimne piwo i podrywając ładne dziewczyny. Ten to się ustawił! Nic nie musiał robić, a forsa wciąż napływała mu do banku. Ostatnio Marek usłyszał, że bliźniak, choć nadal studiował zaocznie, znalazł pracę jako inżynier w jakiejś dużej firmie. Szczęściarz!

Chłopak kolejny raz machnął łopatą. Kamyki zachręściły o sito, piasek przeleciał na dół. Ciało Pawłowskiego było lepkie od potu. Chętnie zdjąłby koszulkę, lecz wolał uniknąć poparzenia słonecznego. Już raz do tego dopuścił, a potem okropnie cierpiał. A ręce i tak miał wcześniej opalone, więc teoretycznie nic nie powinno się im stać. Najwyżej znowu będzie mu schodziła skóra, ale to był najmniejszy z jego problemów. Nie był babą, by zawracać sobie głowę takimi drobiazgami.

Oj... Żeby choć jedna chmura wyszła na niebo – westchnął, zerkając na nieskazitelny błękit.

Skwar przybierał na sile.

Po wizycie Tomka Wioletta wciąż czuła się rozdarta. I nie był to bynajmniej wybór pomiędzy tym, co podpowiadał rozum, a tym, co mówiło serce, gdyż za każdym razem w jej myślach powstawały coraz inne scenariusze.

Gdy rozum podpowiadał, że powinna przyjąć oświadczyzny dla dobra dziecka, które będzie miało tatusia, to serce buntowało się i powątpiewało, czy aby na pewno Lorek jest w stanie pokochać małość. Gdy rozum podsuwał koncepcję, że mężczyzna zdaje sobie sprawę z wagi złożonej propozycji, serce mówiło, że przecież Wiola nie kocha Tomasza. Gdy serce miękło i stwierdzało, że może żywiej zabić, rozum zaczynał snuć czarne wizje, w których Lorkowski źle traktuje pasierba. I tak w koło, bez końca.

Po bezsennej nocy i dniu, który upłynął na intensywnych rozważaniach, Wiola postanowiła skonfrontować swoje wątpliwości z kimś, kto znał temat

od podszewki. Wszak jej tata wzrastał pod opieką ojczyma. Według babcinych opowieści dość długo żył w przeświadczeniu, jakoby był rodzonym synem Wawrzyńca. Ale dziewczyna słyszała także o tym, że swego czasu uciekł z domu. Nikt jednakże nie chciał szczegółowo wspominać o powodach jego ucieczki. Zwykle kończyło się na jakichś ogólnikach. Postanowiła zgłębić ten problem. Bo choć teraz ojca i dziadka łączyły serdeczne relacje, to jednak z dzieciństwa mógł zachować nieco inne wspomnienia. Może powodem owianej tajemnicą eskapady był jakiś konflikt wynikający z niesprawiedliwego traktowania Karola i jego przyrodnych sióstr? Może wybaczenie i naprawa naderwanych więzi nastąpiły wiele lat później, gdy tato założył własną rodzinę?

Muszę się tego dowiedzieć! – stwierdziła z determinacją.

Zadzwoiła do ojca, by zapytać, czy zastanie go w mieszkaniu. Nie miała ochoty jechać daremnie na Oświecenia w ten nieznośny skwar. Z planowanej wycieczki i tak wyszły nici, gdyż Karol, na wieść, że Wioletta wybiera się z wizytą, zaprotestował, i oznajmił, że sam do niej zajrzy. Nie chciał, aby w tym stanie podróżowała dusznym autobusem. A on, choć niebawem zostanie dziadkiem, nie jest jeszcze aż tak starym dziadem, by nie mógł ruszyć tyłka i odwiedzić swojej córki. Nawet ucieszyła ją ta propozycja, ponieważ ostatnio czuła się ocieźzała i w związku z tym niechętnie wychodziła z domu. Upał robił swoje: nogi wciąż jej puchły i szybko się męczyła. Zakupy robiła wieczorem lub wcześniej rano, choć coraz częściej wyręczali ją dziadkowie, którzy sprawiali wrażenie, jakby w lot odgadywali potrzeby Wioli. Wawrzyniec był pod tym względem nieoceniony, ponieważ jeśli sam z jakiegoś powodu nie mógł przyjść, to przysyłał w swoim imieniu Krzysztofa.

Jest najlepszym dziadkiem na świecie – myślała Wioletta. *Ale babcia Julia zawsze powtarzała, że inaczej kocha się dzieci, a inaczej wnuki. Bo dzieci trzeba przede wszystkim wychowywać i narzucać im dyscyplinę. A wnuki można bezkarnie rozpieszczać, gdyż od dyscyplinowania mają rodziców.*

Godzinę później Karol zawitał u Wioli. Choć Matylda zadeklarowała chęć odwiedzenia pasierbicy, przyjechał sam. W rozmowie telefonicznej dziewczyna napomknęła, że chciałyby z nim porozmawiać o pewnej delikatnej kwestii. Uznał więc, że lepiej będzie, gdy zrobią to w cztery oczy. A z żoną może zajrzeć innym razem. Nie żeby miał sekrety przed połowicą. Po prostu doszedł do wniosku, że Wiola mogłaby być skrepowana. A skoro ciężarnej chodzi coś po głowie, to lepiej umożliwić jej swobodną pogawędkę. Jak się okazało, była to słuszna decyzja, ponieważ ledwo usiadł, dostał szklankę zimnej lemoniady, a potem został zasypany przez córkę dość

trudnymi pytaniami.

– Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszego ojca od Wawrzyńca Pawłowskiego – odparł z głębokim przekonaniem. – Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałem ci o dniu, w którym pojawił się w moim życiu? On wtedy powiedział, że jest moim tatą. Przez następne lata nawet na moment nie zwątpiłem w szczerść jego słów. Nie miałam powodów ku temu. Nigdy nie dał mi odczuć, że jestem dla niego mniej ważny niż Zosia i Marta. Czasami wręcz odnosiłem wrażenie, że siostrą narzuca większą dyscyplinę niż mnie. Ale wtedy myślałem, że tak musi być, ponieważ ja jestem starszym od nich chłopakiem, więc dlatego wolno mi więcej niż im. To były takie czasy, że od dziewczynek wymagano, żeby były skromne, ciche i pracowite. Teraz wiem, że to nie brało się z takiego podejścia do wychowania. W gruncie rzeczy tato zawsze lubił sobie stroić żarty i wcale nie wymagał od nas nie wiadomo jakiej karności czy ślepego posłuszeństwa. Być może jego większa pobłażliwość w stosunku do mnie wynikała z obawy, abym mu kiedyś nie zarzucił niesprawiedliwego traktowania. Albo że bardziej kocha moje siostry. Powiedziałbym wręcz, że Zocha bywała niekiedy zazdrosna o panujące między nami stosunki. – Rozciągnął usta w uśmiechu.

– No to dlaczego uciekłeś z domu? Kłótnia? Bunt przeciwko jakiejś jego decyzji?

– Nic z tych rzeczy. Uciekłem z domu przez miłość.

Jego słowa zaskoczyły córkę.

– Ale jak to? – zdziwiła się. – Mama cię do tego namówiła?

– Nie, Wiolu. To było, zanim spotkałem twoją matkę.

– O kurczę! O tym nigdy nie opowiadałeś!

– Bo to dość przykre wspomnienie – wyjaśnił. – I jedyna sprawa, o jaką miałem zatarg z rodzicami.

– Chyba dość poważny, skoro postanowiłeś im zwać – domyśliła się Wioletta.

– Tak. Nawet z perspektywy czasu uważam, że był wyjątkowo poważny.

– Powiesz mi, o co poszło? Czyżby dziadek był nietolerancyjny w stosunku do twojej dziewczyny?

– Niezupełnie. – Karol westchnął ciężko, zdziwiony nagłym powątpiewaniem córki w dobre intencje Wawrzyńca. Wciąż trudno było mu o tym mówić. – Na początku tak właśnie to odebrałem. Kiedy przyprowadziłem Weronikę do domu, rodzice kazali mi z nią zerwać, podając jakieś mało przekonujące powody. Uznałem ich wówczas za ludzi pełnych uprzedzeń, co oczywiście,

jak sama dobrze wiesz, nie jest prawdą. Byłem młody, uparty, postanowiłem, że dopnę swego. Akurat wszystko działo się w lecie, więc niewiele myśląc, spakowałem rzeczy i bez słowa wyjechałem razem z panną i z grupą hippisów nad Jezioro Rożnowskie. W tym czasie rodzice szaleli z niepokoju i robili co mogli, by mnie odnaleźć.

– Wyobrażam sobie, jak bardzo się martwili.

– Owszem. Zwłaszcza że w końcu mnie odnaleźli. W areszcie. Mnie i moich znajomych oskarżono o włamanie do sklepu. Oczywiście nie zrobiliśmy tego, ale nikt nam nie wierzył. Tato użył wtedy jakichś poważnych wpływów, by wyciągnąć mnie z tarapatów. A potem wyjawili mi z mamą, dlaczego tak naprawdę nie chcieli, żebym randkował z Weroniką[14].

Zamilkł. Trudno było mówić o tym wszystkim własnej córce. Zakładał, że to nie jest tylko czcza ciekawość, lecz problem sięga głębiej. Ale dlaczego Wiola akurat teraz dopytywała o jego relacje z Wawrzyńcem? Nie chciał, by miała jakieś błędne wyobrażenie o dziadku, który kochał ją miłością absolutną i zapewne nieba by jej przychylił, gdyby to było w jego mocy.

– Czemu tak o wszystko wypytyujesz? Czyżby dziadek sprawił ci jakąś przykrość? – zmartwił się ojciec. – Wiem, że on ma dość specyficzne poczucie humoru i czasami można pomylić to, co mówi w żartach, z rzeczywistością, ale...

– Nie – przerwała mu córka. – Chcę tylko wiedzieć, czy on, jako obcy, był dla ciebie dobrym tatą.

– Najlepszym. Uwierz mi, dziecko, że gdyby sam nie ujawnił prawdy, to ja w życiu bym o tym nie pomyślał. Zawdzięczam mu cudowne dzieciństwo przepełnione ciepłem, miłością i poczuciem bezpieczeństwa. To wspaniały człowiek.

– Tak, tatku. Wiem o tym – odparła enigmatycznie.

– Skąd więc te dziwne pytania, jakby twoja sympatia do niego uległa zachwianiu?

– Bo wiesz... Właściwie nie chodzi o dziadka, tylko o to, czy można szczerze pokochać cudze dziecko.

– Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, porozmawiaj z Wawrzyńcem. Ja jestem głęboko przekonany, że to jest możliwe. A czemu o to wypytyujesz? – ponowił pytanie. – Martwi cię myśl, czy w przyszłości ktoś pokocha twoje maleństwo – odgadł w końcu.

– Tak. I to nawet nie jakiś tam wyimaginowany ktoś, tylko konkretny mężczyzna.

Karol spojrział na nią zaskoczony. Zapytał z uśmiechem:

– Czyżbyś spotkała kogoś godnego uwagi?

– Znasz go, tatku. To Lorek. Znaczy Tomasz Lorkowski. Był tu wczoraj, żeby mi się oświadczyć. Twierdził, że dołoży starań, by otoczyć mnie i dziecko miłością.

– A ty masz wątpliwości, czy nie przecenia swoich sił?

– Otóż to.

– Doskonale cię rozumiem, Wiolu. Myślę, że moja mama miała podobny problem, gdy poznała Wawrzyńca. Ale, jak widzisz: im się udało. Jesteśmy bardzo szczęśliwą rodziną. Jeśli pragniesz odpowiedzi na pytanie, czy małżeństwo z Tomkiem będzie słusznym posunięciem, to musisz poszukać jej w swoim sercu. Ja mogę tylko stwierdzić, bardzo subiektywnie zapewne, że zawsze go lubiłem. Sprawia wrażenie poukładanego, racjonalnego. Jest odpowiedzialny. Kiedy wyjeżdżaliście w trasy koncertowe, byłem spokojny, wiedząc, że masz przy sobie Adriana i Tomka. Królika znam o wiele mniej, on nie wzbudza we mnie aż tyle sympatii. No dobrze, chyba nic więcej nie mam do dodania w tej sprawie – powiedział i szybko zmienił temat, by czasami córka nie zaczęła drążyć kwestii Weroniki. – Powiedz lepiej, jak się czujesz? Wyglądasz kwitnąco, ale upały chyba dają ci w kość, co?

– Oj tak, tatku. Nawet dzidzia nie ma sił, żeby kopać. Ostatnio jest nieco mniej ruchliwa.

– Ach, nie mam w tym temacie takiego rozeznania jak kobiety, ale to chyba zrozumiałe. Ma ciasno w brzuchu, więc mniej dokazuje, bo brakuje jej miejsca. Jej – uśmiechnął się. – Myślisz, że to będzie dziewczynka?

– Nie mam pojęcia. Usiłuję myśleć o maluszkku bezpłciowo, a na badaniu USG nie chciałam wiedzieć, co będzie, ponieważ lekarz może popełnić błąd. Jak mi pokazywał dzidziusia na monitorze, to dla mnie wszystko wyglądało jak mapa nieba – zażartowała. – Czeka nas niespodzianka.

– No i dobrze. Najważniejsze, by maleństwo było zdrowe. A kiedy masz wizytę kontrolną?

– Za dwa dni.

– Chcesz, żebym cię zawiózł do lekarza?

– Nie ma potrzeby, tatku. Mam blisko, przejdę się. Spacer mi nie zaszkodzi.

– W porządku. To ja już będę leciał.

Wstał i cmoknął córkę w skroń.

– O nic się nie martw, Fasolko. Będzie dobrze. A propozycję Lorka warto wziąć pod uwagę. Oczywiście bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, pamiętaj, że my wszyscy bardzo cię kochamy i zawsze możesz liczyć i na nas, i na Adka, i na dziadków. Wierzę, że pewnego dnia Marek odzyska poczucie odpowiedzialności za siebie i innych.

– No właśnie. Nie zapytałam, co u niego słyhać. Nie widziałam go chyba z miesiąc.

– Różnie. Dzisiaj wstał skoro świt. Obudził mnie, gdy hałasował w kuchni. Zajrzałem tam na chwilę. Był w niezłej formie. Jadł śniadanie. Oznajmił, że leci rozejrzeć się za jakąś robotą. Nie zdążyłem mu powiedzieć, że najlepiej byłoby, gdyby pojechał złożyć papiery do wieczorówki.

– Czy jest sens wciąż wiercić mu o to dziurę w brzuchu? – zagadnęła Wioletta, odprowadzając ojca do przedpokoju.

– Myślę, że tak. Chcę, by wiedział, że ma w nas oparcie i pomożemy mu wyjść na prostą. Musi tylko sam tego zechcieć. Bo niestety nie mam możliwości wysłania go na przymusową terapię. Strasznie się z tym miotamy. Jak na złość w każdym przypadku, gdy dostrzegamy jakąś nadzieję, to potem i tak nic z tego nie wychodzi.

– Szkoda.

– Owszem, ale nie ma przesłanek – powiedział z goryczą. – Zupełnie, jakby jego zdrowie nie było najważniejszą przesłanką.

– To dobry chłopak. Tylko sobie nie radzi.

– No właśnie: dobry. Gdyby robił burdy, wpadł na kradzieży czy rozboju, to sprawy miałyby się inaczej. Dostałby nakaz leczenia. A tak pozostaje tylko modlitwa o to, by sam zechciał zrobić jakiś krok w tym kierunku. No dobra. Pa, córeczko. Uważaj na siebie!

– Pa, tatku!

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy gospodarz ogłosił koniec dniówki. Zmęczony Marek odłożył łopatę i ochlapał zimną wodą dłonie. Zdarte do krwi pęcherze niemiłosiernie zaszczypały. Właściwie od dłuższego czasu nie odczuwał bólu. Pracował automatycznie, a jego uwaga skupiona była wokół tego, że niedługo wróci do Krakowa, wsiądzie w tramwaj i pojedzie do wujka. Potem przycupnie na ławce w parku. Rześkie wieczorne powietrze ochłodzi mu skronie, a on odpręży się z pomocą kolejnej porcji magicznej substancji.

Takie myśli były zdecydowanie najbezpieczniejsze i nie sprawiały mu

cierpienia. Kiedy tracił nad nimi kontrolę, wracały wspomnienia wszystkiego, co było dla niego ważne, a co utracił bezpowrotnie.

Ciągle jeszcze tęsknił za Renatą. Czasami marzył, by wróciła. Pragnął zobaczyć, jak rozciąga usta w uśmiechu, odsłaniając najpiękniejsze zęby świata. Niechby mu w końcu wybaczyła. Zapomniała, że ją zawiódł. Że na ułamek sekundy ważniejsze stały się prochy. Gdyby tylko powiedziała jedno słowo! Rzuciłby to w diabły, przecież panował nad nałogiem. Nie musiał ćpać codziennie, czego dowodem była jego obecność na tej wsi zabitej dechami, gdzie przez kilkanaście godzin machał łopatą, przesiewając piasek albo podając murarzowi pustaki.

Na razie jednak męczył go głód, ale nie ten, który można zaspokoić talerzem zupy, gdyż parę godzin temu gospodarz zawołał ich na skromny poczęstunek, złożony z pomidorowej oraz ziemniaków ze zsiadłym mlekiem. Cieszyło go, że dostali choć tyle, ponieważ zdarzało mu się już pracować przez cały dzień z pustym żołądkiem albo latać do sklepu po bułki i kawałek kielbasy. Po tym, jak rano był problem z napojami chłodzącymi, przewidywał, że posiłku może nie być. Najpierw jednak dostarczono im, z dużym opóźnieniem, gorący i mało słodki kompot, a potem otrzymali obiad.

– Wsiadać, chłopaki! Zaraz ruszam. Nie mam zamiaru jeździć po nocy. Człowiek potrzebuje chwili wytchnienia po ciężkiej robocie!

Gospodarz ponaglał ich, by jak najszybciej zajęli miejsca na pace. Zdążył już wypłacić obiecaną im wcześniej dniówkę, co też stanowiło powód do radości.

W ciągu minionych dwóch miesięcy Marek zebrał solidny bagaż doświadczeń, mimo że nie zawsze jeździł na plac Imbramowski w poszukiwaniu zarobku. Czasami nie miał ochoty. To znowu męczyło go kiepskie samopoczucie. Albo był na tak wielkim głodzie, że ratowało go tylko zwinięcie z domu kasy lub jakiegoś przedmiotu do opchnięcia.

Zmęczeni robotnicy z wysiłkiem gramolili się do żuka. Zasiedli na twardej ławce. Zabrakło im nawet chęci na pogawędkę. Rozmowniejsi byli rano, gdy jeszcze skwar oraz ciężka praca nie wyczerpały ich z sił. W efekcie ledwo pojazd ruszył, podskakując na wyboistej polnej drodze, mężczyźni z miejsca posnęli. Marek zazdrościł im tego. On nie mógł – znowu dygotał jak w febrze. Powtarzał sobie w duchu, że najdalej za półtorej godziny zaspokoi trawiący go głód. Odetnie się od wszystkich koszmarnych myśli, które wypełniały jego umysł.

[12] Fragment utworu *Eroll*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Wilki*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1992 r.

[13] Chodzi o nowohucki Szpital Specjalistyczny im. Stefana Żeromskiego.

[14] Sekret rodzinny, o którym mówi Karol, opisany jest szczegółowo w IV tomie sagi *Spacer Aleją Róż*.

Rozdział 9

Cykl zamknięty

Kiedy widzisz gdzie jest teraz świat

Z mrocznego tunelu Cię woła

Purpurowa ulica tak samo bez końca

Łagodne spojrzenie anioła [15]

Po wyjściu ojca Wioletta postanowiła zrobić sobie spacer do dziadków. Choć tato rozwiął większość jej wątpliwości, miała jeszcze kilka pytań do Wawrzyńca. Nie dane jej było jednak drażnienie tematu, gdyż Pawłowskić całkowicie zaferował zupełnie inny problem. Ledwo wnuczka zasiadła w fotelu, gdy Julia wykrzyknęła:

– Ach, dziecko! Cóż za dziwne nowiny przynieśli Broniś z Bogusią! Nie minęłaś ich na klatce schodowej albo koło bloku? Tylko co od nas wyszli.

– Nie. Ale wydawało mi się, że widziałam ich idących w stronę przystanku tramwajowego. A o co chodzi? – zapytała z niepokojem. Bo choć babcia nie wyglądała na zdruzgotaną, to przypuszczała, że wieści nie były pomyślne.

Pani domu wcisnęła w dłoń dziewczyny szklanę z chłodnym kompotem, a później zajęła miejsce naprzeciw.

– Bronek był wczoraj u Pawła i Andzi. To chyba jedyny krewny, którego ten

huncwot jeszcze nie obraził i od czasu do czasu raczy go zaprosić. Bo od reszty rodziny, jak dobrze wiesz, jakoś tak zupełnie się już odciął.

– No wiem. Bo nawet jak Gosia do mnie przychodziła, to w sekrecie przed mamą i tatą. Nie chciała mi tego mówić wprost, ale odgadłam, że oni nie życzyliby sobie naszej zażyłości. Raz dałam małej trochę ubrań, które zdążyły mi się znudzić, to później mi zdradziła, że przemyciła je do domu pod nieobecność rodziców. A gdy matka zapytała ją, skąd ma te rzeczy, odparła, że razem z ciotką Danusią kupiły je na ciuchach. Bo gdyby mama usłyszała, skąd pochodzą, na pewno kazałaby je oddać lub wyrzucić. Gosia bardzo mnie za to przepraszała i widać było, jak jej za nią wstyd. Obdarowałam bidulę, ponieważ Andzia stroiła ją w jakieś kretyńskie falbanki, kokardki i inne cuda zupełnie niepasujące do nastoletniej pannicy.

– No tak. Wiem. Ubierała małą jak dorosłą kobietę albo znowuż jak dziewczuszkę z przedszkola. Andzia nie ma za grosz wyczucia stylu. Aż zdziwienie człowieka ogarnia, że ktoś taki jak ona zarabia na szyciu odzieży.

– Rzeczywiście, ale w jej pracowni szyte są bardziej odświeżone kreacje. Takie jak na wesele czy bal. Ewentualnie garsonki, w których można chodzić do pracy w biurze.

– Phi! – prychnęła pogardliwie Julia. – Widziałam owe kreacje na Tomeksie. Nie dałabym za nie złamanego grosza. Tak to spartaczone, byle jak odszyte, że aż strach! Gdybym cokolwiek kupiła, musiałabym robić poprawki. No ale ja nie o tym miałam mówić! – Pacnęła się dłonią w czoło. – Wawrzuś, bądź tak dobry i przymknij okno, bo strasznie naleciało komarów. Uchylimy później, jak te krwiopijcze bestie pójdą spać.

Mężczyzna wstał i spełnił prośbę żony. By choć trochę ulżyć zmęczonej upałem wnuczce, włączył wentylator. Tymczasem zaaferowana pani domu kontynuowała:

– Wyobraź sobie, Fasolko, że u Pawłów straszna afera! Bronek też rzadko ich widuje, a już Gosi nie spotkał chyba z rok, bo ostatnio nie przyszła z rodzicami ani na imieniny do Bogusi, ani do niego. A ile razy był na Złotego Wieku z wizytą, to Gosia siedziała w Centrum u Sabiny. No i wspomniał mi, że jak ją w końcu zobaczył, to aż się przeraził! Podobno na jej widok można trupem paść, tak źle biedactwo wygląda!

– W sensie, że chuda? – odgadła Wioletta.

– O właśnie! Chuda! Ty też zauważyłaś?

– Tak. Nawet kilka razy wypytywałam ją o samopoczucie, ale uporczywie odpowiadała, że wszystko w porządku. Ostatnio mocno zastanawiałam się, czy nie porozmawiać z ciotką Andzią, żeby zrobiła Gosi badania.

Podejrzewałam, że ma anemię. Bo z jednej strony nieprawdopodobnie wyrosła, a z drugiej zanadto wychudła.

– To nie anemia, tylko anoreksja połączona z bulimią – wyjaśniła seniorka. – Nawet nie wiedziałam, że takie coś istnieje, ale Bogusia dokładnie mi to wyjaśniła. Niby pielęgniarka z urazówki, ale zna się nie tylko na zwichnięciach i złamaniach – dodała z podziwem. – Anoreksja to taka przypadłość, że człowiek nie chce nic jeść. A bulimia polega na tym, że chory zjada wszystko, co mu w ręce wpada, a potem specjalnie wymiotuje.

– Ale dlaczego wymiotuje? Specjalnie? Ja też nie znam takich chorób.

– To zaburzenia psychiczne – oznajmiła Julia, a potem podzieliła się swoim zasobem wiedzy z wnuczką.

Wioletta słuchała jej słów z ogromnym smutkiem.

– Biedne dziecko – westchnęła. – Wiesz, babciu, jak z nią rozmawiałam, to wciąż miałam wrażenie, że ona jest nieprawdopodobnie samotna. Niby żyje pomiędzy ludźmi. Ma rodziców, babcię i dalszych krewnych. Chodzi do szkoły, więc na pewno ma też jakieś koleżanki. Ale tak naprawdę uważa, że jest niekochana i odrzucona przez otoczenie. Martwiłam się o nią ostatnio, bo już dawno jej u mnie nie było. Z drugiej strony dobrze pamiętam, że jak człowiek ma naście lat, to brakuje mu czasu dla rodziny, ponieważ jest ciekawy świata. A że z Andzią jest tak, jak jest, to nie chciałam do niej dzwonić, by nie robić kłopotu kuzynce. Nigdy przecież nie wiadomo, co wariatce strzeli do łba – stwierdziła.

– Dobrześ to ujęła. Z nich dwóch raczej Andzia jest wariatką, a nie to biedne dziecko – wtrącił Wawrzyniec. – Kto to widział, żeby całe życie i wszelkie sprawy podporządkować pogoni za pieniądzem? Wiadomo, że forsa jest ważna, bo za coś trzeba żyć. Ale we wszystkim potrzebny jest umiar, bo jak człowiek go nie zachowa, można zapłacić za to wysoką cenę.

– Mnie też jest żal tego dziecka. Paweł bardzo nieładnie postępuje, stroniąc od rodziny. Przez tyle czasu naszą siłą było właśnie to, że trzymaliśmy się razem. A teraz ze smutkiem obserwuję, jak powoli się od siebie oddalamy. Andrzejek nie żyje już trzydzieści pięć lat. Zabrakło Lesia i Krysi. – Julia z przygnębieniem wymieniła zmarłe rodzeństwo. – Zostałam ja, Dorotka i Broniek. Kiedy rodzice umierają, to czasami dzieciaki zaczynają odsuwać się od reszty. Nie jest to regułą, bo przecież Leszków Kacper zawsze życzliwie wita nas na wsi. A i Ewcia od Krysi, choć adoptowana, nie unika kontaktów. Bronkowe dzieci też często widzimy. Ale pozostali jakoś tak pozostają na uboczu.

– W przypadku Pawła jest to szczególnie nieprzyjemne, bo przecież bardzo

długo człowiek pomagał Sabinie, na ile mógł. Nie żebym wymawiał czy żałował – stwierdził z goryczą Wawrzyniec – bo nie w tym rzecz. Nie potrzebuję dozgonnej wdzięczności. Ale żeby być tak naburmuszonym? Bo nie dość, że sam narobił chryi z oderwaniem Marka od nauki, to jeszcze teraz jakieś fochy strzela, Bóg raczy wiedzieć o co.

– Może uważa, że jest kimś lepszym od nas? No bo widzisz: my już jesteśmy emeryci, a nasze dzieciaki nie poszły w żadne biznesy, lecz siedzą na różnych posiadach. A on, pan przy forsie, patrzy na nas z góry.

– Ee... przy jakiej tam znowu forsie? – Wawrzek machnął ręką. – Przy forsie jest Gudzowaty. Albo rodzina Kulczyków. A Pawłowi tylko dobrze się wiedzie, ale czy aż tak dobrze? Bo jakimże to kosztem osiąga swój dobrobyt?

Na granatowym nieboskłonie migotały gwiazdy, gdy Wioletta wracała do swojego domu. Upał nareszcie zelżał, a powietrze nabrało przyjemnej rzeźkości. Młoda kobieta postanowiła, że przejdzie jeszcze kawałek aleją Róż. Na pewno nie zaszkodzi jej spacer, zwłaszcza że i dzidzius przez cały dzień zachowywał się nad wyraz grzecznie. Trzeba było więc skorzystać, przewietrzyć trochę głowę i pomyśleć o kilku istotnych sprawach.

Każda wizyta u dziadków niosła przyjemne odprężenie. Przywracała wiarę w ludzi. Przypominała o tym, jak ważna jest rodzina.

Zawsze miałam w nim oparcie – pomyślała Wiola o Wawrzyńcu. *Pomógł nam wszystkim w wielu trudnych sytuacjach, jak chociażby po śmierci mamusi, gdy tato trafił do ośrodka dla internowanych.*

Wspominała ten wyjątkowo trudny okres, gdy dziadek zabrał do siebie ją oraz chłopaków, choć w rzeczywistości nie byli z nim spokrewnieni. Nigdy nie dawał im tego odczuć. Zawsze całą gromadkę otaczał miłością.

To pomagało spojrzeć na Tomasza i jego propozycję w innym świetle.

Państwa Lorkowskich poznała podczas prób przed występami, ponieważ czasami odbywały się w ich mieszkaniu. Byli życzliwymi, pogodnymi ludźmi. Postępowali w życiu wedle podobnych zasad jak jej rodzina. Swoje dzieci wychowali najlepiej, jak potrafili. Ale oczywiście to nie przesądzało sprawy, choć dawało podstawy do pomyślnych rokowań.

Może powinnam przyjąć oświadczyzny? Lorka zawsze darzyła sympatią. Uważała go za przyjaciela – kogoś ważnego i bliskiego. Zaczęła nabierać przekonania, że to są najlepsze podwaliny trwałego i szczęśliwego związku, a miłość nie jest wypadkową żaru namiętności, przyspieszonego pulsu i ogólnego zauroczenia, lecz uczuciem opartym na przyjaźni i zaufaniu. *Nie*

chcę myśleć, co by było, gdyby Tomek zginął. Nie potrafiłabym żyć z taką świadomością. Zawsze gdzieś w głębi duszy czułabym, że zrobił to z mojego powodu. Bo nie potrafił pogodzić się z tym, że między nami niczego nie będzie.

Wioletta uniosła głowę i spojrzała na lekko przymglone nowohuckie niebo. Gdzieniedzie połykiwały gwiazdy. Jakże inaczej to wyglądało w Pawlicach, skąd pochodzili jej przodkowie. Tam firmament sprawiał wrażenie usianego srebrzystym pyłem. Zatemniła za wsią, panującą tam błogą ciszą i sielanką.

Szła przed siebie, powoli stawiając stopy na niezbyt równym chodniku. Lewą dłonią gładziła wypukły brzuch.

Będzie dobrze, maluszk. Tomek nas nie zawiedzie.

Z Lorkowskim była umówiona na sobotnie popołudnie. Obiecał, że do niej wpadnie i, jeśli tylko Wiola będzie miała ochotę, zabierze ją na pyszne lody. Nie oczekiwał, że od razu usłyszy od niej odpowiedź na postawione pytanie, po prostu pragnął, by spędzili razem trochę czasu. Ona początkowo nie zamierzała spieszyć się z podejmowaniem decyzji, lecz po dogłębnym przemyśleniu wszystkich za i przeciw postanowiła zaryzykować. I nie chciała odkładać rozmowy z Tomkiem na bliżej nieokreśloną przyszłość, ponieważ nieubłaganie nadciągał termin porodu. Zakładała, że gdy dziecko przyjdzie na świat, nie będzie sprzyjających okoliczności do kurtuazyjnego przyjmowania wizyt. Poza tym nadarzała się świetna okazja, by ocenić, na ile Tomasz poradzi sobie w nowej sytuacji. Bo od samego słowa „tak” do powtórzenia go w formie przysięgi małżeńskiej była jeszcze dość daleka droga.

Następnego dnia Wiola wstała pełna optymizmu. Ponieważ dzień był jakby nieco chłodniejszy, czuła zadziwiająco werwę. Po lekkim śniadaniu usiadła na ulubionym fotelu i wzięła w dłoń aparat telefoniczny. Wykręciła numer do Szymczaków. Niech się dzieje co chce, musi porozmawiać z Gosią! Kuzynka powinna wiedzieć, że nie jest jej obojętna.

Siła więzi rodzinnych posiada wielką moc – rozmyślała, czekając na połączenie. Liczyła, że zastanie w mieszkaniu tylko Małgorzatę. Było po dziewiątej, więc Andzia i Paweł na pewno wyruszyli już w ten pokręcony świat swoich biznesów. Wioletta nie miała ochoty na pogawędki z nimi, ale brała pod uwagę możliwość, że któreś z nich wykazało dość rozumu, by nie zostawiać w domu chorego dziecka bez opieki. Bo choć ich córka wyrosła na wysoką pannę, to przecież wciąż jeszcze była dzieckiem.

– Halo? – Usłyszała w słuchawce niezbyt zachęcający głos, który musiał należeć do ciotki.

- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Małgosią?
- A kto mówi?
- Wioletta Pawłowska.
- Wiolka? – zdumiała się matka Gosi. – A czego ty od niej chcesz?
- Chciałabym z nią porozmawiać – wyjaśniła spokojnie młoda kobieta. – Dawno jej nie widziałam...
- I tak nagle wzięło cię na rozmowy? – zapytała ciotka z przekąsem.
- A co w tym dziwnego? Przecież jesteśmy kuzynkami. Mogę chyba zapytać, jak się miewa.
- Słuchaj no, moja panno. – Cynicznie zaakcentowała ostatnie dwa wyrazy. – Nie uważam, abyś była odpowiednim towarzystwem dla Małgosi. O ile wiem, spodziewasz się nieślubnego bachora, więc powiem wprost: nie życzę sobie, byś zawracała głowę mojej córce. Możesz mieć na nią zły wpływ! – wrzasnęła, a potem z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Skonsternowana Wioletta przez moment siedziała w bezruchu. Jeszcze nie była w stanie uwierzyć w słowa, które padły z ust ciotki, lecz pomалу docierał do niej ich okrutny wydźwięk.

- Och! Co za franca zboleła! Jak ona śmiała tak mnie potraktować! Co za gnida! – wykrzyczała złość na Andzię.

Serce łomotało jej ze zdenerwowania, a płucom zaczynało brakować tchu. Długo nie mogła dojść do siebie, łapiąc krótkie, płytkie oddechy.

- Jak coś takiego przeszło jej przez gardło? – załkała. – Jak mogła nazwać ciebie bachorem? – Pogłaskała się po brzuchu. – Nie jesteś żadnym bachorem. Jesteś kochaną dzieciną. Moją małą iskierką. Moim cudem i skarbem – przemawiała czule do maleństwa, próbując zatrzeć nieprzyjemne wrażenie sprzed paru minut.

Stojąca obok Anny Małgorzata wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy. Gdy tylko usłyszała, że dzwoni Wiola, jej serce mocno zabiło z radości. Już dawno marzyła o spotkaniu z kuzynką, i ucieszyła się, gdy ta tak po prostu zadzwoniła. Kiedy jednak usłyszała odpowiedź mamy, puściły jej nerwy.

- Jesteś beznadziejna! Jesteś podła! Nienawidzę cię! – wykrzykiwała, dygocąc na całym ciele.

Anna odwróciła się do córki. Utkwiła w niej zezowate spojrzenie szarych tęczęwek.

– Robię to dla twojego dobra, niewdzięcznico. Pewnego dnia sama pojmiesz, że przestawanie z nieodpowiednimi ludźmi to nie tylko strata czasu, ale i poważny błąd. Chcesz skończyć jak ta degeneratka? Jeszcze tego mi trzeba, żebyś wpadła w złe towarzystwo i wylądowała z bękartem niewiadomego pochodzenia! Mało do tej pory przysporzyłaś nam kłopotów?

– Nienawidzę was wszystkich! Siebie też nienawidzę! – wrzeszczała nastolatka. – Chcę umrzeć! Od tej pory nie wezmę do ust ani kęsa!

Andzia złapała ją za chudziutkie ramię i ścisnęła z całych sił, nie bacząc, że trzyma wyłącznie skórę i kości. Chciała sprawić Goście ból. W jej odczuciu smarkuła zasługiwała na srogą karę. Jedyne choroba powstrzymywała matkę od wymierzenia córce sprawiedliwości.

– Zaslugujesz na solidne lanie, moja panno. I nie myśl sobie, że będziesz mnie szantażować. Zapowiadam: wystarczy jeden niezjedzony albo wyrzygany posiłek, a zaraz pojedziesz do Kobierzyna. Tam będą cię trzymali w kaftanie bezpieczeństwa i karmili rurką wetkniętą do nosa tak długo, aż nabierzesz ciała i rozumu. Radzę ci więc, abyś liczyła się ze słowami!

Tomasz w skupieniu czytał rubrykę ogłoszeniową w „Dzienniku Polskim”. Interesował go wyłącznie dział „Dam pracę”. Doszedł bowiem do wniosku, że to już najwyższa pora na poważne zmiany w życiu. Na razie miał na koncie mnóstwo forsy, lecz wiedział, że jeśli nie zacznie zarabiać, to kupka szybko stopnieje.

Początkowo oszczędzał z myślą o nabyciu własnego lokalu. Wciąż jeszcze mieszkał z rodzicami, choć tuż przed owym niefortunnym skokiem zaczął przeglądać oferty deweloperów. Już wtedy pragnął się usamodzielnic, lecz jeszcze zwlekał z podjęciem decyzji. Poniekąd kierował nim pragmatyzm. Póki Wiolka uchodziła za niezależną dziewczynę do wzięcia, wierzył, że ma u niej jakieś nikłe szanse. Pod koniec grudnia robił nawet w jej stronę delikatne podchody i próbował wybadać grunt. Gdyby wtedy sprawy przebiegły tak, jak o tym marzył, to kupno nieruchomości nie miałoby racjonalnego uzasadnienia. Bardziej potrzebowałyby gotówki, choćby po to, by w razie czego zamienić mieszkanie Wioli na dom. Oczywiście pod warunkiem, że ukochana wyrazi taką wolę. Ewentualnie mógłby wziąć pod uwagę zakup porządnych samochodów: dla siebie i dla niej.

Teraz kwestia pieniędzy przedstawiała się zgoła odmiennie.

Chodziło o odpowiedzialność. Jeśli miał dać Wioli i dziecku poczucie bezpieczeństwa, oznaczało to również zapewnienie stabilizacji finansowej. Niedługo miał skończyć studia zaoczne, był na ostatnim roku.

Z powodzeniem mógł pogodzić je z pracą zawodową. Teraz potrzebował dobrej posady. Takiej, która nie zabierze mu całego czasu, a pozostawi go choć trochę dla rodziny, którą pragnął założyć. Dzięki temu nie roztrwoniłby oszczędności, mógłby także pomagać młodej mamie w opiece nad dzieciakiem. Byle do obrony, potem już będzie z górki!

O ile Wiola w ogóle mnie zechce – naszała go smutna refleksja, lecz próbował odepchnąć ją na bok i zachować maksimum optymizmu.

Jutro pójdziemy na spacer i na lody. Może do tej pory przemyśli sprawę? Nie będę naciskał. Po prostu poczekam, aż podejmie decyzję, która będzie dla niej najlepsza.

– Nic się nie stało, maluszk.

Wioletta po raz ostatni pogłaskała brzuch, a następnie wstała z fotela. Stęknęła przy tym jak leciwa staruszka, gdyż nagle łupnęło ją w krzyżu. Nawet nie tyle łupnęło, co najpierw poczuła nieprzyjemne mrowienie, a potem skurcz. Prowadzący jej ciążę ginekolog uprzedzał ją o takiej możliwości. Zanotowała w pamięci, że powinna o tym powiedzieć lekarzowi przy najbliższej wizycie. Ta czekała Pawłowską nazajutrz.

W perspektywie ciężarna miała długi, leniwy dzień. Początkowo myślała, że odwiedzi Gosię, lecz po wrogiej tyradzie Andzi wolała z tego zrezygnować. Nie chciała narażać się na kolejne szarpanie nerwów. Wiele wskazywało na to, że ciotka postanowiła zostać w domu i w końcu poświęcić uwagę dziecku.

Pewnie dlatego jest taka wściekła! Mniej zarobi, więc wyładowuje frustracje na innych. Co za wredne babsko!

Powróciło mrowienie, a zaraz po nim skurcz. Jednocześnie Wiola poczuła znaczną wilgoć między udami. Spojrzała na luźne spodnie w kremowo-granatowe pasy, ostatni krzyk mody, który sprawiła sobie kilka dni temu. Zobaczyła plamy z wody i krwi.

– Ojej! Dzidek! Za wcześnie na poród! Mamy jeszcze trzy tygodnie! – jęknęła, lecz dziecko najwyraźniej zamierzało przyjść na świat trochę wcześniej.

Kobieta w pośpiechu zaczęła pakować torbę. Sprawdziła, czy ma przygotowaną kartę ciąży. Kiedy uznała, że jest gotowa do wyjazdu, wykrciła numer do babci. Chciała prosić ją o towarzystwo w drodze na izbę przyjęć. Potem i tak sama będzie musiała radzić sobie z tysiącem lęków, które nagle ją zaatakowały.

Słyszając, że wnuczka będzie rodzić, Julia krzyknęła do męża, by zawiózł je do

szpitala. Z miejsca wybiła Wioli z głowy dzwonienie po taksówkę. Wszak pod ręką był zmotoryzowany dziadek.

Skurcze dość szybko przybierały na sile. Ciężarną ogarniał narastający niepokój. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało, ponieważ poza skurczami nie czuła zasadniczo nic więcej. Miała przeczucie, że dziecko powinno wykonywać znacznie więcej ruchów. No... Powinno się w ogóle ruszać, a od jakiegoś czasu nawet nie drgnęło. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ją kopnęło, i zamarła ze zgrozą, gdyż od tamtej pory minęła co najmniej doba.

– Och nie! Dzidek, nie rób sobie żartów! Daj mi jakiś znak, że u ciebie wszystko jest w porządku!

Dalsze jęki przerwał dzwoniący natarczywie domofon. To dziadkowie przyjechali, by odwieźć ją do Żeromskiego. Najpierw jednak chcieli wejść na górę, aby upewnić się, czy wszystko ma przygotowane, zabrać torbę z jej rzeczami i w razie czego podtrzymać ją na schodach.

– Boże, co ja bym bez was zrobiła? – zapytała, gdy już zasiedli w polonezie.

– Kochanie, jak nie my, to pomógłby ci tato lub Adek. Albo ten miły kolega, który był w waszym zespole muzycznym. Jakże on miał na imię? Tomasz, dobrze mówię? Uroczy chłopak!

– Tak, tak. Oczywiście. Boże, jak ja się boję! – stęknęła, przywierając do boku babci.

– Będzie dobrze, Fasolko. Wawruś, nie pędź tak, ty demonie prędkości! Zdamy!

– Na pewno? – dopytywał mężczyzna. – Bo ja już nie pamiętam, jak to było z tobą. Nie chciałbym, aby Wiola urodziła w samochodzie.

– Nie przesadzaj, nie urodzi tak szybko. U pierworódki to zawsze trwa dłużej niż u kobiety, która już wcześniej rodziła. Mnie poszło gładko, ale nasza wnusia musi jeszcze trochę poczekać. No już, już, kochanie. – Poglaskała dziewczynę, która w tym momencie wydała z siebie tłumiony jęk.

– Boję się, babciu, boję!

– Nie ma się czego bać – tłumaczyła łagodnie babcia. – Jesteś młoda, zdrowa i silna. Dasz sobie radę. To tylko troszkę cierpienia, o którym od razu zapomnisz.

– Ale to nie chodzi o rodzenie. Od wczoraj nie czuję ruchów dziecka! – Wioletta zebrała w sobie odwagę, by powiedzieć te straszne słowa, których do tej pory nie dopuszczała do głosu.

Julia nie do końca wiedziała, co to może znaczyć. Od dnia, gdy urodziła swoją trzecią pociechę, minęło przecież trzydzieści pięć lat! Gorączkowo usiłowała przywołać we wspomnieniach tamte chwile.

– Nie martw się, to chyba nic złego. Dzidzius ułożony jest pewnie główką w dół, a ponieważ ma ciasno, już nie baraszkuje. Skoro skurcze są tak częste, to znak, że przyjdzie na świat niebawem. A może nie czujesz ruchów maleństwa właśnie dlatego, że bóle porodowe zagłuszają inne doznania? Wawrzus, jak już przyjedziemy na miejsce, to trzeba będzie jak najszybciej poszukać aparatu telefonicznego i zadzwonić do Karola – pouczyła męża.

– Ależ oczywiście, Julisiu. Zadzwonię.

Pawłowska od dłuższego czasu usiłowała dowiedzieć się czegokolwiek na temat stanu swojej wnuczki. Na razie lekarze wciąż ją zbywali, podobnie jak położne. Ale chyba coś niedobrego wisiało w powietrzu, gdyż po krótkim badaniu zabrano ciężarną na oddział. Zabrakło czasu nawet na „atrakcje” w postaci lewatywy i golenia.

Zniecierpliwiona Julia krążyła po korytarzu przylegającym do izby przyjęć. Wawrzyniec zostawił ją na kilka minut, musiał powiadomić syna, że Wioletta zaczęła rodzić. Potem dołączył do wyjątkowo poruszonej żony.

– Wiadomo już, co z Fasolką? – zapytał. Jemu także udzieliło się zdenerwowanie, choć jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, że powinni z radością i optymizmem oczekiwać przyjścia na świat pierwszego prawnuczka.

– Nie – westchnęła. – Proszę Boga, aby Wiolinka uniknęła komplikacji.

Każda minuta zdawała się trwać całą wieczność, lecz żadne z nich nie było w stanie usiedzieć w miejscu. Krążyli po korytarzu, wyglądali przez okno. Szeptali cicho modlitwy, a czasami ze sobą rozmawiali.

Trwało to nieznośnie długo, nim z izby przyjęć wyszedł lekarz, który wcześniej badał położnicę.

– Panie doktorze! – Wawrzyniec złapał go za łokieć. – Czekamy na jakieś wiadomości. Co z naszą wnuczką i jej dzieckiem? Czy wszystko w porządku?

Mężczyzna w kitlu przystanął. Zmusił się do przybrania współczującego wyrazu twarzy. Po latach pracy na oddziale i odebraniu niezliczonej ilości porodów z trudem odnajdował w sobie empatię. Jego pracę cechowała rutyna, choć oczywiście żal mu było wszystkich rodziców i dziadków, którym musiał przekazywać nie najlepsze nowiny.

– Bardzo mi przykro. Dziecko pani Pawłowskiej jest martwe –

zakomunikował.

– Martwe? Dobrze usłyszałam? – wykrzyknęła przerażona Julia.

– Niestety tak. Co gorsza, akcja porodowa ustała bez konkretnego powodu. Właśnie podajemy pacjentce kroplówkę, by przyspieszyć rozwiązanie.

– O mój Boże! – jęknęła Julia. – Jak to możliwe, że maleństwo nie żyje?

– No... Niekiedy tak bywa. Nie każda ciąża kończy się tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Czasami dziecko umiera w łonie matki.

Po twarzy Pawłowskiej płynął strumień łez. Kobieta zaczęła nerwowo przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chustki do nosa.

– Ale jest pan całkowicie pewien? – dociekał Wawrzek.

– Absolutnie.

– O mój Boże! Dlaczego? – wyszlochała Julia.

– Trudno w tej chwili zawyrokować, co było powodem obumarcia płodu.

– A co z moją wnuczką?

– Nic jej nie będzie. Pod warunkiem, że organizm wydali martwe ciało.

Julia zachwiała się, jakby zaraz miała omdleć. Wawrzyniec przytomnie złapał ją i posadził na ławce. A potem wrócił do położnika.

– Co to znaczy, panie doktorze? – drążył temat.

– Pani Pawłowska musi urodzić.

– Ale jak to? – Nie pojmował. – Jest pan całkowicie pewien diagnozy? – Wciąż powątpiewał w słowa lekarza.

– Ponad wszelką wątpliwość. Serce nie pracuje. Wykonaliśmy badanie USG. Wynik jest jednoznaczny. Ciąża obumarła.

Julia stłumiła łkanie.

– Czy ona już wie?

– Tak. Moim obowiązkiem było poinformować ją o tym. Kroplówka przyspieszy poród.

– Czy to konieczne? Rzeczywiście powinna rodzić? Nie możecie zaoszczędzić Wioli bólu i po prostu zrobić cesarskiego cięcia? – dociekała zdruzgotana Pawłowska.

– Nie. Takie są procedury. Nie ma wskazań do operacji. Płód przyjdzie na świat siłami natury – odparł beznamiętnie.

– Ależ to barbarzyństwo! – oburzył się Wawrzyniec. – Jak możecie zmuszać tę nieszczęśnicę, by rodziła w bólach martwe dziecko!

– Proszę o zachowanie spokoju. Ja rozumiem państwa zdenerwowanie, ale dla dobra pacjentki lepszy jest naturalny poród. To nie podlega dyskusji – oświadczył stanowczo, a potem odszedł.

Wawrzyniec opadł ciężko na krzesło obok żony i zamknął szlochającą w głos kobietę w objęciach.

– Cicho, Julisiu. Cicho, nie płacz, kochana. Nic nie poradzimy. Trzeba modlić się za Wiolinkę. Trzeba się modlić, aniele – powtarzał, tuląc do siebie zdruzgotaną Julię.

Ból rozdzierał ciało Wioletty na połowę. Nigdy w życiu nie cierpiała tak niewyobrażalnej męki. Jakby żywcem ją rozszarpywano. Sama nie wiedziała, czy gorszy jest fizyczny wymiar tej tortury czy to, co działo się w udręczonym sercu i umyśle.

Maleństwo umarło.

Jej iskierka. Skarbeczek, którego oczekiwała z takim utęsknieniem. Krew z krwi i kość z kości. Miłość bezwarunkowa, idealna.

Miała w swoim brzuchu martwą maleńką istotkę.

– Nie żyje. Ono nie żyje. Moje dziecko nie żyje! – łkała z rozpaczą w przerwach pomiędzy kolejnymi skurczami. – Ratujcie je! Ono musi przeżyć! Na pewno lekarz się pomylił! – krzyczała moment później.

Zimny pot nieprzyjemnie oblepiał jej ciało. Mokre włosy. Mokra skóra. Mokra koszula z szorstkiego materiału.

Kolejny skurcz. Ból przeszywający wewnątrz z taką intensywnością, jakby ktoś kroił je na kawałki. Krzyk rozsadzający piersi.

Wioletta opuszczała powieki, by nie patrzeć. Nie widzieć wokół siebie tych bezdusznych twarzy.

– No i co się tak pani wydziera? To jeszcze nie są skurcze porodowe – fuknęła na nią położna, która co jakiś czas sprawdzała rozwarcie. – I niech nie zamyka oczu, bo popękają w nich naczynia krwionośne!

– Boli!

– Wszystkie tutaj płaczą, że boli. Ale prawdziwy ból jeszcze przed panią. Nie ma się co rozczulać. Jeszcze sobie pani dość popłacze.

Wioletta miała ochotę wydrapać oczy tej okropnej kobiecie. Czy ona nie

rozumiała? Była aż tak ślepa, głucha i nieczuła?

– Ratujcie moje dziecko! Błagam!

– Ono jest martwe. Nie ma co podnosić krzyku. Minie trochę czasu i urodzi pani następne. Będzie dobrze – bąknęła łagodniej położna, a potem rutynowo sprawdziła rozwarcie. – Jeszcze trochę cierpliwości. Jest już siedem centymetrów.

Jej słowa utonęły w przerażającym, nieludzkim wrzasku.

Małe trumny ważą najwięcej, choć do ich niesienia nie potrzeba aż czterech mężczyzn.

Na maleńkich grobkach nie mieszczą się wieńce i znicze.

Nad małymi grobami płyną największe łzy.

Gdyby nie środki przeciwbólowe i uspokajające, Wioletta nie byłaby w stanie przejść przez koszmar ceremonii pogrzebowej Karola Wawrzyńca Pawłowskiego.

Dwa imiona nadane martwo urodzonemu synkowi, na pamiątkę dwóch najważniejszych mężczyzn w jej życiu.

Gdyby to była dziewczynka, nazwałabym ją Julia Gabriela – myślała dość irracjonalnie Wiola, ściskając w rękach niedużą wiązanekę z białych róż.

Palce bolały ją niemiłosiernie, jakby miała w nie wbite setki kolców.

Kwiaty zdawały się ważyć tonę.

Jej ciało także sprawiało wrażenie, jakby było odlane ze stopu najcięższych metali.

Moje maleństwo. Moja iskierka. Mój skarbuś.

Z piersi osamotnionej matki wydobył się pełen bólu szloch. W tej samej chwili Wiola poczuła delikatne muśnięcie w prawe i lewe ramię. To ojciec i babcia dawali jej sygnał, że są wraz z nią w chwili największego cierpienia.

Nie zabraniali jej płakać. Cierpieli razem z nią.

Msza pogrzebowa przebiegała niby z udziałem Wioletty, lecz poza jej świadomością. Kobieta wstawała, siadała i klękała wtedy, gdy robili to inni. Automatycznie.

Weź pod swoją opiekę mojego aniołka, mamusiu.

Matka też jawiła się w jej myślach jako odległy, nierzeczywisty anioł. Tak

dawno temu odeszła w zaświaty, że córka prawie jej nie pamiętała.

Koniec nabożeństwa. Kondukt. Ponure miny żałobników. Mężczyźni nie wyrazili zgody na to, by mała, biała trumienka pojechała na meleksie. Niósł ją na rękach Adrian, który miał być ojcem chrzestnym dzieciny. Po jego twarzy płynęły łzy.

Tomasz Lorkowski szedł tuż za najbliższą rodziną Wioletty. Cierpiał nie mniej niż inni. Tak bardzo ubolewał nad całym ogromem nieszczęścia, jakie przypadło w udziale Wioli. Gdyby tylko mógł wziąć na własne ramiona to straszne brzemie, by choć na chwilę ukoić rozpacz ukochanej – zrobiłby to bez wahania! Czuł się nieprawdopodobnie bezsilny.

Niedoszły narzeczonny. Niedoszły mąż. Niedoszły ojciec.

Karol prowadził córkę. Trzymał ją mocno, bowiem słaniała się na nogach. Tuż przed pogrzebem wyraził wątpliwość, czy Wiola powinna brać udział w ceremonii. Wciąż była osłabiona, zaledwie dzień wcześniej wypisano ją ze szpitala. Noc spędziła u dziadków – tak zdecydowała cała rodzina. Karol chciał ją zabrać do siebie, lecz Julia wytłumaczyła mu łagodnym tonem, że teraz nieboracze potrzeba wsparcia bliskiej kobiety.

Po drugiej stronie Wioletty szła babcia, wsparta o ramię Wawrzyńca. Obydwoje wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć w to, co zaszło.

Dobry Boże, dlaczego zabrałeś to maleństwo? Tyle dzieciaczek przyszło na świat w naszej rodzinie w znacznie cięższych czasach. Nierzadko wśród strachu i łez. A jednak wszystkie rodziły się zdrowe i przeżyły. Dlaczego więc powołałeś do nieba kruszynę, która mogła opływać we wszystkie dostatki? Której nie zabrakłoby absolutnie nic, bo nawet pojawił się człowiek gotowy obdarzyć ją miłością... Dlaczego, Boże? Dlaczego? – Julia łkała bezgłośnie.

Tego dnia Marek nie czuł dygotania. Nie myślał o mirażach wywoływanych przez substancje odurzające. Choć w minionych latach stracił nic porozumienia z siostrą, jej cierpienie sprawiało mu ból. On wiedział, czym jest utrata bliskiej osoby. Sęk w tym, że Wiola już nigdy nie przytuli swojego synka. A on wciąż jeszcze mógł żywić nadzieję. Bo póki w piersi tli się życie, póty owa matka głupich nie umiera.

Asfaltowa aleja w Grębałowie sprawiała wrażenie nieprawdopodobnie długiej. Słońce prażyło niemiłosiernie odzianych na czarno żałobników.

W życiu Wioletty dobiegł końca pewien cykl. Szał zmysłów, którego następstwem był stan błogosławiony, rozpoczął się w równie upalnym czasie. Dokładnie przed rokiem – co do dnia.

[15] Fragment utworu *Hiszpan*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.

Rozdział 10

Syn błękitnego nieba

Ptak niech leci przez świat

Wiatr niech rozwiewa włosy nam

I pamiętajmy, że tylko jeden raz...

Tylko jeden raz odwiedzamy świat [16]

Mój świat legł w gruzach – westchnęła Wiola, opierając się plecami o zamknięte drzwi pokoju dziecinnego. Przed momentem schowała tam ostatni drobiazg nabyty dla maleństwa, a potem przekręciła klucz w zamku. Jeszcze nie wiedziała, co będzie z tym pomieszczeniem i znajdującymi się tam rzeczami.

Zerwać tapety? Zdjąć lampę? Zmienić wystrój? Spakować ubrania, pampersy i inne przedmioty?

Wyrzucić to wszystko? Oddać biednym?

Zatrzymać? Ale po co?

Teraz, gdy jej kruszyna nie żyła, nie widziała sensu w wychodzeniu za mąż za

Tomka.

A może to była gniewna i okrutna przestroga od losu, że nie powinna sięgać po mężczyznę, któremu mogłaby złamać życie? Nie powinna dawać mu nadziei na szczęśliwe małżeństwo, ponieważ niosła ze sobą tylko bagaż cierpienia i łez.

Choć minęło kilka dni od pogrzebu, nie mogła pogodzić się z utratą dziecka. Nosiła je w sobie blisko dziewięć miesięcy. Czuła jego ruchy. Podczas wizyt kontrolnych słuchała, jak bije jego serce. Widziała maleństwo na ekranie podczas badania USG. Było w niej – takie rzeczywiste i żywe!

Brakowało jej energii. Ostatnio niewiele jadała. Gdyby nie troskliwa opieka babci, pewnie zaczęłaby chudnąć jak Gosia Szymczak. Najchętniej spędzałaby całe dni w łóżku, lecz krewni nie pozwalali, by rozkleiła się do reszty. Musiała wstawać każdego dnia, robić toaletę, rozczesywać włosy i wkładać ubranie. Dziadek przychodził do niej zwykle rano. Podrzucał świeże, jeszcze ciepłe bułki. Ich zapach pobudzał boleśnie kubki smakowe pogrążonej w żałobie kobiety, więc sięgała po chrupiące pieczywo.

Po śniadaniu miała czasami chwilę na uzalanie się nad sobą, o ile ktoś inny nie wpadł z wizytą: ojciec, Matylda, Adrian, Tomasz... Zmówili się chyba, by nie zostawiać jej samej. Przypominali o tym, aby zrobiła porządki w mieszkaniu, włożyła brudy do pralki, podlała kwiaty.

Potem dzwoniła babcia, żądając, żeby wnuczka przyszła na rodzinny obiad. I nie było uprosić! Gdy Wiola usiłowała odmówić, to po kilku minutach do jej drzwi pukał ktoś z krewnych – w zależności od tego, kto nawinął się pod rękę seniorki. Raz przyszedł po nią dziadek. Wtedy ogarnął ją wstyd. Nie chciała, by ci wszyscy ludzie zaniedbywali własne sprawy i obowiązki, aby ją niańczyć.

Pogrzeb chłopczyka załatwił zdruzgotany Karol. Jeszcze nie rozmawiali o tym bolesnym wydarzeniu. Nikt nie próbował pleść dyrdymałów typu „Wszystko będzie dobrze”. Bo niby co miałyby być dobrze?

Jedyne, co do tej pory usłyszała, to zatroskane słowa babci:

– Przeminą smutne dni. Czas uleczy rany, dziecinko.

Oszczędzono jej nieustannego przypominania o śmierci synka. Rozdrapywania ran. Wyszukiwania banalnych pocieszeń.

Wioletta osunęła się w kucki, a potem po prostu usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

Znowu nie dane jej było długie wylewanie łez. Dzwonek domofonu przywrócił ją do rzeczywistości. Oczywiście mogłaby go zignorować, ale

wiedziała, że to przysporzyłoby zmartwienia dziadkom lub tacie. Nie chciała dokładać zgrzyzot osobom, które nieustannie się o nią zamartwiały. Wstała i bez podnoszenia słuchawki wcisnęła „otwórz”. Chwilę później ktoś zastukał do drzwi.

– Tomek? – zdumiała się na jego widok.

– Hej. Mogę wejść? – zapytał.

– Tak, jasne.

Zaprosiła go do salonu. zaproponowała coś do picia. Potem usiadła tam, gdzie zwykle, i spojrzała wyczekująco na gościa. Przypuszczała, co go sprowadza. Widziała go na pogrzebie. Dzwonił do niej kilkakrotnie w minionym tygodniu. To były krótkie, banalne pogawędki: „Cześć, co słychać? Jak się masz?” „Wszystko okej?”. „Bądź dzielna, jesteśmy z tobą”.

– Jak samopoczucie? – zagadnął.

– Jak widać. – Wzruszyła ramionami. – Jest mi cholernie ciężko. Tylko błagam, oszczędź mi tego strasznego „Wszystko będzie dobrze”. Ja w to nie wierzę. Nie będzie – powiedziała z posępną miną.

– Nie zamierzałem tego mówić. Jestem w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo cierpisz, bo ja też kiedyś straciłem ukochaną osobę. Wiem, to były inne okoliczności. – Podniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać słowa, które mogłaby wypowiedzieć. – Bolało. Bardzo długo. Do tej pory mnie boli.

Wioletta spoglądała na niego ze smutkiem. Odnosiła wrażenie, że jest Angeroną – rzymską boginią cierpiącego milczenia. Nie miała sił na wydobycie głosu z zaciśniętego gardła.

– Wiolu... Gdybym mógł ulżyć twojemu cierpieniu, zrobiłbym to. Serce mi pęka, gdy na ciebie patrzę.

– Więc nie patrz – wyszeptała.

– Nie mogę. Chcesz tego czy nie, jesteś moim wszechświatem. Twój ból także i mnie dotyka.

Potała dłonią czoło, potem wyprostowała plecy. Popatrzyła odważnie w jego oczy.

– To nie ma sensu. Tomek, daj sobie spokój. Ja pociągnęłabym cię tylko w dół. Wloką się za mną same nieszczęścia. Straciłam matkę. Teraz dziecko. Mój brat nie radzi sobie z życiem. Jak próbowałam robić karierę muzyczną, to zaraz zaczął mnie prześladować jakiś zboczeniec. Pierwszy mężczyzna, w którym byłam zakochana, potraktował mnie jak zdzirę. Nie mam pracy. Zespół się rozleciał. Zawaliłam studia. Nie mam koleżanek. Własna ciotka

uważa, że nie jestem odpowiednim towarzystwem dla kuzynki, bo mogłabym ją zdeprawować i sprowadzić na złą drogę. Moje życie to jedno wielkie pasmo porażek. Jestem chodzącą klęską żywiołową, więc daj sobie spokój – powtórzyła – bo jeszcze oblezie cię to cholerstwo. Znajdź sobie normalną dziewczynę. Taką, która nie będzie wlokła za sobą całego ogona nieszczęść.

– Nie mów tak! Nie jesteś chodzącą klęską! Jesteś wspaniałą osobą. Jesteś też niezwykle silna. Nie pozwól, by teraz cokolwiek cię zniszczyło. Wiem, że wiele przeszłaś i wycierpiałaś, ale zawsze dawałaś sobie radę ze wszystkim. Teraz też sobie poradzisz. Karolek na zawsze zostanie w twoim sercu. Ale życie trwa nadal i nie możesz się poddawać, Wiolu. Nie wolno ci!

– I kto to mówi? – prychnęła.

Spoglądała na niego tak wymownie, że nie był w stanie dłużej kłamać.

– Ktoś, komu powinnaś zaufać. Byłem bliski śmierci. Tak, na własne życzenie. – Spojrzał jej w oczy.

– Wiedziałam – oznajmiła z goryczą. – Sam widzisz, że niosę ze sobą pecha...

– Nie! Nie wolno ci się o to obwiniać! To ja byłem debilem, myśląc, że w ten sposób rozwiążę mój problem! Jestem dorosły, sam podjąłem decyzję. Wtedy nie chciałem żyć. A potem odzyskałem przytomność w szpitalu. Bolało mnie jak diabli. Każdy dzień okupiony był cierpieniem i wstydem za mój głupi wyczyn. Ale już nie chciałem umierać, bo wiedziałem, że los dał mi drugą szansę. Dotarło do mnie, że po każdej nocy przychodzi dzień.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Drobnym letnim deszczem podzwaniał o szyby i blaszane parapety. Niebo było pochmurne, więc szybciej niż zwykle zapadał wieczór. W pokoju gęstniał mrok, lecz Tomasz widział łzy płynące po twarzy Wioli.

– Nie płacz. Pewnie zaraz zabijesz mnie za to, co powiem, ale naprawdę będzie lepiej. Trzeba tylko trochę czasu.

– Jakbym słyszała moją babcię. Ona też mówi, że czas wszystko uleczy. I jeszcze, że zawsze jest jakieś jutro, na które warto czekać.

– Piękne słowa. Tego się trzymaj. Wiedz, że jestem twoim przyjacielem. Na zawsze. Możesz na mnie liczyć w każdej sytuacji. I nigdy nie przestanę cię kochać. Być może dlatego właśnie nie skręciłem sobie wtedy karku, żebym mógł siedzieć z tobą tu i teraz. Dzielić się tym, co sam kiedyś przeżywałem. I przynajmniej spróbować wlać w twoje serce nadzieję.

– Nadzieję, powiadasz... Tylko na co? Myślisz, że po czymś takim można jeszcze być szczęśliwym?

– Co ci jest, skarbie?

Karol spoglądał z niepokojem na ukochaną. Zamiast szykować się do pracy, siedziała na łóżku w sypialni. Miała przygnębioną minę i widać było, że siłą powstrzymuje płacz.

Ostatnio wszystkie sprawy szły wyjątkowo źle. Najpierw wyniknęły nieliczne kłopoty z Markiem, potem Wiola straciła maleństwo. Łzy w oczach Matyldy nie mogły zalsnąć ot tak, znikąd. Ogarnął go niepokój, że chodzi o jakieś poważne problemy zdrowotne. Nie przychodził mu na myśl inny racjonalny pomysł.

Połowica bez słowa podała mu jakiś podłużny plastikowy przedmiot. Pawłowski szybko zorientował się, z czym ma do czynienia. Zerknął na okienko z wynikiem testu. Znowu zobaczył tylko jedną kreskę. Usiadł obok żony i mocno ją przytulił. Zanurzył twarz w jej obciętych na pazia ciemnych włosach.

– Matysiu, jedyna... Nie ma powodu do łez. Może następnym razem?

– Dużo już było tych następnych razów – wyszłochała. – Tak bardzo chciałabym mieć dzidziusia. Ale, jak sam widzisz, do niczego ze mnie kobieta.

– Nie jesteś do niczego.

Pocałował ją w czoło.

– Jestem. Nie mogę zająć w ciążę. Ale właściwie czego innego można było oczekiwać? Wioli się nie poszczęściło, choć jest blisko dwadzieścia lat młodsza, więc co ja mam powiedzieć? Wzięłaś ślub ze starą babą, z której nie ma pożytku.

– Matyldo! Przestań! – zdenerwował się Karol. – Nigdy tak nie mów! Kocham cię, wiesz?

– A dziecko?

– Owszem, chciałbym mieć jeszcze jednego potomka. Ale to nie jest najważniejsza sprawa na świecie. Dla mnie najważniejsze jest twoje szczęście i zdrowie. Nic na siłę. Zawsze możemy adoptować jakiegoś szkraba, oczywiście o ile uznasz to za dobre rozwiązanie.

– To nierealne, Karolu. Nie przebrniemy pozytywnie przez wywiad środowiskowy – odparła ze smutkiem. – Mamy w rodzinie poważny problem.

– No tak. – Mężczyzna zwiesił ramiona. – Te cholerne wyskoki Marka! Co za parszywy świat! Nie możemy wysłać chłopaka na przymusowe leczenie,

ponieważ nie jest przestępcą i nie wykazuje agresji. Ale nie możemy też ubiegać się o adopcję, bo mamy w domu narkomana, którego obecność mogłaby źle wpłynąć na malucha. Psiakrew! – Uderzył pięścią we własne udo. Potem zerknął na smutną twarz żony. – Przykro mi, że cię zawiodłem.

– Ty? Dlaczego? – wyraziła zdziwienie. – To nie jest twoja wina. Nie na wszystko masz wpływ.

– Ale nie sprawdziłem się jako facet.

– Głupstwa opowiadasz! Przecież masz trójkę dzieci. Chyba powinnam spojrzeć prawdzie w oczy. Wina na pewno leży po mojej stronie – zakończyła z goryczą.

– A co na to ginekolog?

– Zlecił mi dodatkowe badania.

– Zrobiłaś?

– Jeszcze nie. Myślałam, że tym razem się uda, bo nie dostałam okresu. A tymczasem... to może być... To może być klimakterium – jęknęła.

Nowa szkoła nie była taka najgorsza. Gosia czuła się w niej znacznie lepiej niż w podstawówce. Do jej klasy trafiła tylko jedna poprzednia koleżanka. Pozostałe dziewczyny były obce i dopiero zawierały znajomości. Teraz Szymczakównie łatwiej przychodziło funkcjonowanie w społeczności uczniowskiej.

W dniu rozpoczynającym rok szkolny podeszła do niej Agnieszka Nowak i jak gdyby nigdy nic zaczęła rozmowę. Powiedziała Małgosi, że bardzo ucieszył ją widok znajomej twarzy, ponieważ wcześniej żywiła obawę, że nie spotka żadnej fajnej osoby. I że głupio wyszło, gdy nikt nie zauważył, że Gosia choruje. Przeprasza więc za wszystkich. Obiecuje, że w „ekonomiku” nikomu nie wypepla nic na ten temat. Pochwaliła nawet spódnicę Szymczakówny, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Spódnica pochodziła wprawdzie z atelier, lecz na szczęście tym razem matka uwzględniła gusta córki, gdy zlecała dla niej szycie nowej garderoby. Pozwoliła Goście na wskazanie kilku modeli z katalogu, nie marudziła nawet przy wyborze tkanin. Krawcowe też jakoś staranniej wykonały swoją pracę, ponieważ w końcu nastolatka zyskała rzeczy, których nie było wstyd włożyć. Dziewczyna dobrze wiedziała, że ze strony matki jest to próba przekupstwa oraz poniekąd zagłuszenia wyrzutów sumienia, gdyż latem doszło między nimi do wyjątkowo ostrej sprzeczki o Wiołkę Pawłowską i od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiały. W relacjach między Anną i Małgorzatą

panował bardzo kulturalny chłód.

Dużo lepiej układały się sprawy z ojcem. Z nim Gosia nie musiała toczyć żadnych sporów. Wciąż miał wypisane na twarzy poczucie winy związane z jej chorobą, więc bez mrugnienia powieką zaspokajał wszystkie zachcianki jedynaczki. Pewnego dnia pojechali razem do Krakowa, gdzie kupił dla niej dwie pary nowych jeansów, i to nie byle jakich, bo Leviego Straussa. Do tego dostała kurtkę ze skóry oraz adidas – rzeczy, których nigdy wcześniej nie zdołałaby wyprosić. A to dlatego, że przestrzegała zaleceń lekarza i nie tylko przestała chudnąć, ale wręcz przybrała blisko kilogram.

Wzrost wagi był jej solą w oku. Wcale nie uważała, że jest za chuda, i nadal nie mogła pojąć, o co wszyscy robią aż taką drakę. Nie chciała wyglądać jak własna, otyła rodzicielka. Gośka odczuwała obrzydzenie do grubasów. Uważała, że są okropni. Na pewno bardzo pocili się pod pachami. Tak jak mama, która wciąż używała dezodorantów, wachlowała się gazetą i narzekała na każdy cieplejszy dzień. Gosi problem upałów nie przeszkadzał nawet przez moment. Nie odczuwała gorąca. A gdy lato przeminęło i matka odetchnęła z ulgą, nastolatka zaczęła nosić grube swetry i ciepłe bluzy, ponieważ wciąż doskwierał jej chłód.

W szkole siedziała teraz w jednej ławce z Agnieszką. W gruncie rzeczy była z tego powodu zadowolona, gdyż Aga miała niezłe wyniki i zawsze można było liczyć na to, że w razie potrzeby podpowie. Gosia musiała przyznać, ale tylko przed samą sobą, że w ósmej klasie mocno opuściła się w nauce. Najpierw jej uwagę zaprzętał obrzydliwy Bolek, a potem jakoś brakowało energii, by ślęczeć nad podręcznikami. No i kilka razy była na wagarach.

Do klasy pierwszej a uczęszczały same dziewczęta. Gosia przyjęła to z radością, ponieważ chłopcy wzbudzali w niej lęk. Kiepsko wspominała kolegów z podstawówki, a po tym, jak rzucił się na nią Bolek, miała wrażenie, że wszyscy myślą tylko o jednym. Przebywanie wśród koleżanek dawało jej poczucie bezpieczeństwa, choć i tutaj napotkała kilka niezgorszych awantur, które już od pierwszych dni września pokazywały, na co je stać.

Małgorzata, mistrzyni uników, musiała niezłe lawirować, by żadna z tych bardziej bojowych panna nie odkryła, że rodzice wożą ją do i ze szkoły. W tej kwestii nie miała prawa głosu: drżeli o nią, ponieważ była wycieńczona anoreksją. Mogłaby zasłabnąć w tramwaju lub autobusie. Czy tylko to było powodem takiego asekuranctwa? Starła się wierzyć, że właśnie tak jest i nie chodzi o brak zaufania oraz podejrzenie, czy w drodze do szkoły nie zwróci zupy mlecznej bądź kanapki.

Jeżdżąc z nimi, nie miała takiej możliwości. Co innego w szkole, choć nie odpowiadał jej panujący w toaletach smród dymu papierosowego. Jeśli tylko

zdążyła przyjechać wystarczająco wcześniej, to jeszcze przed lekcjami pozbywała się treści żołądka. Od razu też wyrzucała do kosza na śmieci kanapki i butelkę z sokiem marchwiowo-owocowym. Przynajmniej tyle mogła dla siebie zrobić. W domu wciąż pilnowali jej rodzice lub babcia.

Sabina nie była zachwycona koniecznością niańczenia niemalże dorosłej wnuczki.

– Też coś, żeby trzeba było nadzorować taką dużą dziewczuchę i patrzeć, czy zjadła obiad! – utyskiwała nieustannie. – Co ty, Gośka, nie masz swojego rozumu? Nie wiesz, że jedzenie jest potrzebne do życia człowiekowi?

– Ja cię nie proszę, żebyś mnie nadzorowała. Już nie rzygam – kłamała gładko. – Przecież wiesz, że jestem w trakcie leczenia.

– O ludzie na świecie! Do czego to doszło, żeby trzeba się było leczyć na coś takiego? Co innego ja. Mnie dokuczają żylaki i reumatyzm. A i serce też daje o sobie znać. Jak mi doktor wypisuje receptę, przynoszę do domu całą siatkę leków. A jakie to wszystko drogie! No kto to widział! Przecież nie starcza emerytury, by przeżyć w tych podłych czasach. Nie wiem, co by było, jakby mi Pawełek trochę nie pomógł. Chyba przyszłoby położyć się i umrzeć – nadawała swój stały repertuar, lecz Gosia nie słuchała tego biadolenia, gdyż bardziej zajmujące było skakanie pilotem po kanałach kablówki.

Chłodne, przymglone poranki przechodziły w coraz krótsze październikowe dni. Liście zaczynały wysychać i tracić soczystą zieleń. Znowu w parkach królowały żółcie i czerwienie, które niebawem miały zamienić się w brąz.

Pod tymi przepysznymi mieniącymi się koronami drzew przebiegło pewnego dnia dwieście osób, by w symboliczny sposób uczcić pamięć o Bogdanie Włosiku, zastrzelonym podczas zamieszek stanu wojennego. Wśród nich znalazł się Adrian Pawłowski, pragnący dać wyraz temu, że na pewne sprawy nigdy nie można obojętnieć, gdyż nie wiadomo, kiedy koło historii zakreśli okrąg. Lorek też bardzo chciał wziąć udział w memoriale, lecz wciąż nie pozwalała mu na to kondycja. Wprawdzie nogi już dawno przestały go boleć, ale o bieganiu na dystans dłuższy niż kilkaset metrów nie było mowy.

Wawrzyniec lubił jesień, choć o tej porze roku częściej niż wiosną czy latem odczuwał niemiłosierne rwanie w postrzelonym przed laty barku, a lewa ręka mrowiła, cierpła lub po prostu bolała. Za to lżej było oddychać, gdy upały ustępowały na korzyść rześkiego chłodu.

Jednego z takich dni Wawrzyniec i Julia postanowili wybrać się na cmentarz

w Grębałowie. Po drodze zamierzali wstąpić do Teatru Ludowego i nabyć bilety na jakiś ciekawy spektakl. Od pewnego czasu wystawiano tam *Makbeta* z Jerzym Stuhrem i choć państwo Pawłowscy preferowali nieco lepszy repertuar, uznali, że przyjemnie będzie dla odmiany obejrzyć coś ambitniejszego.

Przejeżdżali właśnie polonezem obok krzyża ustawionego w miejscu, gdzie niegdyś wyznaczono lokalizację dla budowy pierwszego w dzielnicy kościoła. Julia przeżegnała się i na moment wróciła do przerażających wydarzeń z kwietnia sześćdziesiątego roku, gdy los dramatycznie doświadczył jej rodzinę. Przypomniała sobie Andrzeja, zabitego strzałem w plecy. Tę noc, kiedy samodzielnie musiała wyjąć kulę, która ugodziła Wawrzyńca. Koszmar następnych dni, gdy nikt nie wiedział, co się stało z mężczyznami z jej rodziny. Zamieszki. Gaz łzawiący. Strach o bliskich. Myśli kobiety tak mocno wypełniły wspomnienia z przeszłości, że nagle zaparło jej dech w piersi, jakby zobaczyła ducha.

– Andrzej?! – wykrzyknęła zaskoczona. – Wawrześ! Zobacz! Tam stoi Andrzej. – Wlepiała wzrok w skwer w pobliżu szkoły.

Pawłowski ostro zahamował. Dobrze, że za ich polonezem nie jechał inny samochód, gdyż zapewne skończyłoby się to kolizją. Zerknął w kierunku wskazanym przez Julię i odetchnął głęboko. Podobieństwo było rzeczywiście uderzające, lecz ponad wszelką wątpliwość to nie mógł być zamordowany przez zomowców szwagier. Mężczyzna był zdecydowanie zbyt młody, nie miał ze sobą laski, a jego skronie zaledwie trochę oszroniła siwizna.

– Juliś! Przecież to Paweł! – wyprowadził żonę z błędu.

Spojrzał na nią z troską.

Czyżby początki alzheimera? – wystraszył się nie na żarty.

Na szczęście Julia szybko wróciła do siebie. Popatrzyła na męża przytomnie i wyjaśniła:

– Przepraszam, kochanie. Po prostu byłam zamyślona. Wspominałam właśnie walki w obronie krzyża i przypomniałam sobie o śmierci Jędrusia. Kiedy więc zobaczyłam Pawła, z miejsca uległam iluzji, że to brata tam widzę.

– No tak. Wszystko jasne. A co to? – wyraził zdziwienie Wawrzyniec. – Czyżby jakiś spęd rodzinny?

By nie blokować ulicy, włączył kierunkowskaz i zaparkował na poboczu. Wraz z żoną spoglądali na Marka, który wyraźnie zmierzał w stronę wujka.

– Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że ci dwaj mają ze sobą cokolwiek wspólnego – powiedziała zaskoczona kobieta.

– No... Ja też nie. Przecież od dawna im ze sobą nie po drodze.

Przez chwilę obserwowali spotkanie dwóch mężczyzn. Krewniacy przywitani się uściskiem dłoni. Zamienili parę zdań. Potem Paweł sięgnął do kieszeni. Popatrzył czujnie wokół i szybko podał coś młodemu. Ten zrewanżował się czymś innym. Wymiana z ręki do ręki została przeprowadzona błyskawicznie. Chwilę później Marek odszedł w głąb ulicy. Wujek został na swoim miejscu.

– Dziwne. Jednak łączą ich jakieś interesy – stwierdził Wawrzyniec. – No dobrze, jedźmy, bo nas noc zastanie.

Po pięknym i ciepłym początku października nadeszło ochłodzenie. Słotne dni przyniosły ze sobą jakiegoś paskudnego wirusa, który rozłożył Szymczaków. Zaczęło się od Małgosi, która zaraziła babcię oraz ojca. Ledwo nastolatka odzyskała dobre samopoczucie, infekcja dopadła Andzię. Leżeli więc wszyscy: Sabina we własnym mieszkaniu, a Paweł z żoną u siebie. Ponieważ jedyną osobą na chodzie w rodzinie była dziewczyna, to na niej spoczął ciężar gonienia po aptekach oraz sklepach spożywczych i zaopatrywanie bliskich. Rodzicom nie pozostawało nic innego, jak zaufać, że w tym czasie córka nie zdoła zagłodzić się na śmierć.

Oczywiście Gosia postanowiła wykorzystać nagle uzyskaną swobodę do własnych celów i odwiedzić dawno niewidzianą kuzynkę. Nie miała wielu nowin o Wiolce. Od wujka Bronka usłyszała kiedyś, że jej dziecko nie żyje. Przyjechał do nich z wiadomością, gdzie i kiedy odbędzie się pochówek małego Karolka, lecz ani mama, ani tato nie raczyli pojechać na pogrzeb. Rodzinę reprezentowała babcia. A jak już było po wszystkim, to Sabina nie miała wiele do powiedzenia ponad to, że msza była nader przykra, zważywszy na wiek grzebanego.

Małgosi nie umknęła rozmowa dorosłych. Zrobiło jej się bardzo szkoda kuzynki. Chciała nawet do niej zadzwonić w czasie długiej przerwy między lekcjami, ale tak właściwie nie wiedziała, co należy mówić w podobnych okolicznościach. Czy powinna złożyć jej kondolencje? Zapewne tak, tylko w jaki sposób? Nie mogła sobie za Chiny Ludowe przypomnieć pogrzebu wujka Leszka. Być może rodzice w ogóle jej ze sobą nie zabrali. Może spędziła ten czas w szkolnej świetlicy?

Jakby mało było tego, że Wioli umarł synek, to Gosia wciąż pamiętała awanturę, którą kiedyś Pawłowskiej urządziła matka. Czy była o to obrażona? A jeśli w ogóle nie będzie chciała rozmawiać? Od wielu tygodni strach przed tym, że nie dogada się z Wioletką, powstrzymywał Małgosię przed sięgnięciem po słuchawkę telefoniczną. Z jakiegoś powodu nastolatka uznała, że o wiele łatwiej byłoby załatwić to twarzą w twarz. Może krewna nie

wywali jej za drzwi?

W pierwszym dniu odzyskanej swobody, symulując podczas drugiej lekcji złe samopoczucie, zapytała wychowawczynię, czy może wcześniej wyjść. Nauczycielka nie miała nic przeciwko temu, wszak wiedziała, że Szymczakówna ma poważne problemy zdrowotne. Gosia pognęła w te pędy do szatni, by włożyć kurtkę, a potem dziarsko ruszyła na przystanek autobusowy. Dojazd na aleję Róż spod szkoły zajął jej niespełna kwadrans.

Trochę zdenerwowana zadzwoniła do drzwi. Serce dziewczyny mocno łomotało z przejęcia. Dręczyły ją obawy, że Wioletta będzie obrażona. Myślała o tym przez całą drogę i przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie powinna wrócić do domu. Czuła jednak, że im dłużej będzie odkładała tę wizytę, tym trudniej potem przyjdzie przełamanie bariery strachu.

– Gosia! Jak miło cię widzieć.

Kuzynka z miejsca porwała ją w ramiona i przytuliła. Nastolatka odetchnęła z ulgą.

A ja, głupia, miałam takiego cykora!

Po nader wylewnym powitaniu poszły do salonu. Wiola bez słowa odeszła do kuchni, by po chwili powrócić z dwoma kubkami oraz talerzykiem herbatników.

– Poczęstuj się, proszę – zachęciła przybyłą. – Herbata z sokiem malinowym i cytryną jest idealna na jesienne szarugi. Jak leci, Gosieńko? Ślicznie wyglądasz – pochwaliła. – Trochę ci się wypełniły policzki i nabrałaś w końcu kolorów. Naprawdę ładnie!

– Dziękuję – odparła krótko Szymczakówna.

Małgosia żałowała, że nie może szczerze odwzajemnić komplementu, ponieważ kuzynka prezentowała się wyjątkowo brzydko. Miała bardzo bladą cerę i mocno podkrążone oczy. Nie zrobiła makijażu, a jej włosy były zawinięte w niestaranny kok. Na dodatek nosiła czarne ubrania, które nadawały jej wygląd znacznie starszej niż w rzeczywistości. Żałoba po dziecku zdecydowanie jej nie służyła.

Dlaczego akurat ja musiało to spotkać? – pomyślała Gosia z przygnębieniem. Nadal żywiła przekonanie, że Wiola byłaby fajną mamą. Bo choć sama cierpiała – wyraźnie było to widać – to jednak wciąż okazywała troskę innym.

Tymczasem kuzynka zagadnęła Szymczakównę:

– Nie powinnaś być teraz w szkole?

– Wysłałam wcześniej. Bardzo chciałam do ciebie zajrzeć. Starzy zachorowali,

więc nie mogą mnie chwilowo nadzorować – wyjawiała niechlubny sekret. – Do tej pory byli jak więzienni kapo. Nie odpuszczali nawet na moment.

– Martwią się o ciebie. To pewnie dlatego.

Gosia wzruszyła ramionami. Ich troska była uciążliwa i fałszywa. Tak naprawdę córka sprawiała im same kłopoty, o czym niejedną raz usłyszała zarówno od matki, jak i od babci.

– Przepraszam cię za mamę, wstyd mi za nią – wydusiła w końcu to, co nie dawało jej spokoju od dłuższego czasu. – Zwiąłam, żeby ci to powiedzieć. Wcześniej nie dałam rady. Ona nie miała prawa tak do ciebie mówić. Strasznie się z nią o to pokłóciłam. Dawno temu chciałam cię przeprosić, ale nie było okazji. Musisz wiedzieć, że ja w ogóle nie myślę tak jak mama.

– Daj spokój, kochanie. – Kuzynka uściśnęła jej rękę. – To nie twoja wina. Dobrze wiem, że tobie nie przyszłoby do głowy nic podobnego. No... Nie martw się już.

Otarła łzy płynące po policzku nastolatki.

– Na pewno było ci okropnie przykro...

– Trochę. Ale nie tylko z powodu tamtej draki. Właściwie nawet nie miałam czasu na to, by roztrząsać jej słowa. Dużo złego wydarzyło się w tym roku. Bardzo dużo. Ale czas mija i leczy rany. Nie ma o czym mówić, Małgosiu. Powiedz mi lepiej, co u ciebie słyhać. Ogromnie zmartwił mnie stan twojego zdrowia. Wujek Bronek i ciocia Bogusia opowiadali nam, że chorowałaś.

– Ach, to nic takiego. Dorośli zawsze muszą wszystko wyolbrzymiać. – Młoda machnęła lekceważąco dłonią. – Jestem zupełnie zdrowa.

– Cieszę się, że tak mówisz, Gosiu. Ale proszę cię, kochanie: uważaj na siebie. Zależy mi na tobie, wiesz? Jesteś moją najulubieńszą kuzynką i byłoby mi strasznie smutno, gdyby spotkało cię coś złego.

– Ty też jesteś moją najulubieńszą kuzynką! – odparła entuzjastycznie Szymczakówna.

Wierzyła Wiołce. To była jedyna dorosła osoba, której mogła bezgranicznie ufać. Świetnie się rozumiały. Pawłowska nigdy nie okazywała jej wyższości, nie traktowała jej jak głupiutkiego dzieciaka. No i przede wszystkim pomogła po tej hecy z Bolkiem Sadzidlą.

– Obiecasz mi coś? – zapytała pani domu.

– Co tylko zechcesz! Słowo!

– Super. Jedna mała prośba. Naprawdę małeńka i myślę, że spełnienie jej nie będzie dla ciebie kłopotliwe.

– A o co chodzi?

– Chcę, abys wyzdrowiała do końca. Tak ostatecznie. Żebyś nigdy więcej nie szukała ucieczki przed zmartwieniami w niejedzenie. To ważne. Musisz jeść i nabierać sił. Jesteś coraz starsza. Nawet nie zauważysz, jak stuknie ci osiemnaście lat. Bycie dorosłym nie jest takie złe, choć znacznie trudniejsze, niż myślisz. – Na jej twarzy zakwitł blady uśmiech. – Przed tobą całe życie i musisz mieć siły na to, żeby się nim cieszyć. Kiedyś rodzice przestaną kontrolować cię na każdym kroku. Spotkasz fajnego chłopaka, pokochasz go, będziecie spędzać razem dużo czasu. On zaprosi cię na randkę do kina lub dyskoteki. Albo na długi spacer. I co? Chcesz zemdleć z braku sił w takim momencie? – Puściła do niej oko. – Zaufaj mi, Gosiu, bardzo cię proszę. I nie bądź na mnie zła, ale muszę to powiedzieć: jesteś niezwykle szczuplutka. Zdecydowanie wychudłaś za dużo. Ale wyrosłaś na ładną dziewczynę, tylko musisz troszeczkę utyć. Parę kilogramów więcej dobrze ci zrobi. Jesteś w stanie mi to obiecać?

Zaskoczona Małgosia spoglądała na kuzynkę z niedowierzaniem. A więc i ona była przeciwko niej! Jak inni dorośli!

Czy oni wszyscy byli w zмовie?

W sercu nastolatki narastał bunt. Chciała wykrzyknąć kuzynce w twarz, że się myli. Że nie ma prawa jej oceniać. Mówić, że zbyt mało waży. To nie była jej sprawa! Czy Wioletka też chciała ją unieszczęśliwić?

A co, jeśli Wioletta ma rację? Jeśli rzeczywiście jestem za szczupła?

– To nie jest takie proste – bąknęła. – Starzy wciąż o to trują... Nie dają mi ani chwili spokoju. A ja nie mogę jeść. Po prostu nie mogę! Niedobrze mi na samą myśl o jedzeniu.

– Wiem, kochanie.

– A oni bez przerwy są na mnie źli. Jakby mogli, to na siłę wlewaliby mi zupę do gardła – pożaliła się kuzynce.

– Nie miej żalu do rodziców, gdy proszą cię, żebyś jadła. Robią to dla twojego dobra. Bo nie ma na świecie miłości większej niż ta, którą czuje mama do swojego dziecka. Uwierz mi, Gosiu. Nawet jeśli teraz uważasz, że jest inaczej, twoi rodzice bardzo cię kochają.

Wioletta spoglądała na nią wyczekująco. Ale w jej spojrzeniu było coś więcej. Małgorzata widziała w oczach kuzynki troskę. Powoli pokiwała głową na znak zgody, choć wiedziała, że dotrzymanie tej obietnicy będzie wyjątkowo trudne, ponieważ nie da się z dnia na dzień wyrwać do góry nogami całego światopoglądu i zmienić długotrwałych przyzwyczajeń.

Marek szedł wąską uliczką pomiędzy Teatrem Ludowym a XI Liceum Ogólnokształcącym. Szukał zacisznego miejsca na tyle daleko, by zejść z oczu Pawłowi, lecz możliwie jak najbliżej, ponieważ ledwo funkcjonował – tak bardzo dręczył go głód. W końcu znalazł jakąś ławkę w głębi osiedla. Usiadł na niej, nie zważając na siąpiący deszcz. Wyjął z kieszeni opakowanie amfetaminy oraz szklaną rurkę, którą wciągał biały proszek. Wysypał zawartość małej torebeczki strunowej na ławkę, kucnął, a następnie zaaplikował sobie substancję odurzającą. Ostatkiem sił usiadł. Oparł się, spojrzał w górę na pochmurne jesienne niebo. Czekał na działanie amfy, lecz na razie niczego nie doznawał. Nie czuł euforii. Nawet dygot nie ustępował.

Za mała dawka – ocenił.

W kieszeni miał jeszcze trzy woreczki. Marek rzadko kupował coś na zapas. Wiedział, że za posiadanie można trafić do kicia. Tym razem jednak zaryzykował, gdyż ostatnio trudniej było o zarobek. Dobiegł końca sezon prac rolniczych. Na budowlankę też coraz rzadziej udawało mu się załapać. Musiał więc poczynić jakieś przygotowania do nadciągającej zimy. Tylko czy warto magazynować dziadostwo, które nie daje ani kopa, ani ukojenia?

Zirytowany chłopak zaaplikował sobie następną działkę.

Pawłowscy cieszyli się wolnym popołudniem. Nieczęsto mogli spędzić wspólnie trochę czasu w ciągu tygodnia. Zwykle obydwójce byli zabiegani i dużo uwagi poświęcali pracy zawodowej. Wprawdzie nazajutrz Karol miał wykłady, lecz wyjątkowo postanowił zrezygnować z przeglądania materiałów dydaktycznych. Rok akademicki inaugurowano zaledwie półtora tygodnia wcześniej, więc jeszcze nie było takiego nawału zajęć, jaki pojawiał się z nadchodzącą sesją egzaminacyjną. Mężczyzna przygotował miskę słonych przekąsek oraz butelkę wina. Wraz z Matyldą usiedli przed odbiornikiem telewizyjnym.

– Co oglądamy? – zapytał żonę. – Masz ochotę na kolejny odcinek *Ekstradycji*?

– Prawdę mówiąc, wolałabym coś lżejszego. Na przykład komedię romantyczną. Koleżanka pożyczyła mi *Cztery wesela i pogrzeb* z Hugh Grantem. Podobno bardzo dobra.

– Okej, niech będzie. W sumie to ja też mam ochotę na relaks. Włącz ten film.

Mężczyzna nalał wina do kieliszków. Kobieta uruchomiła magnetowid. Potem usiadła na wersalce obok męża. Stuknęli się szkłem.

– Za miły i spokojny wieczór – powiedział Pawłowski.

– Doskonale – stwierdziła Matylda po skosztowaniu alkoholu.

Kilka minut później ich uwaga skupiona była na śledzeniu nieskomplikowanej fabuły. Karol już dawno nie był równie odprężony. Na moment wszystkie przykre sprawy zeszły na boczny tor. Liczyło się przyjemne sam na sam z ukochaną kobietą. To, że mógł obejmować ją ramieniem, gdy ona opierała głowę na jego barku. Nie przeszkadzały mu włosy łaskoczące go w policzek ani ucisk powodujący nieznaczne mrowienie ręki.

Byli jakoś w połowie seansu, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi.

– Zatrzymaj – poprosił Karol, którego wciągnęły miłosne perypetie Charlesa i Carrie. – Sprawdzę, kto przypuścił szturm na naszą twierdzę, a potem, jeśli to nie jest Marek, zamorduję za zakłócanie miru domowego. – Puścił oko do żony.

Opuścił wygodne miejsce, odłożył kieliszek na ławę i wyszedł do przedpokoju. W tym samym czasie osoba stojąca na klatce schodowej ponownie wcisnęła guziczek dzwonka.

Pali się czy co? – pomyślał, rozleniwiony błogimi chwilami.

Otworzył hałaśliwemu intruzowi i zamarł, gdy zobaczył dwóch umundurowanych policjantów. Kiedyś na taki widok zadrżałby o własne bezpieczeństwo. Teraz pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, dotyczyła Marka.

Czyżby wpadł w jakieś poważne tarapaty?

– Dobry wieczór. Obywatel Karol Pawłowski? – Jeden z funkcjonariuszy zadał pytanie, które spowodowało u pana domu nieprzyjemny ucisk w żołądku i przyspieszony łomot serca.

– Tak. Czy coś się stało? – wykrztusił zdławionym głosem.

– Bardzo mi przykro, ale mamy złe wieści. Możemy wejść?

Julia smażyła naleśniki do zawijania krokietów, gdy zadzwonił telefon. Raz, drugi, trzeci.

– Halo! – krzyknęła w głąb mieszkania. – Jest tam ktoś? Możecie odebrać? Marta! Wawrzek!

Ponieważ telefon wciąż dzwonił, a nikt nie pofatygował się do aparatu, Julia skręciła gaz pod patelnią do minimum i ruszyła w stronę salonu. W tym samym momencie dotarli tam: rozespany Wawrzyniec, przebudzony z drzemki, oraz owinięta w ręcznik Marta, wyciągnięta wprost spod prysznic. A ponieważ najbliżej znajdował się pan domu, to on odebrał połączenie.

– Halo? Dobry wieczór, Matyldziu. Co takiego? – wykrzyknął i z miejsca pobladł. Spojrzał z popłochem na połowicę, która jeszcze nie zdążyła odejść. – Ale jak to możliwe? Jak do tego doszło? Dobra, zaraz przyjedziemy. Trzymajcie się! – Odłożył słuchawkę.

– Wawrzus? – zapytała zaniepokojona Julia.

Mężczyzna bez słowa podszedł i wziął ją w ramiona, nie zważając na ból rwący w lewym barku. Przytulił mocno żonę, a dopiero potem powiedział:

– Marek nie żyje.

W pomieszczeniu zapadła upiorna cisza, którą już po chwili przerwał rozdierający serce krzyk bólu.

– Nie! To niemożliwe! Mój wnuczek? Mój Marek? Syn Karola? – upewniała się oszołomiona Julia, a z każdym jej pytaniem Wawrzyniec mówił krótkie, lecz jakże wymowne „tak”.

Marta z wrażenia zasłoniła usta dłonią. Drugą ręką podtrzymywała opadający ręcznik.

Przez chwilę kobiety z niedowierzaniem próbowały wydusić z Wawrzyńca więcej informacji, lecz on wiedział tylko tyle, ile powiedziała mu Matylda. Przed południem znaleziono ciało Marka na ławce w głębi osiedla Teatralnego. Wcześniej mijalo go kilka osób, lecz nikt nie zwrócił uwagi na chłopaka. Ludzie przechodzili obojętnie, myśląc, że to jakiś pogrążony we śnie pijak. Dopiero starsza pani, która od jakiegoś czasu obserwowała wszystko przez okno, zaniepokoiła się tym, że mężczyzna leży nieruchomo na zimnie i w padającym deszczu. Zadzwoiła po pogotowie, mówiąc, że potrzebna pomoc dla nieprzytomnego człowieka. Wezwany na miejsce lekarz orzekł zgon i sprowadził policję. Przy denacie znaleziono pozostałości po czterech porcjach amfetaminy.

– Kochanie, włóż płaszcz. Musimy jechać do naszego syna. Jesteśmy mu teraz potrzebni – powiedział Wawrzyniec. – Trzeba też powiadomić Wiołę i Adka. Matylda bardzo mnie o to prosiła. Sama musi zostać z Karolem, bo

jest zdruzgotany.

Marta pociągnęła nosem.

– Coś śmierdzi. Pali się? – zapytała zdenerwowana.

– Naleśnik! – wykrzyknęła Julia i pognęła do kuchni, gdzie wyłączyła gaz pod zwęglonym ciastem, które na dobre przywarło do patelni. Nie miała siły na zawracanie sobie głowy bzdurami, więc po prostu wrzuciła naczynie do zlewu i zalała wodą.

Zdjęła fartuch i niedbale rzuciła go na kuchenny stół. W przedpokoju usiadła na niewielkiej ławeczce, by zmienić domowe pantofle na botki, lecz nagle dopadła ją przeraźliwa niemoc. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsnął żaloszny szloch.

– Dziadkowie nie mają prawa przeżyć swoich wnuków. To wbrew naturze! – załkała.

[16] Fragment utworu *Jeden raz odwiedzamy świat*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.

Rozdział 11

Gorzki smak zemsty

Zbudujemy nowy świat, który nie będzie miał już wad

(...) Znikną troski, ogień w nas zapali się kolejny raz [17]

Śmierć Marka spadła na rodzinę Pawłowskich niczym grom z jasnego nieba. Choć wszyscy wiedzieli o jego problemach z narkotykami, przyczyna zgonu chłopaka wywołała u nich szok.

– To moja wina – łkał Karol.

Siedział na fotelu w salonie rodziców. W mieszkaniu panowała cisza, choć przebywali w nim wszyscy domownicy. Marta z mężem i córkami odeszli do swoich pokoi, by nie krępować zdruzgotanego mężczyzny robieniem

zbędnego tłum. Ewidentnie przyjechał do Julii i Wawrzyńca w jednym celu: aby wypłakać ból w gronie najbliższych osób. Nie powstrzymywał łez. Choć siedział pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach, a łokcie opierał o kolana, widać było krople kapiące na jego spodnie.

To był najgorszy moment słabości, odkąd został powiadomiony, że jego syn nie żyje. Do tej pory jeszcze jakoś się trzymał. Nie wiedzieć jak przeżył chwilę, w której usłyszał tę niewiarygodną wiadomość. Zidentyfikował ciało Marka, choć kosztowało go to wiele wysiłku i bólu. Potem wspólnie z żoną, która przez cały ten czas była przy nim, zorganizował pogrzeb i załatwił stypę. Wciąż był w ruchu, miał mnóstwo spraw na głowie. Składał zeznania na policji. Odbierał dziesiątki telefonów. Później ze złamanym sercem patrzył, jak trumna z doczesnymi szczątkami ukochanego dziecka znika pod kopcem ziemi. Wtedy wydawało mu się, że nie zniesie tego cierpienia, lecz mimo wszystko to jeszcze nie był najgorszy moment w jego życiu. Ten nadszedł dopiero wtedy, gdy ucichło zamieszanie związane z dramatycznym wydarzeniem. Właśnie teraz, po upływie kilku tygodni, dochodzenie w sprawie zgonu chłopaka utknęło w martwym punkcie, a Karol czuł się tak, jakby na cmentarzu w Grębałowie złożono część jego samego.

I pomyśleć, że zaledwie parę miesięcy wcześniej okrutny los zabrał dziecko Wioletty. Dwie dotkliwe straty w tak krótkim czasie były nie do udźwignięcia.

Mieszkanie na osiedlu Oświecenia straszło upiorną ciszą. Karol odnosił wrażenie, że potyka się w nim o własny cień. Nie miał sił, by otworzyć zamknięte drzwi pokoju Marka. Ostatni raz zajrzał tam razem z policjantami przeszukującymi pomieszczenie pod kątem obecności narkotyków. Być może liczyli na jakiś ślad naprowadzający na diler. Od ich odejścia Pawłowski nie zajrzał tam nawet na moment. To Matylda weszła po garnitur i białą koszulę – jedyne odświętne rzeczy chłopaka, kupione z okazji ich ślubu.

Nigdy w życiu nie pomyślałby, że pochowa syna w stroju, który został nabyty na wesele.

Teraz zostali z żoną sami. Dawno temu uzgodnili, że jeśli nie doczekają wspólnego potomka, to mieszkanie zapiszą Markowi i Renacie. Niechby sobie młodzi żyli z nimi pod jednym dachem, miejsca było dosyć – wszak u jego rodziców też funkcjonowały dwie rodziny w jednym lokalu. A później wszystko zaczęło się sypać niczym płatki z kwiatu róży. Krzywda wyrządzona ukochanej Marka była zaczątkiem całej lawiny nieszczęść, bezsilności i cierpienia.

Od śmierci chłopaka Karol nienawidził przebywać sam we własnym domu. Gdy nie było Matyldy, łąpał się na tym, że wciąż nasłuchuje kroków

w korytarzu, dzwonka do drzwi, hałasu dobiegającego z pokoju syna.

Czekał na niego.

Zrywał się, gdy słyszał ruch na klatce schodowej. Serce niespokojnie mu łomotało, póki nie wyrzął i nie zobaczył, że to sąsiedzi.

Choć osobiście zidentyfikował ciało, jego umysł usiłował wypierać myśl, że Marek odszedł definitywnie i już nigdy nie wróci.

Najgorsza była chwila, gdy Karol po raz pierwszy wrócił z pracy do pustego mieszkania. Matylda miała dyżur. Brak istoty, która choć trochę rozproszyłaby przytłaczającą ciszę, sprawił, że cierpienie stało się nie do zniesienia. Pawłowski obszedł trzy pokoje: salon, sypialnię i gabinet. Zajrzał do kuchni i łazienki. Obrzucił wylęknionym wzrokiem drzwi pokoju Marka. Nie miał siły, by nacisnąć klamkę i wejść, choć robił to w swojej wyobraźni. Widział wtedy, jak syn siedzi na dywanie lub leży w łóżku. Niechby nawet był naćpany, byle tylko żył. Byle znowu istniała szansa na to, że jakoś go zmusi do podjęcia leczenia.

– Karolu...

Stojąca obok matka wyciągnęła dłoń i pogładziła mężczyznę po głowie tak, jak głaskałaby małego chłopca.

– To nie twoja wina. Choć tak trudno jest zaakceptować śmierć młodego człowieka, który miał przed sobą całe życie, nie można oprzeć się wrażeniu, że sam sobie zawinił. Marek był dorosły i nie znaleźliśmy sposobu, by na niego wpłynąć. Przecież wszyscy próbowaliśmy perswazji. A ty robiłeś co mogłeś...

– Nie dość skutecznie.

– Nie obwiniaj się. Dokładałeś starań, by wysłać Marka na terapię.

Mężczyzna podniósł głowę. Spojrzał w stronę Julii i stwierdził:

– Widać zrobiłem zbyt mało. Może nie byłem dość konsekwentny w działaniu?

– Ale cóż ty jeszcze chciałeś wskórać, synu, skoro sąd odrzucił wniosek o skierowanie chłopaka na przymusowe leczenie, nie znajdując ku temu podstaw?

– Julisia ma rację, Karolu. Próbowaleś absolutnie wszystkiego, co przychodziło ci na myśl.

W istocie ojciec wykazywał nadludzką cierpliwość za każdym razem, gdy syn

okradał jego lub Matyldę. Każdego dnia przyjmował go pod swój dach, nawet gdy młody był pod wpływem narkotyków. Prosił, tłumaczył. Obiecywał pomoc w powrocie do normalnego życia. Namawiał chłopaka na podjęcie leczenia, kontynuowanie nauki. Chciał go nawet utrzymywać w tym czasie, byle tylko Marek odciął się od szemranego towarzystwa. Nie pomagały też prośby Renaty, jej miłość i wytrwałość. Nie wstrząsnęła nim krzywda wyrządzona dziewczynie. A może raczej wstrząsnęła, ale nie w sposób, którego można byłoby sobie życzyć. Zamiast oprzytomnieć, poszedł na dno. Wawrzyniec wyliczył to wszystko pasierbowi, a na ostatek zapytał:

– Co jeszcze mógłbyś zrobić? Jakich argumentów użyć?

– Trzeba było powiadamiać policję o każdej kradzieży. Niechby go wsadzili do aresztu raz, drugi, trzeci. Niechby dostał nawet jakiś wyrok. Może to odniosłoby skutek, a sądowi dało podstawę do wydania innego orzeczenia? Nie chciałem być okrutny, ale w rzeczywistości byłem głupi. Bo z nim powinienem był działać ostro. Radykalnie!

– Nie mógłbyś – powiedziała łagodnie Julia. – Bardzo rzadko rodzic występuje przeciwko własnemu dziecku, nawet dla jego dobra. Mamy to już w naturze, że za wszelką cenę usiłujemy chronić potomstwo. Wybielać je w oczach innych ludzi.

– I to właśnie była moja indolencja. Chyba do końca życia nie przestanę się tym dręczyć. Byłem kiepskim ojcem. Zawiodłem Gabrysię. Ona na pewno patrzy na mnie z góry i kręci głową z dezaprobatą. Pozwoliłem, by nasze dziecko tak marnie skończyło!

– Gabrysia nigdy nie oceniłaby cię tak surowo. Gdyby tego doczekała, pewnie cierpiałaby tak samo jak ty. Wątpię jednak, czy byłaby zdolna do wyrzucenia z domu rodzzonego syna albo szczucia go policją. Marek miał wszelkie predyspozycje do tego, by, podobnie jak Adrian, dobrze poukładać sobie życie.

– Otóż to – poparł żonę Wawrzyniec. – Kto wie, czy nawet Marek nie miał szansy na jeszcze większe osiągnięcia niż jego bliźniak? Zapowiadał się na bardzo inteligentnego człowieka.

Karol podłapał tę myśl.

– Pamiętam, jak wróciłem do domu po internowaniu. Gabrysia już nie żyła, a ja musiałem na nowo poznać własne dzieci. Bo wcześniej tak naprawdę wcale ich nie znałem. I zaskoczyła mnie wtedy niezwykła dojrzałość Marka. Był bardzo mądry jak na swój wiek. Imponowały mi jego lektury. Rozpierała mnie duma z jego powodu! Boże... Dlaczego, mając tak piękne zainteresowania, wszystko zmarnował? Zaprzepaścił szansę na zdobycie

solidnego wykształcenia, dobrej pracy, na małżeństwo z miłą dziewczyną! No ja nie mogę! Szlag mnie trafia, ilekroć o tym sobie przypominam! Dlaczego dopuściłem, żeby Paweł namieszał mu we łbie? Powinienem był trzasnąć kuzyna po mordzie i kazać mu odpierdolić się od mojego syna. Przepraszam za słownictwo.

Zerknął na matkę, lecz ta wyjątkowo puściła wulgaryzmy mimo uszu, bowiem sama czuła wzburzenie na wspomnienie o tym, jak wnuk skomplikował sobie życie przed laty.

– Ń propos Pawła. Nie widziałam na pogrzebie ani jego, ani Andzi. Była tylko Sabina – powiedziała ze smutkiem Julia.

– Gdy zegnaliśmy małego Karolka, też nie wykazał zainteresowania – dodał Wawrzyniec. – Nie raczył przyjechać. Przykre to, doprawdy.

– Może wypadło mu coś pilnego? – Pawłowska próbowała usprawiedliwić bratanka.

– Biznesy okazały się ważniejsze od żałoby w rodzinie, ot co! Ty, Julisiu, zawsze miałaś zbyt dobre serce i wielką wiarę w ludzi, zwłaszcza gdy chodziło o krewnych.

Przez chwilę rozmyślał, czy nie powinien porozmawiać z Karolem o czymś, co od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju. W końcu stwierdził, że sprawa jest ważka.

– Dobrze skojarzyłem, że Marka znaleziono na osiedlu Teatralnym? – zapytał niespodziewanie.

– Tak. – Syn pokiwał głową, a potem zainteresował się: – Czemu o to pytasz?

– Dość intrygujące miejsce – stwierdził enigmatycznie Wawrzek.

– Miejsce jak każde inne. Może Marek ma tam jakichś kolegów.

– Niekoniecznie – odparł, zerkając z ukosa na Julię. Żona w lot odgadła jego zamiar i delikatnie mrugnęła powiekami.

– Nie wspominałem o tym wcześniej, ponieważ uważałem, że to nie ma większego znaczenia, ale niedawno widzieliśmy Marka w tamtym rejonie. I wiemy nawet, z kim tam się spotkał. Być może to nic nie znaczy – uprzedził od razu – ale teraz sędzę, że to dość dziwne, bo z Pawłem Szymczakiem to on miał raczej na pieńku.

– Z Pawłem? – Zdumiony Karol uniósł brwi.

– Owszem. Dokonali wtedy jakiejś wymiany. Z ręki do ręki. To było coś drobnego. Nie zauważyłem nic więcej. Potem Marek odszedł w głąb osiedla, a Paweł został. Aha. I był tam jeszcze, zanim Marek do niego podszedł.

– A to ciekawe. Bo odkąd Paweł zaczął robić Marka na szaro z forszą, oni faktycznie nie darzyli się ciepłymi uczuciami rodzinnymi. Jestem więc niezmiernie ciekawy, o co w tym spotkaniu chodziło. Wątpię, aby mój syn prosił go o pracę. Jaki był, to był, ale miał swój honor. Gdzie dokładnie ich zobaczyłeś?

– Na Teatralnym. Między Ludowym a szkołą. To były godziny przedpołudniowe.

– Kiedy?

– Czy ja wiem? Mogło być parę miesięcy temu...

– Nie, Wawrusz. Minęło nie więcej niż półtora miesiąca. Było jeszcze tak ciepło i słonecznie. Liście mieniły się kolorami. A nazajutrz pogoda uległa załamaniu. Dobrze to zapamiętałam. Jechaliśmy wtedy na cmentarz.

– No tak, faktycznie.

– Chyba tam podjadę – stwierdził Karol.

– Na Grębałów? – strzeliła bezmyślnie Pawłowska.

– Nie. Na Teatralne. Może to faktycznie bez związku, ale trochę pokręcę się w miejscu, gdzie znaleziono Marka.

– Jeśli myślisz, że Paweł ma coś wspólnego...

– Nie myślę, mam – przerwał Karol wypowiedź Julii. – Po prostu chcę tam trochę połązić.

Nie mam teraz czasu na chorowanie. Jestem potrzebna Karolowi i Wiołce – westchnęła Matylda, dopijając ostatni łyk mocnej herbaty z miodem i cytryną.

Łamało ją w kościach, była ospała i zmęczona. Organizm chyba miał dość stresu oraz emocji, więc teraz dawał temu wyraz, zmuszając ją do ucieczki przed problemami.

A może po prostu kobietę dopadł przygnębiający upływ czasu, który niósł ze sobą klimakterium? Może stąd te wahania nastrojów, obniżone samopoczucie, nieregularne cykle i coraz skąpsze miesiączki?

Było przecież absolutnie niemożliwe, aby akurat teraz oczekiwała dziecka! Pomalu zaczynała akceptować myśl, że jedyne macierzyństwo, jakiego dane jej było zaznać, to krótkie chwile z potomkami Karola.

A co, jeśli właśnie wzrasta we mnie nowe życie? – Z hukiem odłożyła kubek na blat stołu kuchennego.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Pawłowski.

Spoglądał z troską na żonę. Była blada, miała cienie pod oczami i ogólnie wyglądała mizernie. Serce ścisnęła mu trwoga. Gdyby nagle ciężko zachorowała, to chyba nie poradziłby sobie w tej sytuacji. Momentalnie dotarło do niego, że pochłonięty ciężarem trosk przestał zwracać uwagę na Matyldę. Ale już wcześniej dostrzegł, że ukochana ostatnio wciąż jest wyczerpana. Do tej pory składał to na karb nieszczęść, przez które dzielnie szła u jego boku, dodając mu otuchy w najtrudniejszych chwilach.

– Wszystko dobrze. Jestem po prostu trochę zmęczona. Nic mi nie będzie.

Wyciągnął dłoń i pogładził ją po policzku.

– Wiem, że jesteś lekarzem, ale może powinnaś z kimś to skonsultować? Proszę. Nie zniósłbym, gdyby również tobie przytrafiło się coś złego. Zrób to dla mnie, okej?

– Jasne – odparła krótko i pomyślała, że w pierwszej kolejności wykona test ciążowy.

Test pokazywał dwie kreski.

Matylda wpatrywała się w nie z osłupieniem.

– A więc jednak! – wykrzyknęła.

Mogła sobie na to pozwolić, była w domu sama. Karol zostawił na kuchennym stole kartkę z informacją, że pojedzie odwiedzić córkę, a potem zajrzy do rodziców.

Wynik testu nie był wielkim szokiem. Brała pod uwagę taką możliwość, choć bardziej skłaniała się ku innym opcjom. Ogarnął ją ogrom sprzecznych uczuć.

Miłość. Strach. Nadzieja. Radość. Smutek. Euforia. Rozpacz.

Pawłowska siedziała na zamkniętym sedesie. W dłoni trzymała kawałek plastiku, na którym rysowała się wizja zmian, jakie niebawem mogą zajść w jej życiu.

Miała czterdzieści jeden lat. Czy nie była zbyt stara na to, by urodzić pierwsze dziecko? Wiedziała, że z wiekiem ryzyko powikłań rośnie. Niektóre z jej rówieśnic wychowują już niemalże dorosłe potomstwo. To pierwsze z wielu myśli, które zaczęły galopować w jej głowie.

Ułamek sekundy później poczuła ekscytację. Oto miała szansę na własne maleństwo! Mały cud do kochania! Istotkę, która połączy w całość założoną z Karolem rodzinę – spokrewnioną z nią, z nim i z jego dziećmi.

Tylko jak powiedzieć ojcu, który dopiero co pochował dorosłego syna, że w jego życiu pojawi się nowy, maleńki człowieczek? Czy nie rozdrapie w ten sposób rany powstałej na sercu męża? Czy Karol nie pomyśli, że to próba zastąpienia Marka kimś innym?

A jeśli on nie pokocha tego maluszka?

Jeśli będzie zły? Jeśli stwierdzi, że skoro los zabrał mu już jednego potomka, to nie chce na nowo przeżywać wszystkich problemów związanych z rodzicielstwem?

Jeśli uzna, że jest zbyt stary, by znowu zostać tatą?

Jak spojrzeć w przepętnione bólem oczy Wioletty i wyznać tak radosną nowinę? Jak potem z pęczniejącym brzuchem pokazać się nieszczęśnicy? Przecież jej serce pęknie!

Matylda westchnęła ciężko.

– Nie martw się, maluszk. Będzie dobrze – obiecała, przykładając dłoń do miejsca, gdzie zaczęło rozwijać się maleńkie życie.

Kiedy drzewa i krzewy pozbawione są liści, nader trudno jest pozostać niezauważonym. Można raz poobserwować krewnego przez szybę w samochodzie, lecz na dłuższą metę staje się to pozbawione sensu.

Parking zlokalizowany był zdecydowanie zbyt daleko od miejsca, w którym stał Paweł. Karol kilkakrotnie pojechał w okolice osiedla Teatralnego. Zajęcia ze studentami miewał o różnych porach, więc mógł sobie pozwolić na czynienie pewnych obserwacji. I o dziwo: zawsze widywał Szymczaka w dni powszednie. Nie natknął się na niego w weekendy. Zazwyczaj kuzyn bywał na skwerze, którym przechodziło wielu uczniów pobliskiego liceum. Niektórzy do niego podchodzili. Zamieniali parę słów, zakończonych uściskiem ręki, który poprzedzało grzebanie po kieszeniach.

– Cholera! Czy to możliwe? – rozważał Pawłowski z niedowierzaniem, widząc naprędce dokonywane wymiany. – Czy to przez niego mój syn stracił życie?

Kiedyś przysięgał sobie, że jeśli dorwie gnoja, który sprzedaje Markowi dragi, to wepchnie mu jego towar w gardło. Wtedy nawet przez myśl mu nie przeszło, że ma dilerę w rodzinie. Po kilku dniach obserwacji był tego niemalże pewien i gorączkowo zastanawiał się, co zrobić ze swoją wiedzą. Z rozkoszą sam wymierzyłby sprawiedliwość kuzynowi, ale czy powinien brudzić sobie ręce takim ścierwem? Musiałby go chyba zabić, by wyrównać rachunek krzywd.

Nie pójdę siedzieć za takiego śmiecia – stwierdził, tłumiąc targające nim emocje.

Nie na darmo Mario Puzo napisał w *Ojcu chrzestnym*, że zemsta jest potrawą, która smakuje najlepiej, kiedy jest zimna. Po kilku dniach intensywnych przemyśleń Karol skryształizował plan działania. Do jego realizacji potrzebował pomocy kilku silnych mężczyzn. Wybór padł na Adriana i Tomka Lorkowskiego. Prócz nich wtajemniczył jeszcze dwóch szwagrów: Krzyśka Ogrodzińskiego i Jarka Czaplińskiego oraz kuzyna Ludwika Szymczaka. Przydałby się jeszcze jakiś małolat, lecz nie chcieli w tę sprawę wciągać żadnego chłopca z rodziny. Obcych też wolał nie wtajemniczać, kwestia była nader delikatna, bowiem mimo wszystko Karol wciąż nie dowierzał, by kuzyn faktycznie był dilerem. Tomasz stanowił wyjątek tylko dlatego, że traktowany był niemalże jak członek rodziny. Pawłowscy liczyli po cichu na to, że gdy Wiola ochłonie po śmierci dziecka, zmieni swoje nastawienie do chłopaka zakochanego w niej bez pamięci.

Mężczyźni omówili dokładnie całą strategię poczynań. Uzgodnili wszystkie szczegóły. Rozdzielili role oraz punkty, w których miały się przyzwać poszczególne osoby. Ważny był element zaskoczenia. Jeśli Karol miał rację co do swoich podejrzeń, Paweł dostanie nauczkę na całe życie. Najpierw jednak potrzebowali dowodu, i to właśnie była najtrudniejsza część zadania. Nie mogli działać w pośpiechu, by nie spalić starannie zaplanowanej akcji. Mieli tylko jedną szansę na zrealizowanie planu. Gdyby coś poszło nie po ich myśli, to zapewne już nigdy nie zyskaliby drugiej możliwości.

Następnego dnia cała gromada przyszła w umówione miejsce.

– Masz telefon? – Karol wolał się upewnić, czy syn, prócz Wioli jedyny w rodzinie użytkownik sieci komórkowej, nie zapomniał zabrać aparatu.

– Jasne – odparł chłopak, rozchylając obwisłą od znacznego obciążenia połę kurtki.

Z wewnętrznej kieszeni wystawała górna część nieporęcznego urzędnika.

– Dobra. Wiecie, co macie robić? – zapytał pozostałych mężczyzn żądny zemsty ojciec.

Pokiwali głowami i rozeszli się na z góry upatrzone pozycje. Teraz pozostawało już tylko cierpliwie czekać na rozwój wypadków.

Tomasz z daleka widział gnojka, który najpierw podszedł do Pawła, potem zamienił z nim dwa, może trzy zdania, a następnie wcisnął coś w kieszeń kurtki i ruszył chodnikiem w stronę szkoły. Jak na złość wszedł do budynku,

choć wszyscy liczyli, że ją ominie i pójdzie w głąb osiedla.

– Psiakrew! – zdusił dosadniejsze przekleństwo, gdy podobna sytuacja powtórzyła się dwukrotnie.

– Bez nerwów. Może któryś podejdzie bliżej. Przecież smarkacze nie mogą ćpać w budzie. Nie są chyba aż takimi debilami! – stwierdził Adrian.

– Nigdy nic nie wiadomo. Teraz bachory mają sieczkę w łepetynach. My w ich wieku walczyliśmy z komuną – przypomniał Lorkowski.

– Jasne. Narazaliśmy tyłki tylko po to, by po wyborach prezydenckich krajem rządził były pezetpeerowiec – odparował z goryczą przyjaciel. – Krótka jest ludzka pamięć.

Wciąż nie mógł uwierzyć, gdy przed niespełna miesiącem ogłoszono wyniki głosowania. Po pierwszej turze liczba kandydatów została zredukowana z siedemnastu do dwóch nazwisk. Dwa tygodnie później niewielką przewagą Aleksander Kwaśniewski pokonał dotychczas urzędującego Lecha Wałęsę. Żaden z nich nie był faworytem Pawłowskiego.

– Nie da się ukryć. Niektórzy szybko zapomnieli o przeszłości. Teraz dzieciaki dorastają w dobrobycie i cierpią na nadmiar wolnego czasu.

– Albo odwrotnie: na zbyt duże ciśnienie ze strony starych. Zajęcia dodatkowe. Angielski. Tańce-połamance. Piłka nożna i inne bzdety. Byle rodzice mieli w domu spokój.

– No właśnie. O! Patrz. Jest kolejny łebek! No coś takiego, dziewczucha! Co robimy, jeśli nam się wystawi? – zapytał Tomek.

– Działamy! Może z laską pójdzie łatwiej? Nie będzie stawiać oporu, bo siły nie te.

– Ale narobi wrzasku – wyraził swoją wątpliwość.

– Łapa na dziób, parę słów do ucha i będzie cisza – zdecydował zdeterminowany Adrian.

Przez chwilę obserwowali rozwój wydarzeń. Sytuacja powtórzyła się: krótka rozmowa, gmeranie po kieszeniach, uścisk ręki, prędkie wciśnięcie czegoś w jeansy. Dziewczyna ruszyła przed siebie.

– Idzie tu! – Adek zatarł dłonie z uciechy, a następnie pomachał ręką do wujka, aby ten był w pogotowiu.

Krzysiek wystawił głowę zza grubego pnia, zerknął szybko na trotuar i podniósł kciuk prawej dłoni. Kiedy niczego nieświadoma dziewczyna minęła miejsce, w którym się przyczaił, wyskoczył i zwinnie złapał ofiarę w pasie jedną ręką, a drugą zasłonił jej usta. Z pomocą młodych mężczyzn

odciągnęli dzierlatkę na bok do niewielkiego budyneczku osiedlowego śmietnika. Na moment wszystkich zatkało od fetoru gnijących odpadków.

– Policja – syknął Krzysztof do ucha złapanej przez siebie smarkuli. – Nawet nie próbuj pisać. Odpowiadasz tylko ruchem głowy. Bądź grzeczna, to nie zrobimy ci nic złego. Czy to był twój diler?

Dziewczyna zaczęła wierzgać, jakby grunt palił jej się pod nogami, jednak uścisk męskich rąk był wystarczająco mocny. Zwłaszcza że Krzyškowi pomagał Lorek, który bez pardonu złapał młodą za nadgarstki.

– Czy to był diler? – Adrian ponowił pytanie. – Radzę ci odpowiedzieć dobrowolnie, bo jak nie, to zaraz zrobimy ci małe przeszukanko. Znajdziemy towar, choćbyśmy mieli popatrzeć ci nawet do majtek.

Kiwnięcie głową.

– Kupiłaś prochy?

Kolejne kiwnięcie.

– Masz je w kieszeni jeansów?

Potwierdziła.

Adrian podniósł połę jej kurtki, odchylił kieszeń i zajrzał do środka. Faktycznie ukryła tam niewielką torebkę strunową wypełnioną białym proszkiem.

– Dobra. Pilnujcie gówniary. Sprawdzę, co i jak, i dam znać reszcie, że akcja przebiegła zgodnie z planem.

Opuścił śmietnik i wrócił na pierwotną pozycję. Widząc, że Paweł nadal tkwi w tym samym miejscu, pokiwał głową do ojca stojącego na czatach. Aby ich plan wypalił, Szymczak musiał mieć jeszcze przy sobie choć odrobinę towaru na handel.

Tak go sprytnie podeszli, że nawet nie zdążył pisać.

Ludwik i Jarek wykręcili Pawłowi ręce do tyłu.

– Co jest, kurwa, Lolek? Pojechało cię? – Zaczął się szamotać, gdy do niego dotarło, że Pawłowski wyczuł pismo nosem.

Tak naprawdę odkąd usłyszał, że Marek zaczął się na śmierć, miewał solidne piknięcia strachu. Przez parę tygodni nie przychodził na swój teren, choć miał odgórne naciski. Zadręczała go myśl, że może ktoś powiązał jego osobę ze śmiercią Marka. A co, jeśli tamten głąb chlapanął coś komuś w przyływie szczerości? Nie poszedł na pogrzeb, by nie kłuć Pawłowskich w oczy swoją obecnością. Upłynęło trochę czasu, lecz nic się nie wydarzyło, więc odzyskał

spokój. Chodził pod tę samą szkołę, zachowując znacznie większą czujność. Szczególnie uważnie wyglądał policjantów, lecz ci najwyraźniej zakończyli swoje dochodzenie, gdyż w okolicy nie kręcił się nikt podejrzany. Wszak minęły już blisko dwa miesiące. Niestety wszystko wskazywało na to, że przedwcześnie uległ presji swojego mocodawcy i wrócił na wyznaczony rewir.

– Puszczaj mnie, debilu! – Próbował umknąć z uścisku Jarka i Ludwika. – Co wy, kurwa? Na kuzyna napadacie?

Karol zajrzał mu do kieszeni, tej samej, z której przez paroma minutami wyciągane były dragi dla tamtej smarkuli.

– Kuzyna? Teraz żeś sobie przypomniał o więzach rodzinnych, ty śmieciu? – Wpadł we wściekłość. Precyzyjnie wymierzył cios w szczękę Szymczaka. – Mamy ptaszka, panowie. Adek, kolej na ciebie. – Kiwnął głową do syna.

Adrian wyjął telefon komórkowy.

Teraz na Pawła padł blady strach.

– Ej, no... Karol. Kurwa! Co wy robicie! Przecież możemy się jakoś dogaaa... – Nie dokończył, gdyż kolejny cios Pawłowskiego skutecznie rozkwasił mu nos.

Karol spojrzął na własne, zdarte kłykcie. Zobaczył swoją krew zmieszaną z krwią kuzyna. Ten widok rozjuszył go jeszcze bardziej.

– Dogadać, ty skunksie? Jakie, kurwa, dogadać? Nie dogaduje się w sprawie śmierci rodzonego dziecka, ty szmato!

Na Szymczaka spadły kolejne ciosy. Byłby go pewnie zatłukł w tym zapamiętaniu, lecz Adrian, który zdążył już zadzwonić po policję, w porę go powstrzymał.

Po udanym zorganizowaniu zasadzki na dilerę, przez którego zmarł syn, Karol zaprosił krewnych i Tomka do pubu. Przestępca został aresztowany, a oni mogli spokojnie uczcić swoją gorzką satysfakcję. Wyjątkowo gorzką, gdyż nawet kilkuletnia kara pozbawienia wolności dla Pawła nie mogła przywrócić życia młodemu chłopakowi.

Lorkowski grzecznie wymówił się od wspólnego wyjścia do pubu.

– Mam do napisania cholernie trudną pracę zaliczeniową. Termin oddania upływa zaraz po Nowym Roku. Znając życie, w czasie świąt nie kiwnę palcem w tym temacie. Lecę do Królika pożyczyć podręcznik do automatyki. Wspomniał kiedyś, że kupił sobie taki.

– Pozdrów Daniela ode mnie. Dawno go nie widziałem – rzucił Adrian.

– Jasne!

– I powiedz, że musimy w końcu skoczyć we trzech na jakieś piwo. Jak za starych, dobrych czasów. Nie wypiął się chyba na kumpli z byłego zespołu. Wiem, że teraz zorganizował nową kapelę i pewnie ma mnóstwo spraw do załatwienia, ale chyba znajdzie dla nas jedno wolne popołudnie.

– Okej, przekażę. No to na razie, panowie.

– Na razie! – odparł Adrian.

– Dzięki za pomoc. – Karol uścisnął mocno jego dłoń i poklepał go po ramieniu.

– Nie ma za co!

Lorkowski podniósł kołnierz kurtki, bo teraz, gdy już emocje opadły, mocno odczuł chłód grudniowego dnia. Energicznym krokiem ruszył na przystanek tramwajowy.

Że też człowiek tak się sknerzy na kupno samochodu – pomstował sam na siebie w duchu. *Byłoby szybciej, wygodniej i nie musiałbym teraz marznąć.*

Postanowił, że w najbliższym czasie rozważy wyszukanie odpowiedniego pojazdu. Wszak w styczniu zaczynał pracę zawodową, zyska więc stały przyływ gotówki na utrzymanie własnych czterech kółek. No i jakoś trzeba się przemieszczać pomiędzy Nową Hutą a Krakowem. Do tej pory nie kusiło go, by uszczknąć cokolwiek z kasy, która wpływała na jego rachunek bankowy. Miał wiele pomysłów na zagospodarowanie pieniędzy, ponieważ marzył nie tylko o własnym aucie, ale również o mieszkaniu.

Dość szybko na przystanek podjechał tramwaj. Tomasz wsiadł do niskopodłogowego wagonu, a że godziny szczytu jeszcze się nie zaczęły, zajął miejsce siedzące. Przez głowę przemknęła mu myśl, że gospodarka kraju wciąż musi być w kiepskim stanie, skoro bardziej opłacalne jest sprowadzanie kilkudziesięcioletnich pojazdów z Niemiec niż inwestowanie w rozwój rodzimej produkcji. Ale gdy porównywał komfort jazdy nowszymi „trumienkami”, jak określano wagony marki Konstal, ze znacznie starszymi, używanymi, norymberskimi T4, to widział miazdzącą różnicę. Na korzyść tych starych, niestety.

Otworzyła mu matka Królika. Zagadnął o Daniela, a ona zaprosiła go dalej.

– Jest u siebie. Pisze jakąś pracę zaliczeniową – oznajmiła.

Tomasz stłumił chichot, gdyż bez tego odgadł, czym zajmuje się kumpel. Nawet w przedpokoju słyhać było klepanie starej maszyny do pisania

dobiegające zza przymkniętych drzwi pokoju chłopaka.

– Cześć, stary! – powiedział, wchodząc.

Królik podniósł głowę.

– Aa... Cześć – bąknął niezbyt zachęcająco. Prawdopodobnie był w trakcie notowania jakiejś ważnej myśli i zdenerwował się, gdy rozproszyło go przybycie niespodziewanego gościa. – Włóż. Siadaj. – Wskazał Tomaszowi złożoną wersalkę.

Wyjął kartkę z maszyny i rzucił tekstem w stronę blatu. Odsunął fotel od biurka.

– A co ty, Królik, klepiesz pracę na starym rzęchu? – Lorek wycelował palcem w leciwy sprzęt. – Żal ci wysupłać forszę na komputer? Taki z ciebie sknerus?

– A po cholere mi komputer, skoro za pół roku kończę studia, a potem zamierzam skupić się na graniu? – Daniel wzruszył ramionami. – Co słytać? – zagał.

– Powinienem zapytać o to samo. Gdzie ty zniknąłeś, chłopie? Ostatnio nigdzie cię nie widuję. Nawet na uczelni trudno cię wypatrzyć.

– Wiesz, jak jest: ostatni rok, więc siedzę głównie w bibliotece z nosem w podręcznikach. A jak nie obkuwam, to mam próby.

– No właśnie. Kapela się rozkręca?

Królik wykrzywił twarz, jakby mu ktoś nadepnął na odcisk.

– Słabo. Myślałem, że jak już mam znajomości i doświadczenie, to będzie łatwiej.

Rozmowę przerwała pani domu, która zastukała w szybę, a potem zajrzała do wnętrza.

– Danielu, jedziemy z tatą do cioci Moniki – oznajmiła.

– Na razie, mam! Zrobić ci coś do picia? – zapytał Królik Tomka.

– Aa... Trochę jestem zmarznięty. Wypiłbym herbatę.

Daniel wstał i wyszedł do kuchni.

Lorek też uniósł się z wersalki. Ciekaw był, na jaki temat pisze pracę kolega. Żywił nadzieję, że to nie jest nic związanego z projektem z automatyki, bo w tym przypadku pewnie nie można byłoby liczyć na wypożyczenie podręcznika. Zerknął na arkusz wysunięty z maszyny i przeczytał kilka linijek. *Coś jakby technologia* – pomyślał i odetchnął z ulgą.

Spojrzał jeszcze raz na referat i zmarszczył czoło.

Znam tę czcionkę! – stwierdził i nagle poczuł, że z wrażenia jego płucom zaczyna brakować tchu. *O kurczę! O ja pierniczę! Przecież to niemożliwe! Kurwa!* – zaklął w myślach.

Zdenerwowany złapał następną kartkę, by jeszcze dokładniej obejrzyć krój pisma. Niektóre litery wybiły się z cieniem, a „w” była ewidentnie wykoślawiona. Ponad wszelką wątpliwość tego samego urzędnika użyto do sporządzania obelżywych anonimów kierowanych do Wioletty! Lorek niejedną raz miał je w dłoniach i czytał ich tekst. Znał na pamięć wszystkie deformacje czcionki.

Pisnęły zawiasy w drzwiach. Do pokoju wrócił Daniel. Obrzucił Lorkowskiego krótkim, nerwowym spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na arkuszach i pobladł. Wyraz jego twarzy wszystko wyjaśnił Tomaszowi. Zdenerwowany mężczyzna rzucił się w stronę Królika. Pchnął go na ścianę i zacisnął prawą dłoń na szyi. W lewej wciąż trzymał nieszczęsne papiery. Kolega próbował się bronić, lecz był od napastnika dużo słabszy.

– Lorek, no co ty? – wycharczał. – Puść mnie!

– Nie! Możesz mi to jakoś wyjaśnić? – Podsunął mu przed oczy maszynopis.

– Pocięło cię? To moja praca zaliczeniowa! Puszczaj! – Usiłował oderwać rękę Tomka od swojej szyi, lecz uścisk długich, szczupłych palców był zadziwiająco mocny.

– Nie pieprz! To ty pisałeś anonimy do Wioletki! Co ci strzeliło do tej durnej łepetyny?

– Puszczaj, głąbie! – Królik wierzgał jak oszalały, daremnie próbując się wyrwać.

– Nie, do kurwy nędzy! Nie puszczę cię, nim nie powiesz, o co w tym wszystkim biega.

Lorek rzucił na podłogę kartkę i mocniej docisnął kolegę do ściany. Wściekłość za krzywdy wyrządzone ukochanej dodawała mu sił. Wziął zamach i jednym precyzyjnym ruchem uderzył Daniela w twarz. Rozbryzg krwi poplamiał jasną tapetę. Daniel zawył z bólu i wybełkotał:

– Złamałeś mi nos!

– Zabiję cię, jeśli zaraz nie usłyszę wyjaśnień.

Na poparcie swoich słów wymierzył kolejny cios, celując w szczękę.

– Chciałem zastraszyć Wioletkę, żeby pozbyć się jej z zespołu – wystękał w końcu Królikowski, widząc, że z kolegą nie ma żartów.

- Dlaczego? Przecież to ona była naszą gwiazdą.
 - Właśnie dlatego. Bo gwiazdorzyła. Miałem dość babskich rządów.
 - Pierdolisz! Zespołem rządził Adek, a nie Wiola. Dlaczego lżyłeś ją w anonimach? Wyzywałeś od zdir! Groziłeś jej śmiercią! Człowieku! Powinni cię za to zamknąć!
 - Nie! – Daniela ogarnął strach. – Nie zamierzałem robić jej żadnej krzywdy. To były tylko głupie anonimy!
 - Chrzanisz, kurwa! – zdenerwował się Lorek i ponownie przyłożył mu w twarz. Pięść sięgnęła łuku brwiowego. Syknął, gdyż obtarł sobie naskórek na kłykciach, lecz adrenalina momentalnie zagłuszyła bodźce. Przepęniała go wściekłość na faceta, którego do tej pory uważał za równego kumpla. Z którym pił wódkę i balował. Z którym łączyły go estrada, kariera i setki przemierzonych kilometrów.
 - Nie! Słowo daję, że chciałem ją tylko nastraszyć.
 - Po jakiego skurwysyna? Ty debilu! Zastraszyłeś nie tylko ją, ale mnie i Adka też! Bawiło cię to, chuju? – Zacisnął mocniej dłoń.
 - Puść... Kurwa! Nie! Nie moja wina, że i wy robiliście w gacie. Chodziło o nią. Tylko o nią – tłumaczył głupio, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.
- Lorek przypomniał sobie kilka szczegółów, które nie dawały mu spokoju.
- Jakim cudem wysyłałeś listy w dniu, gdy koncertowaliśmy, z miejscowości oddalonych o setki kilometrów? Miałeś współnika? Jeszcze jednego wesołka, który napawał się naszym przerażeniem? Ktoś ci pomagał?
 - Kuzyn jest kierowcą tira. Prosiłem go, żeby wysyłał listy na adres fanklubu.
 - Wtajemniczyłeś go w swoje mętne sprawy? – oburzył się Lorek.
 - Nie. Miał tylko wrzucać koperty do skrzynki. Powiedziałem mu, że to dla reklamy naszego zespołu.
 - Kretyn! Kurwa, jak mogłeś?
- Nie wytrzymał i walnął Daniela pięścią w szczękę. Ten za wszelką cenę próbował się wywinąć, lecz uścisk Tomka nie pozwalał na robienie uników.
- Coś ty się tak wziął na Wiolette? – naciskał. – Czym ci załazła za skórę? Nie chciała iść z tobą na randkę? – wysnuł przypuszczenie, które uznał za dość prawdopodobne.
 - Nie. Po prostu nie chciałem jej w zespole – charczał Królik, gdyż wciąż jego gardło ścisnęły palce Lorkowskiego. – Gdybyśmy zostali we trzech, byłoby więcej kasy do podziału – podał drugi powód swojego postępowania.

– Ja nie mogę! Chcesz powiedzieć, że prześladowałeś ją dla forsy? Bo mało ci było, chuju, tego, co zarabiałeś?

W tym momencie Tomasz przestał nad sobą panować. Zabrał dłoń z szyi Daniela, lecz momentalnie natarł na niego pięściami. Zadrżała niebezpiecznie meblościanka, gdy na nią polecieli. Przez dłuższy czas trwała nierówna bijatyka. Tomasz ewidentnie miał przewagę. Błyskawicznie rozciągnął winowajcę na podłodze i na oślep wymierzał mu ciosy. Razy Daniela niemalże go nie sięgały. Lorek zaliczył tylko kilka niezbyt mocnych uderzeń w klatkę piersiową i brzuch. Szybko dał sobie radę z ponownym obezwładnieniem kolegi. Po prostu klęknął nad nim okrakiem, przygważdżając jednocześnie jego ręce do parkietu.

– Zabiłbym cię jak gnidę – wysyczał w końcu, dysząc ze zmęczenia. – Należy ci się za ten stres, którego przysporzyłeś Wiolce i Adkowi. Ale nie będę sobie brudził rąk takim ścierwem. Nie jesteśmy już kumplami. I trzymaj łapy z daleka od Wioletty, bo jak nie, to gorzko tego pożałujesz! Jak usłyszę, że włos spadł z jej głowy, to zadbam, żebyś trafił do pierdła za te wszystkie paszkwile, którymi ją nękałeś.

Na przypieczętowanie swoich słów jeszcze raz przyłożył Danielowi w szczękę. Potem wstał i wyszedł.

Nie czuł satysfakcji, lecz gorycz.

[17] Fragment utworu *N'Avoie*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.

Rozdział 12

Czas niosący nadzieję

Kiedy przyjdzie dzień i zbudzi nasze ręce

Kiedys może wszystko zmieni się [18]

Początkowo Wioletta robiła co mogła, by wyprzeć z pamięci czas ciąży i poród martwego maluszka – tak jak wyparła z serca mężczyznę, który go spłodził. Kilka tygodni po powrocie do domu zadzwoniła po Adriana. Poprosiła, by wpadł z jakimś kumplem, rozkręcił mebelki i odstawił je do komisju. Ciuszki, pampersy i zabawki poleciła wywieźć do domu małego dziecka. Nie konsultując tego z nikim, zadzwoniła do fachowca, który reklamował się w prasie jako malarz-tapeciarz, aby poprosić go o zdarcie pastelowych tapet i pomalowanie pokoju na biało. Ponieważ nie miała ochoty gonić po sklepach, by wewnątrz nie było opustoszałe, wstawiła tam stół i narożnik z kuchni.

Nigdy nie skorzystała z urządzonej w ten sposób jadalni.

Przekraczanie progu tego pomieszczenia było ponad jej siły, lecz pomału zaczynała godzić się z losem. Życie trwało nadal. Wioli nie pozostawało nic innego, jak tylko wierzyć, że pewnego dnia znowu zacznie odczuwać maleńkie przyjemności i radość z drobiazgów.

W to, że wrócą pełna beztroska i szczęście, bardzo wątpiła.

Najbliższe osoby nie pozwalały, by pogrążona w żałobie kobieta popadła w całkowitą rozpacz. Wioletta była ogromnie wdzięczna za ich starania. Nie mogła w nieskończoność liczyć na cudzą pomoc, zwłaszcza że bliskim przybywały świeże troski. Teraz to ojciec potrzebował słów pociechy.

Coraz częściej więc myślała, żeby poszukać sobie pracy i podjąć dalszą naukę. Wprawdzie wciąż jeszcze miała wpływy ze sprzedaży kaset oraz płyt, zakładała jednak, że to źródło już niebawem wyschnie. Należało postarać się o nowe. Przeminał szalony okres pierwszych dorosłych lat. Młodzieńczy entuzjazm przedwcześnie został zastąpiony powagą i posępną dojrzałością.

Pewnego wieczoru Pawłowska usiadła przy biurku. Włączyła komputer i napisała życiorys. Następnego dnia rano zamierzała zanieść dyskietkę z zapisanym dokumentem do punktu usługowego i poprosić o wydrukowanie kilkunastu kopii. Potem skoczy do kiosku po „Dziennik Polski” i przejrzy ogłoszenia w dziale „Dam pracę”.

Ledwo uporała się z tym zajęciem, gdy zadzwonił dzwonek domofonu.

Oho! Znowu jakiś pocieszyciel. Człowiek nie ma ani chwili spokoju – stwierdziła i pierwszy raz od niepamiętnych czasów na jej twarzy zawitał cień uśmiechu.

– Adrian! Tomek! – Dość powściągliwie okazała radość na widok gości, lecz w jej tonie można było wyczuć namiastkę entuzjazmu. No i wreszcie nie

padło zobojeźtniałe „Cześć, co was sprowadza?”. – Chodźcie dalej.

Chłopaki zrzucili kurtki i zabłocone buty. Z wdzięcznością przyjęli propozycję gorącej herbaty z cytryną. Potem cała gromadka rozsiadła się w pokoju dziennym. Można by rzec, że jak za starych, dobrych czasów, lecz to nie byłoby prawdą.

Już nie byli tak beztroscy i szczęśliwi jak przed rokiem. Każde z nich przeszło własną, bolesną ścieżkę dojrzewania. Każde z refleksją spoglądało wstecz.

Wioletta – matka niespełniona, wciąż opłakująca synka.

Tomasz – niedoszły samobójca, dorósł w dniu, gdy połamany odzyskał przytomność na oddziale chirurgicznym.

Adrian – pogrążony w żałobie po stracie bliźniaczego brata, wiedział, że nieprędko opuszczą go poczucie pustki i wyrzuty sumienia. Od śmierci Marka nie był w stanie zaznać spokoju. Dręczyła go myśl, że odsunął się od niego. Nie mieli żadnych wspólnych spraw. Zupełnie jak obcy ludzie.

A przecież kiedyś byli ze sobą tak blisko! Od pierwszych chwil życia, od pierwszych uderzeń serca – zawsze razem. Przez długie lata w tym samym pokoju, na piętrowym łóżku. W tej samej ławce w podstawówce. Solidarnie sprawowali opiekę nad młodszą siostrą, gdy zabrakło mamy. Pilnowali jej, aby nie beczała na każdym kroku. Gdy ktoś dokuczał małej, bez wahania stawali w jej obronie. Gdy dorośli, razem biegali pod pomnik Lenina i obrzucali go farbą. Wspólnie smarowali na murach buntownicze hasła.

A potem wszystko się rozsypało. Obrali inne kierunki. Odnosili sukcesy i ponosili porażki. Przeżywali rozterki miłosne. Toczyli zmagania z realiami dorosłego życia, lecz już każdy z osobna. Choć bliźniacy – różni od siebie jak noc i dzień.

To Lorek wpadł do Adriana przed godziną i wyciągnął go z pustego mieszkania. Zaproponował, aby razem zajrzeli do Wioli. Prawdziwy przyjaciel – nie zniknął z horyzontu jak Królik, który po rozpadzie zespołu muzycznego znalazł sobie nowych przyjaciół i podejmował jakieś próby zaistnienia na scenie muzycznej. Tomek towarzyszył Pawłowskiemu w najtrudniejszych chwilach i zawsze można było na nim polegać.

Nie umknął w popłochu, gdy Wiola powiła martwego chłopca. Niby się jej nie narzucał, lecz zaglądał co kilka dni po to, by w milczeniu dotrzymać kobiecie towarzystwa. Czasami zabierał ją na krótki spacer. Gdy miała lepszy dzień, namawiał dziewczynę, aby znalazła sobie jakieś zajęcie, ponieważ beczynność była zbyt destrukcyjna.

Trwał razem z nieszczęśnikami w czasie kolejnego dramatu.

Kiedy po ostatnim pogrzebie Adek potrzebował zalać robaka, Tomek poszedł z nim do knajpy i dopilnował, by nic złego mu się nie przydarzyło. Ze stoickim spokojem i zrozumieniem wysłuchał lamentu pijanego kumpla. Szukał słów pocieszenia, a gdy już ich zabrakło, pozwalał Pawłowskiemu, by dalej mówił o tym, co go dręczy. Później wziął taksówkę i bezpiecznie odwiózł przyjaciela do domu.

Nie zawahał się nawet przez moment, gdy Adrian zapytał go, czy weźmie udział w zasadzce na dilera. Nie myślał o ryzyku, choć przecież mogli w ten sposób podpaść ludziom, dla których pracował Szymczak.

Te wszystkie gesty powróciły w pamięci Wiolki, gdy chłopaki rozsiadały się w pokoju dziennym.

– Co słyhać, siostra? Co porabiasz? – zagaił Adek.

– Napisałam dzisiaj życiorys – oznajmiła z dumą. – Od jutra zamierzam szukać pracy.

– No to świetnie! – ucieszył się z przełomu. – Gadałaś o tym z babcią i dziadkiem? Wciąż mają znajomości w hucie Sendzimira. Może by pomogli?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie chcę prosić o przysługę. Najwyższa pora, żebym wzięła sprawę w swoje ręce. Dziadkowie niańczyli mnie wystarczająco długo. Cały ten rok był jakiś zakichany, w nowy chcę wejść o własnych siłach. Czas wydorosnąć – powiedziała refleksyjnie.

– Już jesteśmy niemożliwie dorośli – zauważył Tomek. – Do szczęścia wystarcza nam teraz kubek gorącej herbaty. Kiedyś nie obyłoby się bez piwa lub innych trunków.

– Ty coś wiesz o zalewaniu robaka? – Adrian szturchnął go lekko w bok.

– Ano wiem. Po wódce niejeden miewa ułańską fantazję i myśli, że jest niezniszczalny. Ech... Człowiek był durny!

– Na szczęście wróciłeś do zdrowia. Strach pomyśleć, jaki mogłeś wyciąć nam numer. Jest przynajmniej szansa, że zatańczysz na własnym weselu.

– No... Chciałbym – powiedział, zezując na Wiolettę, która lekko pochyliła głowę.

Adek poklepał go po plecach.

– Wszystko jeszcze przed tobą. Najważniejsza w życiu jest nadzieja na to, że będzie lepiej – stwierdził, licząc na zrozumienie ze strony kumpla i siostry.

Bardzo chciał, aby tych dwoje było razem. Odkąd tylko zawarli znajomość, uważał, że są dla siebie stworzeni, choć na pierwszy rzut oka niekoniecznie pasowali wizualnie. Ważny był jednak charakter, wzajemne uzupełnianie się, lojalność, wytrwałość i troska. Byli przyjaciółmi. Łączył ich szacunek, ufali sobie. Gdyby dodać do tego jeszcze choć kroplę miłości ze strony Wioletty – mogliby stworzyć związek idealny.

Czy serce siostry nie miękło, gdy Tomasz na każdym kroku okazywał swoje uczucie, lecz nie ckliwymi wyznaniem, ale życiową postawą?

Adrian wiedział, że w szpitalu nie odwiedzały Lorka żadne dziewczyny. Z żadną nie był na tyle blisko, by ktokolwiek powiadomił ją o wypadku. Choć informacja o wydarzeniu przeciekła do mediów w formie plotek i domysłów, fanki nie przybywały na oddział urazowy z kwiatami, maskotkami czy choćby życzeniami powrotu do zdrowia. Być może dlatego, że dla osób nieobeznanych z tematem uchodził za chłopaka Srebrnej Gwiazdki.

Czy to z tego samego powodu tajemniczy ojciec Karolka nie chciał formalnego związku z Wiolą?

– A co ci się stało w ręce? – zapytała nagle Wioletta, dojrawszy na kłykciach Lorkowskiego świeże rany. – Znowu podjąłeś jakąś dziwną akcję?

– Niezupełnie. Miałem bliskie spotkanie z takim jednym gnojkiem – powiedział wymijająco. Podobnie przed godziną zbył pytania Adka na ten sam temat.

– Nie myśleliście, żeby reaktywować nasz zespół? – rzucił nagle Adrian.

Siostra i kumpel spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– Reaktywować Silver Star? Nie! Daj spokój! – wykrzyknęła dziewczyna. – To nie dla mnie. Nie mam ochoty. Przecież mówiłam ci, że czas wydorosnąć. A poza tym nie potrzebuję, by znowu prześladował mnie jakiś zbok!

– W gruncie rzeczy to był tylko jeden świr – zauważył Adrian.

– Ale stanowił realne zagrożenie, skoro kilkakrotnie udało mu się przedostać tak blisko. Ukradł mi koszulę, buszował po garderobie, podrzucał świńskie listy i prezenty! – przypomniała.

– To chyba nie jest zbyt szczęśliwy pomysł – powiedział Tomasz. Nie chodziło mu bynajmniej o względy bezpieczeństwa, ponieważ te już sobie wyjaśnił, lecz o poważniejsze sprawy.

Sam właściwie nie miałby nic przeciwko temu, by znowu powyglądać się na scenie. Ale to mógłby zrobić tylko wówczas, gdyby reaktywowany zespół odzyskał swoją gwiazdę. A sądząc po minie Wioli, powrót do muzykowania w jej wykonaniu był absolutnie wykluczony. Ukochana na pewno nie była

teraz zainteresowana zabawą. Należało uszanować jej wolę. Przynajmniej dopóki nie upora się z żałobą po dziecku i nie odnajdzie swojej życiowej ścieżki.

Pragnął być częścią szlaku, którym będzie podążała, lecz nie chciał na nią naciskać.

Przez chwilę rozmyślał, czy wspomnieć rodzeństwu, że dwa dni wcześniej zdemaskował prześladowcę. Stwierdził jednak, że taka rewelacja mogłaby być dla Adriana argumentem w dyskusji. Bo skoro dręczycielem okazał się kumpel z zespołu – teraz byłoby bezpieczni.

Wiola spojrzała na niego z wdzięcznością.

Jak on mnie zawsze rozumie! Jakby czytał w mojej duszy.

– Otóż to – przytaknęła. – Choć oczywiście tamten czubek nie jest decydującym powodem. Po prostu nie mam sił na kolejne wygłupy. Zrozum – spojrzała bratu w oczy – wciąż krwawi mi serce.

– Ale nie wrócisz do równowagi, rozdrapując tę ranę.

– Nie rozdrapuję, daję słowo. I wracam do równowagi, choć ten proces nie należy do przyjemnych. Zresztą jak myśleć o zabawie, skoro dotknęła nas podwójna żałoba? Czyż tacie i dziadkom nie byłoby przykro, gdybyśmy oddawali się niepoważnemu zajęciu właśnie teraz?

– Nie. Prawdopodobnie zarówno dziadkowie, jak i tato zrozumieliby naszą decyzję i nie mieliby nic przeciwko. Babcia wciąż powtarza, że życie wciąż trwa, a my mamy prawo przeżywać naszą młodość na tyle beztrzesko, na ile jest to możliwe.

– Wiesz co? Chrzanisz! Oczekiwałam po tobie większej wrażliwości – stwierdziła rozczarowana siostra.

Tomasz położył dłoń na jej przedramieniu.

– Podejrzewam – zaczął trochę niepewnie – że dla niego to jest właśnie próba uporania się ze śmiercią Marka.

– Czyżby? – Wioletta spojrzała bratu w oczy, a on niemal niezauważalnie pokiwał głową.

– No co mam powiedzieć? Kurczę! Jest mi cholernie ciężko! Przecież to był mój bliźniak! Ktoś, z kim dzieliłem los od chwili poczęcia! Czasami myślę, że na Grębałowie pochowano część mnie – wyznał zbolalym głosem.

– I uważasz, że skakanie na scenie i śpiewanie głupiutkich piosenek pozwoli ci wyrównać tę stratę?

– Może. Skłonny byłbym spróbować. Ale nie sam. Potrzebuję waszej pomocy.

– Niestety na mnie nie możesz liczyć. Ja nie dałabym sobie rady. Nie mam już ochoty na śpiewanie. Ostatnią pieśnią, jaka wydobyła się z mojego gardła, było *Przybądźcie z nieba*. No i bardzo mi przykro, braciszku, ale nie pociągnę innej melodii – odparła poważnie, lecz bez gniewu. – Aczkolwiek rozumiem twój tok myślenia i już nie potępiam cię za to, że próbujesz obrać taki kierunek.

Przyszło jej do głowy, że być może zniosłaby brzmienie innej melodii, lecz jeszcze nie teraz – nie wcześniej niż za kilka miesięcy, może za rok.

Chciałaby usłyszeć *Marsz Mendelssohna*, ponieważ jej serce, do niedawna uśpione, zaczęło budzić się z głębokiego letargu za sprawą ciepłych szarych oczu, które zawsze spoglądały na nią z tą samą, niegasnącą miłością. I nie była to bynajmniej tylko i wyłącznie wdzięczność za wsparcie w trudnych chwilach. Nie był to szal młodszej namiętności. To było uczucie, które powstawało na niezwykle mocnym fundamencie i miało szansę przetrwać najsrozsze wichury losu.

– To nie do końca mój pomysł – przyznał w końcu brat, któremu w gruncie rzeczy zrobiło się wstyd, że Wioletta może podejrzewać go o brak szacunku dla żałoby. – Tak naprawdę Dyrwa na to wpadła. Dzwoniła do mnie kilka dni temu z propozycją, byśmy reaktywowali zespół. Powiedziałem jej, że to mało prawdopodobne, bo Królik gra już w jakimś innym składzie, my mamy żałobę, a w imieniu Lorca nie chcę zabierać głosu.

– No i co ona na to? – zainteresował się kolega.

– Trochę ją zmartwiłem. Liczyła, że nas przekona, skoro na adres fanklubu wciąż wpływają setki listów od fanów, którzy nie mogą przeboleć nagłego zawieszenia naszej działalności. A zboczeniec milczy.

– Trzeba było od razu tak mówić. Wyjaśniłabym jej, że to nie pora na takie głupstwa. Bo tobie pewnie nie przeszło przez gardło, że chodzi o podwójną żałobę.

Adrian zaprzeczył bezgłośnie.

– Nie. Wspomniałem tylko o Marku.

– No właśnie. Marlena uznała zapewne, że jak odchowam dziecko, to znużona pieluchami i niańczeniem, zapragnę powrotu do działalności artystycznej.

– Być może o to chodziło. W każdym razie zaproponowała, żebyśmy przemyśleli temat, jeśli nie nagrania kolejnej płyty, to przynajmniej

zorganizowania pożegnalnej trasy koncertowej dla niepokieszonych fanów. Zaproponowała naprawdę dobrą stawkę. Koncerty miałyby rozpocząć się z końcem czerwca.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie.

– Do kiedy masz odpowiedzieć? – zapytał Tomasz.

– Do końca lutego. Potrzeba trochę czasu na przygotowanie tournée.

– Może nie podejmujemy pochopnej decyzji? – zaproponował ostrożnie Lorkowski. – Dajmy sobie parę tygodni na zastanowienie.

Zaświtało mu w głowie, że gdyby powiedział Wioli o Króliku, dziewczyna wyzbyłaby się lęku o bezpieczeństwo. A kto wie, czy powrót na estradę – nawet krótkotrwały – nie wpłynąłby pozytywnie na jej samopoczucie? Na razie nie chciał jeszcze wywierać na nią żadnej presji ani wracać do tematu prześladowcy. Sam musiał to dogłębnie przemyśleć – na spokojnie. I ocenić, czy namawianie Wioletty na występy ma jakiś sens.

To niemożliwe, żeby mój syn miał cokolwiek wspólnego z narkotykami – pomyślała Sabina, zasiadając wraz z Danką do wigilijnej wieczerzy.

Po aresztowaniu Pawła w rodzinie rozpełtało się istne piekło – inaczej nie można było tego nazwać. Nie wiedzieć czemu, sprawa momentalnie wyszła na światło dzienne, mimo rozpaczliwych prób zdruzgotanej matki, która usiłowała zachować wstydlivy temat w tajemnicy. Po upływie tygodnia wszyscy wiedzieli, co zaszło. Ot, cholerna, rodzinna solidarność Szymczaków i Pawłowskich!

Kto puścił farbę?

Na pewno Andzia wszystkim wygadała, że chłop wpadł w kłopoty! Franca dożarta jakich mało! Pewnie ją kurwica ogarnęła z powodu niesłusznych oskarżeń. Nawet nie zaprosiła mnie na wieczerzę, tak jej się w głowie pomieszało z tej złości, czy też rozpaczy.

Starsza pani zdecydowanie wolałaby, jak co roku, spędzić ten wieczór na Złotego Wieku. Tak już się utarło przed laty, że Paweł zapraszał najbliższej spokrewnione osoby. By nie kłopotać zanadto Andzi, Sabina i Danka przygotowywały większość potraw, które potem Paweł zabierał samochodem, gdy przyjeżdżał po matkę.

Zła na synową, zapaliła świeczkę na skromnym stroiku, który nabyła na bazarze zamiast choinki. Czekały ją niezwykle smutne, ubogie święta. Odkąd brakowało syna, nie miał kto jej pomóc. Ledwo wiązała koniec z końcem, zastanawiając się, czy w pierwszej kolejności zrealizować recepty, opłacić

rachunki czy kupić coś do jedzenia. Danka nie była w stanie wspierać jej finansowo. Mieszkała w jakiejś wynajętej klitce. Wciąż sama.

Żałosna rozwódka – myślała Szymczakowa, spoglądając na córkę, która do tej pory nie ułożyła sobie na nowo życia.

– Taki dobry człowiek. Co za podłość, by oskarżyć niewinnego o przestępstwo! O ludzie na świecie! Co za niegodziwość – mamrotała pod nosem ni to do siebie, ni do Danki.

– Trzeba się modlić, mammo, by został oczyszczony z zarzutów.

Danuta także nie dowierzała, aby starszy brat był dilerem. Takie rzeczy miały miejsce tylko w filmach i książkach, a nie w prawdziwym życiu.

– Ktoś musiał mu bardzo zazdrościć. Dostatnio sobie żyli z Andzią, to znalazł się taki, co go w oczy ukłuło!

– Na pewno – odparła córka.

Brat był obrotny, przedsiębiorczy. Próbował różnych interesów. Jedne mu szły lepiej, drugie gorzej, ale na pewno nie popełniłby przestępstwa.

Ujęła w dłoń opłatek i przełamała się nim z matką. Potem kobiety zasiadły przy stole.

– Synusiu, to za ciebie. Byś jak najszybciej do nas wrócił – załkała Sabina, kładąc kawałek opłatka na pustym nakryciu.

– Wróci, mammo. Ja też w to wierzę.

W rychły powrót mężczyzny nie wierzyła natomiast Anna Szymczak, która do wigilijnej wieczery w ogóle nie chciała zasiadać. W perspektywie rysowało się bowiem niezbyt obiecujące sam na sam z nadąsaną latoroślą. Odkąd Paweł został aresztowany, córka wciąż popłakiwała po kątach i dopytywała o tatusia. Andzia nie miała jej wiele do powiedzenia o tej sprawie, gdyż dochodzenie właściwie dopiero nabierało tempa. Jeśli już cokolwiek mówiła – nie było to nic pochlebnego.

Wiedziała, że były mąż jest oskarżony o handel narkotykami. Co gorsza, wszystko świadczyło przeciwko niemu. Biznesy na bazarze zarzucił przed rokiem, choć nie wyrejestrował działalności gospodarczej. Ale nie opłacał żadnych podatków ani ubezpieczeń. Zlikwidował stoisko, bo nie kalkulowało mu się utrzymywanie czegoś, co przynosiło mizerne zarobki. Codziennie wychodził z domu, więc miał jakieś stałe zajęcie. Ale wypytywany przez nią o to, jak zarabia, niezmiennie nabierał wody w usta i mówił, że męskie interesy nie są dla kobiet.

Męskie interesy, też coś!

Wtedy, gdy związał handel jeansem, pouczył ją, że gdyby ktoś wypytywał, czym on się teraz zajmuje, to ma odpowiadać, że szuka nowego pomysłu, a na razie jest na jej utrzymaniu. Tak też zeznała na policji. No bo cóż mogłaby powiedzieć? Że Paweł trzymał ją z dala od swoich spraw? Wstyd byłoby przyznać!

Zresztą wstyd to byłby nie tylko przed policją, ale również przed Szymczakami, Pawłowskimi i wszystkimi znajomymi, jakich mieli. Bo co to za baba, która nie ma pojęcia o poczynaniach swojego chłopca? Toż to by była woda na młyn dla teściowej, która i bez tego utyskiwała, że Andzia za mało dba o rodzinę.

– Same kłopoty, córcia. Same kłopoty.

Szymczakowa sapała ciężko, nalewając na talerz czerwony barszcz, który kupiła w sklepie – gotowy do podania po podgrzaniu. Uszka też miała z garmazeryjnego, podobnie jak pierogi i parę innych dań. Złość na Pawła i całą jego rodzinę sprawiła, że tego roku Andzia postanowiła nie zapraszać na wieczerę nawet teściowej.

W skrytości ducha trochę żałowała niewczesnego uniesienia się dumą, bowiem to oznaczało, że sama musi stanąć przy garach, czego wybitnie nie lubiła. Czy ona była jakąś cholerną kuchcią? Nawet gdy pracowała w kantynie przylegającej do huty, to nie grzebała chochlą po kotle, tylko wydawała robotnikom posiłki. Co i tak długo nie trwało, bo po ślubie ważniejsze było prowadzenie różnych interesów. Od tamtej pory wybitnie brzydziła się pichceniem. Cedowała niewdzięczne obowiązki to na teściową, to na Alicję, która przychodziła dwa razy w tygodniu, by posprzątać, zrobić pranie i wyręczyć Andzię w innych bzdurnych zajęciach. A jak nie miała na podorędziu jednej czy drugiej, kupowała w barze obiady na wynos. Było ją na to stać, to po pierwsze. A po drugie bizneswoman to kobieta, która potrafi wszystko zorganizować bez większego wysiłku. Przecież po całym dniu wyteżonej pracy zasługiwała na relaks.

A kuchcią była wszak jej teściowa, która przez lata tyrała w barze mlecznym!

Zaraz, zaraz! Była teściowa! – poprawiła się w myślach Andzia, usuwając tym samym ze swego sumienia resztki skrupułów, jakie odczuwała w związku z niezaproszeniem Sabiny na wieczerę.

– Mamo, dlaczego babcia i ciocia Danusia nie przyjechały? – zapytała córka, spoglądając z obrzydzeniem na ciecz oblewającą rozgotowane kluchy, które w domyśle miały być uszkami.

– Coś im wypadło w tym roku – odparła wykrętnie Andzia, która przy okazji

święt nie chciała sprzeczek z córką.

Na szczęście zostało jej na świecie już tylko to biedne, schorowane dziecko. To była cała jej nadzieja na przyszłość, lokata kapitału, jej hm... powiedzmy, że duma. W rzeczywistości bardzo pragnęła być dumną matką, lecz cóż, jej latorośl przysparzała póki co więcej utrapień niż radości. Ani się toto wybitnie nie uczyło, ani nie grzeszyło urodą. Bo i włosy miało liche, i paznokcie wiecznie obgryzione, i buzię zbyt pospolitą. Gdzie jej tam było do matczynej krasy! Albo chociaż do Szymczaków. No i jeszcze ta cholerna anoreksja! Że też musiała pójść fama wśród ludzi, że Małgorzata jest psychicznie chora! Taki wstyd! Taki ciężki wstyd przed wszystkimi!

Trudno, jakoś wezmę się z życiem za bary. Dziecko trzeba odkarmić, by nikt nie gadał, że morzę ją głodem. Niełatwo będzie teraz upilnować smarkulę, ale i na nią znajdę jakiś sposób. Bo te wszystkie ploty to tylko powstają z zawiści, że ktoś ma choćby krzynkę lepiej. A z tym... Z tym kryminalistą – zżymała się w duchu – to ja przecież nie mam nic wspólnego! Żeby mnie, porządną biznesmenkę, tak pohańbił! Mieszkanie i tak jest moje, podobnie jak samochody i konto w banku. Dobrze, żeśmy wzięli rozwód, jak zaczął kombinować z różnymi podejrzanymi transakcjami. Jak se tak kiedyś umyślił, to jego strata. Widać już dawno planował nielegalne interesy! Z torbami go puszcze, dziadygo! Nie będzie mnie wystawiał na pośmiewisko!

– A cóż nam po nich, córcia? Na co ci taka babcia, hę? Przecież to ona wychodowała przestępcę!

– Tato jest niewinny! – Ten tekst Gosia powtarzała z uporem maniaka, odkąd tylko usłyszała, że ojciec trafił do aresztu.

Nie mogła uwierzyć, by handlował narkotykami. Mógłby to robić każdy inny człowiek, tylko nie on! Prędzej uwierzyłaby w winę matki. Ciągle o tym myślała, ponieważ to mama bywała opryskliwa, nieprzyjemna, wciąż krytykowała wszystkich i wszystko, uważała się za kogoś lepszego i traktowała ludzi z pogardą. A tatuś był miły, zabawny, sympatyczny. To on przejął się stanem zdrowia Gosi i traktował jej chorobę serio. Stara potrafiła tylko utyskiwać, zmuszać do jedzenia i w ogóle stosowała w domu politykę terroru. Nic tylko kary! Za wszystko: za pozostawienie nieskończonego posiłku, za słabsze stopnie, za komitwę z niewłaściwymi osobami.

Nie-właś-ci-wy-mi! Tak to określała. Okropność!

Gosia była przekonana, że czasami tato ulegał wpływom dla świętego spokoju i stawał się wówczas nieznośnym, stetryczalym, upierdliwym ramolem. Bo na co dzień był inny. Więc to nie jest możliwe, żeby sprzedawał prochy jakimś gnojkom chodzącym do jedenastki!

– Jest winny, jest! Ty go nie broń, dziecko! Pod własnym dachem trzymałam przestępcę – załkała Andzia. – Co mnie w ogóle przyszło do głowy, by związać się z kimś takim? Zawsze był jakiś podejrzany. Roboty wciąż unikał. Szukał tylko sposobu na łatwy zarobek.

– Nie mów tak! – przerwała jej córka.

– Ale to prawda! Cała ta jego familia jest jakaś taka mętna. Jedno zaćpało się na śmierć, inne dalej ćpa. Wiolka nie wiezieć komu urodziła bachora. Los ją pokarał za to, że się szlajała, latawica jedna, i zaoszczędził niewinnemu dziecku życia z takim piętnem! Dopiero ludzie wytykaliby je palcami!

– Nie! Nie możesz tak mówić o Wioli! – wykrzyknęła wzburzona nastolatka. – Zabraniam ci, słyszysz? Ona jest w porządku! To ty jesteś beznadziejna, bo ciągle wszystkich krytykujesz! – stanęła w obronie ukochanej kuzynki. A potem z wściekłością rzuciła łyżkę na stół, nie bacząc na to, że na białym obrusie wykwitają purpurowe plamy z barszczu. Zerwała się z krzesła z takim impetem, że z hukiem upadło na podłogę, i wyszła do swojego pokoju, trzaskając z całych sił drzwiami.

Przynajmniej nie będzie musiała jeść tych okropnych świństw!

Chociaż jedzenie wciąż wzbudzało w niej głęboką niechęć, to pamiętała o dwóch kwestiach. Po pierwsze: babcia przygotowywała znacznie smaczniejsze potrawy wigilijne. Nie było mowy o barszczu z kartonu, mrożonych pierogach imitujących uszka i filecie rybnym w miejsce karpia. Po drugie: obiecała Wioli, że wróci do zdrowia, a to oznaczało konieczność spożywania posiłków. Zamierzała wywiązać się z tej deklaracji, ponieważ, prócz uwięzionego taty oraz babci Sabinki, za którą nagle okropnie zaczęła tęsknić, kuzynka była najżyczliwszą osobą na świecie. Gosia kochała Wiolettę tak mocno, jakby były rodzonymi siostrami. Bardziej niż wiecznie niezadowoloną mamę.

Widziały się przed dwoma dniami. Szymczakówna wyszła wcześniej ze szkoły, ponieważ lekcje zostały skrócone. Skorzystała z okazji i odwiedziła Wiolettę. Jak zwykle przyjemnie było z nią pogadać. Zauważyła, że Pawłowska powoli wraca do życia, bo choć wciąż wyglądała mizernie, to jednak w jej oczach zaczynały znowu rozbłyskiwać wywoływane uśmiechem iskierki. Pochwaliła Małgorzatę za to, że jest tak mężna teraz, gdy na tatę spadły poważne problemy. Przytuliła ją i wymusiła obietnicę, że bez względu na wszystko nastolatka się nie podda i nie ulegnie rozpacz. Będzie dbała o swoje zdrowie, jadła regularnie i nie przestanie kochać taty oraz pozostałych krewnych nawet wówczas, gdyby otrzymał kilkuletni wyrok.

– Obiecuję, Wiolu – wyszeptała dziewczynka, spoglądając w granatowe niebo – że dotrzymam słowa. Będę dzielna. Choćby nie wiem jak bardzo mama

złościła się na twoją rodzinę i nie wiem jakie bzdury wygadywała, to nigdy nie uwierzę, że jesteście złymi i nic niewartymi ludźmi.

Potem jej myśli powędrowały w stronę ojca, który od tygodnia przebywał w areszcie. Miała dość rozsądku, by rozumieć, że stawiane mu zarzuty są wyjątkowo poważne. W szkole organizowano czasami pogadanki na temat środków odurzających. Jej koleżankom z klasy zdarzało się wypalić skręta, zażyć jakieś tajemnicze tabletki lub brać amfetaminę. Opowiadały sobie o tym podczas przerw między lekcjami. Gosia oglądała też różne filmy, na których pokazywano straszne rzeczy o osobach zażywających narkotyki. Czytała napisany przez Barbarę Rosiek *Pamiętnik narkomanki* – dość popularną książkę wśród jej rówieśnic.

Choć bardzo kochała tatę, była na niego zła. Nie, nie zła! Kipiała wściekłością. Bo nie dość, że ojciec podejrzany został o handel narkotykami, to jeszcze wciąż drżała z obawy, czy informacja o tym nie dotrze do szkoły. Nie zniosłaby ponownie ostracyzmu. Nie chciała być wyobcowana, wyrzucona poza nawias społeczności. Nie pogodziłaby się z utratą świeżo zadziergniętej przyjaźni z Agnieszką.

– Jak mogłeś mi to zrobić, tato? – zapytała po cichu. – Jak mogłeś?

Osamotniona Andzia w osłupieniu siedziała przy stole nakrytym dla dwóch osób. A potem żałośnie zawyła, nieświadomie naśladowując słowa kobiety, którą wciąż z przyzwyczajenia określała mianem teściowej:

– O ludzie na świecie! To żem się doczekała: chłop kryminalista, niewdzięczna żmija wyhodowana na własnej piersi i rodzina zdeprawowanych elementów!

Tegoroczna wigilia zapowiadała się u Pawłowskich nader smutno. Julia, nakrywając do stołu, ustawiła aż trzy dodatkowe talerze. Jeden – symbolicznie dla zbłąkanego wędrowca. Drugi w miejscu, które zwykł zajmować Marek. I trzeci – malutki talerzyk z ręcznie malowanym krasnoludkiem dla zmarłej przedwcześnie dzieciny. Spojrzała krytycznie na odświętnie udekorowany stół, a potem zmarszczyła czoło. Po krótkim namyśle zabrała dwa nakrycia. Uznała bowiem, że nie może męczyć bliskich tak wymownym upamiętnianiem utraconych członków rodziny. Przeczuwała, że i bez tego przy stole będzie panowała przygnębiająca atmosfera.

Wawrzyniec poszedł po Wiolettę. Wprawdzie Julia kilkakrotnie przypominała wnuczce o wspólnej wieczerzy, lecz przepełniała ją obawa, czy dziewczyna przyjdzie. Wciąż pogrążona była w głębokim smutku i tylko dzięki staraniom

krewnych jakoś sobie radziła, choć jej obecne życie było jedynie wegetacją.

Tęskniła za dzieckiem. Rozpaczała. A czasami zwyczajnie popadała w stan obojętności. Jej oczy straciły blask. Usta zapomniały, jak ułożyć się w uśmiech. Czasami, bardzo rzadko, miewała lepsze dni, gdy pomału zaczynała wracać do siebie. Obiecywała wtedy bliskim, że poszuka pracy, a od następnego semestru podejmie przerwana naukę na studiach. Zacznie żyć.

Nie chciała jeździć na cmentarz. Gdy dziadkowie zabrali ją tam w dniu Wszystkich Świętych, skończyło się to łzami i ogromną, nieutuloną rozpaczą. Później Julia i Wawrzek nie proponowali jej wizyt na grobie maluszka. Chodzili tam we dwoje. Zapalili znicz. Kładli świeżą wiązanekę. Odmawiali modlitwę za aniołka.

Julia wygładziła nieistniejącą fałdkę na obrusie. Sianko tylko symbolicznie podłożyła pod opłatek leżący na talerzu.

– Pomóc ci w czymś, mamó? – zagadnęła Marta, zaglądając do pokoju stołowego.

– Tak, córciu. Włącz gaz pod barszczem. Lada moment przyjedzie Karol z Matyldą. Wawrzek i Wiola też powinni już dotrzeć. Ach! Jaka szkoda, że Zocha z rodziną wyjechała na święta w góry! – westchnęła. – Dziwnie będzie zasiąść do wieczerzy w tak okrojonym gronie. Cóż to za smutna moda, by spędzać wigilię Bożego Narodzenia z daleka od krewnych!

– Nie martw się, mamó. Może w przyszłym roku będzie nas więcej?

– Obyś miała rację, córeczko – odparła Pawłowska.

Kiedy Marta zniknęła za drzwiami kuchni, przeszła jeszcze raz wokół stołu. Poprawiła w kilku miejscach krzywo leżące sztućce. Ułożyła serwetki. Policzyła nakrycia, by sprawdzić, czy wszystko jest jak należy.

Może faktycznie za rok przybędzie biesiadników? Może Wiola zechce wziąć ślub z tym miłym młodym człowiekiem? Może Adrian zakocha się w jakiejś sympatycznej pannie? – rozmyślała, wyczekując kroków na klatce schodowej.

W końcu usłyszała upragniony dźwięk dzwonka. Najpierw ruch zrobili Karol z Matyldą. Potem dotarła wnuczka, niemalże w tym samym czasie co Adrian. Zgodnie z przewidywaniami Julii Wioletta była blada, zgaszona i bez humoru.

Ach, nic dziwnego. To Boże Narodzenie. Święto tak bardzo ukochane przez dzieci. Biedactwo pewnie przepłakało pół dnia, wspominając swoją dziecinę. Trzeba koniecznie ją czymś zająć!

Ucałowała dziewczynę. Poczekała, aż Wiola zdejmie ciepłą kurtkę podbitą

sztucznym futerkiem, a następnie zaprzęła ją do pomocy. Gdy już ostatnie przygotowania zostały uczynione, jak co roku ujęła w dłonie Biblię.

Wioletta za smutkiem wysłuchiwała fragmentu Ewangelii świętego Łukasza. Kiedy babcia skończyła czytać, dziadek poprowadził wspólny pacierz.

– Na koniec pomódlmy się jeszcze za dusze wszystkich zmarłych z naszej rodziny. W szczególności za Marka i Karolka. Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie – kontynuował zboliałym głosem.

Po twarzach ludzi zgromadzonych przy stole obficie popłynęły łzy. Byliby może w nieskończoność opłakiwali bliskich, lecz Julia jako pierwsza wyjęła chustkę i otarła oczy.

– Nie tracie się, kochani. Dzieciaki moje i wnuki! – powiedziała. – Usiądźmy teraz, coś wam opowiem. Pamiętam jak przed laty pojechaliśmy z Bronkiem na wigilię do Pawlic. Źle się wtedy działo w naszej rodzinie. Bardzo źle. Spadło na nas wiele nieszczęść. Bardzo zafrasowani zasiedliśmy do wieczerzy. Była wtedy między nami moja świętej pamięci matula. Powiedziała słowa, które jeszcze nie raz powtarzała nam ku pokrzepieniu serc: że zawsze jest jakieś jutro, na które warto czekać. To zdanie zostało naszą rodzinną dewizą. Dziś przekazuję je wam, moi najmilsi. Jest nam smutno, bo straciliśmy bliskie osoby i zawiódł nas członek rodziny. Ale wciąż jesteśmy siłą. Póki trzymamy się ze sobą, pomagamy sobie, dajemy innym wsparcie w trudnych chwilach, póty nic nie może nas zniszczyć – dokończyła z mocą. A potem zaprosiła wszystkich do składania życzeń z tradycyjnym opłatkiem.

Podchodzili do siebie kolejno. Gdy Julia dotarła do synowej, przytuliła ją mocno, a potem szepnęła jej do ucha:

– Kochaniutka, ty wiesz, czego najbardziej ci życzę. Tak bym chciała, aby Bóg pobłogosławił was w końcu dzieciaczkiem. Jeszcze nie jest za późno, o nic się nie martw. – Pogładziła kobietę po ramieniu dla dodania otuchy, gdy zobaczyła smutek wyzierający z jej oczu.

Matylda nachyliła się bliżej teściowej i też odpowiedziała jej na ucho:

– Ale On już nas pobłogosławił. Tylko jeszcze nic nikomu nie mówiłam.

– Ależ dlaczego? Dziecko drogie! – wyraziła zdziwienie Julia.

– Dręczy mnie strach o to, jak Wiola przyjmie takie wieści. Dla niej może to być cios. A przynajmniej niezbyt miłe zaskoczenie.

Seniorka wyciągnęła dłoń i pogłaskała pobjadły policzek kobiety.

– Dobra z ciebie dziewczyna, zawsze to wiedziałam. Myślisz nie tylko o sobie, ale i o uczuciach innych. To pięknie. Ale nie trzeba robić sekretu.

Wiolinka na pewno zrozumie, nie jest głupiutką egoistką. Sama niejedną raz wspominała, jak by to było pięknie, gdybyście z Karolem zafundowali jej młodsze rodzeństwo. Nawet jeśli będzie jej przykro, bo straciła swoją dziecinę, nie jest to przecież powód do dąsów. Ona jest jeszcze młodziutka, ma całe życie przed sobą. Da Bóg, będą i dzieci. – Uśmiechnęła się życzliwie i otarła łzy wzruszenia, które napłynęły do jej oczu. – A Karol już wie? – zapytała. Matylda pokręciła głową. – Powiedz mu, niech ma chłopak gwiazdkowy prezent.

– A co wy tak długo szepczecie? – zaskoczył je mężczyzna, stając obok zaaferowanych pań.

– O wilku mowa! – wykrzyknęła radośnie Julia.

– Żebym ja do rodzonej matki nie mógł dotrzeć! Koniec świata!

– Koniec świata to dopiero będzie, synku. Ale to nie ja ci go zafunduję!

Puściła oko do synowej, a potem odszukała wzrokiem Wioletkę. Podeszła do wnuczki, choć już wcześniej zdążyły sobie złożyć życzenia. Objęła ją w pasie i przytuliła policzek do jej policzka.

– Bądź dzielna, kochanie – powiedziała. – Tobie też jeszcze dopisze szczęście.

Zdumiona kobieta spojrzała na babcię, lecz ta miała nader tajemniczą minę i nie wyglądała na kogoś, kto chciałby jeszcze dodać cokolwiek. Nagle dobiegł ją zduszony wzruszeniem głos taty.

– Naprawdę? Kochana moja!

Zerknęła w jego stronę i zobaczyła, jak tato obejmuje oburącz żonę w talii i spogląda na jej brzuch z uczuciem.

– O matuchno! Taka piękna nowina w tym szczególnym dniu! Naprawdę będziemy mieli dziecko?

– Tak – odparła zmieszana Matylda i ponad głową Karola rzuciła Wioli przepraszające spojrzenie.

Wioletta czuła, jak jakaś nieprzyjemna gruda narasta w jej gardle, a oczy podbiegają łzami. Pokiwała jednak głową do Matyldy, pokazała kciuk w górę, a potem szybko odwróciła się do babci i ukryła twarz na jej barku.

– No już dobrze, maleńka. Dobrze. – Julia pogłaskała ją po włosach. – Pamiętaj, co ci mówiłam. Jesteś dzielną dziewczyną. Da Bóg i tobie szczęście.

Młoda kobieta walczyła przez moment sama ze sobą. A potem wyprostowała plecy. Odwróciła się w tej samej chwili, gdy stanęła przy niej macocha

z uszczęśliwianym mężem.

– Wiolu...

– Gratuluję wam – odparła. – To wspaniale, że wreszcie doczekaliście tej chwili.

– Moja dziewczynka – powiedział Karol, obejmując córkę.

Był szczęśliwy, że los dał mu jeszcze jedną szansę. Kiedy Pawłowski wracał myślami w przeszłość, musiał ze skruczą przyznać, że w czasie trwania pierwszego małżeństwa kiepsko radził sobie w roli ojca. Wszystkie obowiązki cedował wówczas na żonę. Teraz nadszedł czas na to, by świadomie przeżywać wszystkie blaski i cienie ojcostwa. I chociaż było oczywiste, że nikt nie zastąpi mu Marka, cieszył się, że ponury, pusty dom znowu odżyje.

Wiola wyciągnęła ramię do Matyldy, by i ta do nich dołączyła. A potem pozwoliła łzom na spłynięcie po twarzy.

Łzom bólu i radości. Bo choć wciąż opłakiwała własne dziecko, cieszyło ją szczęście bliskich.

Niewielki mróz szczypał policzki Wioli, gdy po wieczery wigilijnej wracała do swojego mieszkania. Chociaż dziadkowie nalegali, by została u nich na noc, uparła się, że pójdzie do siebie. Najlepiej sypiała we własnym łóżku – mimo wszystko.

Zadziwiające było to, że nie czuła już tego bolesnego skurczu serca, który pojawił się, gdy usłyszała, że Matylda zostanie matką. Krótkotrwała zazdrość o cudze szczęście szybko opuściła dziewczynę.

Chyba zaczynam godzić się z losem – pomyślała, otwierając drzwi klatki schodowej. Wewnątrz było włączone światło. Słyszała jakiś ruch, lecz nie brzmiało to jak kroki osoby idącej po schodach, a raczej przytupywanie kogoś znudzonego oczekiwaniem. Gdy dotarła do półpiętra, zobaczyła czekającego powyżej mężczyznę.

– Tomek? – zdziwiła się. – Co ty tutaj robisz?

– Jak widzisz: czekam na twój powrót. Chciałem złożyć ci życzenia i zabrać cię do kościoła. Albo lepiej na długi spacer. Bo choć jest trochę mroźnie, to mimo wszystko dość przyjemnie – powiedział, wstając.

– Ale skąd wiedziałeś, że zastaniesz mnie w domu? Albo że w ogóle wrócę na noc?

– Przed chwilą dzwoniłem do Adka. – Pokazał jej ciężką motorolę wystającą

z wewnętrznej kieszeni kurtki. – Wspomniał, że spędzacie wigilię całą rodziną. I że właśnie wyszłaś od dziadków. To co? Idziemy? Nie przyjmuję odmowy – stwierdził stanowczo.

– Uparciuch z ciebie – odparła. – Okej. Możemy pójść na spacer. Potrzebuję przewietrzyć głowę.

– No... Domyślam się. Adrian zdradził mi nowinę – oświadczył prostolinijnie.

Nie dodał, że przyjaciel wyraził wielki entuzjazm, gdy usłyszał o jego planach. Poprosił go nawet o odwrócenie siostrzanej uwagi od sensacji, którą zgotowała wszystkim Matylda.

– Ech... Jesteście jak dwaj rycerze, wciąż otaczacie mnie opieką. – Pawłowska w lot prześwietliła obydwu. – Choć może głupio brzmi to określenie w odniesieniu do brata. Idziemy – podjęła decyzję.

– Super. Mógłbym zostawić u ciebie telefon? To cholerstwo waży prawie dwa kilo. Nie chce mi się chodzić z cegłą w kieszeni.

– Nie ma sprawy.

Zanieśli aparat do jej mieszkania. Kobieta włożyła czapkę, gdyż do dziadków poszła z gołą głową. Przypuszczała, że Lorek wyciągnie ją z domu na dłużej. Od razu zapowiedziała, że później zaprasza go na gorącą herbatę z miodem i cytryną oraz nieudolnie upieczone pierniki.

– Nieudolnie? – zdziwił się. – To raczej niemożliwe.

– Ależ owszem – odparła, gdy schodzili po schodach. – Robiłam je pierwszy raz w życiu. Babcia mi kazała, że niby mają być na choinkę. Zajmowałam się tym przez kilka dni z rzędu. Ale jak dziadek po mnie przyszedł, to powiedział, że ich choinka jest już bardzo gęsto obwieszona i nie ma ani odrobiny miejsca.

– Wprawdzie mama nafaszerowała mnie karpem i pierogami, ale dam radę również piernikom – stwierdził Tomek. – Przechadzka po mroźnym powietrzu na pewno przywróci apetyt i tobie, i mnie.

Zamiast do kościoła wybrali się na aleję Róż. Wiola stwierdziła bowiem, że wyjątkowo nie ma ochoty, by pójść na pasterkę. Tomasz nie nalegał na udział w nabożeństwie. Jego myśli skupione były na czymś innym. Choć rodzinę Pawłowskich zawsze łączyły mocne więzi i stanowili dla siebie wsparcie, przypuszczał, jak smutne muszą być dla Wioli te święta. Stwierdził, że ukochanej dobrze zrobi, gdy na chwilę oderwie ją od krewnych.

– Jak ci idzie szukanie pracy? – zagadnął.

– Nieźle. W środę zadzwoniła jakaś miła pani i zaprosiła mnie na decydującą rozmowę kwalifikacyjną. Na razie ubiegam się o stanowisko referentki. Mam bardzo duże szanse na otrzymanie tej posady, tak powiedziała mi kobieta, której zostawiłam życiorys. Rozmawialiśmy już wstępnie. Właściwie nawet nie wstępnie, bo trwało to dość długo. Na koniec dodała, że ostateczna decyzja należy do jej przełożonej.

– Świetna wiadomość! – wykrzyknął Tomasz. – Bardzo się cieszę.

Pomyślał, że skoro zarówno on, jak i Wiola tak szybko zyskali perspektywę zdobycia pracy, to faktycznie nie ma przekłamania w sondażach mówiących o spadku bezrobocia. I choć ciągle następowały zmiany rządów oraz wybuchały nowe afery gospodarcze, to jednak ludziom zaczynało się żyć jakby trochę lepiej. Oni i tak mieli wiele szczęścia, uczciwie i w stosunkowo krótkim czasie doszli do sporych pieniędzy, choć kosztowało ich to mnóstwo wyrzeczeń i wysiłku.

Może i Marek znalazłby sobie w końcu porządną pracę, gdyby nie skończył życia jako ćpun? – przemknęło mu przez głowę.

– Kiedy rozmawiasz z tą drugą kobitką? – zapytał.

– W czwartek. Będziesz trzymał za mnie kciuki?

– Ależ oczywiście!

– To dobrze, bo bardzo mi na tym zależy. Przyznaję, że odczuwam większą treść, niż gdy występowałam przed tłumem fanów.

– Myślę, że skoro rozmawiałas już z jedną panią i wszystko poszło dobrze, to nie masz powodów do obaw. Czyli co? Definitywnie koniec z muzykowaniem? – zmienił temat.

– Definitywnie – potwierdziła. – Adrian musi się z tym jakoś pogodzić. Albo stwórzcie nową kapelę z inną wokalistką. Ja już nie wrócę do branży muzycznej.

– To ostateczna decyzja?

– Tak. Gdybym zmiękła i ustąpiła, to za chwilę usłyszelibyśmy, że jest zapotrzebowanie na nagranie kolejnej płyty. A skoro płyta, to cała kampania reklamowa. Wywiady w prasie i radio. Być może nakręcenie kilku klipów. No i oczywiście następna trasa koncertowa. Co to, to nie!

– Właściwie masz rację. To na pewno nie skończyłoby się na jednym wyjeździe. Sądzę, że Dyrwa tak to sobie wykombinowała, bo liczyła na skuszenie nas do reaktywacji.

– Otóż to! Nie chciałabym znowu przez to przechodzić. Owszem, było

wesoło, ale na początku, zanim tamten cholerny zboczeniec zaczął mi deptać po piętach. Teraz wciąż drżałabym ze strachu, że on znowu wypełźnie ze swojej nory i zaczną się pogrożki oraz nieprzyjemne sytuacje. Już raz to przerabiałam. Do tej pory irytuje mnie myśl o bezsilności policjantów, którzy nie byli w stanie namierzyć zwyrodnialca.

– Za mało się przykładali.

– Wiesz co? Tak między nami powiem ci, że nadal czuję lęk. Bo odnoszę wrażenie, że ten człowiek tylko czeka w ukryciu na mój następny ruch. I gdybym wróciła na estradę, znowu wylewałby na mnie pomyje. Nie chcę być obiektem czyichś chorych, obrzydliwych fantazji. Celem pogrózek. Nie chcę tego wszystkiego.

– Doskonale cię rozumiem. Też czułem pietra, gdy zakłócił naszą trasę koncertową latem ubiegłego roku. Gumy pocięte w samochodzie to nie przelewki. A co by było, gdyby przyszło mu do głowy chlasnąć przewody hamulcowe?

– Wolę o tym nie myśleć. Strugałam wtedy chojraka, wiesz? Ale tak naprawdę tylko nadrabiałam miną, a w rzeczywistości byłam przerażona.

– Imponowałaś mi swoją postawą.

– Było, minęło.

Machnęła lekceważąco dłonią.

Spacerowicze dotarli do ulicy Stefana Żeromskiego. Skręcili w prawo. Przemierzyli kawałek, a następnie weszli w osiedle Słoneczne.

– Chyba powinienem ci coś zdradzić. – Lorek uznał, że nadszedł czas, by wyjawić Wiołce sekret byłego kumpla z zespołu.

– Wiesz coś na temat prześladowcy? – domyśliła się. Choć usiłowała nad sobą panować, jej głos zdrzął emocjami.

Jeśli jej tego nie powiem, nigdy nie przestanie się bać urojonego wroga.

– Tak. Wpadłem na trop przez czysty przypadek. Kurczę... Sam nie mogłem uwierzyć, ale jak przycisnąłem tego kogoś, to potwierdził moje podejrzenia.

– To ktoś, kogo znamy? Jakiś członek ekipy organizacyjnej? Ktoś z chórków?

– próbowała odgadywać.

Choć sprawę prześladowcy przysłoniły inne, znacznie ważniejsze problemy, Wiołce wciąż nie dawało to spokoju. Fakty przemawiały za tym, że to człowiek z bliskiego otoczenia. Zbyt szybko sobie odpuścił dręczenie Pawłowskiej po jej deklaracji opuszczenia zespołu. Z tego, co mówiła Dyrwa, listy przestały przychodzić, zanim ta informacja trafiła do wiadomości

publicznej. Od samego początku wszyscy podejrzewali, że nie mógł to być obcy. A jednak nazwisko, które usłyszała od przyjaciela, wprowadziło kobietę w osłupienie.

– Poważnie? Nie! To niemożliwe! W życiu bym na to nie wpadła! – wykrzyknęła.

Tomasz opowiedział jej ze szczegółami o wizycie u Króla. Na koniec dodał:

– Specjalnie nie mówiłem tego przy Adku, gdy wyskoczył z chęcią powrotu do muzykowania. Bałem się, że po pierwsze nie odpuści. A po drugie, że w przyływie emocji pojedzie do tego bydlaka i popełni jakieś szaleństwo. Ale uważam, że jemu także należy o tym powiedzieć.

– Dobrze zrobiłeś, że wziąłeś na wstrzymanie. Znając Adriana, faktycznie byłby zdolny porwać się na coś, czego potem mógłby żałować. Jest teraz w kiepskim stanie emocjonalnym. A skoro ten idiota twierdzi, że nie chciał nikogo skrzywdzić i zasadniczo dopiął swego, bo zespół i tak został rozwiązany, to strach minął. Razem wytłumaczmy to wszystkiemu Adkowi, okej? – Spojrzała wyczekująco na Lorka.

Przyjaciel pokiwał głową. We dwoje mieli większe szanse, by w razie czego powstrzymać chłopaka żadnego zemsty.

– Jak bardzo go sprąś? – zapytała mimochodem po chwili ciszy. – Bo to jemu spuściłeś łomot kilka dni temu, prawda?

– Byłbym go zabił – przyznał szczerze. – Skończyło się na mocno obitym ryju i paru siniakach w innych czułych miejscach. Na policję na pewno z tym nie pójdzie, bo wtedy pograżyłyby samego siebie na amen.

Szli bez pośpiechu wyludnionymi chodnikami. Było zbyt wcześnie na pasterkę. Ludzie wciąż jeszcze siedzieli przy wigilijnych stołach. Niektóre okna tonęły w mroku, w innych migotały lampki. Wzrok przyciągały kolorowe światełka na choinkach i inne dekoracje.

– Ślicznie – westchnęła Wioletta. – Tak sielankowo i spokojnie. Z naciskiem na spokój. To jedyne, czego teraz pragnę. Nie chciałoby mi się znowu tułać furgonetką po świecie i nocować w obcych kątach. Dzisiaj tu, jutro tam. Bez stabilizacji. Tęskniłabym za własnym łóżkiem, bezpieczeństwem mieszkania.

– Prawdę mówiąc, mnie też nie pociąga perspektywa powrotu do koczowniczego życia. Po Nowym Roku zaczynam pracę w dużej firmie deweloperskiej. Ostatnio jest spore zapotrzebowanie na inżynierów. Zgłosiłem swoją kandydaturę i miałem fart. Żal byłoby to zaprzepaścić. A znowuż godzenie pracy, magisterki i muzykowania byłoby karkołomne. Poza tym człowiek musi mieć też choć trochę wolnego czasu dla znajomych.

Dotarli do parku Ratuszowego. Puste ławki pokrywał szron. Otaczała ich cisza. Wyjątkowo nie było słychać nawet samochodów, które zwykle pędziły aleją Przyjaźni.

– A znajomi potrzebują tego człowieka – zachichotała Wiola i trąciła go lekko łokciem. Potem przystanęła, a on razem z nią. – Wiesz... To był bardzo trudny rok dla mojej rodziny. Zwłaszcza ostatnie miesiące. Jeszcze nie podziękowałam ci za to, że przez cały ten czas dawałeś nam wsparcie. To naprawdę wiele dla mnie znaczy.

– Od tego są przyjaciele – powiedział ciepłym głosem. – A ja, bez względu na to, co nam przyniesie los, zawsze pozostanę twoim przyjacielem, Wiolu. – Uścisnął jej dłoń i spojrzał w oczy.

Pawłowska spoglądała na niego z zadumą.

On nie ponowi swojej propozycji z obawy, że mógłby stracić to, co wypracował. Dobrze go znam. Być może teraz wszystko jest w moich rękach.

Zerknęła na pomnik majaczący w mroku za plecami Tomasza. Kiedyś babcia opowiadała, że właśnie w tym miejscu przed laty oświadczył jej się Wawrzyniec Pawłowski. Miejsce niezwykle symboliczne dla rodziny, niosące pozytywne wibracje. Czy i jej przyniesie łut szczęścia?

Stała tak blisko, że Tomasz czuł bijący od niej zapach korzennej przyprawy do pierników, wanilii i cynamonu. Ciepłą, słodką woń kobiety, która spędziła przedpołudnie na wypiekaniu świątecznych pierników. Cóż on by dał za to, by zatrzymać tę ulotną chwilę! By blask, który pojawił się w oczach Wiolki, pozostał w nich już na zawsze.

– A gdyby los przyniósł ci radykalną zmianę w życiu? – zapytała miękkim tonem.

– Zależy jaką – odpowiedział.

– Czy bierzesz pod uwagę przeprowadzkę?

– To jest do przeżycia. Byle nie za daleko, bo nie chcę tracić z oczu ciebie i Adka.

– Nie stracisz. Chciałabym wiedzieć, czy w razie czego przeprowadziłbyś się kiedyś na aleję Róż? – Spoglądała na niego z niepokojem.

– Tak. Ale tylko pod jeden adres. – W jego głosie zabrzmiały radość oraz nadzieja. – Do jedynej kobiety, którą kocham i której pragnę wsunąć na palec obrączkę. Wiolu... Zostaniesz moją żoną? – zapytał, wciąż jeszcze drżąc na myśl o tym, jaką odpowiedź mógłby usłyszeć.

Chłód grudniowej nocy szczyptał policzki Wioletty Pawłowskiej, gdy

obejmowała dłonią kark Tomka.

– Tak – szepnęła, nim przycisnęła usta do warg mężczyzny, z którym pragnęła dzielić życie.

Koniec

[18] Fragment utworu *Cień w dolinie mgieł*, tekst i muzyka: Robert Gawliński, wykonanie: Wilki, płyta *Przedmieścia*, Wydawnictwo MJM Music PL, 1993 r.